

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

Kości

NUALA ELLWOOD

mojej

CZY MASZ W SOBIE DOŚĆ ODWAGI,
ŻEBY WRÓCIĆ?

siostry

Kości

NUALA ELLWOOD

mojej

Przekład Dorota Pomadowska

siostry

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

*Książkę tę dedykuję Mojemu Ojcu
– „przedobremu” człowiekowi.*

Kiedy niema godzina, w czerń odziana,

Przynosi do mego łoża sny,

Niech nie przyzywa mnie co noc

Martwych głosów milcząca moc.

Alfred Tennyson

(The Silent Voices, fragment)

Prolog

Teraz jest już bezpieczna. Wolna od swoich demonów. Miejsce jej wiecznego spoczynku jest ciche i spokojne. Mała, niewielka, wodna oaza ciszy. Kiedy patrzę na statek wycieczkowy pełen turystów, którzy właśnie schodzą na brzeg, myślę sobie, że to miejsce by jej się spodobało. Uznałaby je za odpowiednie.

Trudno uwierzyć, że po tak nagłej śmierci kiedykolwiek mogłaby zaznać spokoju, ale mam nadzieję, że tak się stanie.

Moja siostra. Moja piękna siostra.

„Bezpiecznej podróży”, szepczę. I boleśnie wzdygam, kiedy wrzucają jej prochy do głębokiej toni. Może to i koniec.

Statek wycieczkowy napelnia się turystami, a ich podekscytowane głosy rozbrzmiewają w powietrzu, kiedy tam stoimy, trzy zgnębione dusze, które składają ostatnie pożegnanie. Kiedy przyglądam się, jak ona odchodzi, znowu przychodzi mi do głowy myśl, która prześladowuje mnie od chwili, gdy umarła.

Jak to możliwe, że z nas dwóch to ja jestem tą, która przeżyła?

część pierwsza

Posterunek policji w Herne Bay Niedziela, 19 kwietnia 2015 10.30

– Czy chciałaby pani, żebym powtórzyła pytanie?

Lekarka mówi, ale trudno ją usłyszeć w szumie głosów.

– Kate? – Lekarka wierci się na krześle.

– Przepraszam, może pani powtórzyć? – Próbuję się skupić.

– Może zamknąć okno? Na zewnątrz jest dość duży hałas.

Ma zamiar wstać, ale wyciągam rękę, żeby ją powstrzymać. Wzdryga się, a ja uświadamiam sobie, że błędnie wzięła mój gest za agresję.

– Nie – odpowiadam, kiedy znowu siada, zakłopotana. – W porządku. Po prostu myślałam, że usłyszałam... Nic... Nieważne.

Nie wolno mi powiedzieć jej o tych głosach.

Kiwa głową, a na jej twarzy pojawia się półuśmiech. Dobrze znany teren. Halucynacje słuchowe. Głosy w głowie. Istny raj dla niej, psycholożki klinicznej. Bierze do ręki swój notatnik i celuje długopisem w nową kartkę.

– Dobrze – zaczyna, a w miarę jak jej pióro przesuwają się po papierze, błysk srebra mocuje się z promieniami porannego słońca. – Te rzeczy, które pani słyszy, Kate, czy może mi je pani opisać? Czy to jakieś rozpoznawalne głosy?

– Nie wiem, o czym pani mówi – warczę.

– Trudno pani je rozpoznać?

– Proszę posłuchać, wiem, co pani tutaj robi – odpowiadam lakonicznie. – Ale nie uda się pani, bo nie jestem tym, za kogo mnie pani uważa.

– A za kogo panią uważam?

– Za obłąkaną kobietę, która słyszy głosy, widzi różne rzeczy, wyobraża sobie różne rzeczy. Uważa pani, że to wszystko jest w mojej głowie.

Ale kiedy mówię, one stopniowo powracają, przybierając na sile i zanikając niczym głos radia pomiędzy częstotliwościami. Shaw coś mówi, lecz nie słyszę jej z powodu tych krzyków. Stara kobieta lamentuje. Młody ojciec biegnie przez ulice, trzymając w ramionach zmasakrowane ciało swojej córeczki. Moi najwierniejsi towarzysze, którzy powracają do mnie za każdym razem, kiedy jestem w stresie.

Nie potrafię sobie pomóc. Zatykam uszy dłońmi i tak je trzymam. Głosy rozplývają się w cichy szmer, niczym dźwięk, który słyhać, kiedy przykłada się muszlę do ucha. Widzę moją matkę, jej policzek przyciśnięty do mojego policzka. *Posłuchaj, kochanie, słyszysz? To ocean mówi do ciebie.* A ja jej wierzyłam. Wierzyłam, że w środku muszli skrywa się morze, chociaż to, co słyszałam, tak naprawdę było powietrzem odbijającym się od ścianek poskręcane wnętrza. Wierzyłam jej, ponieważ tego potrzebowałam. Była moją matką i nigdy nie kłamała.

– Kate?

Widzę, że usta Shaw się poruszają. Wypowiada moje imię. Wpatruję się w nią przez chwilę, a ona odwzajemnia moje spojrzenie. Ma brudnozielone oczy, w kolorze

zimowego morza, którego obraz mam w głowie. Teraz staje się coraz głośniejsze, fale uderzają o skały.

– Kate, proszę. – Shaw podnosi się z miejsca. Ma zamiar wezwać pomoc.

Zmuszam się do tego, żeby zdjąć dłonie z uszu i je spleść. Bransoletka z oliwinów, którą Chris podarował mi na naszą ósmą rocznicę, zsuwa się w dół mojej ręki i zatrzymuje na nadgarstku. Przesuwam palcem po powierzchni kamieni, pocierając je niczym lampę dzina. *Powiedz życzenie*, myślę sobie. Pamiętam wieczór, kiedy Chris dał mi tę bransoletkę. Byliśmy w Wenecji. Trwał karnawał i kiedy kluczyliśmy przez spowite mgłą ulice, podziwiając wyrafinowane kostiumy uczestników zabawy, Chris wsunął mi coś do kieszeni. „Za kolejne osiem lat”, wyszeptał, kiedy zapięłam bransoletkę na nadgarstku. Zamykam oczy. *Zwróć mi go, proszę*.

– Jak ostatnio pani sypia? – pyta doktor Shaw. – Jakież koszmary?

Potrząsam głową i próbuję się skupić, ale jestem w stanie myśleć jedynie o Chrisie i tamtej wycieczce do Wenecji. W powietrzu unosi się zapach wody z weneckich kanałów.

– Bardzo ładna – stwierdza Shaw, wskazując gestem dłoni na bransoletkę.

– Widocznie oliwin chroni przed koszmarami – wyjaśniam szeptem.

– I to działa?

Nadal pocieram kamień palcem wskazującym i kciukiem. Przynosi to dziwną ulgę.

– Czy ten kamień pani pomaga, Kate?

Nie ma zamiaru odpuścić. Biorę łyk wody z plastikowego kubka, który przyniesiono mi godzinę wcześniej. Jest chłodna i zalatuje chemikaliami, ale lepsze to niż smród kanałów.

– Miałam dziwny zły sen – odpowiadam, wycierając usta wierzchem dłoni. – Kto by nie miał? To były ciężkie tygodnie.

Kiedy Shaw nadal pisze, wpatruję się w swoje stopy i przez sekundę widzę części ciała zastygnięte w błocie, niczym jakieś makabryczne puzzle. Zapytała mnie o koszmary, ale od czego mam zacząć? Czy mam jej powiedzieć o tym, że stoję w głębokich grobach i czuję, jak stopy zapadają mi się w ziemi, a palce u stóp ociekają płynami ustrojowymi? Czy mam jej opowiedzieć o tych ciągnących się w nieskończoność nocach, kiedy budzę się, błagając o jakiś dźwięk, o rozmowę, o cokolwiek poza tym nieustannym milczeniem zmarłych? Nie, ponieważ jeśli to zrobię, to tylko potwierdzę jej podejrzenia. Muszę się skupić i wyprzedzać ją o jeden krok albo będzie po mnie. Kiedy Shaw przerywa pisanie i podnosi wzrok, pocieram oliwin, żeby mnie ochronił.

– A powiedziałaaby pani, że te złe sny nasiliły się, odkąd wróciła pani do Herne Bay?

Odstawiam plastikowy kubek na stół i siadam wyprostowana na krześle. Muszę przestać pozwalać na to, żeby moje myśli gdzieś błądziły. Muszę być czujna, ostrożna. Każde słowo, które tutaj wypowiadam, może zostać użyte przeciwko mnie.

– Nie, nie nasiliły się – odpowiadam, próbując zapanować nad swoim głosem. – Po prostu stały się rzeczywistością.

Niedziela, 12 kwietnia 2015 Tydzień wcześniej

Dygoczę, kiedy wysiadam z pociągu i staję na opustoszałym peronie. Morskie powietrze smaga mnie ze złością po twarzy, gdy zakładam pokaźnych rozmiarów plecak i zmierzam ku wyjściu. Zegar dworcowy pokazuje dwudziestą trzecią pięćdziesiąt dziewięć. Czuję się nieswojo, brnąc tak przez tę dokuczliwą ciszę. Czy podjęłam właściwą decyzję? Przystaję i zastanawiam się, czy nie wsiąść z powrotem do pociągu, ale silnik wyłączono i kierownik pociągu w odblaskowej kamizelce otwiera drzwi, żeby pozwolić pracownikom firmy sprzątajacej wykonać swoją robotę. Ostatni przystanek, koniec trasy.

Naciągam ciasniej cienką marynarkę, udzielając samej sobie reprimendy za to, że cieplejszy płaszcz został na dnie plecaka. Zapomniałam, jak zimno potrafi być w Herne Bay wieczorami, nawet w kwietniu. Moja matka nazywała to „zimnem przeszywającym do szpiku kości”.

Kiedy podchodzę do schodów, rozglądam się dookoła w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia, ale niczego takiego nie znajduję. Jestem tutaj jedyną osobą.

Mam nadzieję, że dostał moją wiadomość.

Spośród wszystkich sytuacji, w których znalazłam się w ciągu wielu lat, w żadnej nie czułam się tak nieswojo jak wtedy. W Herne Bay. Gdzie wcześniej zapada ciemność, a życie jest równie przewidywalne jak przyływy. Przetrawianie tych kilku kolejnych dni miało pochłonąć wszystkie siły, jakie mi pozostały.

Kiedy wchodzę w półmrok hali dworcowej, telefon wibruje mi w kieszeni, zatrzymuję się więc przy czerwonej poświacie automatu z napojami, żeby odebrać.

– Cześć. Och, w porządku. Wspaniale. Zaraz tam będę.

Gdy wychodzę ze stacji i dostrzegam srebrną limuzynę zaparkowaną na pustym postoju taksówek, zaczyna padać drobny deszcz. Macham do mężczyzny siedzącego za kierownicą, zdecydowanym krokiem idąc w kierunku samochodu, z ciężkim plecakiem, który wpija mi się w ciało. Szwagier odwzajemnia mój gest, ale się nie uśmiecha. Wie, że moja obecność w Herne Bay spowoduje kłopoty. Tym bardziej jestem mu wdzięczna, że przyjechał mnie odebrać. Jest jedynym członkiem mojej rodziny, który jeszcze chce ze mną rozmawiać.

– Cześć, Paul – wzdycham, otwierając drzwi. – Dziękuję, że wyjechałeś po mnie o tej porze. Naprawdę to doceniam.

– Nie ma sprawy – odpowiada. – Wrzuć plecak na tylne siedzenie. Tam jest więcej miejsca.

Sama mam ochotę wrzucić się na tylne siedzenie i udawać, że jestem w Londynie w jakiejś anonimowej taksówce i jadę do domu, do swojego własnego łóżka. Przejażdżka ze stacji do domu mojej matki należy do krótkich, przekonuję sama siebie, wrzucając plecak do tyłu i siadając z przodu na miejscu dla pasażera. Zapinam pasy, odchylam się do tyłu i zamykam oczy. Jestem w domu, cokolwiek to oznacza.

– Jesteś pewna, że chcesz zatrzymać się w domu swojej matki? – pyta Paul, kiedy

wyjeżdżamy z parkingu. – Chciałem tylko powiedzieć, że możesz przenocować u nas. Jesteś więcej niż mile widziana.

– Dzięki, Paul – odpowiadam, podczas gdy za oknem przesuwały się znajome krajobrazy. – Nie chcę sprawiać wam kłopotu.

– Nie sprawiłabyś kłopotu – zapewnia. – To byłaby przyjemność.

– Och, daj spokój – odpowiadam. – Wątpię, czy dla Sally to byłaby przyjemność. Wyobrażam sobie jej wyraz twarzy, kiedy pojawiłabym się pod drzwiami.

– W porządku – zgadza się. – Może wobec tego hotel? Na bulwarze nadmorskim otwarto nowy hotel, ładny i komfortowy, spodobałby ci się.

– Szczerze mówiąc, dom mamy będzie idealny – odpowiadam zdecydowanie. – Zostaję tutaj zaledwie kilka dni i mimo wszystko, po tym, co się stało, dobrze będzie spędzić tam trochę czasu. Daj mi szansę, żebym to wszystko zrozumiała.

– Dobrze – zgadza się. – Ale istnieje taka możliwość, jeśli zmieniałabyś zdanie.

– Dzięki, Paul.

Milczy przez resztę podróży, a ja patrzę przez szybę, kiedy tak jedziemy przez ledwo widoczne ulice, których nazwy rozmazują się przed moimi oczami niczym atrament rozpuszczający się w wodzie. Burczy mi w brzuchu i nagle kręci mi się w głowie. Zawsze tak się dzieje, gdy tutaj wracam. Jakbym miała alergię na to miejsce.

– Czy mogłabym otworzyć okno? – pytam Paula, modląc się, żeby nie zwymiotować na jego nieskazitelną tablicę rozdzielczą.

– Proszę bardzo – odpowiada, wskazując gestem dłoni na przycisk przy klamce u drzwi.

– Już lepiej – wzdycham, kiedy podmuch zimnego powietrza uderza w moją twarz, chociaż ostra woń ryb nie pomaga.

Wkładam dłoń do kieszeni i przesuвам palcami po uspokajającej powierzchni mojego pióra na szczęście. Pióro – piękne srebrne pióro wieczne z wygrawerowanym moim imieniem – to podarunek od Chrisa na naszą pierwszą rocznicę. Było ze mną wszędzie – w Syrii, Afganistanie, Iraku, Kongu. Kiedy go dotykam, wiem, że jestem bezpieczna.

– Tak tutaj cicho – szepczę, zostawiając pióro w kieszeni, podczas gdy samochód w żółtym tempie wspina się na wzgórze, w kierunku Smythley Road.

Zapomniałam o tej kurtynie ciszy, która opada na miasteczko w nocy. Kiedy wyglądam przez szybę, wyobrażam sobie mieszkańców Smythley Road opatulonych w swoich łózkach, niczym bohaterowie opowiadań Edgara Allana Poe'go, które pożerałam jako dziecko, zagubionych w swoich „małych niszach śmierci”. To był mój dom rodzinny, ten świat ciszy.

– Jesteśmy – oznajmia Paul, gdy samochód się zatrzymuje.

Jego głos sprawia, że podskakuję i podnoszę wzrok na dom, przed którym zaparkowaliśmy. Numer czterdzieści sześć – pozbawiony życia bliźniak z lat trzydziestych dwudziestego wieku, pokryty szarym tynkiem kamyczkowym, niegdyś nieskazitelnie białym. Nadal pamiętam numer telefonu – 654345 – i moją mantrę z dzieciństwa: „Nazywam się Kate Rafter i mieszkam przy Smythley Road pod numerem czterdziestym szóstym z moją mamą, tatą i siostrą Sally”. Oczy mi wilgotnieją, ale

powstrzymuję łzy, przypominając sobie, że przecież zawsze najtrudniejszy jest pierwszy krok.

Kiedy otwieram drzwi i wysiadam na chodnik, płuca mi się kurczą, niczym wstęp do ataku kaszlu, i muszę się uspokoić, opierając dłonie na masce samochodu.

Minął zaledwie tydzień, to wszystko, tłumaczę sobie. Kilka dni morskiego powietrza i podpisywania dokumentów dotyczących mamy, a potem powrót do pracy, powrót do normalności.

– Dobrze się czujesz?

Paul stoi za mną. Zdejmuje mi plecak z ramienia i prowadzi mnie w kierunku domu.

– Wszystko dobrze, Paul, jestem po prostu zmęczona.

– Jesteś pewna, że nie dasz się przekonać, by zamieszkać w hotelu?

– Nie, naprawdę – odpowiadam, kiedy idziemy wzdłuż podjazdu. – Potrzebuję solidnie się wyspać, to wszystko.

– Jestem pewien, że tutaj się wyśpisz – stwierdza pogodnie. – Jest ładnie i spokojnie. Nie wiem, jak ty dajesz radę tak przeskakiwać z jednego piekła w drugie. Ja byłbym wykończony.

Uśmiecham się z żalem. Dla większości ludzi właśnie to jest najważniejsze – dobrze się wyspać. Wyobrażam sobie Paula w Homsie albo Aleppo, chrapiącego wniebogłosy, podczas gdy wokół niego ludzie walczą, żeby przeżyć.

Stoję na progu, wpatrując się w drzwi. Nadal wydaje się nie do pomyślenia, że za nimi nie ma mojej matki, z ciągnącym się za nią zapachem wypieków. Moja matka *była* tym domem. To był jedyny świat, jaki знаła.

– Zostawiam cię tutaj – oznajmia Paul, przerywając moje myśli. – Tu są klucze. Chubb jest do frontowych drzwi, a ten klucz do tylnego wejścia. Jeśli będzie ci zimno, termostat jest w kuchni nad czajnikiem. Wpadnę rano sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Dzięki – odpowiadam, biorąc klucz do ręki i pocierając ostry metal między palcem wskazującym a kciukiem. – I pozdrów ode mnie Sally, dobrze?

Wzdryga się na dźwięk jej imienia.

– Nadal jest moją siostrą – wyjaśniam. – Pomimo wszystko.

– Wiem – przyznaje. – I gdzieś w głębi duszy ona też to wie.

– Mam nadzieję – mówię, a zimne powietrze wywołuje ciarki na moich plecach.

– Wchodź do środka – radzi Paul, poklepując mnie po ramieniu. – Na zewnątrz jest przeraźliwie zimno.

Idę za nim wysypanym żwirem podjazdem, a potem przyglądam się, jak jego samochód znika w niewyraźnych fałdach zatoki. Jeszcze na kilka chwil odkładam wejście do domu. Kiedy otworzę drzwi, wszystko stanie się rzeczywiste. Śmierć mojej matki zostanie potwierdzona. To może się okazać zbyt bolesne. Ale muszę to zrobić, tłumaczę sobie, z ociąganiem idąc w stronę domu, albo nigdy nie ruszę z miejsca. Kiedy jestem już blisko, dostrzegam światło w oknie na piętrze sąsiedniego budynku i przystaję. Widok dodający otuchy, ślad życia pośród ciemności i śmierci, i czuję się pocieszona, gdy moment później wkładam klucz do zamka i otwieram drzwi.

Wewnątrz próbuję po omacku znaleźć włącznik światła i kiedy tak przesuwam dłońmi po błyszczących ścianach pokrytych boazerią, potykam się o własny plecak. W końcu znajduję włącznik, a wtedy przyćmione światło, które się pojawia, wywołuje ścisk w moim żołądku. Zapomniałam – moja matka zawsze czuła wstręt do jasnego światła. Światło nie cieszyło się jej zaufaniem. Zbyt wiele ujawniało. Dlatego instalowała w całym domu żarówki o niskiej mocy. Usuwała się w cień.

Idąc korytarzem, rozmyślałam o tym, że pierwsze osiemnaście lat mojego życia upłynęło spowite w niemal całkowitych ciemnościach, w lęku przed tym, co kryje się po kątach. Chodzę od pokoju do pokoju, naciskając włączniki, i za każdym razem serce we mnie zamiera, kiedy przyćmiona żarówka, rżąc, budzi się niemrawo do życia.

Zatrzymuję się przy kuchni. Wygląda inaczej. Paul i Sally najwyraźniej zabrali się do pracy, przygotowując dom do sprzedaży. Ciemnoczerwone ściany z mojego dzieciństwa zostały przemalowane na kolor magnolii, a linoleum zastąpiono pozbawionym wyrazu beżowym dywanem. Ale to dobrze, tłumaczę sobie, kiedy wchodzę do środka. Chociaż wygląda to nieciekawie, bez jest tym, czego teraz potrzebuję. Jego nijaka neutralność powstrzyma mnie od stoczenia się w głąb czeluści mojej pamięci.

Wchodzę do spiżarni i widzę, że Paul zrobił zapasy przed moją wizytą. Opakowania kawy i herbaty, świeży bochenek białego chleba, puszki zupy i pieczonej fasoli. Otwieram lodówkę i widzę pełnotłuste mleko, masło i jajka, i paczkę wędzonego bekonu – rzeczy, których nie jadam od lat. Jednak rano będę za nie wdzięczna.

Dostrzegam, że zostawił także parę butelek białego wina. Wyjmuję jedną i nalewam sobie szklanicę. Wiem, że nie powinnam. Do czasu wydarzeń ostatnich kilku miesięcy prawie nie piłam alkoholu. Poprzysięgam sobie, że nigdy nie będę taka jak mój ojciec i Sally. Ale od czasu Aleppo wino wydaje się jedyną rzeczą, która koi moje nerwy.

Wino i pigułki nasenne.

Klepię się po kieszeni i wyjmuję opakowanie. Połykam dwie, popijając resztą wina, i wchodzę na górę, modląc się, żeby szybko zadziałały.

Ale kiedy docieram na półpiętro, zatrzymuję się. Ściska mnie w gardle i przez chwilę stoję tak, patrząc na zamknięte drzwi sypialni mojej matki. Stare wgniecenie w kształcie stopy w drewnianej boazerii. Uświadamiam sobie, że dygoczę. Tak jakbym tam wróciła, trzydzieści lat dystansu znika w mgnieniu oka. Dlaczego, u licha, nigdy nie wymieniła tej boazerii?

Siłą woli chcę się zmusić, by tam nie wchodzić, by poczekać z tym do rana, kiedy mój umysł będzie gotowy, nie daję jednak rady i moje dłonie już popychają drzwi. Gwałtownie wciągam powietrze. Złość mojego ojca wypełnia całą tę przestrzeń, i wydaje się, jakby zaraz miał przyjść, oskarżając mnie, pytając, co sobie, do cholery, wyobrażam, że tak tutaj szpieguję. Ale kiedy wchodzę w ten mrok, wszędzie panuje cisza.

Nic się nie zmieniło. Stoję, nieufna, spoglądając na komplet zakurzonych mebli. Ta sama mahoniowa komoda. Te same ciężkie aksamitne zasłony. Te same odrażające brązowe tapety z pojawiającymi się tu i ówdzie nastroszonymi mleciami. Widzę, jak głowa mojej matki raz za razem uderza w ścianę, ręka mojego ojca trzyma ją za włosy, rozwalając ją o żółte kwiaty. W pokoju unosi się woń stęchłych tkanin i taniego odświeżacza powietrza. Paul najwyraźniej zrobił co w jego mocy, żeby wszystko tu

uprzątnąć, ale krew mojej matki jest w całym pokoju. Nawet jeśli widoczne ślady zniknęły, nadal czuję ją w powietrzu – stęchłą woń strachu.

Zamykam drzwi i wychodzę na półpiętro. Oprawiony w ramki obraz Najświętszego Serca Jezusa majaczy mi złowrogo przed nosem. Brodaty Jezus wyciąga do mnie rękę, płonące serce pulsuje mu w klatce piersiowej. Nienawidziłam tego obrazu jako dziecko, nie mogłam znieść jego widoku. Dla mnie symbolizował wszystko, co było z moją rodziną nie tak – ślepą wiarę w obliczu przemocy i nieszczęścia, podporządkowanie się wyższemu dobru. „Błogosławiony Jezus modli się za nas”, czytam na głos, kiedy stoję przed wyblakłym obrazem. Pod tymi słowami napisanymi wiotkimi niebieskimi literami moja matka wypisała imiona swoich dzieci – dwóch żyjących i jednego zmarłego – swojego męża i, jak zawsze na końcu, swoje własne imię.

– Co takiego dobrego kiedykolwiek dla nas zrobiłeś? – krzyczę, a mój głos rozbrzmiewa echem w pustym domu.

Gapię się na tę podobiznę w ramkach przedstawiającą człowieka, który daje wieczne szczęście. Jaki Bóg odbiera życie dziecku? Czytam ponownie imię mojego małego braciszka i zastanawiam się przez chwilę, jakie to musiało być uczucie topić się, z trudem łapać powietrze, walczyć z wodą i wołać matkę, która miała nigdy nie nadejść. Myślę sobie też o tym drugim dziecku, które nie zdążyło, i zamykam oczy, próbując odsunąć od siebie te obrazy. Dostyc, mówię sobie, i jednym machnięciem dłoni odwracam obraz do ściany.

Kiedy otwieram drzwi do dawnego pokoju Sally, jestem już nieprzytomnie śpiąca. Ktoś – najprawdopodobniej Paul – posłał łóżko świeżo wypraną pościelą, a na komodzie zostawił schludnie złożony puchaty ręcznik. Myśl o długiej, gorącej kąpieli jest kusząca, ale wiem, że to nie jest dobry pomysł po tym, jak zażyłam silne pigułki nasenne. Jednak prysznic mógłby pomóc.

Biorę ręcznik i idę przez półpiętro do łazienki. Włączam światło i wita mnie widok tak przerażający, że aż podkurczają mi się palce u stóp – moje odbicie w pełnowymiarowym lustrze. Oto jestem, wyglądam na całe swoje trzydzieści dziewięć lat, a nawet więcej. Mam pomarszczoną i spuchniętą twarz, siwiejące włosy przypominające zbitą drucianą kulę. Notuję sobie w pamięci, żeby zaraz po powrocie do Londynu zapisać się do Antona na całą głowę pasemek.

Woda parzy mnie w skórę, i kiedy tak szoruję twarz, uśmiecham się nad całym tym bezsensownym zamartwianiem się o swój wygląd. Cóż znaczy kilka siwych włosów w porównaniu z horrorem ostatnich kilku tygodni? Moje życie legło w gruzach, a wszystko, o czym jestem w stanie myśleć, to strzyżenie włosów razem z modelowaniem.

Ale potem przypominam sobie swoją uroczą przyjaciółkę, Bridget Hennessey, jedną z najbardziej nieustraszonych dziennikarek, jakie kiedykolwiek poznałam, i moją mentorkę. Poznałyśmy się tuż po tym, jak wróciła z wojny w Kosowie, gdzie pracowała jako reporterka i przeżyła pozorowaną egzekucję z rąk gangu buntowników. Przez dziesięć dni przetrzymywano ją jako zakładniczkę z workiem zawiązanym na głowie, podczas gdy z pomieszczenia obok rozlegał się dźwięk strzałów. Powiedzieli, że zabili jej kierowcę i kamerzystę, a ona będzie następną. Psychologiczne tortury, jakie przeżyła,

większość z nas doprowadziłyby do obłądu, ale ona to wytrzymała, aż w końcu została uwolniona. Pamiętam, jak obserwowałam ją w newsroomie, kiedy spokojnie pisała relację o tym, co się wydarzyło, uderzając w klawiaturę swoimi perfekcyjnie wypielęgnowanymi paznokciami. Siedziałam tam ze swoimi rozczochranymi włosami i obgryzionymi paznokciami, zastanawiając się, jak mogła przejść przez tak potworną próbę i nadal uważać, że manikiur jest potrzebny.

– Właśnie o to chodzi, moja droga Kate – odparła, kiedy później ją o to zapytałam.

– Prawdziwego życia nie można zatrzymać, nie wolno zatrzymywać, bo inaczej te gnojki wygrają.

Wychodzę spod prysznic i owijam się ogromnym białym ręcznikiem. Ciepło otula moje ciało. Zamykam oczy, wyobrażając sobie, że jestem w swoim ulubionym hotelu w Wenecji, a Chris czeka na mnie w sypialni. Czuję jego szorstką skórę tuż obok mojej, kiedy tak idę wzdłuż korytarza, jego palce torujące sobie drogę we mnie, smak grzanego wina na jego ustach... Ale sypialnia jest pusta i zimna, tamto uczucie zaś rozplywa się, gdy tylko wsuwam się pod pościel z poliestru i zamykam oczy.

Kilka chwil później znajduję się w sklepie wypełnionym pyłem. Unosi się kłębam w całym pomieszczeniu, niczym trujący gaz przenikając przez wszystkie otwory i szczeliny w ciele. Kiedy wchodzę dalej do środka, pył się zagęszcza i nic nie widzę. Mam usta wyschnięte ze strachu, ale muszę iść dalej.

Kiedyś ten sklep był pełen klientów, pełen życia. Na półkach piętrzyły się stosy katalogów z wycieczkami i papierosów z czarnego rynku, a między rzędami półek biegał mały chłopiec, opowiadając swoje historyjki każdemu, kto chciał go słuchać, ale teraz, gdy brnę przez te sterty gruzu, wszędzie panuje cisza.

Ziemia jest tutaj inna, śliska i wilgotna, i kiedy spuszczam wzrok, widzę, że moje botki są pokryte ciemnoczerwonymi plamami. Nie stąпам już po gruzie, ale z trudem brnę w gęstej, kleistej krwi.

Słyszę kliknięcie kamery, a potem jej blask oświetla pomieszczenie. Szok spowodowany światłem sprawia, że tracę grunt pod nogami i upadam, twarzą w dół, w tę krew. Spoglądam w górę i widzę stertę kamieni, niewielki grobowiec pośród oceanu krwi, i pełnę w jego kierunku, macając, co znajduje się pod spodem. Czuję, jak pod moimi dłońmi faluje puls jego serca, zaczynam kopać. Gdy tak odwalam gruz, wpijając się w niego paznokciami, przypominam zwierzę, które kopie norę. Kamienie są pokryte szkarłatnymi kropkami krwi, a ja uświadamiam sobie, że ta krew płynie z moich dłoni, chociaż nie czuję bólu. Wtedy go dostrzegam, leżącego na plecach, z szeroko otwartymi oczami, z rękami podniesionymi do góry. Małe dziecko, które patrzy na swoją matkę.

Próbuję nie patrzeć na jego twarz, kiedy zginam się w pół, żeby go podnieść. Za moimi plecami błyska flesz aparatu i chłopiec jest oświetlony ostrym, białym światłem. Nie widzę go, rozplywa się w tym świetle. „Przestań”, krzyczę do mężczyzny z aparatem, „nie możesz tego fotografować”, a kiedy mój głos odbija się echem od rozwalonych ścian, ziemia się trzęsie. Chłopiec patrzy na mnie błagalnie, a ja próbuję chwycić jego dłoń, tyle że ta prześlizguje się przez moje palce. Jest prochem, ja zaś tylko przyglądam się, jak wraca do ziemi. W ostatniej chwili woła:

– Pomóż mi!

To ostatnia rzecz, jaką słyszę, ponieważ oślepią mnie błysk flesza.
Budzę się, mrugając oczami.

Leżę w kucki na podłodze, drapiąc paznokciami po dywanie, i chociaż wiem, że jestem bezpieczna, że to był kolejny koszmar, to w ustach nadal czuję smak pyłu. Podnosząc się z trudem z podłogi, dostrzegam, że pokój jest pełen zimnego, niebieskawego światła. Byłam taka zmęczona, że zapomniałam zasłonić zasłony.

Podchodzę do okna. Niebo jest czyste i bezchmurne. Tak bardzo różni się od zanieczyszczonego nieba, które widuję co wieczór w Londynie. Stoję przez chwilę i patrzę na księżyc i mrugające nadmorskie gwiazdy, i przychodzi mi na myśl Syria. Tam szybko zapadał zmrok. Jak gilotyna – tak mawiał Chris. Czuję się jakby od tego odseparowana. Wydaje się, jakby to wszystko – Syria, Londyn, Chris – należało do jakiegoś innego życia, a *to* życie, *to* miasteczko na skraju morza, było jedynym, jakie istnieje. Nie jestem już nieustraszoną dziennikarką, jestem przerażoną nastolatką, która znowu siedzi w kucki za zasłoną i obawia się koszmarów nocnych, które pojawiają się, jak tylko zamknie oczy.

Posterunek policji w Herne Bay Dziesięć godzin od zatrzymania

– Być może powinniśmy się nieco cofnąć – proponuje doktor Shaw – do momentu, kiedy po raz pierwszy przyjechała pani do Herne Bay. – Spogląda na kartkę papieru, która przed nią leży. – Rozumiem, że minęło trochę czasu, odkąd była pani tutaj po raz ostatni. Co sprawiło, że pani wróciła?

Siedzę i przyglądam się, jak Shaw zakłada nogę na nogę, a potem ją zdejmuje, pije małymi łydkami herbatę z polistyrenowego kubka, ociera usta i stawia kubek na podłodze obok stóp. Ogromny, owalny zegar, który wisi za nią na ścianie, tyka rytmicznie, kiedy tak siedzimy w ciszy, jedna zastanawiając się nad pytaniem, druga czekając na odpowiedź. Odpowiedź, którą – jestem tego pewna – zna.

Za kilka miesięcy skończę czterdzieści lat i kiedy tak siedzę w tym niewielkim, oświetlonym świetlówką pomieszczeniu, widzę ciasto z lukrem cytrynowym i masą maślaną. Widzę moją matkę, która krząta się wokół niego w niewielkiej kuchni, wbijając jajka do miski, równie dużej jak jej głowa. I widzę siebie, czterolatkę, balansującą na krawędzi kuchennej lady, jak obserwuję każdy jej ruch. „Chcę ciasto w kolorze słońca”, oznajmiam jej. A matka spełnia moje życzenie, ponieważ po tym wszystkim, co razem wycierpiałymy, nie mogłaby znieść, że sprawi mi zawód. Jeśli chcę słoneczne ciasto, ona dopilnuje, żebym takie dostała.

Słyszę, jak Shaw chrząka, i podnoszę wzrok, twarz mojej matki niknie w pokrytej tapetą ścianie.

– Miałam ochotę na łyk morskiego powietrza – odpowiadam.

Shaw pochyla się do przodu i wyjmuje tekturową teczkę ze swojej torebki.

– Rozmawialiśmy z Paulem Cheverellem – wyjaśnia, wyjmując kartkę papieru z teczki. – To pani szwagier, prawda?

Kiwam głową. Ścisną mnie w klatce piersiowej. Co powiedział im Paul?

– Powiedział nam, że wróciła pani, ponieważ straciliście kogoś bliskiego – kontynuuje, czytając notatki. – Zdaje się, że chodzi o pani matkę?

– Tak.

Gapię się w ścianę za głową Shaw, rozpaczliwie usiłując wymazać z głowy obraz grobu mojej matki, ale nic innego nie widzę.

– Czy łączyły panią z matką bliskie relacje?

Wracam spojrzeniem do Shaw i tłumaczę sobie, że im szybciej odpowiem na te pytania, tym szybciej będę mogła stąd wyjść. Powinnam udawać, że to praca, że siedzę w pokoju konferencyjnym, nie w policyjnej sali przesłuchań, a przedmiotem dyskusji jest ktoś inny. Jakaś abstrakcyjna matka. Jakaś osoba, która nie piecze ciast ani nie nazywa swojej córki „skarbem”, ani nie roni łez, czytając wiersze Elizabeth Barrett Browning. Jeśli wyobrażę sobie tę inną osobę, nie moją matkę, uda mi się przez to przejść.

– Tak, łączyły – odpowiadam, uśmiechając się.

Uśmiechaj się do trudnych pytań, obróć je na swoją korzyść.

– Często ją pani odwiedzała?

– Nie tak często, jak bym chciała.

– Dlaczego tak było?

– Cóż, moja praca sprawia, że nieczęsto zdarza mi się przebywać w Wielkiej Brytanii dłużej niż kilka dni, a kiedy już tutaj jestem, to nie ruszam się nigdzie dalej.

Wiem, jak kiepsko to brzmi, ale nie mogę powiedzieć Shaw, że to wszystko okazało się dla mnie tak skomplikowane, że sama myśl o tym, że mogłabym zobaczyć swoją matkę w domu opieki, niepoczytalną, była dla mnie zbyt trudna do zniesienia.

– Cierpiała na demencję?

– Tak.

Próbuję uchwycić się tego wyobrażenia abstrakcyjnej postaci, hipotetycznej matki, lecz obraz znika i widzę mamę pochyloną nad kuchennym stołem, która w stosie karteczek próbuje odnaleźć tę, na której zapisała numer telefonu mojej ciotki. Te karteczki zastępowały jej pamięć, były dla niej ostatnią deską ratunku, ale potem je straciła i stała się jeszcze bardziej zagubiona. W pewnym momencie wysłałam jej dyktafon i pamiętam, jak siedziała na sofie, próbując rozpracować przyciski, a na jej twarzy malowało się zakłopotanie. Nie miała pojęcia, co z tym zrobić.

– Jak długo przebywała w domu opieki?

– Niedługo – odpowiadam. – Zaledwie kilka miesięcy.

– Jej stan zdrowia musiał się szybko pogorszyć.

– Tak – przyznaję. – Chociaż Paul powiedział, że odkąd zamieszkała w domu opieki, była spokojniejsza. Umarła we śnie.

– Dostała udaru, zgadza się?

– Tak mi powiedzieli – odpowiadam, wzruszając ramionami. Chcę zmienić temat.

– Pani szwagier mówił, że nie mogła pani przyjechać na pogrzeb.

Głos Shaw jest zimny i pozbawiony emocji, przeszywa mnie, potęgując mój żal, moje poczucie winy.

– Zgadza się.

– Dlaczego?

Jej słowa są niczym pociski i zmuszam się, by pozostać na swoim miejscu, podczas gdy w głębi duszy mam ochotę zerwać się z miejsca i rzucić się do ataku.

– Mówiłam pani, praca sprawia, że czasami bardzo długo przebywam za granicą. Byłam w Syrii.

– I nie mogła pani wrócić?

– Nie. Chciałam, ale... to było trudne.

– Wobec tego nie była pani na pogrzebie matki. Musiało być pani ciężko?

– Tak. Było.

Próbuję nie myśleć o tamtym popołudniu, o tych mężczyznach i tej krwi, i dziecku, które wzywało mnie krzykiem. Zamiast tego myślę o podróży powrotnej do Wielkiej Brytanii. Kiedy tak siedziałam, czekając, aż samolot wystartuje, czułam, jak coś we mnie pęka. Wydawało mi się nawet, że słyszę odgłos trzasku gdzieś w głębi klatki piersiowej. Poczułam ból, fizyczny ból, podobnie jak przy rozciąganiu gumki recepturki, aż do momentu, gdy pęka ci w rękach. A na samym dnie mojego żalu z powodu śmierci matki

leżało dręczące poczucie winy. Świadomość, że uciekałam od okrucieństwa, do którego stworzenia się przyczyniłam. Zrobiłam coś potwornego, coś, czego sobie nigdy nie wybaczę.

Ale nie chcę o niczym mówić Shaw. To nie jej sprawa.

– To musiało być dziwne, powrót do Herne Bay po tak długim czasie.

Głos Shaw szybko przywołał mnie do rzeczywistości.

– Tak.

– Rozumiem, że zatrzymała się pani w rodzinnym domu – drąży dalej.

Kiwam głową i instynktownie zaczynam skubać ramię. Rany zaczynają pokrywać się strupami i swędzą. Zamykam oczy i wyobrażam sobie środki przeciwbólowe i ogromny kieliszek chablis, wiedząc, że na żadne z nich nie ma widoków. Shaw zauważa, że się drapię, i marszczy brwi na widok ran szarpanych, które zygzakami biegną w górę mojej ręki.

– Wyglądają na bolesne – stwierdza.

– Nic takiego – wyjaśniam, krzyżując ręce na piersiach w geście obronnym.

– Jak to się stało?

– Powiedziałam, że to nic takiego – warczę.

Patrzy na mnie przez kilka sekund, po czym najwyraźniej podejmuje decyzję, żeby nie kontynuować tego wątku.

– A pani ojciec, jeszcze żyje?

O tym także musi już wiedzieć.

– Nie – odpowiadam. – Na szczęście nie.

– Dlaczego „na szczęście”?

– Ponieważ był agresywnym alkoholikiem – rzucam. – Nienawidziłam go i on nienawidził mnie.

– Dlaczego pani go nienawidziła?

– Ponieważ traktował moją matkę jak worek treningowy.

Urywam. Znowu za dużo powiedziałam.

– Proszę posłuchać, doceniam tę sesję terapeutyczną, ale co to ma do rzeczy?

Rozumiem, jak to działa, doktor Shaw. Zarobkowo przeprowadzam wywiady z ludźmi. Tyle że problem nie leży we mnie, tylko w *niej*.

– Kate, potrzebuję tylko, żeby była pani ze mną szczerą – wyjaśnia, krzyżując ręce na klatce piersiowej. – Te pytania pomogą nam uzyskać najlepszą odpowiedź na to, co doprowadziło panią do tego miejsca. Rozumie pani?

Niechętnie potakuję głową.

– Możemy w każdej chwili zrobić przerwę – mówi beztrąsko, jakby zwracała się do jakiegoś krnąbrnego dwulatka. – Wystarczy, że pani powie, i przerwiemy.

– Nie – znów warczę. – Wszystko w porządku. Po prostu idźmy dalej.

– Dobrze – mówi, wierząc się na krześle.

Przez chwilę wygląda na podenerwowaną, a mnie sprawia to przyjemność. Przez chwilę to ja mam kontrolę.

– Powiedziała pani, że ojciec był agresywny i pani nienawidził. Dlaczego pani nienawidził?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Może przypominałam mu moją matkę, której też nienawidził. Proszę posłuchać, moi rodzice stracili dziecko, mojego młodszego braciszka, i to ich złamało. Matka radziła sobie ze swoim żalem, rozpieszczając mnie, a w ojcu coraz bardziej wzbierał gniew. Obwinił moją matkę o śmierć mojego brata. Był alkoholikiem i kiedy był pijany, atakował.

– Dlaczego obwinił pani matkę o śmierć dziecka?

– Nie mam pojęcia. Chyba w taki sposób sobie z tym radził.

– Jak umarł pani brat?

– Wypadek – odpowiadam szorstko. Latami ćwiczę tę odpowiedź, za każdym razem, kiedy pełni najlepszych intencji ludzie zadają mi to pytanie. – Utopił się.

– Pani matka przy nim była?

Słyszę krzyk. Z korytarza? Nie jestem pewna. Patrę na Shaw, ale ona zdaje się nic nie słyszeć. Serce wali mi jak młotem i próbuję sobie przypomnieć, co powiedzieli mi ostatnim razem, kiedy to się wydarzyło. Oddychać. Muszę skupić się na swoim oddechu. Zamykam oczy i powoli robię wydech, świadoma, że Shaw czeka, aż odpowiem.

– Kate?

Otwieram oczy i głęboko wdycham parne powietrze.

– Przepraszam – mówię, robiąc wydech. – Wolałabym o tym nie rozmawiać. To było dawno temu i nie ma nic wspólnego z tym, dlaczego tutaj jestem.

– Dobrze – przystaje Shaw. – A co z pani siostrą, żoną Paula, Sally? Czy pani ojciec ją też bił?

Potrząsam głową.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– A skąd mam wiedzieć?

– Czy łączą panią z siostrą bliskie relacje?

– Nie, nie łączą.

– Dlaczego tak jest?

– Och, nie wiem. Czy kogokolwiek łączą z siostrą bliskie relacje? Panią łączą?

– Jestem jedynaczką – wyjaśnia Shaw.

– Szczęściara – odpowiadam złośliwie.

– Pytałam o *pani* siostrę, Kate.

– Dobrze, dobrze – wykrzykuję, potrząsając głową. – Dlaczego nie jesteśmy sobie bliskie? Nie mam pojęcia. Chyba prowadzimy całkiem inny tryb życia.

Shaw kiwa głową i coś notuje. Kiedy ją obserwuję, myślę o tym, jak po raz ostatni widziałam Sally, z wykrzywioną twarzą, kiedy na mnie krzyczała. „Wchodzisz tutaj, jakby nigdy nic, podczas gdy ja nie widziałam cię od lat, i myślisz, że możesz zacząć mówić mi, co mam robić? Nie jesteśmy już dziećmi, Kate. Teraz sama podejmuję decyzje”.

– Pod jakim względem? – kontynuuje Shaw. – Pod jakim względem wasze życie się różni?

– Pod każdym.

Przychodzi mi na myśl e-mail, który wylądował w mojej skrzynce, kiedy

siedziałam skulona w syryjskiej piwnicy:

Mama nie żyje. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

Jeden wers. To wszystko, co Sally była w stanie mi dać. Jeden lapidarny wers, który informował mnie, że moja matka, którą kochałam ponad wszystko, odeszła.

Suka.

– O co chodzi, Kate?

Podnoszę wzrok na Shaw, wspomnienie tamtego e-maila przemknęło mi przez głowę. Czy powiedziałam to na głos?

– Moja siostra nie jest szczególnie przyjemną osobą, doktor Shaw – wyjaśniam.

– Nie dogadujemy się. Czy możemy na tym zakończyć?

Poniedziałek, 13 kwietnia 2015

Paul stoi na schodku z promiennym uśmiechem, obładowany tłustymi pojemnikami.

– Ryba z frytkami. Najlepsza w Herne Bay. Założę się, że tego ci brakowało.

Nie brakowało, ale mam dziwnie optymistyczny nastrój, kiedy tak go prowadzę przez korytarz. Po raz pierwszy od wieków obudziłam się z jasnym umysłem. Głosy ucichły. Na razie.

– Załatwiłem sobie dłuższą przerwę na lunch i pomyślałem, że wskoczę do Tellivers. Idę o zakład, że marzysz o prawdziwym jedzeniu po tym pobycie w... gdzie ty tam znowu byłaś?

– W Aleppo – wyjaśniam. – To w Syrii – dorzucam, zauważając wyraz konsternacji na jego twarzy.

– Tak, cóż, na pewno nie mają tam takiego dobrego jedzenia jak u nas – wysnuwa wniosek, stawiając plastikową reklamówkę na stole.

To jest pieprzona strefa wojny, myślę sobie, kiedy stoję w drzwiach do kuchni i obserwuję, jak Paul nakrywa do stołu. Nie ma tam prawie żadnego jedzenia, a ludzie walczą, żeby przeżyć. I cholerna ryba z frytkami byłaby ostatnią rzeczą, jaka zaprzętałaby moje myśli w Aleppo.

– Paul, właściwie to nie jestem aż tak głodna – wyjaśniam. – Niedawno jadłam śniadanie.

– Oj, daj spokój – mówi, poklepując drewniane krzesło przy stole w jadalni, które stoi obok niego. – Przeżyjesz, i mogłabyś trochę nabrać ciała. Sama skóra i kości.

Po prostu próbuje być przyjacielski, mówię sobie, niechętnie dołączając do niego przy stole.

– A nie mówiłem – triumfuje, piętrząc na moim talerzu stos frytek. – Zajadaj.

Wkładam do ust frytkę i powoli żuję. Smakuje zaskakująco dobrze.

– Rozmawiałem z notariuszką twojej mamy w Canterbury i umówiła nas na wizytę w środę o trzynastej, żeby podpisać dokumenty – wyjaśnia Paul. – To nie powinno zająć dużo czasu. Aha, i będziesz musiała zabrać ze sobą jakiś dowód tożsamości. Masz paszport?

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

– Paul, czy sądzisz, że mogłabym wykonywać swoją pracę, gdybym nie miała paszportu?

– Ach, przepraszam – śmieje się. – Oczywiście, że masz. Wybacz mi, mam głowę zajętą sprawami zawodowymi.

Idzie do kuchennego kredensu i wyjmuje zakurzoną butelkę octu słodowego.

– Chcesz trochę?

Potrząsam głową i przyglądam się, jak zanurza swoje frytki w gryzącym, brązowym płynie.

- Czy Sally tam będzie? – pytam.
- Nie – odpowiada, odkładając widelec. Ma grobowy wyraz twarzy.
- O co chodzi?
- Cóż, cała Sally... Nie czuje się zbyt dobrze.
- Chcesz powiedzieć, że znowu pije?
- Miała kilka nawrotów, tak – wyjaśnia, biorąc do ręki frytkę i skręcając ją bezwiednie między palcem wskazującym a kciukiem.
- Próbowaliście klubu AA?
- Potrzęsa głową.
- Nie chce o tym słyszeć. Nie uważa, że ma jakiś problem. Chciałbym, żebyś z nią porozmawiała. Może tobie udałoby się sprawić, że dostrzeże w tym jakiś sens. Mnie już nie chce słuchać.
- Och, daj spokój, Paul, ostatnim razem powiedziała mi bardzo wyraźnie, że nie jestem mile widziana. Właściwie wypchnęła mnie za drzwi.
- Wiem, ale to było dawno temu, a wiesz, jaka jest czuła na punkcie sytuacji z Hannah. Myślała, że ją obwiniasz.
- Próbowalam wbić jej do głowy trochę rozumu – wyjaśniam, odsuwając na bok swój talerz. – Nie obchodzi mnie, czy poczuła się urażona, musiała poznać prawdę. Gdyby była trzeźwa, Hannah by nie wyjechała, to proste jak drut.
- Wiem – przyznaje Paul. – Ale przynajmniej wiemy, że u niej wszystko w porządku. Tak przy okazji, dzięki za pomoc w jej odnalezieniu. Naprawdę odetchnęliśmy.
- To moja siostrzenica – odpowiadam. – Sama, w przeciwieństwie do Sally, musiałam sprawdzić, czy jest bezpieczna.
- Posłuchaj, wiem, że jesteś na nią zła – mówi Paul. – Ale Sally naprawdę czuje się coraz gorzej. Czy nie możecie zakończyć wreszcie tego głupiego sporu i pogodzić się?
- Po prostu wydaje mi się, że jest coś dziwnego w matce, która tak się poddaje – tłumaczę, zabierając swój talerz i zgarniając resztki do kosza na śmieci. – Chodzi mi o to, czy jej w ogóle zależy?
- Daj spokój, Kate, to niesprawiedliwe – protestuje, wycierając usta kawałkiem papierowego ręcznika kuchennego. – Oczywiście, że jej zależy. Sally była załamana odejściem Hannah. W głębi duszy wie, że wyjechała przez nią, przez to jej picie, te kłótnie... wie o tym i to zjada ją od środka.
- Kiedy stoję przy koszu na śmieci, widzę przerażoną twarz mojej siostry przed laty na oddziale położniczym. Była taka młoda, miała zaledwie czternaście lat, kiedy urodziła Hannah. Sama była jeszcze dzieckiem. Pamiętam, jak siedziałam przy jej łóżku, niemowlę leżało w małym plastikowym łóżeczku na stelażu, a Sally spojrzała na mnie i zapytała: „Co ja z tym zrobię, Kate?”.
- One naprawdę się kochały – tłumaczy Paul. – Powinnaś była ją zobaczyć w pierwsze święta Bożego Narodzenia z Hannah, przechodziła samą siebie. Ale nie mogłaś tego zobaczyć, bo nigdy cię tutaj nie było. – Zabiera swój talerz i wkłada go do zlewu. – To twoja siostra, Kate. Wtedy cię potrzebowała. I teraz też cię potrzebuje.
- Próbowalam – tłumaczę, obserwując, jak tłucze się po kuchni niczym ogromny

zdezorientowany ptak. – Ale mnie nie słuchała.

– Nie. Próbowalaś być wielką reporterką – stwierdza. – Dociekanie i kontakty telefoniczne. To było wspaniałe, ponieważ pomogłaś nam odnaleźć Hannah. Ale Sally nie potrzebowała przesłuchań. Potrzebowała, żebyś była jej siostrą, tak zwyczajnie i po prostu. Ona cię teraz potrzebuje, Kate.

– Dobrze, Paul, ale nie wszystko naraz. – Muszę postawić granice. Wstaję i otwieram tylne drzwi. W domu śmierdzi zatęchłym octem i potrzebuję trochę powietrza. – Najpierw uporządkujmy sprawy mamy, a potem, cóż, niczego nie obiecuję, ale pomyślę o tym.

– Dzięki, Kate. Tak wiele by to znaczyło dla Sally i dla mnie, gdybyś zakopała topór wojenny – mówi Paul, biorąc kurtkę z kuchennej lady. – Teraz już muszę wracać do pracy. Posłuchaj, pomyślałem, że jeszcze nie widziałaś grobu swojej mamy. Mogę cię tam zabrać jutro w przerwie na lunch, jeśli chcesz.

Słowa „mama” i „grób” brzmią dziwnie i chcę nim potrząsnąć i powiedzieć, że wszystko źle zrozumiał, że moja mama tylko wyszła do sklepu i wróci za pięć minut.

– Kate, dobrze się czujesz?

Oczy zachodzą mi łzami, ale się nie odwracam. Nie mogę pozwolić, żeby zobaczył, jak płaczę.

– Dobrze się czuję – odpowiadam, mrugając oczami. Na drugim końcu ogrodu rośnie samotna różowa róża. Jeśli będę się w nią usilnie wpatrywać, łzy przestaną lecieć. – I, tak, chciałabym zobaczyć grób – wyznaję, wciąż wpatrując się w kwiat. – Jeśli to dla ciebie nie będzie zbyt duży kłopot.

– Żaden kłopot – mówi łagodnie. – Przyjadę po ciebie jutro. Dwunasta trzydzieści?

– Doskonale – przystaję na jego propozycję i odwracam się od drzwi. – I dzięki. Dzięki za wszystko, co robisz. Naprawdę to doceniam.

– Nie ma sprawy – rzuca. – Do jutra.

Słyszę, jak zamykają się za nim drzwi, i oddycham z ulgą. W końcu mogę zostać sama ze swoimi myślami.

Wychodzę na zewnątrz i patrzę na ogród. Panuje w nim bałagan, plątanina traw i rozbitych doniczek na kwiaty. Moja matka była zapaloną ogrodniczką. Dorastała w gospodarstwie na wsi i myślę, że w głębi duszy ciągle tęskniła za wsią. Ogródek warzywny był jej małym rajem. Wspomnieniem dzieciństwa. Spędzała tutaj całe godziny, doglądając pomidorów, marchewek i fasoli wielokwiatowej. Czasem w letnie wakacje dołączałam do niej i lawirowaliśmy między grządkami, pałaszując surowe fasolki. „Jedna do garnka i jedna dla nas”, mawiała, a oczy błyszczały jej z ulgi, że przynajmniej przez kilka godzin była od niego wolna. Kiedy zajmowała się pracą, potrafiła być sobą. Umiała śmiać się, śpiewać i znowu być młodą kobietą. Czasami wyciągała swoje tomiki poezji, siedziałyśmy na werandzie i czytałyśmy je razem. To od niej, od mojej matki dostałam dar miłości do słów. Mogła zostać nauczycielką angielskiego, ale porzuciła to marzenie, gdy poznała mojego ojca i zaszła w ciążę ze mną. „Kiedyś kariery i dzieci się nie łączyło”, wyjaśniła mi pewnego razu. „Miałaś jedno albo drugie. Nigdy jedno i drugie”.

Klękam obok miejsca, w którym była kiedyś różana rabata, i kładę dłoń na piaszczystej, suchej ziemi. Moja matka zalewała ogród morzem kwiatów – różami

herbacyanymi z głowami wielkości szmacianych lalek, pnączami pachnącego groszku, który rósł niczym stada ulotnych motyli owiniętych wokół tipi z płaczącej wierzby, nasturcjami z gigantycznymi liśćmi w kształcie dłoni, które wysypywały się ze starego cynowego czajnika, peoniami w cienkie prążki. A wzdłuż wszystkich ścieżek rosły wysokie ostróżki, które nadawały ogrodowi edwardiański styl, przywołując obraz dziewcząt w białych sukniach i mężczyzn w słomkowych kapeluszach. W prowincjonalnym Herne Bay ostróżki z pewnością nie należały do znanych kwiatów i zapewne dlatego moja matka tak je lubiła. Wyróżniały ją spośród sąsiadów.

Ale teraz te kwiaty zniknęły, a wszystko, co zostało, to plątanina traw i wyschniętej ziemi. Ta różana rabatka prześladowała mnie przez całe dorosłe życie. Widzę ją, kiedy przechadzam się ulicą w Soho albo kiedy siedzę zaszyta w jakimś zbombardowanym hotelu. Widzę ją, gdy zamykam oczy i modlę się o sen. To słodko-gorzki symbol mojego dzieciństwa i kiedy tak tutaj klęczę, dotykam ziemi i pamiętam, jak czułam ją pod sobą, leżąc i trzęsąc się z zimna.

Miałam trzynaście lat i popełniłam zbrodnię przerwania jednej z tyrad mojego ojca. Mama upiekła pasztet z kurczaka, a on wrócił do domu pijany i wybrzydzał, twierdząc, że wyszedł jej suchy. Jak zwykle wkroczyłam do akcji, żeby obronić moją matkę, podczas gdy Sally po prostu siedziała jak kochająca córeczka, przytakując mu: „Tak, tatusiu, *jest* troszkę suchy”. Boże, była nie do zniesienia. Tamtego wieczoru on naprawdę przyłożył mamie. Widziałam tylko czerwień. Pamiętam, jak rzuciłam się na niego, wciskając moje ciało pomiędzy przerażoną matkę i spiralę jego wściekłości.

Wtedy przerwał i przez chwilę sądziłam, że zaczyna coś rozumieć, tymczasem on chwycił mnie za ramiona i wyprowadził przez kuchnię. Zdzielił mnie pasem wokół nóg, po czym otworzył tylne drzwi i wypchnął mnie w mrok. Był koniec listopada, zimno przeszywające do szpiku kości, i chociaż byłam ubrana, to nadal nie była to pogoda, by siedzieć na zewnątrz. Pod płótem leżał pusty worek na kompost, więc zrobiłam sobie z niego szal, rozdierając go w połowie i naciągając na ramiona. Lecz nadal było tak zimno, że słyszałam, jak szcękają mi zęby. Waliłam pięściami w drzwi, błagając go, żeby mnie wpuścił do środka. Wołałam matkę, wołałam Sally, ale nikt nie nadszedł. Wydawało się, że minęły całe godziny, zanim zauważyłam, że w domu pogaszono już światła, jedno po drugim, i zwinęłam się w kłębek na najbardziej miękkim miejscu, jakie mogłam znaleźć – na różanej rabatce mojej matki.

Kiedy tak stoję w tym ogrodzie wiele lat później, to wspomnienie powraca do mnie, wciąż tak żywe, że niemal zwała mnie z nóg. Wspomnienie, którego do tej pory unikałam.

Filigranowy cień w oknie. Sally. Tamtej nocy, leżąc i trzęsąc się na tej rabatce, podniosłam wzrok i zobaczyłam Sally, jak stoi w oknie swojej sypialni. Machałam rękami i wołałam do niej.

– Zejdź na dół i wpuść mnie – błagałam. – Proszę, Sally, otwórz drzwi.

Nie mogła słyszeć, co mówiłam, ale wiedziała, że potrzebuję jej pomocy.

Wciąż na mnie patrzyła. Miała twarz bez wyrazu.

– Proszę, Sally.

Tymczasem ona tylko potrząsnęła głową, cofnęła się i zasunęła zasłony. Kilka minut później usłyszałam mojego ojca, jak odmyka drzwi. Wyraził swoje zdanie

i zostałam wpuszczona do środka. Spędziłam długie godziny, siedząc owinięta we wszystkie ubrania, jakie miałam, zanim znowu zrobiło mi się ciepło. Mam przed oczami twarz Sally siedzącej przy stole na śniadaniu nazajutrz rano, która gapi się na mnie, jakbym była duchem. Jakby nie dowierzała, że przeżyłam.

Drzę, kiedy wracam do domu, żeby przynieść worki na śmieci i miotłę. Jakim sposobem takie wspomnienie może leżeć uśpione przez tyle lat, a potem nagle wyskoczyć nieproszone? Ale nie mogę sobie pozwolić, żeby o tym myśleć. Nie teraz. Wspomnienie jest tylko wspomnieniem, fragmentem przeszłości, na które nie ma przestrzeni tu i teraz.

Zamiast tego usiłuję skupić się na zadaniu, które mnie czeka. Niewiele wiem o ogrodnictwie, potrafię jednak plewić i sprzątać, a to wystarczy, żeby zająć się czymś przez kilka godzin i doprowadzić ogród do jakiegoś takiego porządku. Biorę worki na śmieci z szafki pod zlewem i znajduję w spiżarni starą drewnianą miotłę. Dzień jest ciepły i kiedy wracam do ogrodu, czuję się jakby bardziej radośnie.

Przebywanie na świeżym powietrzu to miłe uczucie, a ta praca, chociaż żmudna, jest oczyszczająca. Im więcej kęp splątanej zielska wrzucam do czarnego worka, tym lżej mi na sercu. Po kilku godzinach ogród wygląda zupełnie inaczej i ja też mam lepsze samopoczucie, choć jest mi potwornie gorąco i pot ze mnie spływa.

Właśnie umieszczam ostatni z worków na śmieci w kontenerze na kółkach pod murem, kiedy słyszę śmiech dziecka. Dźwięk jest ciepły i trzepocze w moim ciele, kiedy idę z powrotem ścieżką. Brzmi tak bardzo podobnie do... Idę za tym dźwiękiem, a gdy podchodzę do różanej rabaty, dostrzegam go, jak leży na brzuchu i czyta swój ulubiony komiks. Stary komiks, który czytał setki razy. I śmieje się gromkim śmiechem z głupich dowcipów. Ma taki piękny śmiech.

Podnoszę wzrok i widzę kobietę, która siedzi w ogrodzie obok. Ma po trzydzieście i nosi niebieską chustę na włosach. Chusta jest ozdobiona czerwonymi różyczkami. Podchodzę bliżej i to wspomnienie wywołuje uśmiech na mojej twarzy – moja mama miała bardzo podobną chustę, którą zawsze zarzucała na ramiona, idąc do kościoła. „Różana chusta”, jak ją nazywaliśmy.

– Cześć – wołam, zaglądając przez płot.

Kobieta przez chwilę wygląda na zaskoczoną. Odstawia szklankę z napojem na trawie obok siebie.

– Mam na imię Kate – przedstawiam się radośnie. – Przyjechałam tutaj na kilka dni.

– Jesteś córką pani Rafter? – mówi, wstając z krzesła.

– Tak, zgadza się – potwierdzam, kiedy podchodzi do ogrodzenia.

– Mam na imię Fida – przedstawia się młoda kobieta. – Twoja matka dużo o tobie opowiadała.

– Miło to słyszeć – mówię. – Tak bardzo za nią tęsknię.

– Ja też za nią tęsknię – przyznaje, spoglądając za moimi plecami w stronę ogrodu mojej matki. – Była miła. Zawsze dawała mi... Nie mogę sobie przypomnieć tego słowa. Ciastka? Takie okrągłe z dżemem...

Czuję zapach pączków, kiedy tak obserwuję tę młodą kobietę zmagającą się ze słowami. Matka doskonale piekła, a jej specjalnością były wypieki na cieście chlebowym.

I zawsze po tym jak ojciec mnie zbił, smażyła pączki... Do dziś nie jestem w stanie ich przełknąć – smakują poczuciem winy mojej matki i moim własnym smutkiem.

– Pączki – wyjaśniam. – Pączki z dżemem.

– Tak! – piszczy kobieta, a jej twarz promienieje. – Pączki z dżemem, to jest to słowo. Były dobre. Zostawiała na progu mojego domu małe pudełka jak... jak Święty Mikołaj.

– A twoje dziecko lubi pączki? – pytam, wyciągając szyję, żeby zobaczyć, czy jest tam jeszcze ten maluszek.

Uśmiech kobiety znika, a ja zastanawiam się, czy powiedziałam coś nie tak.

– Dopiero co słyszałam jakieś dziecko. Śmiało się. To było urocze.

– Nie mam dziecka – odpowiada kobieta i dostrzegam w jej oczach znajomy ból.

– Musiałaś słyszeć dzieci tam, na tyłach domu. Czasami dzieciaki ze szkoły chodzą na skróty, tą ścieżką wzdłuż pól.

– Może i tak. Albo słyszę głosy – chichoczę, próbując rozluźnić atmosferę.

Młoda kobieta uśmiecha się, ale oczy wciąż ma smutne.

– Mieszkasz sama? – pytam, nie mogąc stłumić w sobie dziennikarskiego instynktu.

– Czasami – wyjaśnia. – Mój mąż... często go nie ma. – Wskazuje gestem ręki na niebo.

– Pracuje za granicą? – pozwalam sobie zapytać.

– Tak – odpowiada. – Za granicą.

– To musi być trudne – dodaję. – Bycie tak bardzo osamotnioną.

– W porządku. Jestem szczęśliwa – twierdzi, chociaż ton jej głosu temu przeczy.

– Skąd pochodzisz, jeśli mogę zapytać?

– Z Iraku – mówi, a jej głos się rozluźnia. – Z Faludży.

– Och, dobrze znam to miejsce – cieszę się. – Byłam tam w dwa tysiące czwartym roku.

Kiwa głową i ucieka wzrokiem gdzieś w przestrzeń. I to jej spojrzenie... spojrzenie, które widziałam już wcześniej niezliczenie wiele razy na twarzach ludzi zmuszonych do ucieczki z rodzinnego kraju. Mieszanka smutku i zakłopotania.

– Dwa tysiące czwarty – szepcze. – Byłaś tam w czasie bitwy o Faludżę?

– Tak, byłam – przyznaję.

– Wyjechałam tuż po niej – opowiada, zakładając ręce. – Mój kuzyn wyjeżdżał i moi rodzice powiedzieli, żebym pojechała razem z nim. Powiedzieli, że tak będzie najlepiej...

Urywa i sąznista łza spada na jej sukienkę. Pośpiesznie ją wyciera.

– Przepraszam – mówi.

– W porządku – uspokajam ją. – Rozumiem. Dla mnie Faludża była zadaniem do wykonania, ale dla ciebie była domem. To musi być bardzo trudne.

– Irak przestał być moim domem – odpowiada cicho. – Tutaj jest mój dom.

Uśmiecha się, lecz smutek w oczach pozostaje. Chciałabym ją zapytać o tyle spraw, wiem jednak, że to nie jest odpowiednia chwila.

– Irak zawsze będzie twoim domem – pocieszam ją. – To część ciebie. Podobnie

jak to miejsce jest częścią mnie, nawet jeśli wyjechałam z Herne Bay wiele lat temu.

Kiwa głową.

– Czasem śni mi się Faludza – zwierza się. – Jak to było, kiedy byłam mała...

I kiedy się budzę, chcę wracać, ale wiem, że teraz to już nie byłoby to samo.

Mam właśnie zamiar powiedzieć jej o ostatnim artykule, który napisałam na temat tego miasta, kiedy powstrzymuje mnie jakiś głuchy łoskot.

– Co to było?

Patrzę na nią. Jej uśmiech blednie, a dłonie zaczynają się trząść.

– Muszę już iść – wyjaśnia pośpiesznie.

– Wszystko w porządku? Mogę w czymś pomóc?

– Nie, proszę, wszystko jest dobrze – wyjaśnia drżącym głosem. – Muszę iść.

Podciąga chustę do góry, tak że niemal zasłania jej twarz, po czym na wpół idzie, na wpół biegnie w stronę domu. Stoję przez chwilę, patrząc na puste miejsce, które po sobie zostawiła, i zastanawiam się, co sprawiło, że zareagowała w taki sposób. Ale kiedy odwracam się, żeby pójść do domu, widzę moją matkę, jak siedzi w wytartym fotelu i czyta, podczas gdy mój ojciec przekręca klucz w zamku. Widzę, jak wyraz szczęścia na jej twarzy zmienia się w przerażenie. A potem myślę o tej młodej kobiecie z domu obok, o strachu w jej oczach, i ciarki przechodzą mi po plecach.

Posterunek policji w Herne Bay Trzyńście godzin od zatrzymania

– Od jak dawna zażywa pani pigułki nasenne, Kate?

Stoję obok maleńkiego, kwadratowego okna, zakreślając palcem po szybie owalny kształt. Gdzieś za plecami słyszę oddech doktor Shaw. Jest zła na mnie za to, że wstałam z krzesła, że uciekłam przed jej badawczym spojrzeniem.

– Niezbyt ciekawy widok, prawda? – zauważam, wyglądając na mały skrawek parkingu. – Musi wprawiać panią w przygnębienie, ten cały szary beton...

– Kate, mogłaby pani odpowiedzieć na moje pytanie?

Shaw panuje nad swoim głosem, chociaż wiem, że zaczyna tracić cierpliwość.

– Przepraszam – mówię, odwracając się do niej przodem. – Mogłaby pani powtórzyć?

– Pytałam, od jak dawna bierze pani pigułki nasenne na receptę.

– Od piętnastu lat – odpowiadam, zbyt wyczerpana, żeby kłamać.

Oczy Shaw rozszerzają się prawie niezauważalnie, tyle że ja nauczyłam się dostrzegać takie rzeczy.

– To bardzo długo.

– Proszę posłuchać, doktor Shaw – cedzę powoli słowa, jakbym zwracała się do małego dziecka. – Czy kiedykolwiek próbowała pani zasnąć w trakcie ataku mózdzierzy?

Potrząsa głową, a potem zapisuje coś w swoim notatniku. Uśmiecham się, kiedy wyobrażam sobie jej schludne pismo, które zawijasami pokrywa kartkę notatnika – pigułki nasenne, ataki mózdzierzy... Diagnoza.

– Nie chodzi o zwykłe bombardowanie – kontynuuję. – Chodzi o zmęczenie po długiej podróży samolotem, o zmiany stref czasowych, o dotrzymywanie terminów. Czasami funkcjonuję czterdzieści osiem godzin bez snu, a kiedy próbuję zasnąć, mój mózg nadal pracuje. Wszyscy bierzemy pigułki nasenne, doktor Shaw. Stanowi to taką samą część naszej pracy jak kamizelka kuloodporna czy dobry tłumacz. To normalne.

– A inne leki?

Odkłada pióro i wpatruje się we mnie. Wracam do okna i przyglądam się, jak jakiś glina po nocnej zmianie usiłuje wsiąść do swojego auta.

– Nie biorę żadnych innych leków.

Shaw chrząka.

– Wobec tego nigdy nie przepisywano pani żadnych leków na halucynacje? Żadnych leków przeciwpsychotycznych na przykład?

Odwracam się i dostrzegam, że czyta z kartki papieru listowego z jakimś nagłówkiem.

– Co to jest? – pytam, czując, jak ciarki chodzą mi po kościach.

– Leki przeciwpsychotyczne? – pyta, podnosząc wzrok. – To pewien rodzaj substancji stosowanych w leczeniu wielu stanów. Głównie schizofrenii, ale także choroby dwubiegunowej, depresji...

– Nie. Wiem, na co one są – stwierdzam, siadając na krześle. – Mam na myśli kartkę, którą pani trzyma w ręce. Skąd pani ją wzięła?

Shaw wkłada dokument z powrotem do niebieskiej teczki i zakłada ręce.

– Kate, zapytam jeszcze raz – mówi pewnie. – Czy zażywa pani jakieś inne leki poza pigułkami nasennymi?

Patrzę na nią. Próbuję odczytać wyraz jej twarzy. Czy ona, podobnie jak ja, chce tylko, żeby już było po wszystkim? Czy chce jedynie zdążyć do domu na czas, żeby wypić herbatę z mężem i dziećmi, wyłożyć nogi do góry, obejrzeć jakiś program w telewizji? Oczywiście, że chce. Postanawiam się przyznać. Zrobię wszystko, żeby jak najprędzej wyjść z tego miejsca.

– Kilka miesięcy temu coś mi przepisano – wyjaśniam. – Chociaż najwyraźniej pani już coś wie na ten temat.

– Dobrze – kontynuuje Shaw. – Nadal je pani zażywa?

– Tak – kłamię.

– Pomagają?

Krzywię się, kiedy przypominam sobie, jak uderzyłam o chodnik, i ten smak krwi w ustach, to uczucie, że głowa mi się pali. Widzę wykończonego lekarza na izbie przyjęć, który wręcza mi opakowanie pigułek, jakby to były cukierki, i przypominam sobie ten dziwny stan nieważkości, kiedy leżę na łóżku, czekając, aż zadziałają. Skutki uboczne tych leków są gorsze niż halucynacje, gorsze niż koszmary senne. Nie byłam w stanie jasno myśleć, ledwo potrafiłam sklecić zdanie, nie mówiąc już o napisaniu reportażu czy przeprowadzeniu wywiadu. W ciągu kilku tygodni byłam jak warzywo. Chciałam tylko spać, jeść i nie myśleć. W końcu wrzuciłam opakowanie do kibla i spuściłam wodę. Głosy wróciły nazajutrz, ale po tygodniach niebytu były niczym mile widziany przyjaciel.

– O tak, pomagają – mydlę oczy Shaw.

– A halucynacje? Czy zmniejszyły się, odkąd zażywa pani leki?

– Tak – odpowiadam. – Całkowicie. Chociaż biorę te pigułki głównie przeciwlękowo.

Staruszka, jakby chciała ze mnie zadrwić, wybiera akurat tę chwilę, żeby krzyknąć. Zrywam się gwałtownie z mojego krzesła. W pokoju zapada cisza. Shaw patrzy na mnie pustym wzrokiem, kiedy zadaje kolejne pytanie.

– Czy powiedziałaaby pani, że pani praca i rzeczy, które pani widzi, mogły przyczynić się do wystąpienia tych lęków?

– Oczywiście – odpowiadam. – Nie jestem robotem. Nie mogłabym wykonywać mojego zawodu, gdyby to, co widzę, nie poruszało mnie, nie miało na mnie wpływu. *Pokaż, że masz uczucia, że jesteś człowiekiem...*

Shaw kiwa głową. Wpatruję się w nią, próbując wyczytać coś z jej twarzy, ale niczego po sobie nie pokazuje.

– Przejdźmy dalej... – kontynuuje, zaglądając znowu do swoich notatek. – Ile razy wyjeżdżała pani do Syrii w ciągu ostatnich dwóch lat?

– O Boże, nie pamiętam – odpowiadam. – Osiem albo dziewięć.

– Osiem albo dziewięć razy – powtarza Shaw. – I będąc tam, staje się pani świadkiem pewnych skrajnie przygnębiających wydarzeń, tak?

– Tak – przyznaję. – Ale podobnie mają inni reporterzy, pracownicy organizacji pomocowych i ludzie, którzy tam żyją. Moje doświadczenia nie są wyjątkowe.

– Nie, lecz są dość ekstremalne – stwierdza. – Przyjeżdżanie i wyjeżdżanie ze stref konfliktu wojennego z taką częstotliwością musi mieć negatywny wpływ na zdrowie psychiczne każdego człowieka. Jestem pewna, że na mnie też miałyby wpływ, gdybym musiała tak pracować.

– Może jestem silniejsza od pani – prychnęła. Jej ton głosu zaczyna mnie drażnić.

– Te wyjazdy służbowe – mówi Shaw, ignorując mój komentarz. – Ile średnio trwają?

– To zależy – odpowiadam. – Każdy wyjazd jest inny.

– Cóż, na przykład pani ostatni wyjazd do Aleppo. Jak długo pani tam była?

– Trzy tygodnie.

– I mieszkała tam pani u jakiejś rodziny?

Kiwam głową.

– Trzy tygodnie w tym samym miejscu – mówi Shaw. – W ekstremalnych warunkach. Wystarczająco długo, żeby zbudować relację, silną więź z ludźmi, u których się mieszka. Zgodzi się pani z tym?

Teraz wiem, w jakim kierunku to zmierza, i nie mogę tego znieść. Potrząsam głową, ale ona brnie dalej:

– W ostatniej relacji wspomina pani o jakimś małym chłopcu... To, co spotkało go w Aleppo, wywarło na panią głęboki wpływ, prawda, Kate?

Krew odpływa z mojego ciała. Dlaczego akurat to? Dlaczego nie możemy po prostu wrócić do moich ran? Łatwiej je wytłumaczyć. Spoglądam na drzwi i dostrzegam cień policjanta po drugiej stronie. Nie mam wyboru. Jestem w pułapce.

– Kate, czy mogłaby mi pani o nim opowiedzieć? Miał na imię Nidal, tak?

Pochyliła się do przodu na swoim krześle, aż czuję zapach jej perfum. Cukierkowy i tani, jak wszystko w tym miasteczku. Gryzie mnie w gardle i nie mogę oddechać.

– Przepraszam – mówię, wstając. – To zaczyna być głupie. Głowa mi pęka i muszę jechać do domu.

– Kate, tak jak powiedziałam, kiedy zaczęłyśmy, została pani zatrzymana zgodnie z paragrafem sto trzydzieści sześć Ustawy o zdrowiu psychicznym. Wolno nam zatrzymać panią tutaj do siedemdziesięciu dwóch godzin, dopóki nie podejmiemy decyzji na temat pani kondycji psychicznej.

– Nie mogę być tutaj przetrzymywana przez trzy dni! – próbuję panować nad swoim głosem, ale wydobywa się ze mnie w formie krzyku.

Shaw siedzi nieruchomo jak posąg, podczas gdy ja wstaję i zaczynam chodzić po ciasnym pokoju. Jej beznamiętność sprawia, że mam ochotę uderzyć ją w twarz, nauczyć ją trochę rozumu. Wzdrygam się, ponieważ przypominam sobie mojego ojca, który mówił to samo, kiedy rzucał się na moją matkę z podniesionymi pięściami. Biorę więc głęboki oddech i siadam. Złość nie pomoże w tej sytuacji. Muszę się uspokoić.

– Kate, czy chciałaby pani zrobić przerwę, czy możemy kontynuować?

– Kontynuujmy – postanawiam. – Ale nie mam nic do powiedzenia na temat Syrii. Absolutnie nic.

Poniedziałek, 13 kwietnia 2015

Rzucam się na łóżko o dwudziestej pierwszej trzydzieści, senna po pigułkach i dwugodzinnym telewizyjnym filmie dokumentalnym o Margaret Thatcher. Głos Żelaznej Damy jest ostatnim dźwiękiem, jaki słyszę, kiedy padam na łóżko, zwijam się niczym starożytna kamienna postać, kolanami dotykam klatki piersiowej, podbródek mam zakopany głęboko pod kołdrą.

„Tam, gdzie panuje niezgoda, możemy nieść harmonię. Tam, gdzie pojawi się błąd, możemy nieść prawdę. Tam, gdzie rodzi się zwątpienie, możemy nieść wiarę. A tam, gdzie panuje rozpacz, możemy nieść nadzieję”.

Łóżko pachnie rokiem 1979. Rokiem, w którym urodziła się Sally. Rokiem, w którym dostałam „łóżko dla dużych dziewczynek”. Moje nieszczęśliwe dzieciństwo zostało wyryte w tym drewnie, w sprężynach materaca, w wezglowiu obitym niebieskim aksamitem, i kiedy zamykam oczy, idę za tym zapachem i zdaję sobie sprawę, że oto koziółkuję w głąb króliczej nory. Znowu mam cztery latka, siedzę na sofie obok mojej matki i nowo narodzonego dziecka, podczas gdy mój ojciec posuwa się pomalutku w stronę telewizora, pogłasnia, żeby móc usłyszeć każde słowo, które ma do powiedzenia nowa pani premier. Zaczynam mówić, ale mnie ucisza. „Siedź cicho, mały szkodniku. Próbuję usłyszeć, co ona mówi”. Sally zaczyna płakać, żeby ją nakarmić, i ten jej płacz zagłusza głos Thatcher. Moja matka zrywa się, żeby ją uspokoić... ale jest za późno – ojciec nie dosłyszał słów pani premier i teraz ktoś za to zapłaci... „Bezużyteczna suka”, krzyczy, podchodząc z podniesionymi pięściami. „Lenisz się na sofie, zamiast opiekować się dzieckiem. Nie nadajesz się do tego, żeby mieć dzieci”.

Słyszę krzyki mojej matki, kiedy wpełzam głębiej do nory. Zatykam uszy. Powietrze robi się cieplejsze i czuję znajomy zapach... Śmiertelny pył. Jestem znowu w Aleppo. Wiem, co mnie czeka – opustoszała ulica, krew i gruz, sterty gruzu, które muszę przekopać, żeby się do niego dostać. Moja pokuta.

„Nie nadajesz się do tego, żeby mieć dzieci”.

Głos mojego ojca, cienki i piskliwy, krwawi przez dziurę powietrzną łączącą przeszłość z teraźniejszością; z wypaczoną teraźniejszością, z nieustannym ciągiem chwil, które przeżywam każdej nocy. Próbuję na niego krzyknąć, powiedzieć o tym dziedzictwie, które nam zostawił, o świecie poczucia winy i bólu, ale moja złość nie ma ujścia. Mój przeciwnik spogląda na mnie pustym wzrokiem. Martwy człowiek nie może podjąć walki.

Kiedy docieram do najciemniejszego miejsca tunelu, jego głos słabnie. Znowu jestem w sklepie, pierwszy strzał dopiero padł i jeszcze jest czas. Jeśli się pośpieszę, mogę do niego dotrzeć, ale za każdym razem, kiedy próbuję, coś się zmienia. Dzisiaj wieczorem ulica jest zalana wodą i gdy się w nią zanurzam, moje ciało odczuwa ulgę. Jestem doskonałą pływaczką, a woda zmywa kurz i krew. Potrafię to zrobić. Potrafię dotrzeć do niego na czas. Kiedy dopływam, jego ciało jest ciepłe i w moim sercu rozbłyska iskierka

nadziei... *Tam, gdzie panuje rozpacz, możemy nieść nadzieję...* Ale kiedy chwytam go dłońmi, powietrze przeszywa jakiś dźwięk, przerażający krzyk, który wydaje się wydobywać z mojego wnętrza.

Puszczam go i czuję, że unoszę się do góry, w stronę bladego światła księżyca, które sączy się do moich oczu. Bezruch zawisa nad pokojem, niczym cienka błona, czas się zatrzymuje; na zewnątrz przedmieścia wstrzymują oddech i ja także wstrzymuję oddech, czekając, aż ta błona zostanie przedziurawiona.

Nic. Przewracam się na drugi bok i zaczynam liczyć. Powiedziano mi, że liczenie pomaga zapobiegać napadom lękowym.

– Raz, dwa, trzy, cztery...

Znowu słyhać krzyk, ostry i nieproszony. Siadam wyprostowana na łóżku, trzęsą mi się dłonie. Brzmi to tak, jakby jakieś ranne zwierzę walczyło o życie, ale dźwięk dobiega skądś spoza mojej głowy.

– Jest tam kto? – wołam.

Wstaję z łóżka i podchodzę do okna. Słońce wschodzi na horyzoncie, rozpościerając różową mgłę nad pustym ogrodem. Wyglądam na zewnątrz, do ogrodu sąsiadów. Nic. Po chwili, kiedy właśnie mam zaciągnąć zasłony, dostrzegam to – jakiś cień. Wyłania się z szopy w ogrodzie Fidy. Powoli nabiera kształtów w świetle wątłego porannego słońca i dostrzegam, co to jest.

To mężczyzna. Ubrany na czarno, czapka z daszkiem zasłania mu twarz. Przysuwam się bliżej do okna i obserwuję, jak idzie ciemną ścieżką. Muszę ostrzec Fidę.

Potem ją dostrzegam.

Stoi przed tylnymi drzwiami w szlafroku. Mężczyzna coś jej podaje, a potem razem wchodzi z powrotem do domu. Ale kiedy Fida podchodzi, żeby zamknąć drzwi, przystaje i podnosi wzrok na moje okno. Instynktownie odskakuję. Czy mnie widziała? Możliwe, ale mam to gdzieś. Nie zrobiłam nic złego. Kładę się z powrotem do łóżka i przypominam sobie o jej mężu, który pracuje daleko. Widać musiał przyjechać. Wszystko jest w porządku, tłumaczę sobie, kobieta z domu obok ma z powrotem swojego męża, przyjechał do domu, do niej, do swojego miejsca. Dzisiaj w nocy zaśnie zwinięta w kłębek w jego ramionach.

Ale kiedy zamykam oczy, te krzyki nadal rozbrzmiewają echem w mojej głowie, a gdy wślizguję się w objęcia snu, nie jestem już pewna, skąd pochodzą.

Posterunek policji w Herne Bay Siedemnaście godzin od zatrzymania

W pokoju przesłuchań zapada zmierzch. Przyglądam się, jak doktor Shaw naciska przełącznik i pokój wypełnia się bladożółtym światłem.

– Teraz lepiej – mówi, wracając na swoje krzesło. – Kiedy czytam w półmroku, bolą mnie oczy. A więc, Kate, chciałabym zadać pani jeszcze kilka pytań dotyczących pracy.

Uśmiecha się, słabo, anemicznie. Nie odwzajemniam tego uśmiechu.

– Mówiłam pani – wyjaśniam, podnosząc głos ponad brzęczenie świetlówek. – Nie chcę rozmawiać o Syrii. Wyraziłam się chyba jasno.

– Tak, istotnie – odpowiada Shaw, spoglądając na świeży plik notatek. – Tyle że to nie dotyczy Syrii. Chciałabym zapytać o pani ostatni dzień w pracy. Coś wydarzyło się w newsroomie, prawda, Kate? Chciałaby mi pani o tym opowiedzieć?

Serce we mnie zamiera, kiedy przeglądam strony swoich notatek. Skąd ona to wszystko wie? Z kim rozmawiała? Z Harrym? Z Rachel? Mam zamiar się odezwać, ale głos więźnie mi w gardle i zaczynam kaszleć. Shaw podnosi wzrok.

– Dobrze się pani czuje? – pyta, wstając. – Napije się pani wody?

Kiwam głową i obserwuję, jak podchodzi do dystrybutora. Nalewa kubek wody i mi go przynosi.

– Dziękuję – szepczę, biorąc kubek i sącząc chłodny płyn. Smakuje plastikiem i krzywię się, kiedy go przełykam.

– Zgadza się pani, żebyśmy kontynuowały? – pyta Shaw, kiedy stawiam kubek na stoliku obok.

– Tak – mamroczę, spoglądając na zegar nad jej głową. Muszę stąd wyjść. Muszę do niego wrócić...

– Tamtego dnia miała pani długi lunch?

– Długawy – odpowiadam.

Shaw kiwa głową, po czym zapisuje coś w swoim notesie. Wlepiam wzrok w podłogę, ale nie widzę niczego oprócz Chrisa, jego twarzy, która jest niekompletnym zbiorem części, oderwanych części, jak w przypadku ciała, które poddaje ekshumacji. Widzę jego piękne usta, podwiniętą górną wargę, szczękę z kilkudniowym zarostem, ciemne, krótko obcięte włosy, niebieskie oczy w kształcie migdałów, ale nie potrafię połączyć tych części. A tak bardzo potrzebuję znowu połączyć je w całość.

– W jakimś przyjemnym miejscu?

– Tak, w restauracji w Soho – odpowiadam, podczas gdy w moich myślach rozpościera się widok ulicy. Widzę znajome krajobrazy, które wcześniej mijałam tysiące razy: Bar Italia, U Ronniego Scotta i The Dog and Duck, wszystkie moje dawne ulubione miejsca. Oto i on. Dostrzegam go przez szybę restauracji, ma dłonie splecione przed sobą, czeka, przygotowuje swoją przemowę.

– O której godzinie wróciła pani do pokoju redakcyjnego?

Głos Shaw jest ostry, jak igła, która dźga mnie w mózg.

– Nie wiem... Zdaje się, że pięć po piątej.

– Wobec tego bardzo długi ten lunch – stwierdza Shaw, uśmiechając się protekcyjnie. – Spotkanie zawodowe czy przyjemność?

Gapię się na ścianę, próbując przypomnieć sobie tamten dzień. Widzę nas, jak siedzimy tam niczym dwoje obcych sobie ludzi.

Podnoszę wzrok na Shaw.

– Zawodowe – odpowiadam. – To było spotkanie zawodowe.

– Ale wypła pani kilka drinków, tak?

Kiwam głową i przypominam sobie wino, które smakowało jak ocet. Pierwszy alkohol, jaki piłam od wielu lat, kieliszek za kieliszkiem, kiedy siedziałam już w klubie po tym, jak pożegnałam się z nim przy Frith Street.

– Czy powiedziałyby pani, że była pani pod wpływem alkoholu?

– Nie.

– Naprawdę?

– Wypiłam tylko kilka kieliszków.

– Pani koleżanka, Rachel Hadley, twierdzi, że była pani zdecydowanie pijana i niezdolna do pracy, kiedy pani wróciła do biura.

Czyta ze swoich notatek. Potrząsam głową z niedowierzaniem. Rachel cholerna Hadley. Zrobiłaby i powiedziałyby wszystko, żeby tylko mnie wkurzyć.

– Dlaczego potrząsa pani głową?

– Ponieważ osoba, o której właśnie pani wspomniała, jest pasożytem, małą, głupią dziewczynką, która chce zdobyć moją posadę.

Gdyby nie była pierwszą osobą, jaką wtedy spotkałam, mogłabym przetrwać do końca dnia, napisać swój artykuł i wyjść, nie robiąc przedstawienia. Ale pojawiła się, kiedy podeszłam do swojego biurka, stała tam niczym funkcjonariusz w punkcie kontrolnym, zagroziła mi drogę i tym swoim rżącym nosowym głosem zapytała: „Długi lunch, co, Kate?”.

– Ta Rachel Hadley? – pyta Shaw. – Kobieta, którą zaatakowałaś?

– Tak.

Moje poczucie wstydu jest nadal równie silne jak kilka tygodni temu i czuję, jak palą mnie policzki, kiedy przypominam sobie, co się później wydarzyło.

Próbowałam przesunąć się ostrożnie, żeby dojść do mojego biurka, ale ona wystawiła rękę, żeby mnie zatrzymać, i ogłosiła wszem wobec, że ledwo trzymam się na nogach, a potem zapytała, czy chciałabym, żeby zrobiła mi czarną kawę. Pamiętam jeszcze, że położyła rękę na moim ramieniu... Później wszystko zaszło mgłą. Widziałam przed sobą jedynie blokadę, przeszkodę do pokonania.

Shaw zagląda do swoich notatek. Znajdzie tam wszystko, każdy najmniejszy szczegół tamtego nieszczęsnego dnia.

– Uderzyła ją pani w twarz – mówi Shaw.

Wpatruję się w stół.

– I pani koledzy musieli interweniować.

– Zdaje się, że tak. Byłam przygnębiona.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że inni śpieszą jej na pomoc, ale przypominali mi mrówki, małe punkciki na krawędzi mojej świadomości.

– Harry Vine twierdzi, że jest pani jedną z najlepszych dziennikarek, z jakimi w życiu współpracował.

Podnoszę na nią wzrok. A więc rozmawiała z nim. Z Harrym, moim redaktorem naczelnym.

– Wyraża się o pani w samych superlatywach – kontynuuje Shaw. – Z wyjątkiem tego, co pani zrobiła tamtego dnia.

– Tak. To dobry człowiek. Jeden z najlepszych.

Kiedy mówię, próbuję uporządkować myśli. Harry wie, że zostałam zatrzymana na podstawie Ustawy o zdrowiu psychicznym. Mam złamane życie. Mam złamaną karierę. Co ja teraz zrobię?

– Zna go pani od dawna?

– Od jakichś piętnastu lat.

– Piętnaście lat... – powtarza Shaw, unosząc brwi. – Tak samo długo, jak zażywa pani pigułki nasenne.

Uśmiecham się ze smutkiem.

– Tak – potwierdzam. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Co Harry powiedział pani po tym zdarzeniu w biurze? – pyta Shaw.

Krzywię się, ponieważ przypominam sobie twarz Harry’ego, kiedy zaparzył mocną kawę i podał mi ją. Dłonie mu drżały i przez krótką chwilę wyglądał, jakby się mnie obawiał.

– On... zapytał po prostu, czy dobrze się czuję.

Nie mówię jej o tym, że zagroził mi zawieszeniem w obowiązkach służbowych i że błagałam go, by tego nie robił z powodu mojego zbliżającego się wyjazdu do Syrii. Miałam szczęście. Harry miał związane ręce. Wiedział, że jestem jedyną osobą, która podoła i dostanie się do Aleppo. Nie miał wyboru.

– Rachel Hadley mogła wezwać policję.

Spoglądam na Shaw i właśnie wtedy dostrzegam, jak podobne są do siebie z Hadley; te same równo podcięte blond włosy, ten sam syczący głos. Mogłyby być siostrami.

– Tak. Mogła – przyznaję. – Ale tego nie zrobiła.

– Harry twierdzi, że wysłał panią na urlop do końca tygodnia.

– Tak zrobił – potwierdzam. – Wspaniale się zachował. Przykro mi, naprawdę mi przykro z powodu tego, co spotkało Rachel. Nie lubię tej dziewczyny, ale nie powinnam była jej uderzyć. Zdaję sobie z tego sprawę.

– A może mi pani powiedzieć, co stało się po pani wyjściu z biura?

Spoglądam na papiery w jej dłoni i robi mi się sucho w ustach. Nie może tego wiedzieć. To niemożliwe.

– Kate?

– Przepraszam... Kręci mi się w głowie. Potrzebuję tylko sekundkę...

Zrywam się z miejsca i podchodzę do małego okna, przykładając wewnętrzną stronę dłoni do szyby. Za moimi plecami doktor Shaw wierci się na krześle i kiedy

obserwuję, jak nad parkingiem zapada zmierzch, mrugam oczami, by w ten sposób odsunąć od siebie wspomnienie tamtego wieczoru.

– Kate? Dobrze się pani czuje?

W mojej głowie jej głos miesza się z innymi głosami i kiedy tak stoję, patrząc przez okno na szary bezmiar betonu i ponure morze poniżej, przychodzi mi na myśl moja matka i to, jak błagała mnie, żebym uciekała z tego miasteczka i ułożyła sobie lepsze życie. I tak zrobiłam. Uciekłam najdalej, jak tylko mogłam. Tyle że znowu jestem uwięziona w jego szponach. I wiem, że tym razem nie ma ucieczki.

Wtorek, 14 kwietnia 2015

Cmentarz jest opustoszały, kiedy przyjeżdżamy, i ociągamy się, podczas gdy Paul idzie przede mną i przechodzi przez ozdobną bramę z kutego żelaza.

– Tędy – woła, gdy stoję tak na ścieżce, kurczowo przyciskając do piersi bukiet groszku pachnącego.

– Tak. Wiem – odpowiadam, a kiedy przechodzę przez bramę, przebiega mnie dreszcz. – Nienawidzę tego miejsca – stwierdzam, doganiając Paula. – Nigdy go nie lubiłam.

Uśmiecha się i poklepuje mnie po ramieniu.

– Nie musimy być tutaj długo – pociesza mnie optymistycznym tonem. – W każdej chwili możemy stąd uciec.

– Czuję się dobrze, naprawdę – zapewniam, podczas gdy lawirujemy wśród nagrobków. – Po prostu chcę się z nią spotkać.

Tyle tu grobów... Trudno sobie wyobrazić miasteczko, które produkuje wystarczająco wiele ludzi, żeby wypełnić tę olbrzymią przestrzeń, tymczasem jak okiem sięgnąć widać nagrobki ludzi ważnych dla Herne Bay od dziewiętnastego wieku po dzień dzisiejszy.

Drzę, kiedy mijamy kościół, przysadzisty i nijaki na swojej uporządkowanej, trawiastej działce, i przypominam sobie zapach jego wnętrza, który w dzieciństwie przyprawiał mnie o mdłości. Zawsze miałam uczucie, jakby każda jego część – począwszy od oślizgłych mis z wodą święconą przy wejściu, zanieczyszczonych dłońmi obcych ludzi, po bordowy chodnik, który wił się wzdłuż przejścia między ławkami aż do ołtarza – zaciskała się wokół mnie. Kiedy ksiądz w końcu wypowiadał słowa: „Idźcie w pokoju, ofiara spełniona”, przeciskałam się między parafianami, chwytając się za serce, i wybiegałam przez drzwi. Siedzenie w tym kościele było dla mnie jak pogrzebanie żywcem, przynajmniej takie, jakie byłam sobie w stanie wtedy wyobrazić. Jednak dla mojej matki było to miejsce pocieszenia, ocalenia. Miejsce, w którym mogła ukoić swój żal zakłęciami nanizanymi na paciorki jej prostego, białego różańca. Nigdy tego nie rozumiałam.

Paul dostrzega mój wzrok, który błądzi po brzydkiej budowli.

– Przywoziłem tutaj twoją mamę – wyjaśnia. – Zanim poszła do tego domu.

– Nie mogła nasycić się tym miejscem – stwierdzam, na wpół się śmiejąc.

– Przyprawiała nas tutaj co tydzień, kiedy byliśmy dziećmi. Nigdy w niedziele na poranną mszę, jak większość ludzi, lecz w sobotni wieczór, ponieważ wtedy ksiądz spowiadał.

– Tak, to był zawsze sobotni wieczór – przyznaje Paul. – Czekałem na nią w samochodzie, a ona spędzała tutaj całe godziny. Zastanawiałem się, co za potworny grzech popełniła, żeby spowiadać się co tydzień. Mam na myśli to, że twoja mama była jedną z najbardziej łagodnych, życzliwych osób, jakie znałem. Co mogło budzić w niej aż

takie poczucie winy?

Wzruszam ramionami.

– Kto wie... musiała sobie radzić z ogromnym żalem. Może rozmowa z księdzem jej pomagała.

– Może – przyznaje Paul.

Idziemy, przed nami ciągną się rzędem nagrobki. Rozpoznaję te starsze, te, które popadają w ruinę i są pokryte warstwą mchu, pochodzące z dziewiętnastego wieku.

– Nie wiem jak ty – mówi Paul, marszcząc brwi, kiedy przechodzimy przez nie – ale ja chcę zostać skremowany, wiesz, kiedy już odejdę. Miła, schludna podróż na tamten świat.

– Ja też – zgadzam się. – Zastrzegłam sobie to już w testamencie.

– Powiniennem zrobić to samo – stwierdza Paul. – Potem przynajmniej nie ma zamieszania.

Przechodzimy obok starszych grobów i ściska mnie w żołądku, kiedy dostrzegam znajome nazwisko.

– Alexandra Waits – czytam, zatrzymując się przy omszałym nagrobku. – Tutaj leży.

– O czym mówisz? – pyta Paul. – Kim była Alexandra Waits?

– To dziewczyna ze skrzydłami anioła – wyjaśniam, wskazując na ozdobną rzeźbę u szczytu nagrobka. – Kiedy byłam mała, sama się straszylam, wyobrażając sobie, że widzę duchy na cmentarzu. Szczególnie lubiłam ten właśnie nagrobek, pewnie z powodu skrzydeł i tego, że dziewczynka była w moim wieku. Siadywałam tutaj i rozmawiałam z nią, opowiadałam jej o moich problemach.

– To nieco dziwne, Kate – stwierdza Paul, śmiejąc się nienaturalnie.

– To pewnie przez te wszystkie gotyckie historie, które czytałam – tłumaczę się, przesuwając palcami po sękatych skrzydłach. – A tak poważnie, zawsze czułam spokój, kiedy przychodziłam i siedziałam z Alexandrą. Czułam się tak, jakby naprawdę mnie słuchała.

– Podobnie jak twoja mama z księdzem – zauważa Paul.

– Tak. Pewnie tak. Ukrywałam się tutaj, kiedy trwała msza. Czasem nawet przemyślałam papierosa.

– Buntowniczką od zawsze – stwierdza.

– Prawie od zawsze.

– Ile miałaś lat?

– Jakieś jednaście – odpowiadam. – Przesiadywałam tutaj godzinami i wyobrażałam sobie, jakie życie wiodła Alexandra, jak wyglądała. Domyślałam się, że miała ciemne włosy, podobnie jak ja, i że lubiła pisanie, ale ponieważ było to w dziewiętnastym wieku, a ona była tylko dziewczynką, nikt nie traktował jej poważnie. Rzuciła się więc do morza, bo skoro nie mogła zostać pisarką, dalsze życie nie miało dla niej sensu. Przynajmniej taką historię wymyśliłam...

– To dobra historia – docenia Paul. – Chociaż zapewne umarła na gruźlicę jak wielu w jej czasach.

– Tak, zapewne tak – przyznaję. – Kiedy odwiedziłam ją po raz ostatni, śmiertelnie

się przeraziłam. Wyglądałam się i próbowałam ją wywołać, powtarzając w kółko jej imię: „Alexandra Waits, Alexandra Waits”. I nagle usłyszałam, jak ktoś wymawia moje imię. Moje imię i nazwisko.

– Mówisz poważnie? – pyta Paul, marszcząc brwi, a ja widzę, że czuje się tym wszystkim zakłopotany.

Kiwam głową i spoglądam znowu na skrzydła anioła, przypominając sobie, jaka byłam przerażona tamtego wieczoru i jak biegłam przez całą drogę do kościoła, oglądając się przez ramię, czy czasem Alexandra mnie nie goni.

– To naprawdę przyprawia o gęsią skórę – mówi Paul, wzdrygając się. – Nienawidzę takich rzeczy. Kompletnie mnie paraliżują.

Potyka się, kiedy zostawiamy w tyle stare nagrobki, a ja się uśmiecham. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak łatwo go wystraszyć.

– Nie ma się czym przejmować – zapewniam, kiedy podchodzimy do skupiska nowych grobów. – Sally wiele lat później powiedziała mi, że wyszła za mną z kościoła i schowała się za drzewem. To jej głos przestraszył mnie prawie na śmierć.

– To dla mnie żadne zaskoczenie – wyznaje Paul po cichu. – Nadal straszy nas prawie na śmierć, nieprawdaż?

Kiwam głową. Idziemy dalej, a nazwiska i daty przemykają mi przed oczami: Helen Stump, lat 56; Judy Turner, lat 78; Morgan Hyatt, 6 miesięcy; Ian StClair, lat 30. Niektóre nagrobki mają zdjęcia, a te, w których pochowane są dzieci, przyozdobiono balonami i obrazkami z postaciami z kreskówek. Lampa halogenowa w kształcie Myszki Miki sterczy na wietrze nad białym nagrobkiem, jej uśmiechnięta twarz rzuca złowieszcze światło na groby.

– Spójrz na to, hmm – mówi Paul, kiedy przechodzimy obok małego nagrobka. – Sześć miesięcy. Żaden wiek, by umierać, prawda? W ogóle żaden.

Potrząsam głową i usiłuję nie myśleć o tym przerażającym wieczorze, ale kiedy przekraczamy ścieżkę, znowu znajduję się w windzie i lecę w dół. Kładę dłoń na ramieniu Paula, żeby się uspokoić, a kiedy podnoszę wzrok, widzę morwę i wiem, że mama jest niedaleko. Przyszła mnie uratować, żebym nie spadła dalej.

– „Pochowajcie mnie pod drzewem morwy” – szepczę.

– O co chodzi? – dopytuje Paul.

– Ach, nic – zbywam go. – Tylko wspomnienie o mamie.

Napisała tak na odwrocie swojej niedzielnej książeczki do nabożeństwa. Nigdy nie wiedziałam, co to oznaczało, ale ten wers towarzyszył mi od wielu lat. Teraz wszystko nabrało sensu. Chciała być pochowana obok swojego małego synka.

– To przez to miejsce – wyjaśnia Paul. – Przynosi wiele wspomnień.

– Tak – przyznaję.

Przechodzę obok kamieni, które prowadzą do drzewa. Obok Rithy Mathers, która „śpi snem wiecznym” od 1987 roku, i Jima Cartera, który „powiększył grono aniołków” trzydzieści lat temu. Aż w końcu dochodzę tam. Surowy, prostokątny kawałek granitu, wąski i dyskretny, wyznaczający ostatecznie miejsce spoczynku moich rodziców i mojego brata.

Kiedy patrzę na imię mojego ojca, przejmuje mnie chłód. Dlaczego chciała być

pochowana razem z nim? Ale potem przychodzi mi na myśl morwa. David jest tutaj. Moja matka nie chciałaby być w żadnym innym miejscu.

– Jesteśmy – mówi Paul, stając z tyłu, żebym mogła się lepiej przyjrzeć.

– Kamieniarze skończyli go na czas przed twoją wizytą.

– Tak – mamroczę, stojąc i ściskając w rękę groszek pachnący.

Kwiaty, które musiały zostać tutaj położone w dniu pogrzebu, leżą teraz już zwiędnięte i brązowe na trawie, obok nagrobka. Podnoszę je i odkładam na bok, po czym układam na ziemi świeży bukiet. Powietrze pachnie ziemią i delikatnym zapachem kwiatów, kiedy przyklękam przy grobie i czytam inskrypcję. Oto jest. Życie i śmierć mojej mamy doskonale podsumowane w trzech liniijkach:

Gillian Louise Rafter

14 listopada 1945 – 26 marca 2015

Na zawsze w naszych sercach

Przelatuję wzrokiem po inskrypcji mojego ojca, a potem czytam napis na dole nagrobka.

Drogiej pamięci

David Roberta Raftera

18 stycznia 1977 – 23 sierpnia 1978

Śpij w ramionach Jezusa, Maleńki

Zamykam oczy i próbuję wyobrazić sobie, jak wyglądałby mój brat, gdyby był dorosły, jak wyglądałoby jego życie. Ale podobnie jak w przypadku Alexandry Waits, jest on tylko imieniem wygrawerowanym w kamieniu. Jakże chciałabym mieć go w pamięci. Pozwalam sobie osunąć się na trawę, w powietrzu unosi się zapach groszku pachnącego, a ja wodzę palcem po jego imieniu.

Ale kiedy mam już wstać, ktoś krzyczy.

– Co to było? – niepokoję się, podnosząc wzrok na Paula.

Stoi nade mną, z twarzą rozmazaną promieniami słońca.

– Co?

– Ten... dźwięk – wyjaśniam, przykładając palec do ust. – Posłuchaj.

– Nic nie słyszę – stwierdza Paul. – Może to twoja przyjaciółka, jak jej tam...

– I śmieje się nerwowo.

– To było... – zaczynam. – Nie, nic. Pewnie mewa.

Ale wiem, co to było. To była ta staruszka. Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Znowu przyklękam przy grobie.

– Sally opowiadała mi trochę o waszym bracie – mówi Paul, klękając obok mnie.

– Co ci powiedziała?

– Tak naprawdę niewiele, tylko tyle, że miała brata, który zmarł przed jej urodzeniem. Że miał wypadek.

– Zgadza się – potwierdzam. – Nie pamiętam go. Miałam zaledwie trzy latka, kiedy zginął. On miał niecałe dwa. Któregoś dnia mama zabrała nas na plażę i on wszedł do morza. Próbowala go uratować, lecz fale były naprawdę silne i go porwały. Tylko tyle wiem. Mama nie lubiła o nim rozmawiać.

– To musiało być druzgocące dla twoich rodziców.

– Było. Nigdy się z tym nie pogodzili. Spędziłyśmy z Sally nasze dzieciństwo, próbując z powrotem ich posklądać. Bez skutku.

– Trudno jest być rodzicem – stwierdza Paul. – A w moim przypadku ojczymem.

– Tak, ale to nie to samo, prawda? – pytam. – Wiesz, że pewnego dnia znowu zobaczysz Hannah. Ale kiedy twoje dziecko umiera, cóż, to po prostu...

Przełykam te słowa. To miejsce zaczyna na mnie oddziaływać.

– Czy kiedykolwiek chciałaś, no wiesz, usatkwować się? – pyta.

Potrząsam głową.

– Czyli nie masz teraz nikogo na widoku? – pyta żartobliwym tonem. – Żadnego faceta w domu, w twoim eleganckim, londyńskim mieszkanku?

– Oj, daj spokój, Paul – przerywam mu, wstając. – Przecież wiesz, że jestem nieuleczalnym przypadkiem. A teraz powiedz mi więcej na temat pogrzebu. Dużo ludzi przyszło?

– Trochę – odpowiada.

– Naprawdę? – naciskam.

– Tak – warczy. – Nie zawiodłem twojej mamy, jasne? Godnie ją pożegnaliśmy.

Wzdycha i odgarnia z twarzy pasemko włosów. Nagle wygląda na wyczerpanego.

– Przepraszam. To było z mojej strony nietaktowne. Wiem, że ostatnie tygodnie musiały być dla ciebie ciężkie, i jestem naprawdę wdzięczna, że byłeś do końca przy mojej mamie.

Kładę dłoń na jego ramieniu, a on patrzy na mnie i się uśmiecha.

– *Było* ciężko – przyznaje. – Ale daliśmy radę. Przeszliśmy przez to.

Przyglądam się, jak podnosi z ziemi groszek pachnący i wkłada go do kamiennego wazonu obok grobu.

– Przyszli wszyscy starzy znajomi – wyjaśnia, układając kwiaty. – Przyjechała twoja ciotka Meg z Southend i przyszło kilku kumpli twojego ojca z pubu.

– A Sally? Była?

Opiera dłoń na kamieniu i zamyka oczy.

– Paul?

– Ona... nie czuła się najlepiej... – tłumaczy.

– Daj spokój, mnie możesz powiedzieć.

Odpuszcza próby zatrzymania tego dla siebie.

– Kiedy dostała wiadomość o mamie, straciła nad sobą panowanie. Odtąd zamyka się w oranżerii z ukrytym zapasem alkoholu i wychodzi stamtąd tylko po to, żeby kupić więcej wódki, kiedy jestem w pracy. Nie myje się, prawie nie jada. Nie wiem, co mam robić, Kate. Jestem przerażony. – Chowa twarz w dłoniach.

Klękam obok niego i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Już dobrze – uspokajam go. – Nie jesteś sam. Zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc.

– Naprawdę? – pyta, podnosząc na mnie wzrok. – Naprawdę to zrobisz? Widzisz, próbowałem już wszystkiego: uprzejmości, mądrej miłości, usiłowałem nawet zmusić ją, żeby poszła do klubu AA, ale nic z tego. Ona potrzebuje ciebie. Nawet jeśli cię odtrąca, to cię potrzebuje.

Wstaję i spoglądam na imię mojej matki na nagrobku. Na pewno by chciała, żebym zrobiło wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc Sally.

– Upewniłem się, że zagrają wszystkie jej ulubione pieśni – dodaje Paul miękkim głosem, kiedy wstaje. – *Patrząc na wschód słońca, Królowa maja i Trwaj przy mnie*, gdy wnosili trumnę.

Kiedy tak stoję, słuchając relacji Paula z pogrzebu, zamykam oczy i wyobrażam sobie trumnę mojej matki przed ołtarzem. Małą trumnę wiszącą w powietrzu niczym wątły ptak.

Obok mnie Paul zaczyna śpiewać pierwsze wersy *Trwaj przy mnie*. Patrę na tę cholerną morwę, kiedy on śpiewa o szarej godzinie, i chciałabym, żeby moja matka nie musiała dawać sobie rady z taką przemocą. Była dobrym człowiekiem i nie zasługiwała na coś takiego.

Paul przestaje śpiewać i patrzy na mnie.

– Sally wybrała czytanie – wyjaśnia. – Nawet jeśli nie dała rady przyjść na pogrzeb, to nadal chciała mieć swój wkład, choćby niewielki.

– I co to było?

– Z Biblii – wyjaśnia. – *Hymn do miłości*. Powiedziała, że wasi rodzice mieli to na ślubie. Jak to szło? „Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”¹. To było to.

Moje ciało przeszywa dreszcz i współczucie, które zaczęło tlić się w stosunku do mojej siostry, rozwiewa się. Dlaczego wybrała coś takiego? To bzdura, siarczysty policzek wymierzony w twarz naszej matce, kobiecie, która znosiła więcej przemocy z rąk tego człowieka, niż powinna była.

– Jak widzisz, Sally zależało – broni jej Paul. – Nadal chciała być zaangażowana.

– Paul, bardzo dobrze wiesz, że Sally nie znosiła naszej matki.

– Oj, daj spokój – oponuje. – Nie było aż tak źle. Jasne, miały swoje wloty i upadki, ale tak naprawdę bardzo się kochały.

– I dlatego to ty zorganizowałeś dom opieki dla mamy, zawoziłeś ją na msze i pływałeś z nią promem na zakupy – odpowiadam, czując, jak gniew pulsuje mi w skroni.

– Ja też dbałem o twoją mamę – wyjaśnia. – Zajmowanie się tymi sprawami nie było dla mnie kłopotem, ponieważ ona była uroczą kobietą. Tak ciepło przyjęła mnie do rodziny, szczególnie po tym, jak zmarła moja matka. Byłem zaszczycony, że mogłem

pomóc.

– Wiem, że byłeś – mówię łagodnie. – I byłeś wspaniałym zięciem. Lepszym zięciem niż my córkami. Po prostu żałuję, że nie widywałam się z nią częściej w ostatnich latach jej życia.

Kiedy tak stoję, nagle przypominam sobie Strefę Zero, gdzie po raz pierwszy spotkałam Chrisa. Widzę antropologów sądowych w kosmicznych kombinezonach, którzy wyciągają ciała z płytkich grobów. Perwersja tego obrazu, niestosowność ciała, które jest wydobywane, a nie chowane do grobu, sprawia, że przenika mnie chłód.

– Chodź – mówi Paul, dostrzegając, w jakim jestem stanie. – Zabieramy cię do domu.

Bierze mnie za rękę i prowadzi z powrotem między grobami, obok halogenu z Myszką Miki i nagrobka Alexandry Waits, obok kościółka, który skrywa sekrety mojej matki... Ale dla mnie to o wiele za dużo i kiedy docieramy do bramy, puszczam jego rękę i siadam na brzegu trawnika. Łzy, które powstrzymywałam przez ostatnie tygodnie, tryskają mi z oczu, chowam głowę w dłoniach i płaczę. Za matką, którą straciłam.

Posterunek policji w Herne Bay Siedemnaście i pół godziny od zatrzymania

– Kate, w trakcie kariery zawodowej była pani świadkiem potwornych wydarzeń, prawda?

Nie chcę odpowiadać. Jestem zmęczona jej pytaniami. Patrzę więc na swoją bransoletkę. On przy mnie jest. Czuję ciepło jego dłoni, kiedy gładzi mnie po gołej skórze, kiedy jego miękkie usta całują mnie w kark. Tęsknota za nim przyprawia mnie o ból. Ludzki dotyk jest potrzebą pierwotną, myślę sobie, kiedy obserwuję, jak Shaw wertuje kolejne strony. To nie miłości mi brakuje ani nawet seksu. Nie. Najbardziej brakuje mi uspokajającego dotyku skóry drugiego człowieka. Dotyku *jego* skóry.

Dłonie Chrisa były szorstkie i stwardniałe. Scheda po dwudziestu latach pracy przy ekshumacji grobów. Ale dotyk jego dłoni, które mnie obejmowały, kiedy wślizgiwał się do łóżka nad ranem, bez słowa, tylko przytulając mnie mocno, był wszystkim, czego potrzebowałam. Dawał mi siłę, żeby spakować się i jechać na kolejną wojnę, i następną, i jeszcze jedną. Wspomnienie dotyku jego skóry, oczekiwanie na niego, trzymało mnie przy życiu przez te wszystkie lata. A teraz będę musiała się nauczyć bez tego żyć.

– Rzeczy, które załamałyby większość zwykłych ludzi.

Głos Shaw sprawia, że szybko wracam do rzeczywistości. Czuję się obnażona. Ale wiem, że muszę się skupić i odpowiadać na jej pytania. Nawet jeśli mi się nie podobają.

– Tyle że ja się nie załamałam, w przeciwnym razie nie byłoby ze mnie zbyt wiele pożytku – odpowiadam. – To pierwsza zasada dziennikarstwa: pozostać bezstronnym.

Notuje coś i zastanawiam się, czy w moich próbach zachowania równowagi nie zaczynam brzmieć zbyt chłodno i obojętnie. Czyż brak emocji nie jest cechą psychopatyczną? Postanawiam zmienić taktykę, nieco złagodzić swój wizerunek i przeciągnąć ją na swoją stronę.

– Utkwiła mi w głowie Layla. Mała dziewczynka, która straciła obie nóżki, kiedy pocisk trafił w jej dom.

Shaw podnosi wzrok, zaskoczona, że zaczęłam mówić z własnej woli.

– Była taka odważna – opowiadam dalej. – Wciąż się uśmiechała, pomimo bólu. Pamiętam, jak uścisnęła mi dłoń i powiedziała coś, czego nie zrozumiałam. Powtarzała to w kółko, więc kiedy nadszedł lekarz, poprosiłam, żeby mi to przetłumaczył. Powiedział, że pytała mnie, gdzie schowałam jej nóżki i kiedy dostanie je z powrotem.

Shaw potrząsa głową i wydobywa z siebie przeciągłe, głębokie westchnienie, westchnienie matki, która wie, że jej dzieci są bezpieczne w domu.

– Miała cztery latka i była sama jak palec w jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc na ziemi. Reszta rodziny zginęła w ataku. Nikt nie wie, jakim sposobem przeżyła. Siedziałam przy jej łóżku, słuchając, jak jęczy z bólu. – Wypijam łyk wody i próbuję się uspokoić, ponieważ jęki Layli wypełniają pokój. – Brakowało środków przeciwbólowych i kauteryzowali kikuty jej nówek bez znieczulenia. W pewnym momencie sięgnęłam do plecaka i wyciągnęłam trzy opakowania taniego paracetamolu. Kiedy przyszedł lekarz,

wręczyłam mu je, a on spojrzał na mnie, jakbym właśnie wystarała się o lek na raka. Patrzyłam na Laylę i zastanawiałam się, jaka przyszłość czekała to osierocone dziecko bez nóg w kraju, w którym wrzała...

Jęki stają się coraz głośniejsze, zagłuszają moje słowa. Przykładam dłonie do uszu, próbuję je powstrzymać, ale one wydają się przybierać na sile.

– Kate.

Głos Shaw jest przytłumiony hałasem.

– Przestańcie, proszę – krzyczę do tych głosów. – Proszę, po prostu przestańcie.

Czuję dłoń Shaw na swoim ramieniu i podnoszę wzrok.

– Co to jest, Kate? – pyta łagodnie. – Powiedz mi.

Potrząsam głową. Nie może się dowiedzieć.

– Dobrze się czujesz? – naciska.

– Ja tylko... – tłumaczę się z drżącymi rękami. – Potrzebuję po prostu chwili przerwy. Czy możemy zrobić przerwę?

– Oczywiście – zgadza się Shaw. – Możemy zrobić pięć minut przerwy.

Wraca na swoje miejsce, zbiera rzeczy i wychodzi z pokoju. Chwilę później jakiś krępy policjant wchodzi, żeby zająć jej miejsce. Stoi przy drzwiach, patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi.

Tymczasem jęki stają się coraz głośniejsze i kiedy tak siedzę pod jego czujnym spojrzeniem, jestem równie bezradna jak mała Layla zastanawiająca się, gdzie się podziały jej nóżki.

Środa, 15 kwietnia 2015

Ostatniej nocy nie słyszałam głosów. Zdaje się, że to dobra wiadomość, ale one stały się tak nieodłączną częścią mnie, że w osobliwy sposób do nich przywykłam. A jednak wcale nie spałam spokojnie. Śniło mi się Aleppo i był to najbardziej realistyczny sen, jaki miałam do tej pory. Tak żywy, że nawet teraz, kiedy siedzę, tuląc w ramionach filiżankę kawy i spoglądając przez okno na wilgotną przestrzeń podmiejskiego ogrodu mojej matki, nadal jestem wstrząśnięta. A kiedy zamykam oczy, czuję stęchły zapach sypialni i słyszę delikatne tur tur tur, kiedy mały chłopiec puszcza swoje samochodziki wzdłuż korytarza.

Nidal bawi się w korytarzu, a kiedy stoję nad nim, zasypuje mnie gradem pytań:

– Jak wygląda Anglia, Kate? Jacy są ludzie?

– Och, nie wiem. Niektórzy są mili, inni gburowaci.

– Co to znaczy „gburowaci”?

Robię minę i sznuruję usta.

– Tak to wygląda – wyjaśniam. – Zawsze bez uśmiechu.

– Ach, nieszczęśliwi – domyśla się i minka mu rzędzie. – Dlaczego są nieszczęśliwi?

– Cóż, w Anglii ludzie często narzekają. Często na rzeczy, które tak naprawdę nie są ważne.

– Na przykład na co?

– Och, na przykład na spóźniające się pociągi i kiepską obsługę w restauracjach, i na pogodę. Wszyscy w Anglii narzekają na pogodę.

– Czy w Anglii jest zimno?

– Czasami. Chociaż narzekamy, i kiedy jest gorąco, i kiedy jest zimno.

– Anglicy są chyba zabawni – zauważa, a na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Tak, są. Ale pewnego dnia sam to zobaczysz. Możesz mnie odwiedzić.

– Może – odpowiada Nidal. Wzrusza ramionami i odwraca się.

– O co chodzi, Nidal? Powiedz.

Klękam obok niego i kładę mu dłoń na ramieniu.

Odwraca się, a jego twarz jest zalana łzami.

– O to chodzi – krzyczy, wskazując gestem dłoni na zimny i zawilgocony korytarz.

– Kiedyś chodziłem do szkoły. Grałem w piłkę nożną i jeździłem na szkolne wycieczki. Robiłem prawdziwe rzeczy, wesołe rzeczy. Teraz jestem uwięziony tutaj razem z tym samochodzikiem. – Bierze do ręki resoraka i ciska nim o ścianę. – Nie chcę robić wszystkiego na niby, chcę znowu robić wszystko naprawdę. Nie chcę siedzieć pod kluczem jak jakiś więzień.

Biorę go za rękę. Drży.

– Nidal, wiem, że jesteś przerażony, ale to nie będzie trwało wiecznie.

Wyrywa rękę z mojej dłoni.

– Moja ciotka chce, żebyśmy pojechali z nią do Turcji – wyjaśnia. – Zna jakiegoś człowieka, który może nas tam zawieźć, ale tata, on mówi, że nie możemy. Mówi, że zostaniemy tutaj, aż będzie już po wszystkim; że nie chce zostać uchodźcą.

Khaled jest dumnym mężczyzną, myślę sobie, chociaż z całego serca chciałabym, żeby poszedł za radą ciotki i wyjechał do Turcji.

– Mama mówi, że powinniśmy pojechać – opowiada dalej łamiącym się głosem. – Mówi, że tam będziemy bezpieczni i że znowu będę mógł grać w piłkę.

Kiedy tak na niego patrzę, na jego oczy pełne nadziei, przypominam sobie obóz dla uchodźców na granicy tureckiej, w którym byłam sześć miesięcy temu. Panował tam chaos i szerzyły się choroby, a obóz był zatłoczony zrozpaczonymi ludźmi, których martwy wzrok mówił mi, że widzieli rzeczy, jakich nie byłabym sobie w stanie wyobrazić. To nie jest raj, który wyobraża sobie Nidal, ale zapewniłby bezpieczeństwo, schronienie i szansę dla Khaleda i Zajnah, żeby zaczęli na nowo układać swoje życie. Lecz wiem, że Khaled już podjął decyzję.

– Twój tata wie, co jest dla ciebie najlepsze – tłumaczę Nidalowi, próbując dodać mu otuchy.

– Myślisz, że to jest najlepsze? – krzyczy, wskazując na wilgotny korytarz. – Nie mogę tego znieść. Chcę stąd wyjść.

– Wyjdiesz – mówię łagodnie. – A kiedy już to zrobisz, możesz przyjechać w odwiedziny do mnie, do Anglii, i spotkać wszystkich tych gburowatych ludzi, o których ci opowiadałam.

Podnosi na mnie wzrok. Ma buzię spuchniętą od łez.

– Nie – krzyczy. – Przestań tak mówić. Przestań mówić, że oni nie są szczęśliwi. Oni *muszą* być szczęśliwi. Przecież mieszkają w Anglii.

– Nidal, skarbie – mówię, obejmując ręką jego ramiona. – Proszę, nie martw się.

Ale on mnie nie słyszy. Zatyka uszy dłońmi i potrząsa głową z wściekłością.

– Nie chcę już z tobą rozmawiać – oznajmia. – Mówisz głupie rzeczy. Po prostu odejdz. Zostaw mnie w spokoju.

Kiedy wstaję, delikatnie dotykam jego ramienia, a potem zmierzam do wyjścia. Gdy dochodzę do końca korytarza, oglądam się za siebie. On wciąż tam jest, wciąż potrząsa głową, i uświadamiam sobie, jaka byłam niedelikatna. Dlaczego powiedziałam mu o tym, że ludzie w Anglii są nieszczęśliwi? Czy nie potrafiłam dostrzec tego, że dla niego, małego chłopca uwięzionego w strefie wojny, myśl o tym, że ktokolwiek jest nieszczęśliwy w tak bezpiecznym miejscu jak Anglia, była zbyt trudna do zniesienia?

Walenie w drzwi wejściowe przerywa to wspomnienie. Wstaję i wstawiam pustą filiżankę po kawie do zlewu. To pewnie Paul przyjechał zabrać mnie do prawników.

Otwieram drzwi, a on mnie przytula.

– Dzisiaj rano lepiej wyglądasz – stwierdza. – Dobrze spałaś?

– Tak – kłamię. – Chociaż mewy są dość hałaśliwe.

– Jeden z minusów mieszkania nad morzem – mówi ze śmiechem, wchodząc do środka.

Coś jest jednak nie tak. Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiają się, kiedy spogląda za siebie na podjazd.

– Wszystko w porządku, Paul?

– Tak, wszystko dobrze – odpowiada. – Chodzi o to, że troszkę się śpieszę, i tyle. Mamy braki w personelu w pracy i powiedziałem chłopakom, że będę najpóźniej za dwie godziny. – Spogląda na zegarek.

– Och, trzeba było powiedzieć, wzięłabym taksówkę.

– Nie wygłupiaj się, nie chcę nawet o tym słyszeć – protestuje. – Ci goście zachowują się czasem jak banda frajerów, a ja już wystarczająco dużo pracuję po godzinach.

– Skoro jesteś pewien...

– Jestem pewien – potwierdza. – A teraz chodź, weź płaszcz. Szybko, pośpiesz się. Biorę płaszcz z szafy w przedpokoju i potykam się o swoją torbę.

– Niech to szlag.

– Zaczekaj, pozwól, że ci pomogę. – Paul przykuca obok mnie i zaczyna podnosić różne przedmioty, które wypadły na podłogę. Podaje mi opakowanie tabletek i mruży oczy, kiedy pośpiesznie wrzucam je do torebki.

– Z pewnością jeszcze do tego nie doszło, skarbie? – odzywa się, kiedy stajemy na nogach. – Takie rzeczy nie są dla ciebie dobre. Właściwie są niebezpieczne. Mogłoby się skończyć przedawkowaniem.

– Wiem, co robię – bronię się, podczas gdy on otwiera drzwi. – Jestem już dużą dziewczynką. Nie potrzebuję kasku bezpieczeństwa.

– Tak, jasne, ale nawet duże dziewczynki mogą się wpakować w kłopoty – stwierdza, potrząsając głową. – Zdaje się, że masz tutaj dość trudnych przeżyć.

– Wszystko w porządku, naprawdę, Paul – uspokajam go, kiedy wychodzimy na zewnątrz. – Nie musisz się martwić.

Ale kiedy podchodzę bliżej do drzwi, o czymś sobie przypominam.

– To zajmie tylko sekundkę – oznajmiam mu, wbiegając z powrotem do domu.

– Muszę tylko zabrać moje pióro na szczęście.

– Pióro na szczęście? – woła ze schodka przed drzwiami wejściowymi. – Słyszałem to...

Wchodzę do salonu i rzucam okiem na stolik kawowy, gdzie ostatnio je położyłam, lecz tam go nie ma.

– Dziwne... – zastanawiam się. – Jestem pewna, że zostawiłam je tutaj dzisiaj rano.

– Och, daj spokój – niecierpliwi się Paul, wchodząc do pokoju. – Spóźnimy się. Pożyczę ci mojego bica na szczęście.

Szczerzy zęby w uśmiechu i sięga do kieszeni, wyjmując stary długopis z obgryzioną skuwką. Biorę go i wkładam do swojej kieszeni. Gdzie ono może być? Dobrze pamiętam, jak kładłam je tutaj obok bloczku do notowania.

– Nie wiem, co zrobię, jeśli je zgubiłam – żalę się Paulowi, kiedy idziemy z powrotem do wyjścia.

– Och, znajdzie się – pociesza, zamykając drzwi na klucz. – Takie rzeczy zawsze się znajdują.

Kiwam głową, ale kiedy podchodzimy do samochodu, złe przecucie ściska mnie w żołądku.

– Przypomnij sobie, co robiłaś, po kolei – proponuje Paul, wskazując na zegarek kieszonkowy po stronie kierowcy. – U mnie zawsze to działa.

Kiedy certoli się z ustawianiem lusterka i upewnianiem się, że ma dobrze zapięty pas, wyjmuję telefon i sprawdzam, czy mam jakieś wiadomości. Żadnych. Zaczynam pisać esemesa, ale mam tyle do opowiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. Kasuję wiadomość i chowam telefon do torebki, kiedy Paul włącza silnik samochodu.

– Coś ważnego? – pyta Paul, kiedy powoli ruszamy z miejsca.

– Nie – odpowiadam. – Może zaczekać.

Paul włącza radio i samochód wypełnia trzeszczący głos didżeja, a ja jestem w stanie myśleć jedynie o moim piórze na szczęście. To jakiś omen, mówię sobie. Może moje szczęście w końcu się wyczerpało.

Smętne słońce wisi na późnopołudniowym niebie. RzUCA słabe światło na powierzchnię wody, kiedy siedzę na ławce, obserwując, jak ostatnia łódź rybacka wpływa do zatoki.

Poprosiłam Paula, żeby wysadził mnie nad brzegiem morza w drodze powrotnej z kancelarii notarialnej, gdzie spędziłam godzinę, pijąc letnią herbatę i słuchając treści testamentu mojej matki. Kiedy dokumenty zostały podpisane, zadowolona młoda kobieta o imieniu Maria wręczyła mi kopertę – list od mojej matki. To był szok. Nie spodziewałam się, że mama zostawi dla mnie list.

Paul zaproponował, że zostanie ze mną, kiedy będę go czytać, ale wiedziałam, że muszę zostać sama, że chcę zostać sama, by usłyszeć jej ostatnie słowa. Zabrałam więc siebie i list na ławki przy Ramieniu Neptuna, ponadpółtorakilometrowym pasie falochronu, gdzie siadywałyśmy z matką, jeszcze zanim urodziła się Sally, by przyglądać się wpływającym łodziom. To miejsce jakimś sposobem wydawało mi się odpowiednie.

Wiatr jest lodowaty i niczym pełna złości dłoń gwałtownie smaga mnie po twarzy, kiedy tak siedzę z zaklejoną kopertą na kolanach. Jakies pół metra poniżej rybacy gderają i przekrzykują się, wyciągając na brzeg ciężkie sieci pełne fląder i węgorzy srebrzystych, i płoszą mewy, które węsząc w powietrzu zapach śmierci, kłębią się niemiłosiernie nad ich głowami.

Ptaki lamentują w duecie z wyjąłym wiatrem. Ten okrutny, brutalny dźwięk zawsze przywodzi mi na myśl szakale, które znienacka napadały na wozy z ciałami zmarłych w trakcie głodu w 1984 roku, wydziobując resztki mięsa z wyniszczonych ciał dzieci. Pamiętam, jak leżałam na podłodze w salonie, oglądając te sceny, które rozgrywały się przed moimi oczami, podczas gdy za mną Sally bawiła się lalkami, obojętna na te potworne obrazy, które już wtedy zapadały mi głęboko w pamięć. W pewnym momencie przerwała zabawę i pokazała palcem na ekran, gdzie jakiś mały chłopiec z wychudzonymi nogami i spuchniętym brzuszkiem odganiał muchy ze swojej twarzy. „Gdzie jest jego mamusia?”, zapytała, a ja powiedziałam jej swoim rzeczowym tonem, że jego matka prawdopodobnie nie żyje. „Jak ona umarła?”, zapytała Sally. A ja wyjaśniłam jej, że umarła z głodu, że słońce wysuszyło ziemię, że nie spadł deszcz i zboże, którego potrzebowali do przeżycia, wyschło i obumarło. „Czy mamusia umierała z głodu”, zapytała, „kiedy zmarł dzidzius David? Czy nasze zboża wyginęły?”. Uciszyłam ją, ponieważ usłyszałam kroki ojca w korytarzu, i przełączyłam kanał na jakiś teleturniej,

gdzie mężczyzna w błyszczącym garniturze pokazywał płaczącej kobiecie, co może wygrać.

Morze poniżej mnie głucho łomocze, a odgłos uderzających o brzeg fal przypomina dźwięk niewielkich wybuchów. Bum, przerwa. Bum, przerwa. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że ten dźwięk mnie usypia. Sprawia, że czuję się bezpiecznie. W końcu rozrywam kopertę i wyglądam na kolanach papier w kolorze lawendy, a kiedy widzę odręczne, charakterystycznie ozdobione zawijaszami pismo mojej matki, serce zaczyna mi łomotać w takt uderzeń fal.

30 września 1993

Najdroższa Kate!

Piszę ten list w naszym ulubionym miejscu – w dużym, starym, zielonym fotelu, w którym karmiłam Cię piersią, gdy byłaś niemowlęciem, i gdzie siadywałaś jako nastolatka i czytałaś swoje książki. Nadal Cię tam widzę, nieruchomą niczym posąg, zatopioną w swoich historiach o duchach. Czasem mnie to przerażało, ten Twój spokój, aż musiałam zawołać Cię po imieniu, żeby sprawdzić, czy nadal tam jesteś, czy nie odpłynęłaś do jakiegoś odległego lądu.

Śmierć Twojego ojca skłoniła mnie do uporządkowania moich spraw i napisania testamentu, ale chciałam także zostawić list dla Ciebie, list, który miałabyś odczytać już po mojej śmierci.

On odszedł, Kate, i jednocześnie z jego odejściem chcę Cię prosić o wybaczenie. W dzieciństwie widziałaś rzeczy, których żadne dziecko nie powinno oglądać. Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, czego byłaś świadkiem, a Twoje milczenie przerażało mnie bardziej niż jego pięści. Martwiłam się tym, że odcisnęło to na Tobie tak ogromne piętno, że nigdy nie dojdiesz do siebie.

Ale Kate, chociaż on był potworem, to jego gniew miał swoje źródło. Stracił swoje dziecko, swojego ukochanego Davida, i chociaż mówiliśmy Wam, Tobie i Sally, że to był tragiczny wypadek, to jednak nie jest to do końca prawda. Zaraz zrozumiesz, że to przeze mnie David zginął i że od tamtej pory przez cały czas żyję z poczuciem winy.

Słowa zacierają się, ponieważ wiatr podrywa do góry brzegi kartki i muszę mrużyć oczy, żeby je odczytać. Oto i ona – stara rana, która nigdy nie została uleczona. Przekonywanie i błaganie, poczucie winy i smutek, wszystko to przebija z listu mojej matki, dziesiątki lat pokuty zapisane niebieskawozielonym atramentem.

Byliśmy na plaży Reculver, jak wiesz. Ty, ja i David. Zobaczył łódź. Krzyczał bez ustanku: „Łódka, łódka!”. I zobaczyłam ją, łódź rybacką gdzieś tam w oddali, na morzu.

Odparłam: „Tak, Davidzie, ładna łódka”. Ale dziesięć minut później już o tym zapomniałam. Budował zamek z piasku, a Ty kręciłaś się wokół moich stóp, zbierając muszelki. Tamtego dnia byłam wykończona, sprawy z Twoim ojcem były trudne. Dzień był upalny i czułam się taka zmęczona, że usiadłam sobie w cieniu przy skałach... Nie miałam zamiaru zasnąć... przysięgam... ale zasnęłam, a kiedy się obudziłam, David zniknął mi z oczu. Biegałam wzdłuż plaży, wołając głośno jego imię.

Wstaję, nadal trzymając w dłoniach list. Brzeg falochronu jest szeroki i odsłonięty. Przez chwilę stoję, spoglądając na powierzchnię mętnej wody, i próbuję pojąć to, co właśnie przeczytałam. Moja matka zasnęła? Moja wrażliwa, nadopiekuńcza matka zasnęła, mając pod opieką dwoje malutkich dzieci. Nie, to nie ma sensu.

Podeszłaś wtedy bliżej do fal. Przebiegłam obok Ciebie, wbiegając do wody i cały czas wołając Davida. Kilka chwil później go zobaczyłam. Pływał w morzu twarzą do dołu. Chciałam do niego pobiec, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wydawało się, jakby wszystko zwolniło tempo. Słyszałam, jak krzyczysz i jak jakiś mężczyzna woła, ale wciąż nie mogłam się ruszyć.

Następną rzeczą, jaką zauważyłam, była łódź rybacka i jakiś człowiek, który machał rękami. Wyciągnął Davida. Wyciągnął go z wody. Ty też byłaś w tej łodzi. Ten mężczyzna zrobił to, czego ja nie byłam w stanie zrobić. Zabrał moje dzieci w bezpieczne miejsce. Ale kiedy dołynął do skał, spojrzał na mnie i potrząsnął głową. I kiedy to zrobił, moje stopy w końcu odzyskały sprawność. Podbiegłam do łodzi... tyle że było za późno... David nie żył.

To była moja wina, Kate. Zasnęłam, podczas gdy powinnam była opiekować się moimi dziećmi. Tamtego dnia byłam złą matką i chcę przeprosić Cię za cały ból i cierpienie, którego musiałaś doświadczyć przez moje zaniedbanie.

Będę tego żałować aż do dnia mojej śmierci.

Ostatnie zdanie czytam ogłuszona.

Starannie składam list i chowam go do kieszeni. Niebo jest przesłonięte postrzępionymi chmurami, przez które światło słońca sączy się na łodzi rybackie, na chwilę zamazując ich nazwy.

Chwytam się mocno niebieskich barierek i badam wzrokiem cętkowany horyzont. Po przeczytaniu listu linia brzegowa nagle nabiera dla mnie nowego znaczenia. To, co kiedyś było miejscem szczęścia i ucieczki, teraz zostało splamione. Spoglądam w dal na wybrzeże, w stronę bliźniaczych wież Reculver, sterczących na klifie pozostałości rzymskiej twierdzy, i drzę, kiedy przypominam sobie naleganie mojej matki, żebyśmy co niedzielę jechały na wąski pas plaży, który biegnie poniżej. Kiedy dorastałam, przypuszczałam, że moja matka wykorzystuje te niedzielne wycieczki jako wymówkę, żeby uciec przed humorami mojego ojca. Teraz wiem, że były czymś o wiele bardziej

traumatycznym.

Siedzę na brzegu Ramienia Neptuna, przyglądając się, jak moje stopy dyndają nad taflą morza. Czego oczekiwałam od mojej matki? Słów pocieszenia? Ciepłej herbaty, żeby ukoić nocne koszmary?

Przechodzę dalej wzdłuż krawędzi falochronu i wyjmuję list z kieszeni. Poniżej stara rybacka łódź podskakuje bez celu na powierzchni wody. Spoglądam w dół na pustą drewnianą łupinę i usiłuję przypomnieć sobie matkę, próbuję przywołać obraz tej łagodnej niczym wróbelek kobiety, która dała mi życie, ale jej tutaj nie ma. Nie mogę jej znaleźć.

Zgniatam list w kulkę i podnosząc do góry otwartą dłoń, obserwuję, jak wiatr porywa papier i unosi go wysoko, na drugi koniec muru okalającego zatokę, coraz wyżej, niczym mewę, która przekręca się i obraca w słonym powietrzu.

W miarę jak niebo zasnuwa się chmurami i zapala się światło latarni morskiej, przed moimi oczami wyłania się obraz wyludnionej ulicy o zmierzchu i cienie dwóch żołnierzy z uniesioną bronią, wydłużające się na betonie. Jestem znowu w Aleppo i wpatruję się tępo w otchłań. Zasłaniam dłońmi oczy i zaczynam liczyć, chcąc, żeby te obrazy zniknęły.

Muszę się stąd wydostać.

Wracam na nadmorski bulwar i stoję przez chwilę na podeście, przyglądając się, jak przyplływają łodzie rybackie. Grupa rybaków stoi na falochronie. Palą papierosy. Jeden z nich, najbardziej przysadzisty, ubrany w niebieski sweter zrobiony ścięciem warkoczowym, podnosi wzrok i dostrzega mnie. Kiwa głową i rozpoznaje go.

To Ray Morris. Stary kumpel taty.

– Ray! – wołam, machając ręką.

Gasi papierosa i przechodzi po kamieniach w moim kierunku.

– Nie wierzę, czy to córka Denny’ego? – mówi. – Mała Kate? Jak się masz?

Ma wilgotną i różową skórę, a jego oczy, w których odbijają się ostatnie promienie popołudniowego słońca, są jasnoniebieskie i szkliste. Zdejmuje czapkę i ściska moją dłoń. Ma szorstkie i stwardniałe dłonie, jakby spędził całe życie zanurzony w słonej wodzie. Ostatni raz widziałam go w wieczór przed moim wyjazdem na uniwersytet. Przyjechał z rybami i mama zaprosiła go, żeby został na kolację. Unikałyśmy siadania przy stole w jadalni, odkąd rok wcześniej zmarł mój ojciec. Zbyt wiele nieprzyjemnych wspomnień... Ale tamtego wieczoru moja mama się postarała i postawiła na stole najlepszą chińską porcelanę. Był to pierwszy cywilizowany posiłek, jaki zjadłyśmy od wielu lat. I mój ostatni w tym domu.

– U mnie wszystko w porządku – odpowiadam, nagle znowu czując się jak dziecko.

– Co tam porabiasz? – pyta. – Ostatnie wieści, jakie słyszałem, to że byłaś w samym środku jakiejś wojny.

– Jestem tutaj od kilku dni – wyjaśniam. – Porządkuję sprawy mamy.

– Wiadomość o odejściu twojej matki była straszna – wyznaje, patrząc w dal, w kierunku horyzontu. – Okropna. Była dobrą kobietą.

– Tak – szepczę, usiłując nie myśleć o liście. – Była.

– Przepraszam, że nie przyszedłem na pogrzeb – tłumaczy się, wkładając czapkę na głowę. – Ja po prostu... Cóż, nigdy nie było mi blisko do Kościoła i tego wszystkiego...

– Nie martw się – odpowiadam. – Mnie też nie było.

– Aha – kwituje.

– Byłam w Syrii.

Kiwa głową.

– Wszyscy tutaj czytamy twoje relacje – chwali się, wskazując na swoich towarzyszy na plaży. – To musi być tragiczne, co?

Uśmiecha się, a ja ledwo powstrzymuję łzy. Coś w jego głosie przypomina mi mamę.

– Miło na chwilę się od tego oderwać – przyznaję. – Mieć odrobinę normalności.

– A jak tam twoja siostra? – pyta. – Sally, tak? Czy ona też się wyprowadziła?

– Nie – odpowiadam. – Ostatnio trzyma się z dala od innych.

– Pracowała kiedyś w banku przy głównej ulicy, prawda?

– Tak, pracowała – przyznaję. – Odeszła z pracy kilka lat temu. Myślę, że miała kaprys, żeby coś zmienić.

– Nie obwiniaj jej – mówi Ray, marszcząc brwi. – Nie sądzę, żebym jeszcze długo się tym zajmował. Zaraz stuknie pięćdziesiątka. Mniej dostajesz za morderstwo. A jednak to zajęcie zapewnia mi przyzwoite życie.

– Która należy do pana? – pytam, wskazując gestem na łodzie leżące na kamienistym brzegu do góry dnem.

– Tamta obok skał – mówi, wskazując na małą czarno-białą łódkę.

Wyteżam wzrok, żeby odczytać zygzakowaty napis na burcie, ale nie daję rady.

– Jak się nazywa? – pytam.

– „Acheron” – wyjaśnia, a na jego twarzy pojawia się niewyraźny uśmiech.

– Rzeka bólu? – wykrzykuję. – Dość ponura nazwa...

– Tak – przyznaje. – A jednak właściwa. Ludzie zapominają o tym, jak złowrogie potrafi być morze.

Przerywa, a ja obserwuję, jak patrzy w dal. Jest solidny jak skała, jakby setki lat temu wyrzeźbiono go z klifów z piaskowca i pozostawiono, żeby wietrzył na słonym powietrzu.

– To musi być ciężka praca – stwierdzam.

– Ma swoje wzloty – odpowiada. – Trzeba jednak pamiętać, że bez względu na wszystko nigdy nie poskromisz tej bestii. – Wskazuje na wodę. – Zawsze będzie mieć ostatnie słowo.

Mam zamiar odpowiedzieć, ale wiatr połyka moje słowa. Jeden z rybaków woła Raya, a ten podnosi rękę.

– Dobra, Jack! – Odwraca się do mnie. – Jestem potrzebny – wyjaśnia. – Dobrze było cię zobaczyć, skarbie.

Poklepuje mnie po ramieniu i uśmiecha się.

– Pana też, Ray – odpowiadam, nagle znów czując się przy nim taka mała.

– Pamiętaj, żebyś pozdrowiła ode mnie serdecznie Sally, kiedy się z nią zobaczysz

– prosi. – A wy dwie opiekujcie się sobą nawzajem. Teraz wasza mama odeszła i musicie się trzymać razem. Najważniejsza rzecz na świecie to rodzina.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym kiwa głową i idzie dołączyć do pozostałych przy łodziach.

Słowa Raya dzwonią mi w uszach, kiedy idę z powrotem wzdłuż falochronu.

Najważniejsza rzecz na świecie...

Mijam grupkę dzieci, które zarzucają żyłki na kraby przez krawędź pomostu. Dwie małe dziewczynki zaczynają sprzeczać się o poplątaną żyłkę, ale starsza przejmuje odpowiedzialność i zaczyna ją rozplątywać. Kiedy idę dalej, wiem, że muszę to zrobić. Wyjmuję telefon i pośpiesznie wstukuję krótki tekst:

Wpadnę.

A potem wkładam telefon do kieszeni i machnięciem ręki zatrzymuję taksówkę. Wiem, że to nie będzie łatwe, ale muszę z nią porozmawiać, potrzebuję tego. Ray ma rację. Została mi tylko ona.

Posterunek policji w Herne Bay Osiemnaście godzin od zatrzymania

– Może szklanek wody?

Odwracam się od okna i próbuję się uspokoić.

– Nie, dziękuję, wszystko dobrze – odpowiadam, ale kiedy odwracam się w stronę niebieskiego plastikowego krzesła, obrazy przelatują mi szybko w głowie jak przewijany do przodu film. Łupie mi w czaszce, lecz próbuję nie pokazywać Shaw swojej niedyspozycji. Muszę sprawiać wrażenie, że panuję nad sobą, inaczej będę załatwiona.

– Dobrze – mówi Shaw, splatając dłonie. – Opowiedziałyśmy sobie nieco o pani ostatnim dniu w newsroomie. Czy dobrze myślę, że trzy dni później wyjechała pani do Aleppo?

Żołądek mi się skręca, ale próbuję zachować spokój. To wywiad, a ja jestem dziennikarką. Nie przekracza to moich możliwości. Jeśli będę trzymać się w ryzach, mogę zrobić to, co zawsze robię z przebiegłymi rozmówcami, czyli przejrzeć jej zamiary.

– Zgadza się.

– To było bardzo ryzykowne zadanie – stwierdza Shaw. – Rozumiem, że została pani nielegalnie przerzucona przez Turcję do Syrii.

Nie ma zamiaru odpuścić. Chociaż każda cząstka mnie chce uniknąć rozmowy na temat Syrii, wiem, że zmusi mnie do tego. Ale powiem jej tylko to, co chcę powiedzieć. Nic więcej.

– Skąd pani wie, że zostałam przeschmuglowana do Syrii?

Ma zamiar odpowiedzieć, po czym zerka do swoich notatek. Przez kilka chwil je wertuje i podnosi wzrok.

– Harry Vine powiedział funkcjonariuszom, kiedy się z nim skontaktowali – wyjaśnia, składając kartkę papieru.

To wydruk mojej ostatniej depechy. Harry musiał im to przesłać.

– Wygląda na to, że Harry jest bardzo pomocny – stwierdzam z pustym śmiechem.

Utrzymuję z nią kontakt wzrokowy najdłużej, jak potrafię. Nie może się dowiedzieć, że właśnie rozpadam się na kawałki.

– Zdaje się, że rejon, w którym pani przebywała, stanowił cel ataków – mówi dalej, wytrzymując mój wzrok. – I był mocno bombardowany.

Kiwam głową.

– I większość nocy spędzała pani, ukrywając się w piwnicy, która należała do właściciela sklepu i jego rodziny.

– Tak.

– Sklepiarz miał małe dziecko – kontynuuje. – Małego chłopca.

Chcę, żeby przestała. Chcę na nią krzyknąć, ale muszę zachować spokój. Muszę.

– Zdaje się, że przywiązała się pani do tego chłopca, prawda, Kate?

Widzę jego drobną buzię, która spogląda na mnie przez drzwi, skrawek papieru w jego rączkach. *Przyniosłem ci prezent, żebyś zabrała go do Anglii, żeby rozweselić tych*

gburowatych ludzi.

– Byłam tam w pracy, doktor Shaw.

To się nazywa księga uśmiechów. Zobacz.

– Ale dzieci są inne – mówi dalej. – Bardziej bezbronne niż dorośli. Potrzebują, żeby je chronić.

Mama powiedziała, że jesteś smutna. Rozweselę cię.

Chrząkam i jego głos cichnie.

– Tak, są.

– W swojej pracy dużo uwagi poświęca pani dzieciom, prawda?

– Tak – przyznaję.

– Dlaczego?

– Ponieważ to one są ofiarami, niewinnymi biernymi widzami – wyjaśniam.

– Kiedy spotyka się dzieci, które żyją w miejscu ogarniętym wojną, człowiek dostrzega, jakie to jałowe. Dzieci nie dostrzegają granic ani podziałów. Nie są związane lojalnością wobec własnej społeczności czy polityki. Chcą po prostu się bawić, chodzić do szkoły, czuć się bezpieczne.

Shaw przez chwilę milczy, po czym z głową przekrzywioną na bok uśmiecha się do mnie.

– Czy ma pani dzieci?

– Nie. Pewnie pani o tym wie.

– A jednak jasno widać, że żywi pani do nich sympatię, co jest niezwykle, biorąc pod uwagę, że nie została pani jeszcze matką.

– Tutaj nie chodzi o bycie matką, doktor Shaw – odpowiadam. – Chodzi o bycie człowiekiem.

– Chciałaby pani zostać matką?

– Nie.

Panuję nad swoim głosem, chociaż chcę wrzeszczeć i krzyczeć, tak bardzo boli. Niech ktoś ją uciszy. Proszę, uciszcie ją.

– I nie jest pani zamężna?

Potrząsam głową.

– W związku?

– Chryste, co to wszystko ma wspólnego z tym, dlaczego tutaj jestem? – warczę.

Potem się powstrzymuję, obniżam ton głosu. – Dlaczego nie traktujecie mnie poważnie? Wiem, że mam... problemy, ale musicie przeszukać ten dom.

– Proszę, niech pani tylko odpowie na moje pytanie, Kate. Czy teraz jest pani w jakimś związku?

– Nie – odpowiadam, siadając na dłoniach, żeby powstrzymać ich drżenie. – Nie, nie jestem w żadnym związku.

Środa, 15 kwietnia 2015

Przyjeżdżam pod dom Sally tuż po piętnastej. Ulica jest opustoszała. Mieszka na jednym z tych nowo wybudowanych osiedli, na których każdy dom wygląda tak samo. Osiedle jest położone w ślepej uliczce, a dom Sally stoi na samym środku zakrętu, wciśnięty pomiędzy dwa inne domy, które nachylają się ku niemu z obu stron. Kiedy pukam do drzwi i czekam, czuję się tak, jakby śledziło mnie tysiąc par oczu.

Nikt nie otwiera, ale wiem, że ona tam jest. Musi tam być. Paul twierdzi, że nigdzie nie wychodzi. Pukam jeszcze raz, tym razem mocniej, lecz nadal nikt nie otwiera. W końcu nachylam się i wołam ją po imieniu przez otwór na listy.

– Sally, to ja, Kate. Wpuśćisz mnie?

W korytarzu panuje cisza i brak jakiegokolwiek znaku życia. Zamykam skrzynkę na listy, a gdy się prostuję, dostrzegam jakąś kobietę, która idzie po podjeździe sąsiedniego domu.

– Nie odpowie – wyjaśnia mi, podchodząc bliżej. – Może pani walić do drzwi i robić tyle hałasu, ile pani chce, ale ona i tak nie przyjdzie.

Spoglądam na nią. Postawna kobieta ze schludnie obciętymi siwymi włosami. Bluzka z jaskrawym wzorem przypomina mi jedną z tych, które nosiła moja mama, ale ta kobieta nie ma w sobie ani krzty łagodności mojej mamy. Zakłada ręce i stoi tam, mierząc mnie wzrokiem.

– Jestem jej siostrą – wyjaśniam jej. – Wie, że mam przyjść. Mogę zaczekać.

– Wychodzi tylko w nocy, kiedy jest ciemno – mówi dalej, a potem potrząsa głową i wzdycha, jakby wychodzenie z domu w nocy było śmiertelnym grzechem. – Wymyka się, kiedy myśli, że nikt jej nie widzi – kontynuuje. – Ale ja ją widzę. Doprowadziła się do potwornego stanu. Ma brudne ubrania i rozczochrane włosy, i jeździ samochodem, chociaż jestem pewna, że nie jest w stanie prowadzić. Mówią, że spędza całe dni na picciu alkoholu. Zamieniłam kilka słów z jej partnerem, jak on ma na imię?

– Paul – wyjaśniam, nie spuszczając wzroku z drzwi.

– Właśnie. Paul – mówi dalej kobieta. – Ale on rzadko tutaj bywa, więc nie widzi tego, co ja widzę. Twierdzi, że ona ma depresję... tyle że on nie widzi, jak wypada z drogi, jadąc samochodem z siatkami pełnymi butelek. Depresja? W moich czasach było na to inne słowo, a i nie kończyło się to dobrze... Mówi pani, że jest jej siostrą? Nigdy nie widziałam pani w okolicy.

– Mieszkam w Londynie – wyjaśniam, próbując ukryć pogardę, którą coraz bardziej słyszę w moim głosie. – I pracuję w terenie. Proszę posłuchać, przepraszam, że zaniepokoiłam panią tym pukaniem, ale wszystko jest w porządku. Pójdę od tyłu i sprawdzę, czy nie ma jej w ogrodzie.

Tyle że kobieta jeszcze nie skończyła. Zaczyna opowiadać, do jakiego stanu został doprowadzony ogród w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

– Proszę posłuchać, przepraszam, musi mi pani wybaczyć – przerywam jej

w połowie tego potoku słów. – Moja siostra mnie potrzebuje.

Słyszę, jak mamrocze coś pod nosem, kiedy idę wzdłuż podjazdu i otwieram boczną furtkę. Wydaję z siebie stłumiony okrzyk, kiedy wchodzę do ogrodu. Miała rację. Ogród *jest* w strasznym stanie. Trawa wyliniała i zarosła chwastami, a dookoła leżą bezładnie porozrzucane kawałki rozwalonych mebli. Zastanawiam się, dlaczego Paul nic z tym nie robi? Przecież też tutaj mieszka. Na pewno nie czuje się z tym dobrze. Ale wygląda na to, że Paul nieczęsto tutaj bywa. Przypominam sobie jego twarz, kiedy pojawił się, żeby zabrać mnie do notariusza, bladą i wyczerpaną. Teraz, kiedy widzę ten rozkład, wszystko nabiera sensu. To już nie jest dom.

Właśnie dostrzegam ścieżkę, która zakręca za domem, i podążam nią aż do drzwi oranżerii. Tam ją dostrzegam. Siedzi na krześle, sztywna jakby kij połknęła, ze wzrokiem wlepionym w ogród.

Tak bardzo się zmieniła, że aż mnie to przeraża. Minęło kilka lat, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Bardzo podupadła. Drastycznie.

Po chwili podnoszę rękę.

Kiedy mnie zauważa, rozdziawia usta.

– Sally – wołam, pukając w okno.

Gestem dłoni pokazuję jej, żeby mnie wpuściła do środka, ale ona się nie rusza. Siedzi tam, wpatrując się we mnie, jakby nie wierzyła w to, co widzi. Znowu stukam w szybę i w końcu, bezgłośnie poruszając ustami, ona mówi: „Otwarte”.

Kiedy wchodzę do domu, bucha we mnie wyjątkowo obrzydliwy smród, mieszanka przejrzałych jabłek i potu. Sally siedzi na brudnym, kiedyś białym wiklinowym fotelu w kącie oranżerii. Blond włosy bardzo jej urosły i tłuste zwisają na ramionach. Ma na sobie brudną różową koszulę nocną, a kiedy podchodzę bliżej, staje się jasne, że to ona jest źródłem tego smrodu.

– Co tutaj robisz? – pyta, kiedy podchodzę do drzwi.

– Przyjechałam się z tobą zobaczyć – odpowiadam. – Właśnie byłam u notariusza... W sprawie mamy.

– Mama nie żyje – mamrocze, gapiąc się w kierunku okna za mną. – On cię zabrał, prawda?

Domyślałam się, że ma na myśli Paula, więc odpowiadam, że tak, zawiózł mnie tam.

– Zabrał mnie też, żeby zobaczyć jej grób, i opowiedział o pogrzebie – dodaję.

– Zawsze miał do niej słabość – kwituje zimno. – Nie mam pojęcia dlaczego. Mówiła, że nie może go znieść, ale przecież nienawidziła wszystkiego, co ja kochałam, prawda?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, Sally – rzucam. – Mama kochała Hannah.

W odpowiedzi na to prychnęła i podciąga kolana do klatki piersiowej.

– Ach, i znowu to samo – wzdycha. – Po to przyszedłaś? Żeby zrobić mi kolejny wykład na temat rodzicielstwa? Jesteś taka naiwna, Kate. Zawsze byłaś, nawet kiedy byliśmy dziećmi.

Postanawiam zignorować tę uwagę i rozglądam się za czymś, na czym mogłabym usiąść. Niestety, nie znajduję niczego poza starym, obdartym stolikiem kawowym. Żołądek mi się kurczy, kiedy pochylam się, żeby usiąść na brzegu. Nadal czuję się słaba,

a ten zapach wewnątrz domu powoduje, że kręci mi się w głowie.

– Musiałaś wiedzieć, że niewiele czasu jej zostało. Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie wcześniej, Sally? Dlaczego wysłałaś tylko e-mail? Mogłaś do mnie zadzwonić i dotarłabym do domu na czas.

Sally tylko wzrusza ramionami. Siedzimy w milczeniu przez jakąś chwilę, zanim się odzywa. Ma niski, bełkotliwy głos, zdaje się, że z powodu resztek porannego kieliszka na wzmocnienie.

– Nie dzwoniłam do ciebie, bo byłaś gdzieś tam, w jakimś cholernym Timbuktu. Miałam tylko twój adres e-mailowy.

– W Syrii – warczę, czując, że wszystkie stare urazy zaczynają wypływać na powierzchnię. – Byłam w Syrii.

– W Syrii. Ależ najmocniej przepraszam – szydzi. – I nie, nie wiedziałam, że ona niedługo wyciągnie kopyta, więc nie mogłam cię zawczasu ostrzec. W każdym razie wiedziałam, że nie będziesz w stanie zorganizować pogrzebu, więc po co było wdawać się w szczegóły? Nie przyjeżdżasz tutaj od lat. Słyszę o tobie tylko wtedy, kiedy widzę twoje nazwisko w gazetach.

– To niesprawiedliwe, Sally – prostuję. – Tak, moja praca oznacza, że często wyjeżdżam, ale gdybym wiedziała, że mama odchodzi, rzuciłabym wszystko, żeby wrócić i się z nią zobaczyć. Wiesz, że bym tak zrobiła.

Kiwa głową i dostrzegam w jej oczach, że doskonale wie, że posunęła się za daleko. Alkohol sprawia, że robi się złośliwa, ale właśnie przestaje działać i zaraz będzie miała wyrzuty sumienia. Zawsze to samo.

– W każdym razie... co u ciebie? – pyta w końcu. Pokój przepelnia ciężka atmosfera mojego milczenia, więc teraz próbuje mnie udobruchać. Zapewne za chwilę poprosi, żebym kupiła jej alkohol. – Niezbyt dobrze wyglądasz.

Wtedy na nią patrzę, na moją małą siostrę, osobę, którą chroniłam w dzieciństwie, i przez chwilę mam ochotę jej powiedzieć. Słowa palą mnie od środka, ale dostrzegam jej trzęsące się dłonie i zmieniam zdanie.

– U mnie dobrze – kłamię. – Miałam tylko lekką grypę.

– To przez te wszystkie miejsca, do których jeździsz – poucza mnie, zawijając wargę. – Bóg jeden raczy wiedzieć, co za choroby możesz złapać. Słucham o tym ciągle w wiadomościach. Co tam było ostatnio? Ebola? Musisz być bardziej ostrożna.

Biorę głęboki oddech i usiłuję nie pozwolić, żeby doprowadziła mnie do wściekłości. Ten zapach jest naprawdę nieznośny.

– Nie jestem chora – odpowiadam. – Tylko trochę zmęczona.

Wzrusza ramionami i przez kilka chwil siedzimy w dziwnej ciszy.

– Potrzebuję jeszcze jednego drinka – oznajmia, wstając z fotela. – Chcesz jednego?

– Poproszę szklankę wody – odpowiadam. – Jeśli to nie kłopot.

Usiłuję zachować przyjazny ton głosu, by nie doprowadzić do konfrontacji, ale słowa, które wydobywają się z moich ust, brzmią ostro. Tyle że Sally wydaje się tego nie zauważać.

– Chodź ze mną – mówi, podchodząc do drzwi.

Wychodzę za nią z oranżerii i wchodzę do salonu. Tutaj jest schludniej. Na kominku stoją flakony ze świeżymi kwiatami, a na oparciu fotela leży mały stosik dokumentów. To jasne, że oranżeria jest jaskinią Sally, miejscem, w którym się chowa. Reszta domu wydaje się być królestwem Paula i kiedy siadam i zagłębiam się w fałdy miękkiego fotela, czuję ukłucie współczucia dla niego. Jakże samotny musi być w tym domu bez dziecka i z żoną zjawą.

– Masz jakieś wieści od Hannah? – pytam, kiedy nadchodzi Sally z napojami. Znam już odpowiedź, ale i tak odczuwam potrzebę, by o to zapytać.

Podaje mi szklankę wody, bierze do ręki kubek czegoś, co pachnie podejrzanie, jak wino, i siada na sofie naprzeciwko mnie. Trzęsą jej się dłonie, kiedy przystawia kubek do ust. Wypija zawartość jednym haustem.

– Istnieje tylko jeden powód, dla którego Hannah utrzymywałaby kontakt albo wróciła – wyjaśnia, obejmując kubek dłońmi. – Żeby zobaczyć naszą mamę. Teraz ona nie żyje, a i Hannah równie dobrze może nie żyć.

– Ale Hannah nie dowie się, że mama nie żyje – wyjaśniam. – Jak miałyby się dowiedzieć?

– To pierwsza rzecz, jaką do mnie powiedziała, kiedy wtedy zadzwoniła – Sally opowiada dalej z goryczą, ignorując moje słowa. – „Jak babcia?”, nie: „Jak się czujesz? Przepraszam, że cię zaniepokoiłam”. Nie, jedyną osobą, którą się przejmowała, była jej cholerna babcia.

– Były sobie bardzo bliskie – tłumaczę. – To zrozumiałe. Powinna wiedzieć, co się stało. Mama chciałaby, żeby Hannah wiedziała.

Sally potrząsa głową.

– Chciałabym, żebyś знаła tę kobietę, którą ja znałam – mówi. – Najwyraźniej przeżyłyśmy życie z innymi matkami. Zrobiła z mojego życia piekło. Nic, co robiłam, nie było wystarczająco dobre. A potem to ty byłaś tą córką, która zdała wszystkie egzaminy, a później została sławną reporterką. W oczach mamy byłaś złotym dzieckiem, podczas gdy ja nadawałam się jedynie do macierzyństwa, a i to, w jej opinii, też pokpiłam na całej linii.

– Masz jeszcze Paula – pocieszam ją. – To dobry człowiek.

– Nawet nie masz pojęcia, o czym mówisz... – zwierza się Sally. – Ja i Paul? Z nami koniec. Ostatnio w ogóle go tutaj nie ma. Nie może znieść mojego widoku.

Jej uzalanie się nad sobą to dla mnie zbyt wiele.

– A możesz go obwiniać, Sally? Nie jest łatwo żyć z alkoholiczką. Powinnaś być tego świadoma bardziej niż ktokolwiek. Istnieją takie miejsca, w których można uzyskać pomoc, wiesz?

– Och, daj mi spokój – niecierpliwi się, nagle wstając z fotela. – Przychodzisz sobie tutaj jak gdyby nigdy nic, a przecież nie widziałyśmy się od lat, i myślisz, że możesz zacząć mi dyktować, co mam robić? Nie jesteśmy już dziećmi, Kate. Teraz sama podejmuję decyzje.

Bierze kubek i idzie do kuchni. Słyszę, jak nalewa sobie kolejnego drinka. Mam dość.

– Co z Hannah? – pytam, kiedy wraca do pokoju. – Jeśli spróbowałabyś na nowo

nawiązać kontakt, podać rękę na zgodę, to potem może dałabyś radę uporządkować sprawy.

– Ha – rzuca, z szerokim uśmiechem na twarzy, który tak bardzo przypomina uśmiech mojego ojca, że aż moje ciało przeszywa chłód.

– Czy ty sądzisz, że Hannah nie ma mnie w dupie? Beczka śmiechu. Nie mogła mnie znieść. Powiedziała, że zrujnowałam jej życie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest powrót tej dziewczyny, która znów narobi kłopotów. Chcę tylko, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju.

– Ale ona jest twoją córką – przekonuję, biorąc mały łyk wody, żeby się uspokoić.

– Na pewno chcesz wiedzieć, czy u niej wszystko w porządku?

– Och, znowu zaczynasz – krzyczy, uderzając pięścią w oparcie sofy. – Ona miewa się świetnie. Opala się gdzieś tam, na jakiejś cholerniej słonecznej wyspie. Wiemy, że u niej wszystko w porządku, ponieważ przeprowadziłaś swoje wielkie śledztwo, pamiętasz? Szczerze mówiąc, Kate, to wścibska krowa z ciebie.

Znowu piję łyk wody, podczas gdy siedzimy w milczeniu. Ma rację, zajęłam się tą sprawą, kiedy Hannah wyjechała, ponieważ w przeciwieństwie do Sally byłam tym zaniepokojona. Hannah mogła być niepokorna, ale miała zaledwie szesnaście lat i niezbyt wiele życiowego doświadczenia. Potrzebowałam się dowiedzieć, gdzie była, rozwiązać swoje obawy. Sally nie posłuchałaby mnie, więc poprosiłam Paula, żeby powęszył w okolicy, popytał jej przyjaciół, czy nie wiedzą, gdzie zniknęła. Początkowo żadne z nich nie chciało z nami rozmawiać – jak większość nastolatków obawiali się, że ją wsypią – ale potem jedno z nich dostrzegło w tym sens i podało nam adres Hannah. Mieszkała w squacie w Brixton, więc powiedziałam Paulowi, że pojedę tam się z nią spotkać, sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Kiedy przyjechałam, wyglądała raczej na zanedbaną, sporo też przytyła, ale zapewniała mnie, że jest szczęśliwa, że mieszka z przyjaciółmi, i że potrzebuje przestrzeni z dala od Sally. Nie mogłam jej za to winić. Dałam jej tysiąc funtów i kazałam utrzymywać kontakt, lecz więcej się nie odezwała. Wracałam do tego squatu kilka razy, ale najwyraźniej gdzieś się przenieśli. Kiedy właśnie zamierzałam się zacząć na nowo martwić, dostałam list od Hannah, w którym informowała mnie, że wyjechała na Ibizę, żeby pracować jako przedstawicielka handlowa.

– A jednak nie mogłaś się powstrzymać, żeby nie wbić tej szpili, co?

Podnoszę wzrok na Sally. Alkohol zaczyna działać i ślina pryska jej z ust.

– Mówić mi, że to moja wina – kontynuuje – że to ja odstraszyłam ją swoim piciem. Jesteś taka sama jak nasza cholerna matka. Wy dwie, przekonane o swojej nieomyślności hipokrytki.

Nagle wstaje i idzie do kuchni. Może powinnam sobie pójść. Spoglądam na zegarek; zbliża się siedemnasta. Paul wkrótce wróci do domu.

– Mama mówiła, że to wszystko przeze mnie – żali się, kiedy wraca do pokoju, ściskając w dłoniach kolejnego drinka. – Że to ja odstraszyłam jej ukochaną wnuczkę, że nie wiedziałam, jak być matką. Ha! A to dobre. Powiedziałam, że wszystkiego nauczyłam się od niej, kobiety, która pozwoliła, żeby jej dziecko się utopiło. Powiedziałam jej, że to *ona* okryła się hańbą i że nigdy więcej nie odezwę się do niej ani słowem, aż do jej śmierci.

I nie odezwałam się.

– Jak mogłaś? Śmierć Davida ją złamała – mówię z oburzeniem, obserwując, jak Sally z powrotem osuwa się na fotel. – W swoim liście...

– Jakim liście?

– No w liście od mamy... – wyjaśniam niepewnie. – Notariusz mi go dał.

– Och, doprawdy? Jakże miło – bełkocze. – A mieli jakiś list dla mnie?

– Nie wiem. Przypuszczam, że skoro ci go nie dali, to nie mieli. – Biorę następny łyk wody, żałując, że mama nie postąpiła, jak należy, i nie zostawiła czegoś dla Sally. Czegokolwiek.

– Cóż, dlaczego to mnie nie dziwi – ironizuje. – Chryste, nawet w obliczu śmierci stawiała cię na pierwszym miejscu. Ta kobieta była niewiarygodna. – Przerywa, żeby pociągnąć kolejny łyk drinka. – A więc co napisała w tym liście?

– Napisała, że chce wszystko wyjaśnić – odpowiadam, ręce mi się trzęsą. – O śmierci Davida i o tym, że to nie była jej wina. Ale nie rozumiem, dlaczego chciała to wyjaśnić właśnie mnie. Dlaczego nie napisała listu do nas obu?

– Ponieważ byłaś jej ulubienicą – wyjaśnia Sally, przyglądając mi się znad rantu swojego kubka. – I potrzebowała twojego współczucia. Nie obchodziło jej to, co ja o niej sądzę. Byłam rozczarowaniem. Nastoletnią matką. To ty byłaś tym cholernym światłem na horyzoncie, kimś, kto nie mógł postąpić źle. Wszystkim, czym ona nie była. Chryste, jej najdroższa Kate nigdy nie pozwoliłaby, żeby dziecko umarło.

Wpatruje się we mnie tak uporczywie, że wydaje się, jakby coś wiedziała.

– Mama kłamie – wyjaśnia. – I wiem o tym na pewno. Też była kiepską, zaniedbującą swoje obowiązki matką.

Kiedy wypija kolejny łyk wina, ukrywam twarz w dłoniach. Dłużej już tego nie zniosę.

– Och, przepraszam – mówi. – Czy ja cię denerwuję?

– To po prostu niepotrzebne, Sally – wyjaśniam, podnosząc na nią wzrok. – Cała ta wrogość i ten jad... Tak, mama popełniła błąd, ale, na miłość boską, zapłaciła za niego. Latami zносиła ojca, który ją bił, noc w noc, a ty po prostu sobie siedziałaś i milczałaś.

Sally nagle pochyla się do przodu w swoim fotelu i potrząsa głową.

– Dlaczego potrząsasz głową? – pytam. – To prawda. To ja stawałam w jej obronie, walczyłam, a ty co robiłaś? Pozwalałaś tylko, żeby to się działo, milczałaś, i dla mnie to jest niewybaczalne.

– Wiesz co? – mówi niskim i surowym głosem. – Myślisz, że jesteś taka doskonała, wspaniała, cholerna święta, która pakuje się w sam środek wojny i ratuje ludzi. Co za kpina. Widzisz, Kate, tyle że ja cię znam. Wiem, do czego jesteś zdolna.

– O czym ty mówisz?

Opada na fotel i zamyka oczy.

– Sally, powiedz mi, o czym ty mówisz?

– Wynoś się z mojego domu – mamrocze, nie otwierając oczu.

– Ale...

– Zostaw mnie samą. Słyszysz? Spieprzaj.

– Dobrze – zgadzam się, wstając i zbierając się do wyjścia. – Poddaję się.

Przynajmniej mogę powiedzieć Paulowi, że spróbowałam.

Otwieram drzwi wejściowe i słaniając się na nogach, idę wzdłuż podjazdu, przyciskając do brzucha torbę niczym tarczę. Nie mogę oddychać. Muszę się stąd wydostać, uciec daleko, daleko od Sally i jej jadu. Próbuję wyrzucić ją ze swoich myśli, próbuję myśleć o czymś przyjemnym, ale jej głos dzwoni mi w uszach, coraz głośniejsze i głośniejsze, aż czuję, jakby moja głowa za chwilę miała eksplodować, i słyszę tylko te słowa:

Kate nigdy nie pozwoliłaby, żeby dziecko umarło.

Później tego samego popołudnia

Podchodzę pod dom do sterty przesyłek, która leży na wycieraczce. Podnoszę ją i przeglądam, wchodząc do kuchni. „Reader’s Digest”, list od Cats Protection, druk reklamowy z firmy ubezpieczeniowej oferujący srebrne pióro za darmo każdemu, kto wykupi polisę w ciągu najbliższych dziesięciu dni. Oto pozostałości po życiu mojej matki.

Kiedy wchodzę do kuchni, usiłuję nie myśleć o Sally i sprzeczce, ale nie potrafię otrząsnąć się z jej gorzkich słów. Naiwna... Tak mnie nazwała. Czy taka jestem? Spoglądam na przesyłki w mojej dłoni i przychodzi mi na myśl pióro na szczęście i Chris, który mówi, że mnie kocha. Wierzyłam w jedno i drugie. Wierzyłam, że to pióro może mnie ocalić i w to, że ja i Chris jesteśmy bratnimi duszami, którym pisane jest na zawsze być razem. Trwałam w tych przekonaniach i wyrzuciłam zdrowy rozsądek przez okno, ponieważ nie chciałam stawić czoła rzeczywistości. Być może Sally ma rację, myślę sobie, kiedy wyrzucam pocztowy spam do kosza na śmieci. Może i jestem naiwna...

Głowa mnie boli, kiedy zdejmuję płaszcz i otwieram szafkę w poszukiwaniu środków przeciwbólowych. Słyszę staruszkę. Jej krzyki na razie są przytłumione, ale wiem, że przybiorą na sile tego wieczoru. Muszę głęboko oddychać, zrobić te ćwiczenia, o których czytam, te, które mają pomóc na lęk, ale czuję zbyt duże napięcie. Po prostu chcę położyć się spać, zanim głos staruszki jeszcze przybierze choćby trochę na sile. Ale jest jeszcze wcześniej. Miną długie godziny, zanim będę mogła zażyć tabletkę nasenną. Napełniam więc czajnik wodą i czekając, aż się zagotuje, połykam kilka tabletek przeciwbólowych. Przyklejają mi się do gardła, więc puszczam zimną wodę i pochylam się nad kranem, pociągając spory łyk wody. Kiedy podnoszę głowę, uświadamiam sobie czyjaś obecność, coś porusza się za oknem. Ktoś jest w ogrodzie.

Otrzeputując wodę z dłoni, podbiegam do drzwi i otwieram je. Przeszywa mnie chłód. Drzwi nie są zamknięte na zamek. Jak to możliwe? Byłam pewna, że zamknęłam je na klucz, kiedy wychodziłam – ale byłam taka rozkojarzona z powodu tego pióra...

Gdy wychodzę na zewnątrz, dookoła panuje cisza. Upiorna cisza niczym tuż przed wybuchem bomby. Idę ostrożnie ścieżką, wpatrując się w trawy, serce wali mi jak młotem.

– Halo – wołam, idąc do miejsca, w którym kończy się ogród, gdzie oparta o mur leży sterta porozbijanych doniczek. – Jest tam kto?

Ale niczego tam nie ma. Cokolwiek lub ktokolwiek tam był, zniknął. Stoję na starej cegle i spoglądam przez mur. Alejka biegnąca skrótem za domami jest pusta, poza porzuconymi kawałek dalej pojemnikami na śmieci na kółkach.

Zeskakuję na dół, a wracając do domu, rozważam zawiadomienie policji – tyle że ta postać tak szybko mignęła mi przed oczami... Nie mieliby żadnego punktu zaczepienia, żadnego rysopisu. Nie jestem nawet pewna, czy to była kobieta, czy mężczyzna.

Nie, lepiej nie zawracać sobie głowy policją, najlepiej po prostu wrócić do domu i upewnić się, że wszystko jest zamknięte na klucz. To pewnie jakieś dzieciaki. Lecz kiedy

podchodzę do tylnego wejścia, zahaczam o coś butem. Spoglądam w dół i dostrzegam szklaną kulkę. Taką samą jak te, którymi bawiłyśmy się z Sally w dzieciństwie. Pamiętam, że trzymałam ich cały stos w starej puszcze po paście rosółowej Bovril. Schylam się, żeby ją podnieść. Kulka jest ładna i moje wewnętrzne dziecko przez chwilę zachwyca się mlecznoniebieskim okiem zatopionym w szkle. Kiedy wpatruję się w to oko, w kieszeni brzęczy mi telefon.

Wyjmuję go. Na ekranie wyświetla się „Paul”. To wiadomość. Klikam w nią i czytam:

Słyszałem, że byłaś na wizycie u pacjentki :) Pomyślałem, że może potrzebujesz pójść na drinka! Będę w The Ship przy bulwarze nadmorskim o 20.00, jeśli miałabyś ochotę się przyłączyć. I dzięki, że próbowałaś, Kate. Wiem, że Twoja wizyta bardzo dużo znaczy dla Sal, nawet jeśli tego nie okazuje. P x

Zabieram kulkę i telefon do domu, zamykam za sobą dokładnie drzwi na klucz i zastanawiam się nad tym, czy naprawdę mam ochotę pójść z Paulem na drinka. Będzie chciał rozmawiać o Sally, a nie ma już o czym gadać. Ale potem myślę o długim wieczorze, jaki jeszcze mam przed sobą w tym przeklętym domu, i nagle wyjście do pubu wydaje mi się całkiem dobrym pomysłem. Wkładam szklaną kulkę do torebki i idę na górę, żeby znaleźć coś odpowiedniego do ubrania. Wystarczy już tych zjaw na jeden dzień. Szklanka zimnego wina, przyjazna twarz i kilka godzin zwyczajnego życia dobrze mi zrobią.

Paul siedzi przy niskim drewnianym stoliku tyłem do sali, z opuszczoną głową, i pije piwo z półlitrowego kufła. Przechodzę przez ciepły, słabo oświetlony bar i lekko poklepuję go po ramieniu.

– Cześć – mówi, obracając się na swoim stołku barowym. Wstaje i częstuje mnie oschłym pocałunkiem w policzek. – Czego się napijesz?

– Nie, nie trzeba – opieram się. – Teraz moja kolejka.

Paul uśmiecha się i wraca na miejsce, a kiedy idę do baru, czuję na sobie jego wzrok. Będzie myślał o Sally, zastanawiając się, o czym rozmawiałyśmy. Wiem, że będzie.

Wygląda na zamyślonego, kiedy wracam do stolika z naszymi drinkami.

– Nie martw się, nie mam zamiaru wypić tego jednym haustem – wyjaśniam, siadając z butelką białego wina. – Po prostu zawsze wychodzi taniej, jeśli kupujesz butelkę, a nie na kieliszki.

Podaję mu półlitrowy kufel piwa.

– W porządku, Kate – mówi, obserwując, jak nalewam sobie wino. – Nie musisz się tłumaczyć. Niektórzy potrafią obchodzić się z alkoholem, a inni, nie wymieniając nikogo z imienia, przesadzają z ilością. W każdym razie, na zdrowie.

– Na zdrowie.

Paul przełyka nieco piwa, po czym odstawia kufel.

– Dobrze – mówi, podwijając rękawy, kiedy pochyła się do przodu.

– Tak – przytakuję, pijąc łyk wina. Czuję mrowienie w nogach. Pewnie to ten chłód morskiego powietrza, który ze sobą przyniosłam z zewnątrz.

Kiedy Paul ponownie unosi kufel do góry, światło oświetla jego rękę. Pokrywają ją zaognione, czerwone blizny po uderzeniu, poszarpane, jakby ktoś zaatakował go nożem. Dostrzega, że się przyglądam, i szybko odwija rękawy. Postanawiam nie pytać go o te blizny.

– Dziwne uczucie znowu tutaj być – mówię, spoglądając za niego i omiatając wzrokiem cały bar. – Nic się tutaj nie zmieniło.

Niski sufit i ciemne belki sprawiają, że czuję się, jakbym siedziała w jakiejś pustelni głęboko pod ziemią. The Ship to najstarszy budynek w Herne Bay. Sięga czasów wojen napoleońskich, kiedy stanowił schronienie dla marynarzy uciekających przed Francuzami. Wyobrażam sobie, jak chowali się w każdej szczelinie – taka chwilowa ucieczka od ich brutalnego, skropionego grogiem świata. Mój ojciec przychodził tu pić. Myślę o nim, jak co niedzielę siedział przy tym barze, jak muskularną ręką, wyćwiczoną od wyciągania zwierzęcej padliny, obejmował półlitrowy kufel z piwem, podczas gdy o kilka minut drogi stamtąd jego żona i córki odprawiały stary rytuał na plaży. Kiedy barman zapala grubą świecę z wosku i umieszcza ją w oknie, uświadamiam sobie, że to była kryjówka taty. Jego mauzoleum.

A potem dostrzegam Raya. Stoi na miejscu taty, na końcu baru, plecami do ściany. Kiwa do mnie głową i podnosi do góry swój półlitrowy kufel piwa. Uśmiecham się i macham ręką.

Obok mnie Paul obserwuje.

– Kto to jest?

– Ach, to stary znajomy mojego ojca.

Paul mruży oczy.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem – stwierdza. – Mieszka gdzieś w okolicy?

– Tak, jest rybakiem – wyjaśniam. – Przychodzi tutaj od lat.

Ray odwraca się do nas plecami, a kiedy przyglądam się, jak ucina sobie pogawędkę z młodym barmanem, czuję silny ścisk w żołądku. Dlaczego tata nie mógł mnie po prostu kochać, pytam sama siebie, dlaczego aż tak mnie nienawidził?

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta Paul, przerywając moje myśli. – O spotkaniu z Sally? Była strasznie poruszona, kiedy przyjechałam.

– Nie ma o czym mówić – odpowiadam, zadowolona ze zmiany tematu. – Chciałam skłonić ją do rozmowy na temat jej picia, ale nie była zainteresowana. Jest pełna złości i goryczy. Nie sądzę, żebym była właściwą osobą, by do niej dotrzeć.

Wzdycha i widzę, że jest rozczarowany. Współczuję mu. Naprawdę. Zaangażowanie w naszą rodzinę było czymś więcej, niż się spodziewał – ta nasza rozpacz i te nasze uzależnienia... wstydlive sekrety...

– Wiesz, kiedy ją poznałem, była wspaniała – rozpoczyna zwierzenia, odwracając się do mnie i uśmiechając się. – Pełna energii i skora do śmiechu. Uwielbiałem to, że była taka otwarta. To było dla mnie coś nowego, bo zawsze byłem nieśmiały. A ona sprawiła, że stałem się sobą.

– Tak, była nie do pobicia – przytakuję, przypominając sobie gromki głos Sally,

który rozbrzmiewał echem po domu, kiedy stukając obcasami, wracała ze szkoły. – I taka optymistyczna. Zawsze dostrzegała w ludziach dobro, nawet w naszym ojcu. Cóż, zwłaszcza w naszym ojcu.

Paul kiwa głową.

– Jednak nigdy o nim nie wspomina – zauważa. – Ani słowem. Za każdym razem, kiedy poruszam ten temat, zamyka się w sobie.

– Byli sobie bardzo bliscy – wyjaśniam mu. – Była zrozpaczona, kiedy umarł. Wtedy właśnie zaczęła schodzić na złą drogę. Zaledwie kilka miesięcy po jego śmierci zaszła w ciążę.

– Musiała sobie poradzić z tyloma rzeczami... – mówi, ciężko wzdychając. – Urodzenie dziecka, kiedy sama jesteś jeszcze dzieckiem, to trudna sprawa. Na zewnątrz stwarza pozory, że jest twarda, ale ja potrafię dostrzec, co się pod tym kryje. Znam ją lepiej niż ktokolwiek inny, naprawdę ją znam, i widzę, że ma uraz psychiczny. Moja leciwa mama mawiała, że kiedy byłem szkrabem, nieustannie próbowałem naprawiać rzeczy, usprawniać je, i tak samo było z kobietami. Zawsze uganiałem się za tymi, które potrzebowały, żeby je poskładać.

Ktoś upuszcza szklankę i ten dźwięk powoduje, że oboje podskakujemy. Paul chwyta się ręką za serce, ciężko oddychając. Chociaż raz nie czuję się słabsza.

– W porządku – uspokajam go, kładąc rękę na jego ramieniu. – To tylko szklanka.

– Wiem – mówi, cofając ramię i pocierając je. – Jestem teraz kłębkim nerwów.

Przepraszam.

– Nie musisz przepraszać – zapewniam, upijając łyk wina. – Rozumiem, przez co przechodzisz.

– Dzięki, Kate – odpowiada. – Dzięki za to, że wróciłaś. Wiesz, że tylko ty jej zostałaś.

– Ma jeszcze Hannah – zauważam, odstawiając kieliszek. – I bez względu na wszystko, nie może z niej zrezygnować. Dlatego właśnie musi wydobrzcć, nie dla ciebie czy dla mnie, ale po to, żeby pogodzić się ze swoją córką.

Krew odpływa z jego twarzy.

– Przykro mi, Paul. To musi być ciężkie. Wiem, że też byłeś bardzo związany z Hannah.

– Ha. Tak blisko, jak można być związanym z charakterną nastolatką. – Śmieje się głucho. – Miała trzynaście lat, kiedy związałem się z Sal. Pamiętasz, jak mieszkały z twoją mamą?

– Tak – potwierdzam, uśmiechając się. – Pamiętam, jak Sally zadzwoniła do mnie i powiedziała, że poznała cudownego mężczyznę przez płot w ogrodzie, a ja sądziłam, że chyba postradała zmysły, bo jedynym facetem, jakiego pamiętałam i który mieszkał w domu obok, był ten gość, pan Matthew, i miał około dziewięćdziesiątki.

Paul się śmieje.

– Twój rodzice kupili ten dom, prawda?

– Tak. Stary Matthew został umieszczony w domu opieki, a jego syn sprzedał im ten dom – wyjaśnia Paul. – To było w dziewięćdziesiątym czwartym, tuż po tym, jak wyjechałaś. Przez kilka lat żyli sobie spokojnie, a potem umarli, jedno po drugim,

w odstępie paru miesięcy.

– Przykro mi.

– Nie trzeba. Dobrze przeżyli swój czas – opowiada. – Jednak to, że zostawili mi ten dom, było jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem. Tak naprawdę nigdy nie lubiłem Herne Bay. Zawsze uważałem, że jest przygnębiające. Moi starzy co roku ciągnęli mnie tutaj na wakacje, a ja chciałem zostać w domu w Bethnal Green i spędzać czas z kumplami. Mama i tata uwielbiali to miejsce. Zawsze mówili, że zamieszkają tutaj na emeryturze. No i spełnili swoje marzenie.

– Wydaje się dziwne, że zostałeś tutaj, skoro nienawidzisz tego miejsca – zauważam, nalewając sobie kolejny kieliszek wina. – Mogłeś po prostu sprzedać ten dom. Co cię skłoniło, żeby osiąść tutaj na stałe?

Pochyla się do przodu i uśmiecha się, oczy błyszczą mu od alkoholu i światła.

– Sally – mówi cicho. – Sally wszystko zmieniła. Wcześniej postanowiłem wynająć dom i plan był taki, że zamieszkać w swoim mieszkaniu w Londynie, ale kiedy oprowadzałem agenta nieruchomości po ogrodzie, usłyszałem jakiś gwizd. Odwróciłem się i zobaczyłem ją. Wszystkie moje plany spaliły na panewce.

Wypija łyk piwa. Widzę, jakie to dla niego ciężkie.

– Była taka podekscytowana – opowiadam mu. – Powiedziała, że wyglądałaś jak niski Liam Neeson.

Paul parska piwem, po czym wyciera usta.

– Liam Neeson? Natrzęsała się?

– Chyba była szczęśliwa.

– Tak. Byliśmy szczęśliwi – przyznaje. – Ale od samego początku wiedziałem, że ma pełne ręce roboty z Hannah. O rany, ta dziewczyna nieźle stawiała ją do pionu. Pamiętam, jak po raz pierwszy przyszedłem na niedzielny obiad. Doszliśmy zaledwie do drugiego dania, kiedy między nimi dwiema wybuchła potężna awantura. Nie pamiętam, o co poszło, za dużo sosu pieczeniowego na ziemniakach, nie wiem, ale byłem zszokowany. Wiem natomiast, że gdybym ja poczęstował moją mamę takimi epitetami, jakimi Hannah nazywała Sal, dostałbym nieźle w skórę. Tyle że ona nie była moją córką. Nie do mnie należało, żeby uczyć ją dyscypliny.

– Myślisz, że nadużywanie alkoholu przez Sally odgrywało jakąś rolę w ich problemach?

– Możliwe – przyznaje. – Chociaż wtedy Sal piła tylko w towarzystwie.

– Ale to alkohol sprawia, że ludzie robią się wybuchowi – mówię, przypominając sobie, jak złość w moim ojcu potęgowała się, kiedy się ubzdryngolił.

– Patrząc z perspektywy czasu, pewnie miałem klapki na oczach – przyznaje Paul.

– Chyba chciałem dostrzegać w Sally tylko to co najlepsze.

– Wszyscy tego chcieliśmy – potakuję, opróżniając kieliszek, i bez zastanowienia nalewam sobie kolejny.

– To twoja mama w końcu powiedziała mi o tym, że Sally pije. Chyba uznała, że powinienem o tym wiedzieć – opowiada Paul. – Powiedziała, że kiedy Hannah była mała, Sally ciągała ją ze sobą do pubu i zostawiała ją na zewnątrz, a sama piła.

Kiwam głową, przypominając sobie rozpaczliwe telefony mojej mamy, która

przeróżliwym głosem oznajmiała mi, że Sally i Hannah znowu gdzieś zginęły. Potem był kolejny telefon, by powiadomić mnie, że się znalazły i że Sally jest tylko troszeczkę pijana.

– Ale tak było, zanim mnie poznała – prostuje Paul. – A ja przekonałem sam siebie, że ją naprawiłem i że już nigdy więcej nie wpadnie w stare koleiny. To pomogło Hannah. Kiedy dowiedziałem się, przez co przeszła jako małe dziecko, zacząłem dawać jej trochę luzu. I powiedziałem Sally, żeby też łagodnie ją traktowała. Po tym wszystkim sytuacja się poprawiła. Zacząłem dogadywać się z Hannah, zaczęliśmy robić wspólnie różne rzeczy jako rodzina. Było cudownie. – Głos mu się łamie, ściska dłonie. – Wyprowadziłem je z domu twojej mamy i kupiliśmy dom w Willow Estate. Sally nadal pracowała w banku, więc mieliśmy duże dochody. Ale potem wszystko poszło nie tak.

– Co się stało? – Uświadamiam sobie, że właściwie nigdy nie zapytałam Paula o jego wersję tej historii. Wersja mamy była jedyną, jaką znałam.

– Cóż, Hannah zaczęła zadawać pytania o swojego biologicznego ojca, ale Sally na żadne nie odpowiadała. Myślę, że martwiła się o to, by Hannah nie poczuła się zraniona. Mówiłem jej, że to zupełnie naturalne, że dziewczyna chce poznać swojego tatę. Gdybym był na jej miejscu, też chciałbym wiedzieć, kim był mój ojciec. Sądziłem, że sytuacja się uspokoiła, aż pewnego wieczoru wróciłem do domu i zastałem Hannah w opłakanym stanie. Najwyraźniej Sal przyłapała ją na tym, jak szukała w internecie nazwiska swojego ojca. Wpadła w szal i krzyczała na Hannah, powiedziała jej okropne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Och, znasz Sally, kiedy się nakręca – wyjaśnia, unosząc do góry brew. – Powiedziała Hannah, że ten facet, jej tata, chciał, żeby dokonała aborcji. Zapewne to prawda, ale nie powinna była jej tego mówić. Hannah była zdruzgotana. Chodzi mi o to, że nikt nie chciałby się dowiedzieć, że jego ojciec chciał się go pozbyć.

– On był jeszcze wtedy dzieckiem – mówię. – W tym samym wieku co Sal, miał ledwie naście lat, kiedy to się wydarzyło. Niedługo potem jego rodzina się wyprowadziła. Myślę, że to jego rodzice naciskali na tę aborcję.

– Cóż za mili ludzie... – ironizuje Paul, upijając łyk piwa. – Chodzi o to, do jakiego stopnia można być tchórzem.

– Zapewne wydawało im się, że postępują słusznie – tłumaczę. – Jak mówiłam, on był jeszcze dzieckiem. W każdym razie nie zostawili swojego nowego adresu, więc Sally nie miała jak się z nimi skontaktować, kiedy urodziła się Hannah. Myślę, że szanse, by Hannah znalazła go przez internet, były bardzo nikłe.

– Tak, ale to przerażało Sally – opowiada Paul. – Wpadła w paranoję, że Hannah znajdzie swojego tatę i ją zostawi. Naprawdę czuła się zazdrosna. Znowu piła i właśnie wtedy zaczęło się ujawniać jej drugie oblicze.

– Jej drugie oblicze?

– Tak jakby była dwiema różnymi osobami – wyjaśnia Paul, zwięźając oczy, a ja uświadamiam sobie, że jest trochę wstawiony. – W jednej chwili mówiła mi, jak bardzo mnie kocha, a potem nagle, szust, wpadała w szal.

– Masz na myśli przemoc?

– Co? Nie, niezupełnie – rzuca opryskliwie.

– Paul, potrzebuję, żebyś był ze mną szczery – mówię, pochylając się w jego kierunku. – W sprawie Sally, tego, co się z nią dzieje. Posłuchaj, widziałam twoją rękę. Czy to ma coś wspólnego z nią?

Chowa głowę w dłoniach i wzdycha.

– Paul. Proszę.

– Dobrze. Tak – mówi, podnosząc głowę. – Tak. Zrobiła to. Zadowolona?

– Oczywiście, że nie jestem zadowolona. To potworne.

– Cóż, a jak myślisz, jak ja się czuję? – pyta. – Jestem mężczyzną. Powinienem umieć o sobie zadbać. – Spogląda na swój kufel, unikając mojego wzroku.

– Co się stało?

– To nie była jej wina – wyjaśnia, ściszej głos, świadomy obecności innych osób na sali. – To było kilka tygodni temu. Skończyło jej się wino, przyłapałem ją z kluczykami od samochodu w dłoni i powiedziałem, że chyba zwariowała i że mogła kogoś zabić, prowadząc samochód w takim stanie. Była tak pijana, że upuściła butelki, a potem wpadła w szal. Wzięła jedną z nich i zamierzyła się. Trafiałaby mnie w twarz, gdybym nie podniósł rąk do góry, żeby się osłonić.

– Mój Boże! – wydaję z siebie stłumiony okrzyk. – Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Myślałem, że sobie z tym poradzę, ale, mówiąc prawdę, po tamtym wieczorze byłem przerażony. Nadal jestem. Nie mam pojęcia, do czego ona może się posunąć, kiedy jest pijana.

Myślę o swojej wcześniejszej wizycie u Sally, o jadzie w jej oczach, kiedy mówiła o mamie. O tym potwornym uśmiechu na jej twarzy.

Paul osusza kufel, a ja nie mogę się powstrzymać, by nie patrzeć na jego ręce i nie zastanawiać się na tym, o czym jeszcze mi nie powiedział.

– Paul, czy myślisz, że ona kiedykolwiek skrzywdziła Hannah? Fizycznie?

Odstawia kufel i przez chwilę wpatruje się we mnie.

– Bądź szczery.

– Nie wiem. – Wzdycha. – Gdybyś zadała mi to pytanie rok temu, wyśmiałybym cię. Powiedziałbym, że nie ma takiej możliwości, by Sally choćby najmniejszym palcem tknęła swoje dziecko. Ale po tamtym wieczorze z butelką wina... Była kimś innym, Kate, jakimś potworem. Ta jej złość... Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Kiwam głową. Może on czegoś takiego nie widział, ale ja widziałam. Równie dobrze mógłby opisywać mojego ojca. Przychodzą mi na myśl te noce, kiedy kuliałam się ze strachu w swoim pokoju po wymierzonych mi razach i musiałam słuchać, jak ojciec przypierdalał mojej przerażonej matce. Trwało to godzinami. A nazajutrz pytałam Sally, czy to słyszała, ona zaś patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym plotła jakieś bzdury.

– Potrzebujesz jeszcze jednego piwa – diagnozuję Paula, kładąc swoją dłoń na jego dłoni. – Jeszcze raz to samo?

Kiedy wracam z baru, nie ma go, chociaż jego płaszcz nadal wisi na oparciu krzesła. Stawiam na stole kufel z piwem i wypijam duży łyk wina. Butelka jest już prawie pusta. Zabawne, jak po wielu latach abstinencji picie alkoholu może szybko znowu wejść w nawyk. Myślę o Sally i mówię sobie, że po dzisiejszym wieczorze powrócę do

abstynencji. Podnoszę wzrok i dostrzegam, jak Paul idzie przez bar, zataczając się.

– Przepraszam – mówi, siadając. – Zew natury.

– Na zdrowie – wznoszę toast podniesioną szklanką.

– Na zdrowie – odpowiada. – I dzięki za piwo.

Wypijam kieliszek wina i nalewam sobie następny. Czuję się dość wstawiona. Jutro przestaję, ale dzisiaj mam zamiar rozkoszować się tym uczuciem ciepłego braku wyrazistości. Mam poczucie, jakbym była schowana w kokonie, gdzie nic mnie nie może osiągnąć, żadne koszmary nocne, żadne głosy, żadne jego wyobrażenia.

Paul mówi o swojej pracy, ale tak naprawdę już go nie słucham. Docierają do mnie strzępy słów – Calais, praca papierkowa, imigranci – i wydaję z siebie odgłosy współczucia, kiedy opowiada mi o zbliżającym się strajku francuskich kierowców ciężarówek.

Wypijam wino z kieliszka i czuję, że bar zaczyna nieco wirować mi przed oczami.

Nawet mi się to podoba.

– To spowoduje chaos... Będę musiał siedzieć do późna w pracy w tym tygodniu.

W miarę jak historia się rozwija, wypijam kolejny łyk wina, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż jego głos tworzy wokół mojej głowy dziwną, przypominającą węża spiralę, która łączy mnie z przeszłością. Mam świadomość, że Ray obserwuje mnie z baru... I nagle znowu mam siedemnaście lat, sączę wermut i lemoniadę w towarzystwie jakiegoś nieodpowiedniego faceta, a kumpel taty ma na mnie oko. Ale... gdzieś tam, w samym środku mojej świadomości, wiem, dlaczego piję. Myślę o nim.

– Gdzie jesteś, Chris? – szepczę do wirującej sali i przez chwilę wydaję mi się, że dostrzegam go przy barze, jak stoi obok Raya, ale obraz zaraz się rozpada i wraca Paul, który opowiada mi, że jeśli strajk się rozkręci, to być może będzie musiał „zostać na noc w Dover”.

– Ha! Na noc w Dover². Rymuje się – mówię urywanym głosem i czuję, jak słowa wciskają mi się w zęby. – Na noc w Dover. Kapitalne.

Mam zamiar wziąć do ręki kieliszek i wznieść toast za Paula i strajk kierowców ciężarówek oraz blaski Dover, ale chybiam i płyn cieknie pod moją ręką.

– Hola, ostrożnie! Czas wezwać taksówkę.

Słyszę głos Paula zza pobrzękiwania dzwonka, który dzwoni gdzieś na granicy mojej świadomości. Jakaś dłoń obejmuje mnie w pasie, podmuch zimnego powietrza smaga mnie po twarzy, a potem leżę na ziemi, czołgając się na brzuchu w stronę tych mężczyzn. Czuję w ustach krew, która krzepnie i zagęszcza się, kiedy próbuję oddychać. Potem powietrze przeszywa dźwięk wystrzału. Spuszczam głowę, zamykam oczy i zaczynam odliczać, a kiedy znów je otwieram, widzę jego twarz.

Posterunek policji w Herne Bay Trzydzieści i pół godziny od zatrzymania

– Czy dobrze pani spała?

Podnoszę wzrok na doktor Shaw, która czeka na moją odpowiedź. Wygląda świeżo. Granatowy kostium zastąpiła kremowa spódnica i czarny sweterek z golfem. Zdążyła wyspać się we własnym łóżku, obok męża. Zdążyła zjeść śniadanie przy własnym stole, wziąć prysznic we własnej łazience. Jest wolną kobietą. Kiedy siedzę tutaj we wczorajszym ubraniu, z włosami i skórą przesiąkniętymi zapachem policyjnej celi, z plecami bolącymi od twardego materaca, na którym spędziłam noc, próbuję sobie przypomnieć, jak smakuje uczucie wolności. Mam wrażenie, jakbym była tutaj przetrzymywana od zawsze.

– A jak pani myśli? – odszczekuję. – No nie jest to Ritz, prawda?

Shaw dziwnie się uśmiecha, po czym zaczyna:

– Czy może mi pani opowiedzieć o tym zdarzeniu na Soho, Kate?

Spoglądam na Shaw. Czyta z nowego kompletu dokumentów.

– O jakim zdarzeniu na Soho?

– Kafejka The Star przy Great Chapel Street?

Moje ciało sztywnieje. Ona wie.

– I co z nią?

– Poszła tam pani nazajutrz po tym incydencie z Rachel Hadley, prawda?

Wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem, jej twarz przypomina maskę.

– Tak – wyszeptuję, a kiedy ona przygotowuje się, żeby zadać mi kolejne pytania, widzę siebie tamtego wieczoru, świeżo po wyjściu ze szpitala, nafaszerowaną środkami przeciwbólowymi, snującą się niczym zombi po ulicach Soho.

– Może mi pani powiedzieć, co się stało?

– Szłam na kawę.

– Ale nie weszła pani do tej kafejki, prawda?

Spuszczam wzrok na podłogę pokrytą linoleum, przypominając sobie olbrzymią dziurę na zewnątrz The Star, która mrugała do mnie ślepiami i wyła, jak jakiś wielki potwór morski.

– Co powstrzymało panią przed wejściem do środka, Kate?

– Przyglądałam się billboardom.

Shaw wygląda za zakłopotaną.

– Rozbudowują stację metra Tottenham Court Road i rozkopują Soho wzdłuż i wszerz. Wykopali olbrzymią dziurę przed tą kafejką.

– A billboardy?

– Billboardy mają ukryć tę dziurę, sprawić, żeby wszystko bardziej efektownie wyglądało. Pokazują tam plan robót i projekt nowej stacji.

– Co sprawiło, że im się przyglądałaś?

– Nie wiem – odpowiadam. – Zdaje się, że to kość mamuta przyciągnęła mój

wzrok.

Shaw marszczy się.

– To była fotografia – wyjaśniam. – Zdjęcie kości mamuta, którą wykopali miesiąc wcześniej. Taka metoda dewelopera, by przekazać, że całe to zamieszanie jest dla wyższego dobra. „Spójrzcie, nie ryjemy zabytkowych ulic i nie niszczymy Soho, tylko przywracamy coś, co ma wartość historyczną. Oto kość mamuta”.

To jasne, że Shaw nie ma pojęcia, o czym mówię. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek była w Soho.

– Przykro mi – wyjaśniam. – Takie rzeczy po prostu mnie wkurzają.

Kiwa głową i zapisuje coś w swoim notatniku.

– A więc przyglądałaś się tym billboardom – kontynuuję. – A co wydarzyło się potem?

Zamykam oczy i przypominam sobie wrażenie, które miałam tamtego wieczoru. Jakby ziemia poruszała się pode mną i wciągała mnie do środka. A potem usłyszałam te głosy. Krzyki. Początkowo były stłumione, ale coraz bardziej przybierały na sile, aż musiałam zakryć uszy. Potem nagle bum, eksplozja, wszystko fruwało w powietrzu – głowa, stopa, ręka, tułów, spadająca na mnie płatanina zakrwawionych ciał.

– Kate – Shaw przerywa moje wspomnienie. – Co się stało?

– Upadłam. I... hmm... ta dziewczyna próbowała mnie podnieść...

– Rosa Dunajski?

Skąd ona zna jej nazwisko?

– Tak. Chyba tak.

– Jest kelnerką w The Star?

Kiwam głową.

– Wyszła, ponieważ robiłaś lekkie zamieszanie, krzycząc na ludzi, żeby uciekali do schronu.

– Nie, to nieprawda – zaprzeczam trzęsącym się głosem. – Po prostu upadłam, a ta dziewczyna zaczęła robić zamieszanie i mnie przytrzymywać.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Ja... odepchnęłam ją.

Shaw zagląda do swoich notatek i zaczyna czytać.

– Popchnęła ją pani tak mocno, że upadła na ziemię, uderzając głową o chodnik.

– Nie miałam zamiaru. Wyjaśniłam to potem. Po prostu mnie wystraszyła. To wszystko.

– Tak zeznała pani później na policji – mówi Shaw. – Menedżer kawiarni wezwał policję i została pani przesłuchana, ale Rosa nie chciała wnosić oskarżenia. Wydaje się, że poczuła do pani sympatię.

– Nie było potrzeby wzywania policji – wyjaśniam i ogarnia mnie szal. – Menedżer przesadził. Rosa wiedziała, że to nie była moja wina. Policjanci uznali, że to tylko nieporozumienie. Chryste, doktor Shaw, w Soho zdarzają się poważniejsze przestępstwa niż coś takiego. Nie chcieli marnować czasu na coś tak trywialnego jak kobieta, która się przewraca.

– Myślę, że naskoczyła pani na Rosę, ponieważ była pani przerażona – nie daje za

wygraną Shaw i kładzie notatki na podłodze obok swoich stóp. – To właśnie się wydarzyło, prawda, Kate? Nie przewróciła się pani. Miała pani halucynacje, prawda?

Dlaczego ona to robi? Dlaczego nie zostawi tego w spokoju?

– To było tylko chwilowe, po prostu wspomnienie – wyjaśniam. – Nic poważnego.

Shaw kiwa głową.

– Czy od tamtej pory doświadczyła pani czegoś takiego? Więcej halucynacji?

– Nie – odpowiadam, upewniając się, że wytrzymuję jej wzrok. – Mogę panią zapewnić, że nie.

– Czy jest pani ze mną szczerą, Kate?

– Tak.

Podnosi swój notatnik i otwiera go na nowej stronie. Spoglądam na zegar i zastanawiam się, ile jeszcze pytań ma dla mnie Shaw, jaką część swojego życia będę musiała przed nią odsłonić. Jeśli nie będziemy wracać do Syrii, mówię sobie, jeśli tego nie zrobimy, wtedy ze wszystkim sobie poradzę.

Czwartek, 16 kwietnia 2015

Kiedy dochodzę do siebie, czuję na skórze gorącą i wilgotną pościel. W pokoju panuje ciemność. Nadal jest noc. Próbuję sobie przypomnieć, jak dotarłam do domu, ale mój mózg przypomina papkę i jedyną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że siedziałam przy barze, rozmawiając o strajkujących kierowcach ciężarówek. Potem zapadła przerażająca pustka.

Pieką mnie oczy i odczuwam silne pragnienie, ale nie jestem w stanie podnieść głowy z poduszki. Kiedy tak leżę, nieruchomo, powracają do mnie strzępy wydarzeń tego wieczoru. Duży kieliszek wina wypity jednym haustem... Pusta butelka... Jakim sposobem tak się upiłam jedną butelką wina? A może były dwie? Usiłuję myśleć jasno, lecz nie jestem w stanie.

Pokój wiruje mi przed oczami i kiedy siadam na łóżku, zaczynam odczuwać ból. Tępy, pulsujący ból, który kłuje mnie w skronie. Potrzebuję tabletki. Wstaję z łóżka i idąc po omacku w kierunku drzwi, uderzam dużym palcem u nogi o coś twardego. Spoglądam w dół, dostrzegam kształt mojej torebki leżącej na podłodze, rozrzuconą dookoła zawartość i szeroką, srebrną klamrę, która powinna być zamknięta na zatrzask, tymczasem jest otwarta. Włączam lampę i przyklękam ostrożnie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Komórka, tabletki, portfel. Zamek mojej portmonetki jest odsunięty i wysypują się z niej monety i banknoty. Jednak nie sądzę, żebym coś zgubiła. Wkładam je z powrotem do środka i pomiędzy dwudziestofuntowymi banknotami dostrzegam zgnieciony w kulkę kawałek papieru. Rozwijam go i widzę słowa: Marine Taxi, i rachunek na trzy funty i pięćdziesiąt pensów. Paul musiał mnie wpakować do taksówki na pięciominutową przejażdżkę do domu. Próbuję wyobrazić sobie jego twarz, ale moje myśli płyną i nie potrafię żadnej z nich uchwycić. Tak, to Paul musiał mi pomóc wsiąść do taksówki. Tak musiało być.

Może powinnam do niego zadzwonić, myślę sobie, kiedy zasuwam zamek w portmonetce i wkładam ją z powrotem do torebki. Mogłabym się wytłumaczyć, powiedzieć mu, że to był tylko jednorazowy incydent spowodowany przemęczeniem, że nie piję w nadmiarze, że zazwyczaj duży kieliszek to mój górny limit. Ale potem zmieniam zdanie. Ten biedny człowiek pewnie ma mnie już dość po jednym wieczorze.

Ból głowy nasila się, kiedy staję na nogach. Schodzę na dół do kuchni i wydaję dwie tabletki przeciwbólowe z szafki, a potem popijam je szklanką wody. Kiedy tak stoję przy zlewie, przeraża mnie widok wyniszczonej, chudej jak szkielet kobiety, która przypatruje mi się przez okno. Odskakuję jak poparzona, po czym uświadamiam sobie, że to ja. Jezu, w jakim ja jestem stanie... Muszę odpocząć, inaczej doprowadzę się do choroby.

Kiedy jestem już na górze, wkładam do ust dwie pigułki nasenne i popijam je resztką wody. Potem gaszę światło i wracam do łóżka.

Ale kiedy dotykam głową poduszki, przeszywający krzyk wyciąga mnie

z powrotem z pościeli. Brzmi jak odgłos kota, któremu ktoś stanął na łapce. Siadam na łóżku i nasłuchuję. Kolejny krzyk. Tym razem słabszy, żalony, zrezygnowany skowyt, który przechodzi w serię cichych jęków i łkanie. Może to lisy?

Wyskakuję z łóżka i odsuwam zasłony. Welniste, nocne chmury płyną po niebie, a światła z odległego mola sączą się przez nie niczym cienkie, złote arterie. Dźwięki ucichły i wydaje się, że zapanował spokój. Prześpij się trochę, Kate, mówię sobie, robiąc krok w tył od okna. Ale kiedy podchodzę, żeby zasunąć zasłony, coś dostrzegam.

Mała postać siedzi skulona na rabatce kwiatowej mojej matki.

Ściska mnie w żołądku. To nie może się dziać naprawdę. Jestem obudzona. Koszmary nocne nie przychodzą, kiedy nie śpię.

Mrugam oczami. Lecz postać nadal tam jest, dokładnie przede mną. To nie jest halucynacja. Tam na rabatce mojej matki siedzi dziecko.

Stoję przy oknie, wyglądam na zewnątrz. Tym razem nie wiem, co zrobić. Dziecko się nie rusza i przez chwilę myślę, że nie żyje. Ale potem postać podnosi wzrok, dokładnie do góry, na okno, i wydaję z siebie okrzyk. W poświacie księżycy dostrzegam, że to chłopiec.

Podnoszę swój telefon z podłogi.

– Halo, tak – mówię, kiedy w końcu, z trzęsącymi się rękami, udaje mi się wybrać numer. – Muszę zgłosić przypadek przemocy wobec dziecka. To dziecko moich sąsiadów i on jest... on jest w moim ogrodzie. Teraz tam jest. Musi być przemarznięty. Kilka chwil temu usłyszałam krzyk, potem wyjrzałam przez okno i... Słucham? Moje nazwisko? Kate Rafter, Smythley Road czterdzieści sześć... Tak jak powiedziałam, ten chłopiec jest dzieckiem moich sąsiadów, mieszkają przy Smythley Road numer czterdzieści cztery. Tak, z tego, co widzę, jest sam. Gdzie jestem? Stoję przy oknie mojej sypialni i wyglądam na zewnątrz, a on siedzi skulony na tym zimnie. Dziękuję bardzo. Co? O rany, obawiam się, że teraz nie przypomnę sobie kodu pocztowego... To dom mojej matki, ona umarła i ja... hmm... to Smythley Road przy... Dobrze, to wspaniale. Słucham? Do czego to jest wam potrzebne? Dobrze. Szesnasty czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty. Tak. I proszę, pośpieszcie się. On się nie rusza...

Nie mogę już dłużej czekać – trzaskam telefonem i zbiegam na dół. Po drodze dopadam szafy na półpiętrze i wydaję gruby koc. Śmierdzi kurzem i kulkami naftaliny, ale przynajmniej będzie ciepły. On jest taki zmarznięty tam na zewnątrz.

Zanim wychodzę przez tylne wyjście, słyszę jakiś hałas przed domem i podbiegam do okna. Przyjechała policja. Otwieram drzwi dwojgu policjantom, krępemu, starszemu mężczyźnie i młodej kobiecie o pociągłej twarzy z gęstą grzywką, która prawie zakrywa jej oczy.

– Pani Rafter? – upewnia się kobieta. Wygląda na zaszokowaną. Najwyraźniej w Herne Bay nieczęsto dostają takie wezwania.

– Tak, chodźcie szybko – poganiam. – On tam jest... Właśnie szłam... Siedzi na rabatce...

Prowadzę ich przez dom do kuchni. W głowie mi się kręci i słyszę, jak policjantka wzdycha, kiedy szamoczę się z kluczem do tylnych drzwi. W końcu zamek ustępuje i gestem zapraszam ich na zewnątrz.

– Tutaj jest – wyjaśniam, przyciszając głos tak, żeby go nie przestraszyć. – On jest...

Nogi się pode mną uginają, kiedy tak stoję, patrząc na pustą kwiatową rabatkę. Zniknął.

– Był tutaj – tłumaczę, odwracając się do policjantów. – Nie rozumiem... Jeszcze przed chwilą tutaj był...

– Pani Rafter... – zaczyna policjantka.

– Panno – prostuję, nadal wpatrując się w grządkę. – Nie jestem mężatką.

– Panno Rafter, powiedziała pani telefonistce, że dziecko, które pani widziała, mieszka w domu obok, prawda?

– Tak – potwierdzam, a serce podchodzi mi do gardła. – Tak, to ich dziecko. Nie wiem, jak ma na imię... Ona ma na imię Fida... Pochodzą z Iraku. Musicie pójść do domu obok i go poszukać. Próbowałem zwrócić moją uwagę. Proszę, musicie go znaleźć.

Policjanci wymieniają spojrzenia i kiwają głowami. Kiedy wracam do domu, myślę sobie, że traktują mnie poważnie. Może ten chłopiec jest im znany, może figuruje na jakiejś liście „zagrożonych”. Och, żeby tylko go odnaleźli.

– Dobrze, panno Rafter – mówi policjant, kiedy otwieramy frontowe drzwi. – Pójdziemy sprawdzić, co się tam dzieje.

– Słyszałam krzyki – wyjaśniam, kiedy wychodzą przez drzwi. – Co wieczór słyszę, jak on krzyczy. To potworne. Musicie ich powstrzymać.

Policjantka kiwa głową. Obserwuję, jak idą wzdłuż podjazdu.

– Proszę – mówię do siebie, zamykając drzwi, i wracam do salonu, żeby poczekać. – Proszę, niech Bóg ma go w swojej opiece.

W końcu, po niekończącym się oczekiwaniu, które wydawało się trwać godzinami, a zajęło zaledwie kilka minut, słyszę dzwonek do drzwi. Zrywam się z krzesła i biegnę do przedpokoju.

– O Boże – wydobywam z siebie, kiedy otwieram drzwi i dostrzegam ich grobowe miny. – Czy on... Proszę mi powiedzieć, czy on...

– Panno Rafter, możemy wejść? – pyta policjant, wystawiając rękę, jakby uspokajał rozszalałego wałacha.

– Tak – zapraszam. – Ale powiedzcie mi tylko, czy z nim wszystko w porządku.

Prowadzę ich przez ciemny korytarz do kuchni. Ich krótkofalówki trzaskają i snują się za nimi metaliczne, bezcielesne głosy. Panika wzbiera mi w piersi, kiedy gestem wskazuję na krzesła, lecz policjanci nie siadają. Kobieta rozgląda się po kuchni. Nadal ma ten dziwny wyraz twarzy i zauważam, że jej wzrok zatrzymuje się na opakowaniu tabletek nasennych, które zostawiłam na kuchennym blacie. Napotyka mój wzrok, po czym odzywa się, ze swoim akcentem z Kentu, przeciągając samogłoski:

– Panno Rafter, byliśmy w domu obok i kobieta, która tam mieszka, twierdzi, że nie ma dziecka.

– Co? – wykrzykuję. – Wobec tego kłamie... Musi kłamać.

Wyrzucam z siebie i wtedy to czuję – silny, stęchły smród wina. Moje ubrania są nim przesiąknięte, a w ustach mam cierpki smak. Robię krok w tył w kierunku zlewu, mając nadzieję, że policjanci nie poczują zapachu.

– Opowiada bzdury – protestuję. – Odkąd tutaj przyjechałam, widziałam go i słyszałam już kilka razy. Siedział tam na zewnątrz, na rabatce kwiatowej mojej matki. Widziałam go. Przeszukaliście dom? A co ze strychem? Może tam go ukrywa.

W głowie mi się kręci, kiedy mówię, ale muszę im wszystko opowiedzieć. Muszą się dowiedzieć, jak bardzo poważna jest ta sytuacja.

– Ta kobieta po sąsiedzku – opowiadam dalej – jest bardzo miła, ucina sobie ze mną pogawędki i uśmiecha się, ale ja wiem, co kombinuje. Wiem, co widziałam, panie władzo. To był chłopiec... mały chłopiec.

Policjanci patrzą się na siebie dziwnie, po czym głos zabiera mężczyzna:

– Pani Rafter...

– Już mówiłam, że jestem *panną* Rafter.

– Przepraszam, panno Rafter, chcę tylko panią zapewnić, że robimy co w naszej mocy, opierając się na tym, co pani zgłosiła przez telefon. Nie znaleźliśmy w domu obok niczego, co by nas zaniepokoiło. Nie było tam żadnego śladu dziecka. Żadnych zabawek, łóżeczka dziecięcego...

– Ale kiedy się obudziłam, on bez wątpienia tam był – sprzeciwiam się. Mam zamęt w głowie od wina, a słowa z trudem wydobywają się z moich ust. – Słyszałam krzyk... Krzyk dziecka. Brzmiał tak, jakby potwornie cierpiało... Wyjrzałam przez okno i widziałam go tam tak wyraźnie, jak teraz was widzę, skulonego na kwiatowej rabatce.

– A więc kiedy go pani zobaczyła, dopiero co się pani obudziła, tak?

Policjantka podnosi wzrok znad notatnika, w którym zapisuje moje zeznanie. Kiedy próbuję się nad tym zastanowić, mózg skrzypi mi jak zardzewiała taczka.

– Tak, właśnie się obudziłam – odpowiadam. – Ale kilka dni temu, w nocy, też było słyhać jakiś krzyk, a dzień wcześniej słyszałam, jak dziecko śmieje się w ogrodzie. Choć kiedy tam zajrzałam, nie było żadnego dziecka. Powinniście postawić policję w stan gotowości, powiedzieć swoim kolegom przez krótkofalówki, żeby zwrócili uwagę na małe dziecko z czarnymi włoskami. Wiecie, pierwsze kilka godzin jest kluczowe w przypadku zaginięć dzieci. Wiem, o czym mówię. Naprawdę wiem. Jestem dziennikarką.

To wszystko wylewa się ze mnie strumieniem słów i czuję, że zapiera mi dech. Opieram się z tyłu o blat, próbuję się uspokoić.

– O której godzinie położyła się pani spać? – pyta policjant i uśmiecha się protekcyjnie.

Wkurza mnie to. Zupełnie jakby mieli do czynienia z jakąś staruszką, której coś się pomyliło.

– Nie przypominam sobie – stwierdzam. – Wróciłam do domu jakoś między dwudziestą trzecią a północą.

– A więc wieczorem nie było pani w domu?

– Nie, nie było – potwierdzam. – Ale tylko przez kilka godzin.

– A piła pani alkohol? – kobieta, kiedy zadaje to pytanie, ma surowy wyraz twarzy.

– Wypiłam parę kieliszków wina, tak – odpowiadam. – Tyle że nie zmienia to w żadnym stopniu tego, co widziałam dzisiaj w nocy.

Kobieta unosi brwi i spogląda na swojego kolegę. Mam ochotę na nich wrzasnąć.

Zgłosiłam jedynie poważne zdarzenie, a jestem traktowana tak, jakbym to ja była przestępcą.

– Dobrze – stwierdza policjant. – Dzisiaj w nocy już nic więcej nie możemy tutaj działać. Jak wspomniałem, jesteśmy szczęśliwi, że w domu obok nie ma żadnego dziecka, ale naprawdę doceniam, że pani się zaniepokoiła, a dzwoniąc do nas, zrobiła pani najlepsze, co pani mogła zrobić.

Potrząsam głową.

– Patrzycie na mnie oboje, jakbym była jakaś... jakaś zupełną świruską, i to mnie naprawdę martwi – mówię, próbując zachować spokój. – Wiem, o czym mówię. Uwierzcie mi. Mam doświadczenie w takich sytuacjach. Ja... ja...

Mam pustkę w głowie i nie mogę znaleźć słów, których potrzebuję. Uderzam się w głowę opuszkami palców, próbując wydobyć słowa, ale gdzieś mi utknęły.

– Jak wspomniałem... – kontynuuje policjant, podnosząc głos ponad trajkot dźwięków ze swojej krótkofalówki – słusznie pani postąpiła, że nas pani wezwała, i nikt nie kwestionuje pani oceny sytuacji. Ale na pani miejscu zrobiłbym sobie jakiś napój mleczny i spróbowałbym się nieco zdrzemnąć.

Chcę się na nich wydrzeć, powiedzieć im, że nie jestem szalona, że ten chłopiec naprawdę istniał, tymczasem wyciszam się i obdarzam ich uprzejmym uśmiechem. Cóż więcej mogę zrobić?

– Odprowadzę was – oznajmiam, a kiedy idę za nimi korytarzem, zauważam, że wymieniają między sobą spojrzenia. Pośpiesznie otwieram drzwi i wyprowadzam ich na wilgotne powietrze.

– Do widzenia, panno Rafter – żegna się policjant. – Sporządziliśmy protokół z naszej wizyty. Proszę kontaktować się z nami, gdyby coś jeszcze panią zaniepokoiło, lecz zdecydowanie radzę pani odpocząć. Ma pani za sobą długi wieczór.

Uśmiecha się i odwraca, a ja przyglądam się, jak idzie za swoją koleżanką wzdłuż podjazdu do czekającego na nich samochodu.

Tyle że ja nie zamierzam się poddać. Pójdę do tego domu obok i porozmawiam z tą kobietą. Powiem jej, że wiem, co tam się dzieje. Zapytam ją o te krzyki. Powiem jej, co opowiedziałam policji i że słyszę te krzyki co wieczór.

Idę przynieść płaszcz, ale w korytarzu zerkam na swoje odbicie w lustrze. Widok, który powitał tych dwoje policjantów. Wydaję z siebie stłumiony okrzyk. Oczy pokryte skorupą gęstego, czarnego tuszu do rzęs, który wije się mokrymi zakolami przez moje powieki aż do skroni. Włosy, wcześniej tego samego wieczoru starannie uczesane w kok, rozczochrały się i kosmyki przykleiły mi się do czoła. Nadal mam na sobie kwiecistą, szalową sukienkę, rajstopy i sweter, które włożyłam do pubu, a ubrania są przesiąknięte nikotyną i stęchłym białym winem.

Widzę siebie ich oczami – pijaczka uzależniona od pigułek nasennych. Gdybym była na ich miejscu, też bym sobie nie uwierzyła.

Powoli wychodzę na zewnątrz i spoglądam na dom obok. Widzę tylko zasunięte zasłony i ciemność. Co ja sobie myślałam? Policja nic nie znalazła. Pewnie nic nie ma. Cofam się z powrotem do domu i zamykam drzwi.

W sypialni zrzucam z siebie ubrania i wskakuję pod kołdrę. Kiedy tak sobie leżę,

próbuję poskładać to wszystko do kupy. On z pewnością istniał naprawdę, ten chłopiec... Mam teraz przed oczami jego postać – mały chłopiec z ciemnymi włosami. Był tam, a potem zniknął. To zwyczajnie nie ma sensu.

Głowa mi pęka od tego wszystkiego i wzbiera we mnie gniew. Co się ze mną dzieje? Dlaczego to wszystko po prostu się nie skończy? Myślę o liście mojej matki i o słowach Sally. Czy miała rację? Czy jestem zwyczajną wścibską krową? Nie wiem. Nie mogę uspokoić swojej głowy na tyle, żeby jasno myśleć. Chcę tylko, by moje stare życie wróciło, moje stare łóżko i mój piękny, piękny Chris... Biorę do ręki telefon i naciskam ponownie wybieranie numeru. Ale przełącza się od razu na pocztę głosową i jakiś głos z oddali mówi do mnie, że Chris O'Brien jest niedostępny. Rzucam telefonem na drugi koniec pokoju i głowa opada mi na poduszkę. A kiedy próbuję zasnąć, myślę o tym wszystkim, co straciłam. Od tej pory tak właśnie będzie wyglądać życie, mówię sobie. Tylko to mi pozostało. Jeden długi koszmar nocny przerywany głosami i krzykami.

Czwartek, 16 kwietnia 2015

Myję naczynia po śniadaniu, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Serce mi szybciej bije, gdy wycieram dłonie w ścierkę do naczyń i wpadam do korytarza. Może to policja, myślę sobie. Może coś znaleźli.

Szamoczę się z zasuwką, głowa boli mnie od wieczornego alkoholu. Nigdy więcej, mówię sobie, kiedy w końcu udaje mi się otworzyć drzwi.

– Och! – wydaję z siebie okrzyk. – Witaj!

– Cześć, skarbie – mówi Ray. – Mogę wejść?

– Tak... Oczywiście, że tak – zapraszam, podenerwowana tą niespodziewaną wizytą. – Wejź dalej.

Prowadzę go do kuchni, głowa pęka mi z bólu. Naprawdę potrzebuję jakichś tabletek przeciwbólowych.

– Siadaj – proponuję. – Filiżankę herbaty?

– Tak, z chęcią. – Przystaje, odsuwając krzesło. – Z mlekiem. I dwiema kostkami cukru.

– Cóż za miła niespodzianka – zaczynam, wyjmując filiżankę z szafki i nalewając herbaty z dzbanka. – Co cię tutaj sprowadza?

Zdejmuje czapkę z daszkiem i kładzie ją na stole. Wygląda na zatroskanego.

– O co chodzi, Ray?

– Chciałem tylko przyjść i sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku – wyjaśnia, kiedy stawiam przed nim filiżankę herbaty. – Wczoraj wieczorem, w pubie... byłaś w takim stanie...

Wczoraj wieczorem? W pubie? Próbuję uporządkować swoje myśli. A potem sobie przypominam. Ray tam był. Co widział?

– Ach, to – mówię, nerwowo się uśmiechając. – Po prostu musiałam trochę za dużo wypić. To wszystko. Nie masz się czym martwić.

Marszczy brwi, upijając łyk herbaty.

– Właśnie wychodziłem z pubu, kiedy zobaczyłem faceta twojej siostry, który pakował cię do taksówki – wyjaśnia, odstawiając filiżankę. – Wykrzykiwałaś i wrzeszczałaś. Robiłaś straszną scenę. Najpierw myślałem, że on robi ci krzywdę albo coś, ale potem zrozumiałem, w jakim byłaś stanie. Pomyślałem, że lepiej sprawdzę. Zobaczę, czy wszystko w porządku.

Nagle zaczęło mi się kręcić w głowie. Odsunęłam krzesło i usiadłam z Rayem przy stole.

– Szczerze mówiąc, Ray, to był jednorazowy wyskok – wyjaśniam mu. – Normalnie nie piję alkoholu. Mam słabą głowę.

Śmieje się dziwnie.

– To nic dobrego – mówi Ray. – Widziałem już niejednego porządnego człowieka, którego zniszczył alkohol.

– Ja też – szepczę. – Chociaż nie opisałabym swojego ojca jako porządnego człowieka.

– Ach, daj spokój – rzuca Ray. – Cholernie dużo wycierpiał.

– Wszyscy wycierpieliśmy – wyjaśniam surowym głosem. – Wiesz, że lał moją mamę, prawda? I mnie?

Ray wierci się z zakłopotaniem na swoim miejscu.

– Słyszeliśmy coś na ten temat – mówi oględnie. – W miasteczku. Ale to nie była nasza sprawa, żeby...

– Wtrącać się? – warczę. – Pomóc? Jak brzmi to stare przysłowie? Jedyłą rzeczą, jaka jest potrzebna do triumfu zła, jest bierność dobrych ludzi?

Wygląda na dotkniętego i natychmiast żałuję, że jestem taka niedelikatna.

– Przepraszam, Ray – mówię, a głos mi mięknie. – To nie twoja wina, że tak się podziało z tatą. Po prostu wkurzam się, kiedy o tym myślę, to wszystko. Szczególnie o tym, co zrobił mamie.

– To zrozumiałe – przyznaje Ray. – Chociaż ja poznałem drugą stronę natury twojego ojca. Łagodną stronę.

– Ach tak? – ironizuję. – Jakoś ciężko mi w to uwierzyć.

– Wiesz, jak się poznaliśmy, prawda? – pyta Ray, świdrując mnie swoimi szarymi, kaprawymi oczami. – Twoja rodzina i ja?

Potrząsam głową. Nigdy nie pytałam o to, jak się poznali. Z tego, co mi wiadomo, Ray od zawsze funkcjonował w naszym życiu, w każdym razie odkąd pamiętam.

– Tamtego potwornego dnia, kiedy straciłaś swojego maleńkiego braciszka... – wyjaśniam łamiącym się głosem. – Cóż, to ja go znalazłem...

– To ty... Ty byłeś tym rybakim? – jękam się i wracają do mnie słowa listu mojej matki. – Tym, który wyciągnął go na brzeg?

Kiwa głową.

– Och, Ray – wydaję z siebie zduszony krzyk.

– Nigdy nie doszedłem do siebie po tym wszystkim – mówi z trzęsącymi się rękami. – Ten drobniutki mały chłopiec po prostu unosił się tam na wodzie... Próbowałem... Próbowałem ze wszystkich swoich sił. Zrobiłem mu oddychanie usta-usta. Przeszedłem przez całą pierwszą pomoc, jaką znałem, ale to było bezcelowe. On już nie żył.

Oczy napełniają mi się łzami, kiedy tak siedzimy w milczeniu. Mój mały braciszek wypełnia kuchnię. Chciałabym zapytać Raya o tyle rzeczy, tylko nie wiem, od czego zacząć.

– Ale wiesz... – mówi w końcu Ray – jeśli to miało taki wpływ na mnie, pomyśl, co to zrobiło twojemu ojcu?

– Nie było go tam – mówię, ocierając oczy wierzchem dłoni.

– Dokładnie – potwierdza Ray. – I wiesz co? W kolejnych latach po tym, jak się zaprzyjaźniliśmy, kiedy przesiadywaliś w The Ship i sączyliś piwo, wciąż przepytawał mnie na temat tego, co wydarzyło się owego dnia. Chciał znać każdy najmniejszy szczegół. Powiedział, że zawiódł tego małego, że powinien być tam być.

– Tak – przyznaję. – Ale to nie usprawiedliwia tego, co zrobił mamie i mnie.

Dlaczego musiał wyładowywać się na nas?

– To wszystko przez alkohol – wzdycha Ray. – Nieraz wpadałem na szybkie piwko, a twój tata siedział już przy trzecim, choć nie było jeszcze nawet osiemnastej... Wypijałem swoje i zostawiałem go tam. Bóg jeden wie, ile obalał każdego wieczoru.

Wzdrygam się. Przypominam sobie to przerażenie, z jakim czekałyśmy na jego powrót do domu.

– Nie rozumiesz? – wyjaśnia Ray, kładąc swoją dłoń na mojej dłoni. – To picie wpędzało go w tę złość. Gdyby sobie z tym poradził, być może sprawy ułożyłyby się inaczej.

– Być może – mówię, chociaż w to nie wierzę. Tata nienawidził mnie, nawet kiedy był trzeźwy.

– Przepraszam – dodaję, cofając dłoń. – Wiem, że byliście przyjaciółmi, ale dzień, w którym ten człowiek miał atak serca i umarł, był dniem, w którym życie moje i mojej matki zmieniło się na lepsze. Przykro mi, jeśli to brzmi zbyt brutalnie, lecz tak to wygląda.

Kiwa głową i wzdycha.

– Wiesz, że moja siostra jest alkoholiczką? – pytam. – To jeszcze jedna spuścizna po moim ojcu.

– Tak – przyznaje. – Słyszałem, że niezbyt dobrze sobie radzi. Co za szkoda... Była taką słodką małą dziewczynką. Zawsze trajkotała jak najęta i jakie toto było ładne. Zabawne, ale kiedy myślę o was dwóch, to widzę was na plaży z mamą. Zabierała was zawsze na piknik.

I kiedy mówi, nagle przyływa do mnie wspomnienie. Jesteśmy na plaży w Reculver. Szukam zęba rekina, podczas gdy Sally buduje zamek z piasku, a mama siedzi na ręczniku i czyta jakąś powieść.

Przeczesuję piasek opuszkami palców, czekając, aż poczuję wyszczerbione zęby, ale zamiast tego moja dłoń natrafia na coś grubego i pustego w środku. Wyciągam to i siadam na kamieniu, żeby obejrzeć swoje znalezisko. Przedmiot jest czarny i ma powierzchnię ponacinaną w misterną kratkę. Przesuwam po niej palcami, rozkoszując się szorstką, przypominającą papier ścierny fakturą. To mój skarb, moja tajemnica. Siedzę tak przez kilka minut, przyciskając go do piersi niczym śpiące niemowlę.

– Co robisz?!

Moja matka krzyczy na mnie. Zabiera ten przedmiot i biegnie w kierunku morza.

– Oddaj to!!! – wrzeszczę, lecz ona mnie nie słyszy i mogę jedynie przyglądać się bezradnie, jak wrzuca mój skarb w fale.

– Mogłaś zginąć – jednym tchem wydobywa z siebie zduszony krzyk i pada na ręcznik.

A potem wyjaśnia mi, że ten cenny przedmiot, który przyciskałam do piersi, był małym niewypałem, bombą – teraz wiem, że najprawdopodobniej była to pozostałość słynnych min wyskakujących, które testowano na plaży w Reculver w czasie wojny.

– Bomby eksplodują – wyjaśnia mi matka. – I niech Bóg ma cię w opiece, jeśli dostaniesz się w ich pole rażenia.

Kilka sekund później mama wraca do czytania powieści, a Sally kończy budować zamek z piasku. Incydent odchodzi w zapomnienie. Ale ja nie mogę się ruszyć. Jestem

w stanie myśleć tylko o tej bombie i w miarę upływu lat będę wciąż zadawać sobie pytanie, jak to możliwe, żeby coś tak pięknego i małego wywoływało tyle bólu.

– Co za szkoda – powtarza Ray, wyrывая mnie z mojego wspomnienia. – Nie ma jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby pójść po pomoc?

Mówi o Sally.

– Próbujemy – wyjaśniam. – Ale ona nie chce pomocy. Wpadłam wczoraj, żeby się z nią zobaczyć. Była naprawdę w złym stanie. Usiłowałam z nią porozmawiać, ale nie słuchała. Była złośliwa i zaczęła insynuować, że coś o mnie wie...

– Ach tak? – zaciekawia się Ray. – Co wie?

– Tego nie powiedziała – odpowiadam. – Ale niczego nie wie. To taki jej sposób odwracania uwagi od siebie. Mój tata był taki sam. Zawsze robił się złośliwy, kiedy pił, i zaczynał rzucać obelgami.

– Hmm – mówi Ray. – Masz rację. Nie bierz tego do serca. Ona nie wie, co mówi. To bardzo smutne.

Wypija do dna herbatę i wstaje.

– Cóż, lepiej już pójde – oznajmia, wkładając czapkę. – Nie chcę zabierać ci czasu. Po prostu cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku. Jestem starym człowiekiem i martwię się.

– Czuję się dobrze, Ray – uspokajam go, kiedy przechodzimy do korytarza. – Ale dzięki, że wpadłeś. Po odejściu mamy nie został mi nikt, kto by się o mnie martwił.

Uśmiecham się, otwierając drzwi.

– Dzięki za herbatę – mówi i wychodzi na zewnątrz. – No i pozdrów ode mnie Sally, dobrze?

– Pozdrowię – obiecuję, odprowadzając go do końca podjazdu. – Chociaż nie wiem, czy się z nią jeszcze spotkam przed wyjazdem.

– Ach, spotkaj się, spotkaj – namawia, ściskając moją dłoń. – Spróbuj, Kate. Ona jest twoją siostrą. Nie możesz spisać jej na straty, bo inaczej nigdy sobie nie wybaczysz.

Kiwam głową.

– Do widzenia – mówi, puszczając moją dłoń. – Uważaj na siebie.

– Na razie, Ray – żegnam się i obserwuję, jak odchodzi w dół wzgórza.

Kiedy odwracam się znowu w kierunku domu, dostrzegam Fidę. Wspina się po wzgórzu, niosąc siatki z zakupami, i wygląda, jakby świat jej nie obchodził. Jak może być taka zblazowana, kiedy jej mały chłopiec cierpi? Kiedy ją obserwuję, czuję, jak kipi we mnie gniew. Muszę coś powiedzieć.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – krzyczę, kiedy podchodzi bliżej. – Dlaczego okłamałaś policję?!

Próbuje przepchnąć się obok mnie, ale stoję pewnie.

– Daj spokój, Fida – mówię. – To głupie.

– Nie, to ty jesteś głupia – odpowiada. Zabiera swoje siatki i maszeruje w górę swojego podjazdu, a ja przyglądam się, jak otwiera drzwi i wstawia torby do środka.

– Fida, po prostu porozmawiaj ze mną – wołam. – Czego tak bardzo się boisz?

Zamyka drzwi, po czym odwraca się i schodzi z powrotem w dół podjazdu.

– O to chodzi?! – krzyczy, wskazując na swój hidżab. – O to?! Myślisz, że coś

złego kombinuję?! Cóż, nie jesteś osamotniona! Wielu w tym miasteczku nie chce ludzi takich jak ja.

– Nie pleć bzdur! – krzyczę. Jestem przerażona, że coś takiego przyszło jej w ogóle do głowy. – Całe swoje życie zawodowe spędziłam na Bliskim Wschodzie. Sama nosiłam hidżab. To nie ma z tym nic wspólnego. A teraz powiedz mi, gdzie jest twoje dziecko.

Zamyka oczy i potrząsa głową.

– Nie wiem, o czym mówisz – twierdzi, wyrzucając ręce w powietrze. – Mówiłam ci, że nie mam żadnego dziecka. Mówiłam policji, że nie mam dziecka. Co z tobą? Myślisz, że gdybym miała dziecko, tobym je ukrywała? Myślisz, że jestem szalona?

– Nie, nie myślę, że jesteś szalona – odpowiadam, zniżając ton głosu. – Myślę, że jesteś przerażona. Chodzi o twojego męża, prawda? On to robi.

– Mój mąż! – wrzeszczy. – Teraz obwiniasz mojego męża?

Głowa mi pęka i rozpaczliwie potrzebuję więcej proszków przeciwbólowych.

– Mówię tylko, że rozumiem – wyjaśniam. – Musiałam patrzeć na moją matkę, która przeżyła pełne przemoc małżeństwo.

– Twoja matka była uroczą kobietą – mówi, a głos jej mięknie. – Zawsze uprzejma i pytała mnie o mój rodzinny kraj, i jak tam było...

Próbuję się odezwać, ale słowa więzną mi w gardle. Słyszę tylko głos Nidala. W ciągu ostatnich kilku minut stał się bardziej natarczywy. Woła mnie po imieniu, błaga mnie o pomoc.

– Ssz – syczę. – Sza.

– Nie każ mi się zamknąć! – krzyczy Fida. – Twoja matka nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Nigdy nie oskarżyłaby mojego męża o złe postępowanie i nigdy nie wezwałaby policji. Wiesz, przez co ja przeszłam w Iraku z rąk tak zwanej policji?! Wiesz?!

– Mogę sobie jedynie wyobrazić – mamrocę i czuję ucisk w klatce piersiowej.

To wszystko, na co mogę się zdobyć, chociaż chcę jej powiedzieć, że znam Irak, że rozumiem... Wystawiam rękę i opieram się o ścianę.

– Nie wyglądasz dobrze – stwierdza, podchodząc do mnie. – Powinnaś wrócić do domu.

– Tak – przyznaję i pozwalam jej zaprowadzić się wzdłuż podjazdu do domu mojej matki.

Sadza mnie na sofie, poprawiając poduszki wokół. Opieram się o nie. Mam kompletną pustkę w głowie.

– Zrobię ci coś ciepłego do picia – proponuje i przyglądam się spod na wpół przymkniętych oczu, jak znika w kuchni.

Wraca z kubkiem parującej słodkiej herbaty. Sączę ją powoli, wydaje się pomagać.

– Cukier jest dobry, kiedy czujesz się...

Usiłuje znaleźć słowa, więc jej pomagam:

– Kiedy masz kaca?

– Tak – mówi. – Na szczęście dla mnie nigdy tego nie doświadczam.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiadam. – Bardzo mądrze.

Obserwuję, jak poprawia swoją chustę. Fida jest bardzo piękna i taka uprzejma.

Przypomina mi moją matkę, zawsze przepraszającą i w przesadny sposób nadrabiającą uśmiechami. Bite żony tak mają... Ale dlaczego kłamię o dziecku? Kiedy jej się przyglądam, uświadamiam sobie, że będę musiała postępować ostrożnie, jeśli chcę poznać prawdę.

– Fida to ładne imię – stwierdzam, z powrotem osuwając głowę na poduszki.

– Dziękuję – odpowiada. – Dostałam imię po mojej babci.

– Ja też – mówię. – Chociaż nigdy jej nie poznałam.

Uśmiecha się i zauważam, że trzęsą jej się dłonie.

– Fida, jeśli jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć... – zachęcam. – Wiesz, że możesz, prawda? Możesz mi zaufać.

– Panno Rafter, nie ma nic do powiedzenia – ucina, uśmiech przemyka po jej ustach, ale nie dociera do oczu. – Teraz zostawię panią w spokoju. Proszę się zdrzemnąć i żadnego wzywania policji, dobrze? Żadnego gadania o dzieciach.

Kiedy wstaje, zbierając się do wyjścia, dostrzegam coś w jej twarzy. Coś w rodzaju rezygnacji, myślę. Muszę spróbować jeszcze raz.

– Dorastałam z takim mężczyzną, Fida. Wiem, jak to działa. Oni cię niszczą, o tutaj. – Poklepuję się dłońmi po skroniach, a ona stoi w drzwiach, wpatrując się we mnie z pustym wyrazem twarzy. – Musisz być silna dla swojego dziecka, Fida – kontynuuję. – Musisz być silna dla niego. Moja matka, niech ją Bóg błogosławi, powinna była odejść od mojego ojca, lecz tego nie zrobiła. Siedziała cicho, a ta cisza pozwalała mu działać dalej.

Głos więźnie mi w gardle i powraca do mnie zapach szpitala, silny, duszący zapach krwi i środków dezynfekujących.

– Panno Rafter, proszę. Proszę przestać.

– Nie, nie przestanę! – krzyczę, z trudem podnosząc się z sofy i rozlewając herbatę.

– Mam obowiązek nie przestawać! Słyszę *co wieczór*, jak twój syn krzyczy! – Ściszam głos, widząc, że za chwilę ucieknie. – Wiem, że to musi być dla ciebie trudne, by się przyznać, ale możesz otrzymać pomoc. Ja mogę ci pomóc. Znam ludzi, którzy mogą pomóc ci od niego uciec: schroniska dla ofiar przemocy w rodzinie, doradców. Musisz, Fido, przez wzgląd na swoje dziecko musisz to zrobić.

Trud wyrzucenia z siebie tych słów to dla mnie zbyt wiele i opadam z powrotem na sofę.

– To szaleństwo – mówi, kiedy kładę się na boku i chowam twarz w zatęchłą tkaninę. – Nie jest z panią dobrze. Zostawię panią samą. Ale proszę, proszę panią, żeby pani też zostawiła mnie w spokoju. – W jej głosie brzmi ledwie skrywane obrzydzenie.

Słucham odgłosu jej kroków, kiedy powłócząc nogami, wychodzi z pokoju, a potem drzwi wejściowe zatraskują się i zostaję sama w gęstej ciszy.

– Jesteś martwa?

To on. Rozpoznaję jego głos, nawet moim sennym umysłem.

– Och, dobrze – mówi, kiedy otwieram oczy. – Żyjesz.

Nidal siedzi na podłodze. Ma włosy zmierzwiłone od kurzu i brudu.

– Cześć – szepczę. – Która godzina?

– Późno, ale nie mogę spać. Znowu zaczęło się bombardowanie.

Ma bladą buzię, a ciemne cienie pod jego oczami jeszcze bardziej się pogłębiły. Musi spać, inaczej zachoruje.

– Gdzie reszta?

– Śpią. Ale ja nie mogę.

– Powinieneś spróbować wypocząć, Nidal – tłumaczę. – Nie możesz ciągle przychodzić i tak mnie budzić. Musisz spać.

Potrząsa głową.

– Nigdy nie zasnę. Opowiedz mi bajkę. O Anglii.

– Nie dam rady, Nidal. Jestem zbyt śpiąca. Może ty opowiesz mi bajkę.

– Ale ty jesteś dorosła, a ja jestem dzieckiem. Dorośli nie potrzebują bajek.

– Wszyscy potrzebujemy bajek, Nidal. Wszyscy.

– Dobrze, opowiem ci o Aleppo, jakie było kiedyś.

Czuję, że powłócząc nogami, przysuwa się do mnie, a potem kładzie rękę na mojej głowie. Jest chłodna i miękka, podobnie jak dłoń Fidy, a kiedy zamykam oczy, Nidal bierze głęboki oddech, przenoszę się tam razem z nim i spacerujemy po pięknym mieście, które już nie istnieje.

Czuję zapach Aleppo, kiedy budzę się dwie godziny później z plecami, które bolą mnie od sprężyn w sofie mojej matki.

– Nidal? – szepczę, kiedy powoli odzyskuję przytomność. A potem uświadamiam sobie, gdzie jestem.

Ten sen był tak wyraźny, tak sugestywny, że kiedy wstaję i idę do kuchni, w głowie dźwięczy mi jego głos, słowa, z którymi zawsze mnie zostawiał.

– *Tusbih 'alá khayr*, Kate.

Dobranoc, Nidal.

Potrzebuję powietrza, mówię sobie, przechodząc przez kuchnię i otwierając tylne drzwi. Jeśli zostanę w domu, będę rozmyślała o Nidalu i Aleppo, a potem pojawią się koszmary. Muszę wyjść.

Nalewam sobie szklankę wody i zabieram ją ze sobą do ogrodu. Wyciągam plastikowe krzesło na patio, siadam i obserwuję, jak niebo ciemnieje. Jest chłodno i pocieram ramiona, żeby się ogrzać. A potem dostrzegam trójkąt światła, które przebija się przez płot.

Wstaję z krzesła i idę przyjrzeć się temu bliżej. Jedna ze sztachetek w płocie obluźowała się i zwisa pod kątem.

– Kolejna rzecz do naprawy – mrużę do siebie pod nosem, ale kiedy zamierzam wrócić na krzesło, słyszę jakiś dźwięk.

Głos. Bardzo słaby głos.

– Kate?

Zastygam w bezruchu. Przechodzi po mnie dreszcz strachu. Głos dochodzi z nieokreślonego kierunku. Dobiega z jakiegoś cichego, pustego miejsca. Dobiega z domu. Ale nie z domu obok. Z mojego domu.

Ktoś jest w środku, a ja jestem na zewnątrz. Sama. Włoski na mojej ręce stają dęba, gdy słyszę zbliżające się kroki.

– Ach, tutaj jesteś.

Ramiona opadają mi z ulgą, kiedy go widzę.

– Paul, co ty tutaj robisz?

– Zostawiłaś frontowe drzwi otwarte. Zaniepokoiłem się.

Stoi w przygaszonym świetle patio. Kuchnia za nim jest ciemna i przez sekundę wygląda jak zdjęcie, które jeszcze nie zostało wywołane. Idę się z nim przywitać i powoli jego kontury zaczynają wracać do pierwotnej postaci.

– Drzwi były otwarte?! – krzyczę. – Ale nie mogły być...

Zostawiam to zdanie niedokończone, ponieważ nie da się tego wytłumaczyć. Słyszałam, jak drzwi zatrzasnęły się za Fidą. Spałam kilka godzin, a potem tutaj wyszłam. Nie byłam nigdzie indziej. Nie byłam, prawda?

– Musisz być ostrożna – ostrzega. – Na tej ulicy była seria włamań. Chociaż w tych starych domach nie ma niczego do ukradzenia.

Kiedy do niego podchodzę, dostrzegam, że trzyma w rękach papierowe torby.

– Co to jest?

– Kolacja – wyjaśnia, podnosząc torby niczym hantle na wysokość klatki piersiowej. – Pomyślałem, że może miałabyś ochotę na domowy obiad. Jeśli chcesz, to powiedz, żebym się odwalił. Zrozumiem.

Wolałabym, żeby nie odczuwał nieustannej potrzeby wpadania i sprawdzania, co u mnie słychać. Potrzebuję przestrzeni, żeby się zastanowić, żeby odnaleźć sens w tym, co się dzieje. Ale wtedy przychodzi mi na myśl ostatni wieczór. Moje zachowanie.

– Nie, to ja powinnam się odwalić – kajam się, wprowadzając go do kuchni.
– Przepraszam za ostatni wieczór. Ostatnio źle sypiam, a zwykle nie pijam alkoholu. Obawiam się, że to wino uderzyło mi do głowy.

– W porządku – mówi, stawiając torby na stole. – To żadne przestępstwo wypić o jeden kieliszek za dużo, a poza tym byłaś bardzo zabawna, zwłaszcza twoje poglądy na temat Dover.

– Co powiedziałam na temat Dover? – pytam, próbując przywołać wydarzenia poprzedniego wieczoru. – A może lepiej nic nie mów... Boję się nawet pomyśleć, co powiedziałam. Paul, jestem zażenowana.

– Nie bądź głupia – mówi, chichocząc. – Byłaś po prostu wesoła, to wszystko.

Przyglądam się, jak powoli wyjmuję zawartość torby. Piezonego kurczaka, torebkę z liśćmi sałaty, pomidorki koktajlowe, cytryny, ocet balsamiczny, oliwę z oliwek, jakiś chleb z ziarnami i dwie butelki wina.

– O nie, żadnego wina – jęczę.

– Daj spokój, tylko jeden kieliszek – namawia, odkręcając butelkę.

Uśmiecham się z zakłopotaniem. Chciałabym spędzić dzisiejszy wieczór sama, chciałabym uporządkować myśli, a może nawet zadzwonić do Harry'ego. Nie potrzebuję spędzać kolejnego wieczoru na rozmowie z Paulem o Sally. To bezcelowe. Ale z drugiej strony nie chcę go urazić.

– O, jeszcze to ci przyniosłem – mówi, rzucając na kuchenną ladę okazałych rozmiarów gazetę. – Pomyślałem, że może chcesz być na bieżąco z tym, co się dzieje.

Dostrzegam nazwę mojej rodzimej gazety wydrukowaną pogrubioną, czarną czcionką i myślę sobie, że to ostatnia rzecz, jakiej chcę, ale uśmiecham się i mimo wszystko dziękuję Paulowi.

– Dobrze, napijmy się tego wina – mówi.

Obserwuję, jak szpera w szafkach, a potem pojawia się z dwoma staroświeckimi kieliszkami na zielonych nóżkach. I kiedy nalewa wino, przychodzi mi na myśl wcześniejsza wizyta Raya. Muszę się dowiedzieć, co tam się stało.

– Paul – zaczynam niepewnie – wczoraj wieczorem... Kiedy wyszliśmy z pubu... Czy zrobiłam scenę?

Paul kończy nalewanie wina, po czym podaje mi kieliszek.

– Byłaś trochę pijana. To wszystko – tłumaczy, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Nie ma się czym przejmować.

Próbuje mnie chronić, ale ja muszę wiedzieć.

– Proszę – mówię, biorąc kieliszek. – Powiedz mi.

Jego uśmiech blednie i zanim zaczyna, wypija duży łyk wina.

– Czekaliśmy na taksówkę – opowiada, przesuwając kciukiem i palcem

wskazującym wzdłuż nóżki kieliszka. – A tobie po prostu zrobiło się niedobrze. Przez chwilę myślałem, że zemdlesz albo coś. Miałaś dziwny wzrok, a potem zaczęłaś się trząść. Wydawałaś się mnie nie słyszeć. Jakbyś była gdzie indziej.

Przeszywa mnie chłód. Paul opisuje to, co przeżywam każdej nocy. Jakby sięgnął do mojej głowy i wyciągnął z niej moje nocne koszmary. Nerwowo wypijam łyk wina. Muszę się pozbyć tylu rzeczy.

– Potem podjechała taksówka – opowiada dalej. – I pomyślałem, że wsiadę z tobą i zawiozę cię pod drzwi, tylko wiedziałem, że powinienem wrócić i sprawdzić co z Sally. Wobec tego pogadałem z kierowcą, a ponieważ to była kobieta, więc się uspokoilem. Była miła, powiedziała, że dopilnuje, żebyś weszła bezpiecznie do domu.

Kiedy mówi, moje dłonie zaczynają drżeć. Chcę, żeby natychmiast przestał.

– Ale... no cóż... najbardziej zaniepokoiło mnie to, co powiedziałaś, kiedy wsiadałaś do tej taksówki – przyznaje.

Podnoszę wzrok. Tak bardzo chcę, żeby przestał. Ale druga część mojej jaźni chce wiedzieć.

– Co powiedziałaś?

Paul odstawia kieliszek i bębni palcami po stole.

– O co chodzi, Paul? Powiedz mi, co takiego powiedziałaś! – Czuję znajomy ścisk w gardle. – Proszę.

Przestaje bębnić palcami i mówi dalej:

– To pewnie było takie pijackie gadanie, nie przejmowałbym się tym... ale kiedy wychyliłaś się, żeby zamknąć drzwi do taksówki, spojrzałaś mi prosto w oczy i powiedziałaś...

– Paul, powiedz mi, co powiedziałaś.

Wpatruje się w podłogę.

– Powiedziałaś: „Zabiłam go”. Powtarzałaś to w kółko.

Spojrzałam na ciemnoczerwoną gęstą ciecz w moim kieliszku i żałowałam, że nie mogę zanurzyć się w jej odmętach. Kim był ten książę, który postanowił, że zostanie stracony przez utopienie w kadzi z winem? Nie mogę sobie przypomnieć, ale gdyby istniała jakaś metoda odejścia na tamten świat, to też bym się na to zdecydowała. Wypijam duży łyk i smak rozplywa mi się w ustach. Czuję, jak alkohol zmiękcza zakończenia moich nerwów, jedno po drugim.

– Co się dzieje, Kate? – pyta. – Chcesz o tym porozmawiać?

Odpowiedź brzmi „nie”. Nigdy nie będę o tym rozmawiać.

– Wszystko w porządku – uspokajam go, sięgając po butelkę, żeby nalać sobie kolejny kieliszek. – I masz rację, ten klin był dobrym pomysłem. To co? Pokroisz tego kurczaka czy mam to sama zrobić?

– Pokroję – zgadza się Paul, a na jego twarzy maluje się głęboka troska. – Chcę tylko raz to powiedzieć, a potem już nigdy nie wspomnę ci o tym ani słowem. Wiesz, że możesz mi zaufać, prawda? Wiesz, że możesz na mnie liczyć?

– Wiem – odpowiadam szybko. – W tej żalostnej namiastce kuchni gdzieś jest elektryczny nóż do krojenia. Pamiętasz jeszcze takie? Jeśli go znajdziemy, możemy zjeść.

Godzinę później siedzimy w salonie, na zielonej sofie ze skóry ekologicznej,

osuszając wino. Wypiliśmy odrobinę za dużo i oboje mamy już trochę w czubie.

– Nie wiem jak ty, ale ja chciałbym już pozbyć się tego domu – mówi Paul, rozglądając się po brudnym pokoju. – Zawsze budził we mnie nie najlepsze uczucia. Boże, wysłuchaj mnie. Brzmi to tak, jakbym rozmawiał z twoją przyjaciółką, tą... jak jej tam było...? – żartuje.

– Alexandra Waits – podpowiadam i łaskoczę go po karku. – Spójrz, tutaj jest. Zdaje się, że cię lubi.

– Przestań – śmieje się, odpychając moją dłoń. – Znowu mnie nastraszyłeś, potem sobie pójde i zostaniesz sama z Alexandrą.

– Przepraszam, nie mogłam się oprzeć – mówię, też się śmiejąc. To miłe uczucie. – Ale wiem, co masz na myśli z tym miejscem. Tak jakby wszystkie ściany były przesiąknięte całym tym żalem i przemocą, które trwały tutaj latami.

– Gdyby ściany mogły mówić... – dodaje Paul.

– Powiedziałyby: „Mogłabyś, proszę, powstrzymać swojego ojca, żeby nie uderzał w nas głową tej kobiety, bo niszczy tynk” – znowu się śmieję, tym razem nie na żarty.

Paul głaszcze mnie po ramieniu.

– Przepraszam – mówi łagodnie. – Musiałś przeżyć piekło.

Jego twarz znajduje się zbyt blisko mojej, więc prostuję się i sięgam po wino.

– Dość już o mnie – przerywam i napełniam nasze kieliszki. – A jak wyglądało twoje dzieciństwo? Dogadywałeś się ze swoimi rodzicami?

– Było w porządku – odpowiada. – Nie dogadywałem się z ojcem, ale nie jestem od analizowania tego wszystkiego. Taki syf po prostu się zdarza, a kiedy dorastasz, wyrastają ci jaja i sobie z tym radzisz.

Uśmiecham się.

– Dobra filozofia – stwierdzam, upijając łyk wina. – Powinnam sobie ją przyswoić.

– U mnie zawsze działała – dodaje.

– Wracając do twoich rodziców – mówię, stawiając kieliszek na stole. – Co wiesz na temat ludzi, którzy mieszkają obok, twoich lokatorów? Na temat Fidy i jej męża.

– A o co pytasz?

– Jestem po prostu ciekawa i tyle.

– Są w porządku – twierdzi. – Trzymają się na uboczu, płacą czynsz na czas.

– Mają dziecko?

– Nie sędzę – mówi. – No ale tak naprawdę niewiele z nimi rozmawiam. Agent od wynajmu nieruchomości załatwia z nimi sprawy. Zdaje się, że ta kobieta pochodzi z Bliskiego Wschodu.

– Z Iraku – wyjaśniam.

– Skąd wiesz? – pyta. – Rozmawiałaś z nią?

– Tak, była w ogrodzie. Zapytała mnie o mamę. Najwyraźniej dobrze się znały.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie tego – dziwi się Paul. – Ale wiesz, jaka była twoja mama. Rozmawiała ze wszystkimi.

– Tak – przyznaję. – Posłuchaj, Paul, myślę, że w tym domu dzieje się coś dziwnego.

– Co masz na myśli? – pyta, nachylając się i unosząc brew.

– Cóż, niedawno, zanim ze mną rozmawiała, usłyszałam, jak jakieś dziecko śmiało się w jej ogrodzie, ale kiedy ją o to zapytałam, powiedziała, że nie ma żadnego dziecka.

– Dziwne. Jesteś pewna, że słyszałaś dziecko? To mogło być coś innego, nie wiem, szczekający pies albo czyjeś radio samochodowe?

– Och, daj spokój. Wiem, jak brzmi śmiech dziecka. Mówię ci, że w tamtym ogrodzie było dziecko.

– Dziwne – stwierdza Paul. – Ale to ruchliwa uliczka i wiem, że w domu sąsiadującym od drugiej strony z numerem czterdzieści cztery mieszkają dzieci. Może to je słyszałaś.

– Taak, może – odpowiadam, powstrzymując się od ziewnięcia. Wiem, co słyszałam, lecz jestem zbyt zmęczona, by się przy tym upierać. W każdym razie Paul, podobnie jak ja, nie wie nic na temat sąsiadów.

– Wiesz, czego ci potrzeba? – pyta Paul, opierając się na sofie.

– Czego?

– Świeżego powietrza – mówi. – Spójrz na siebie. Jesteś wyczerpana. Od kilku dni siedzisz zamknięta w tym zakurzonym, starym domu. A przedtem siedziałaś w jakiejś cholernej piwnicy w Syrii. Musisz trochę odżyć. Może spędzimy dzień w jakimś miłym miejscu, co? Ty wybierasz gdzie, a ja cię tam zabieram.

Uśmiecham się do tych jego prób rozweselenia mnie. Znowu wypiałam za dużo wina, tyle że ten przytępiony brak ostrości w mojej głowie ma raczej kojące działanie.

– No dalej – pośpiesza Paul. – Gdzie pojedziemy?

Zamykam oczy i słyszę głos mojej matki: „Czas na piknik, dziewczęta”. I nie wiem, czy to wino, czy też moje upiorne skłonności, ale przez chwilę mam ochotę tam wrócić.

– Kate?

Otwieram oczy i patrzę na Paula. Dzisiaj wieczorem wygląda jakoś inaczej. Wydaje się mniej przemęczony niż zwykle, niemal atrakcyjny. Pewnie to wino na mnie tak działa.

– Chciałabym pojechać do Reculver – mówię, wytrzymując jego spojrzenie.

– Plaża czy ruiny?

– I to, i to.

– Dobra, załatwione – zgadza się. – Nie byłem w tej twierdzy od lat, chyba odkąd byłem dzieciakiem. Mój tata z jakichś powodów lubił to miejsce, w końcu był starym sentymentalnym sukinsynem. Tam straszy, prawda?

– Przypuszczalnie tak – odpowiadam sennym głosem.

Wypijam kolejny łyk wina, zamykam oczy. Jestem taka zmęczona.

– Reculver to jest to – mówi Paul stłumionym głosem. – Pojedziemy na piknik.

Kate? Śpisz?

Szturcha mnie, a ja otwieram oczy.

– Która godzina? – Chrząkam, wyciągając przed sobą nogi.

– Prawie północ – odpowiada Paul.

– Przepraszam – mówię, podnosząc się powoli z sofy. – Chyba powinnam teraz trochę odpocząć.

– Tak, powinnaś – zgadza się Paul, wstając. – Czyli mamy plan?

– Plan na co? – pytam i zataczając się, idę w kierunku drzwi. Mam bardzo dziwne uczucie w głowie i zastanawiam się, czy to nie czasem jakaś choroba. Kiedy ja brałam tabletkę nasenną?

– Reculver – przypomina Paul, idąc za mną w kierunku drzwi. – W ten weekend.

– Ach, no nie wiem – migam się, żałując, że w ogóle wspomniałam o tym cholernym miejscu. – Pewne sprawy chyba lepiej pozostawić w przeszłości.

– Daj spokój! Będzie wesoło! – zachęca, szamocąc się z suwakiem swojej kurtki.
– Tylko kilka godzin. Obojgu nam to dobrze zrobi.

Patrzę na niego i myślę, że zapewne morskie powietrze przydałoby się bardziej jemu niż mnie. Weekendy w jego domu nie należą pewnie do zbyt wesołych. Zasluguje na chwilę oddechu.

– Dobra – zgadzam się, otwierając zamek drzwi wejściowych. – Jesteś narwany. A teraz spadaj stąd i daj mi się położyć spać.

Śmieje się, a potem przyciąga mnie do siebie i mocno przytula.

– Dziękuję, Kate – szepcze mi do ucha.

– Dobranoc, Paul – żegnam się, kiedy odrywamy się od siebie. – Jedź bezpiecznie. Sporo wypiełeś.

– Nic mi nie będzie – uspokaja mnie, kiedy wychodzi na zewnątrz. – To niedaleko. Aha, jutro zadzwonię do biura pośrednictwa nieruchomości i sprawdzę, czy dam radę dowiedzieć się czegoś o tych ludziach z domu obok. A teraz idź i odpocznij, dobrze?

– Spróbuję – wołam do niego, obserwując, jak podchodzi do samochodu. – Naprawdę spróbuję.

Zamykam drzwi i wracam do kuchni. Stół nadal jest zastawiony brudnymi talerzami. Zbieram je i wkładam do zlewu. Mogą zaczekać do rana, mówię sobie, kiedy nalewam na nie porcję płynu do mycia naczyń i puszczam gorącą wodę. Przez to wino kręci mi się w głowie i jestem taka śpiąca, że zastanawiam się, czy dzisiaj w nocy będę potrzebowała pigułek nasennych. Może jednak lepiej nie ryzykować. Wysypuję dwie tabletki z fiolki i popijam je łykiem wody. Kiedy już mam zamiar wyjść z kuchni, dostrzegam gazetę, która leży na kuchennym blacie. Rozkładam ją odruchowo i w ułamku sekundy żałuję, że to zrobiłam.

ZAGINIONE DZIECI W SYRII

Na wyłączność: relacja Rachel Hadley z obozu dla uchodźców w Kahramanmaraş.

Każde słowo wbija się we mnie niczym nóż. Ona to zrobiła. Ta mała jędza w końcu tego dokonała. Po miesiącach prób podkopywania mnie wreszcie dostała swoje wielkie zadanie. Patrzę na załączone zdjęcia. Hadley mizdrząca się do kamery, trzymająca na ręku małe dziecko. Zauważam, że zrobiła sobie fryzurę i ma na twarzy maskę makijażu. Dziecko, które trzyma na rękach, nie czuje się swobodnie. Typowe ustawiane zdjęcie. O Boże, kobieto, masz być dziennikarką. Czytam pierwsze kilka wersów jej relacji, z niedowierzaniem zauważając jej brak obiektywizmu. „Jestem tak wściekła, że ledwo mogę mówić”, biadoli w drugim akapicie. Przewracam stronę i dostrzegam, że w stopce

pod reportażem widnieje link do jej strony na Twitterze. „Więcej wieści z ostatniej chwili na temat reportażu Rachel, publikowanego na prawach wyłączności, znajdziecie, śledząc profil @rachely88”.

Pamiętam, jak Harry błagał mnie, żebym założyła sobie profil na Twitterze, żeby czytelnicy mogli mnie śledzić, a ja wtedy jasno i wyraźnie mu powiedziałam, że nie korzystam z mediów społecznościowych i że czytelnicy mogą przeczytać moje reportaże w gazecie. Jezu, jak niby mam aktualizować dane na stronie w mediach społecznościowych, jeśli jestem uwięziona w zbombardowanym mieście bez bieżącej wody, nie wspominając już o cholernym wi-fi?

– Bzdura! – wykrzykuję, drąc na kawałeczki gazetę i pozbawioną wyrazu twarz Hadley. – Wszystko to bzdura!

Muszę tam natychmiast wracać. Muszę porozmawiać z Harrym, powiedzieć mu, że doszłam do siebie po tym, co stało się w Aleppo, i jestem gotowa, by wrócić.

Serce wali mi tak mocno, że czuję się, jakbym miała dostać kolejnego ataku lęku. Siadam na krześle, nadal trzymając w dłoniach pozostałości gazety, i próbuję złapać oddech. A potem dostrzegam ją. Ładną, pełną butelkę czerwonego płynu na półce w spiżarni. Stary dobry Paul. Wstaję, biorę swój pusty kieliszek i zabieram go razem z butelką wina na górę do łóżka.

Krew leje się z nieba, kiedy czołgam się wśród ciał. Skąd one wszystkie się tutaj wzięły? Kilka minut wcześniej w pokoju panowała cisza. Słysząc było jedynie monotony szum lodówek i łagodne tykanie zegara.

Eksploduje wstrząsają powietrzem nad moją głową i po każdej kolejnej detonacji krew spływa mi po włosach, po ubraniu, po skórze, coraz więcej strzępów ciał spada z nieba niczym ochłapy mięsa rzucone w paszczę lwa. Nie ma po nim śladu, chociaż wiem, że gdzieś tutaj go spotkam, że będzie ścisnął w dłoniach swój album z wycinkami i pokaże mi swoje ulubione zdjęcie. Muszę go odnaleźć, zanim udusi się pod ciężarem ciał.

I nie ustaję, odrzucając na bok ciała, żeby się do niego dogrzebać.

– Kate.

Tam. Słyszę go. Jego głos jest słabym kwileniem w porównaniu z gradobicie bomb, które szaleją na niebie ponad naszymi głowami. Ale jak wyłuskać jego ciało z tego morza strzępów innych ciał, które faluje wokół mnie? Kiedy ocieram twarz, czuję w nozdrzach smród rozkładu.

– Kate.

Podchodzę bliżej. Wyczuwam go, chociaż wiem, że mam niewiele czasu. Lodówki warczą, kiedy tak kopię i kopię do samego dna tego dołu. Potem słyszę jęk i wiem, że jestem blisko.

– Już idę, Nidal – krzyczę w ciemność. – Zostań tam, już prawie cię mam.

Kopię coraz głębiej i głębiej, aż dostrzegam błysk ciemnych włosów i jego twarzy, na której maluje się jednocześnie oczekiwanie i przerażenie.

– Widzę cię, Nidal. Widzę cię. Teraz chwyć mnie za rękę.

Czuję, jak trzyma mnie mocno za dłoń.

– A teraz ciągnij, ciągnij z całej siły – krzyczę, lecz mój głos zostaje zagłuszony, ponieważ niebo eksploduje i wsiąka w nas czerwony deszcz.

– Kate.

Jego głos przybiera na sile, chociaż wiem, że to niemożliwe, bo przecież jest głęboko pod ziemią.

– Kate.

Drzwi sklepu nagle się otwierają i staje w nich żołnierz, oblepiony krwią, potem i ekskrementami, na plecy ma zarzucone martwe ciało, zwisają z niego miękkie nitki wnętrzości.

– Czy tego właśnie szukacie? – warczy, kiedy robi krok w stronę mojego leżącego płasko ciała i rzuca na ziemię trupa, który rozpada się od uderzenia, opryskując mnie delikatną mgiełką ciemnoczerwonej krwi.

– Kate.

Głos słabnie, podczas gdy ja zasłaniam oczy, chroniąc je przed odrażającym płynem, i zwijam się w małą kulkę.

– Nie – płaczę. – Nie, nie, nie.

Otwieram oczy i powoli się rozprostowuję. Dłonie mi się trzęsą, a w ustach mam

obrzydliwy posmak. Kiedy pokój nabiera ostrości, robię długie wydechy, płytko wciągając powietrze, żeby tylko powstrzymać nudności, które podchodzą mi do gardła.

Dwie butelki czerwonego wina. Dlaczego ja to zrobiłam? Wstaję z łóżka w poszukiwaniu wody i tabletek.

Czerwone wino zawsze przywołuje krwawe sny. Takich najbardziej się obawiam, głównie dlatego, że są uporczywe i nie da się od nich uciec.

W pokoju jest chłodno. Wyciągam walizkę spod łóżka i wyjmuję gruby wełniany sweter. Wkładam go i wychodzę na półpiętro. Kiedy idę po schodach, słyszę pukanie. Przystaję i przez chwilę nasłuchuję. Znowu się rozlega – przytłumione puk, puk, puk, jak dźwięk strzałów w oddali.

Powoli schodzę na dół i staję w korytarzu, cały czas nasłuchując. Dźwięk się urywa. To musiały być rury wypływające ostatnie powiewy ciepła. Kolejna rzecz wymagająca remontu, mówię do siebie, kiedy powłócząc nogami, wchodzę do kuchni.

Woda jest boska i wychylam szklankę za szklanką, rozpuszczając zarówno smak krwawego koszmaru sennego, jak i dwie podłużne pigułki, które zapewnią mi kilka godzin pustego snu. Zakręcam kran i przez chwilę tam stoję. Oczy pieką mnie ze zmęczenia. Ten dźwięk, kiedy znowu się pojawia, przybiera na sile, jest bardziej uporczywy i przypomina raczej walenie niż pukanie. Dobiega z zewnątrz. Idę do tylnych drzwi i otwieram je. Co to jest? Walenie trwa dalej. Dochodzi z sąsiedniego ogrodu.

Idę do spiżarni i wyjmuję ciężki wałek do ciasta, którego moja matka używała jako podpórki do jednej z półek. Wzdrygam się, kiedy trzymam ten pokaźnych rozmiarów ciężar w swoich dłoniach, i przypominam sobie jego poprzednie zastosowanie. Mój ojciec, który odgrywał w tym domu rolę policjanta, upodobał sobie ten wałek i używał go jako pałki w celu sprawowania kontroli nad tłumem swoimi dość niecodziennymi metodami.

Otwieram drzwi z wałkiem w dłoni i wychodzę do ogrodu. Powietrze jest mroźne, więc owijam się swetrem. Skradam się w kierunku plastikowego krzesła, które nadal stoi w tym samym miejscu pod płotem, gdzie je zostawiłam. Wchodzę ostrożnie na krzesło, łapiąc równowagę, i staję na nim, obserwując sąsiedni ogród. Dźwięk cichnie i nie ma tam niczego poza pustym sznurkiem na pranie i parą starych kaloszy leżących obok zarośniętego skalniaka. Szopa stoi w cieniu. Patrząc na prawo i dostrzegam, że dom najwyraźniej jest zamknięty. Zastłony w sypialni z tyłu są zastłonięte, a ze środka nie wydobywa się żadne światło.

– Znowu słyszę głosy – mówię do siebie, schodząc z krzesła, ale dokładnie w chwili, kiedy moje stopy dotykają ziemi, ponownie dobiega do mnie ten dźwięk, tym razem głośniejszy i bardziej rozpaczliwy. Słysząc go zza płotu.

Wdrapuję się z powrotem na krzesło i zerkam. I wtedy serce skacze mi w piersiach. Tam, w oknie szopy, widać twarz. Twarz dziecka.

Jest bardzo blade, prawie przezroczyste, a jego twarz okala bujna czupryna rozczochranych, czarnych włosów. Wygląda na przerażone. Wali pięściami w szybę okna szopy.

Muszę je stamtąd wydostać.

Podciągam się i siadam na płocie, jakbym dosiadała grzbietu kościstego konia,

a potem robię jeden szybki obrót i ląduję z głuchym łoskotem na trawie. Wałek do ciasta, który wetknęłam sobie pod ramię, uderza mnie w kolano, tak że aż krzywię się z bólu.

Podnoszę się z ziemi i rozglądam po ogrodzie za czymś, czego mogłabym użyć do ponownego przeskoczenia przez płot. Będziemy musieli się śpieszyć. Rozchwiane drewniane krzesło leży na boku, na podwyższonym, wyłożonym deskami patio przy tylnym wejściu. Byłoby dobre, ale jest tak blisko drzwi, że gdybym tam poszła, zaniepokoiłoby to Fidę. Kiedy tak stoję, zwlekając, chłopiec znowu wali w okno. Będę musiała zaryzykować. Uginając nogi w kolanach, szybko pokonuję trawnik i przyciągam krzesło z powrotem do ogrodzenia.

Kiedy już stoi na miejscu, odwracam głowę w kierunku szopy, machając do niego rękami, by wiedział, że idę mu z pomocą. Wygląda na przerażonego. Ogromna chmura przepływa przez księżyc, pogrążając ogród w ciemnościach. Nie przestaję machać, kiedy podchodzę do okna, ale szyba jest zaparowana, a twarzy chłopca już nie widać. Przekręcam klamkę u drzwi, trzymając przed sobą wałek niczym nieporęczny kompas. Drewniane drzwi są zamknięte na klucz, ale są cienkie i na w pół ustępują, kiedy naciskam na nie ramieniem. Jedno dobre pchnięcie je otworzy, oceniam. Cofam się i napieram na drzwi całą swoją siłą. Otwierają się gwałtownie, a ja ląduję na jakiejś stercie na samym środku szopy. Ciemno tu jak w grobie.

– Halo – wołam, a mój głos do mnie wraca. – Wszystko w porządku. Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

Kiedy podnoszę się z podłogi i rozglądam dookoła, czuję ból w plecach. Księżyc znowu wychodzi i wydobywa odpryski przedmiotów – zestaw składanych drabin opartych o okno, okazałych rozmiarów kosiarkę do trawy, zestaw sekatorów i, w najdalszym kącie szopy, starannie poukładane narzędzia ogrodnicze. Ale żadnego dziecka.

– W porządku – wołam do cienia w pomieszczeniu. – Wiem, że jesteś przerażony, ale możesz mi zaufać. Mam na imię Kate. Zatrzymałam się w domu obok.

Gdzie on jest?

Odsuwam na bok kilka pudeł. Zaglądam za drabiny. Nic.

Był tutaj, mówię do siebie. Dopiero co tutaj był. Przez chwilę stoję przy oknie, gdzie pająk utkał swoją srebrzystą sieć. Z tej perspektywy dostrzegam dość wyraźnie okno swojej sypialni, chociaż zasłony są zasunięte. Widzę ćwiartkę okna kuchennego i potrafię dostrzec kształt doniczek, które stoją rzędem wzdłuż patio przy tylnych drzwiach. Mógł mnie widzieć. Wiedział, że tam jestem, i chciał, żebym mu pomogła.

Czuję jego obecność. Odkąd przyjechałam do domu mojej matki, mam uczucie, że jestem obserwowana.

Dziecko nie może po prostu zniknąć, mówię do siebie, odstawiając na bok kolejne pudła i narzędzia ogrodnicze. To po prostu niemożliwe. Nie wymyśliłam sobie tego. Wiem, że nie. On tutaj był i walił w okno.

– Wyjdź, proszę! – krzyczę, odrzucając na bok pozostałe szpargały. – Nie musisz się przede mną chować.

I wtedy kątem oka dostrzegam jakieś światło. Ścisza mnie w żołądku. Podchodzę do okna i widzę, że w kuchni zapaliło się światło. Jeśli Fida albo jej mąż mnie tutaj znajdą,

będę miała poważne kłopoty.

Ostatni raz rozglądam się dookoła. Nic. Ale kiedy idę w kierunku drzwi, słyszę głosy. Dobiegają z ogrodu. Cholera. Wskakuję z powrotem do szopy, zamykam drzwi i przykucam w kącie.

Słyszę chrzęst kroków na ścieżce, serce skacze mi w piersiach. Stoją za drzwiami. Zaraz tutaj wejdą. Znajdą mnie.

Ale po kilku chwilach przerażającej ciszy słyszę kroki, które kierują się z powrotem w stronę domu. Zakrywam usta dłońmi i powoli wypuszczam z siebie powietrze. Było tak blisko. Co, do cholery, by powiedzieli, gdyby mnie tutaj znaleźli?

Odczekuję kilka minut, po czym skradam się do okna i wyglądam. Światło w kuchni jest zgaszone. Musieli wrócić z powrotem do łóżka.

Po odczekaniu dłuższej chwili otwieram drzwi do szopy i zmykam przez trawnik w stronę płotu. Ani żywej duszy. Ale kiedy wchodzę na krzesło, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym poza tym chłopcem. Poza jego drobną, przerażoną buzią.

– On tam był – szepczę, utrzymując równowagę, ponieważ krzesło chybcze się pod moim ciężarem. – On na pewno tam był.

Zeskakuję na kamieniste pozostałości grządek mojej matki i moje gołe stopy zapadają się w ziemię. Z jakiegoś powodu, kiedy wstaję i idę przez trawnik, przychodzi mi na myśl Chris i nasza ostatnia podróż do Wenecji. Chodziliśmy po targu, kiedy jeden ze straganiarzy zaczął krzyczeć. Jego grill zajął się ogniem. Ludzie wrzeszczeli i uciekali, a Chris poszedł prosto w stronę tego ognia i pomógł go ugasić. Zawsze wiedział, co zrobić. Była to jedna z tych rzeczy, które w nim kochałam. Gdyby teraz tutaj był, znalazłby sposób, by pomóc temu dziecku. Wiedziałby, co zrobić. Ale go tutaj nie ma i mam do dyspozycji tylko własną intuicję. Muszę jej zaufać, myślę sobie, kierując się w stronę domu. Muszę być odważna.

Posterunek policji w Herne Bay Trzydzieści i pół godziny od zatrzymania

Shaw kiwa głową, kiedy wchodzi z powrotem do pokoju. Miałyśmy dziesięciminutową przerwę, w trakcie której zaproponowano mi filiżankę kawy i kanapkę wypełnioną pomarańczowym, łykowanym serem żółtym. Wypiłam małymi łyżkami kawę i zostawiłam kanapkę nietkniętą, a teraz leży, schnąc na stoliku obok mnie, podczas gdy Shaw siada i otwiera swoją aktówkę. Ma w sobie coś dziwnego. Niemalże smutnego. Wyjmuje arkusz papieru i kładzie go na kolanach. Dostrzegam słowa „Szpital Uniwersytecki” i zanim jeszcze zdąży otworzyć usta, już wiem, co się święci.

– Możemy porozmawiać o dziecku, Kate?

Pokój kurczy się, kiedy tak siedzę, przyglądając się ostatnim chwilom życia mojego dziecka. Jeden akapit na kartce papieru.

– Co chce pani wiedzieć? – odpowiadam pytaniem. – Zdaje się, że ma pani wszystko przed sobą.

– Przepraszam – mówi. – To musiało być druzgocące przeżycie.

Jej głos jest boleśnie pozbawiony empatii i to sprawia, że zaczynam być czujna.

– Dlaczego? Przecież to zdarza się każdego dnia, prawda?

Shaw nie odpowiada. Myśli, że jestem bezduszna.

Biorę do ręki torebkę i szperam w poszukiwaniu zdjęcia. Ta kobieta sądzi, że jestem jakąś psychopatką. Muszę jej udowodnić, że mam uczucia, że jestem człowiekiem. Kimś, komu zależy. Wyjmuję portfel i wyciągam mały, kwadratowy kawałek papieru.

– Tutaj jest – wyjaśniam, wręczając jej kartkę. – Moje pierwsze USG.

Shaw bierze kartkę, a ja obserwuję, jak spod przymrużonych oczu przygląda się zamazanemu zdjęciu.

– Najwyraźniej to był chłopczyk – mówię, biorąc zdjęcie z jej dłoni i umieszczając je z powrotem w torbie.

– Wiem, że to niezwykle trudne, Kate – oznajmia, recytując słowa jak robot. – Ale byłoby to bardzo pomocne, gdyby mogła pani choć odrobinę podzielić się ze mną tym, co się wtedy wydarzyło. Rozumiem, że poroniła pani w tym samym dniu, w którym miała miejsce sprzeczka z Rachel Hadley.

– Tak, właśnie wyszłam z biura, kiedy...

Przerywam, przypominając sobie ten opadający w dół ciężar i krew, która poplamiła mi spodnie. Kolejne życie, którego nie zdołałam ochronić... Kolejna rzecz, której nie zdołałam utrzymać przy życiu...

– Czy ktoś pojechał z panią do szpitala?

– Nie.

– A więc przeszła pani przez to wszystko sama?

Kiwam głową. Ostra woń szpitala nadal utrzymuje się w moich nozdrzach, kiedy próbuję przypomnieć sobie wydarzenia tamtego wieczoru. Ale niczego nie pamiętam. Odczuwałam tak ogromny ból, że byłam w stanie dostrzec jedynie niewyraźne kształty.

Lekarze i pielęgniarki byli niczym niebieskawe smugi światła na skraju mojej świadomości.

– W jak zaawansowanej ciąży pani była?

– Trzeci miesiąc – odpowiadam. – Lecz według lekarzy dziecko umarło dwa tygodnie wcześniej.

Poczucie winy nadal jest tak żywe jak wtedy, kiedy to się wydarzyło. I chociaż mam świadomość, że gdy to wszystko się działo, mały już nie żył i że nie miało to nic wspólnego z Chrisem ani z tą butelką wina, to dręczy mnie poczucie, że zawiodłam swoje dziecko. Powinnam być dla niego silna, a nie byłam.

– Spędziłaś tę noc w szpitalu?

– Tak.

Spuszczam wzrok na stopy, przypominając sobie tamten maleńki pokój z zasłoną oddzielającą mnie od korytarza. Wręczono mi kartonową kaczkę i powiedziano, że mam w nią sikać i nie chodzić do ubikacji, żeby oni mogli monitorować fazy poronienia. Zostałam skrajnie pozbawiona poczucia godności, ale byłam tak nafaszerowana środkami przeciwbólowymi, że ledwo zauważałam, kiedy pielęgniarka wchodziła, by zabrać kaczkę.

Urodziłam martwe dziecko jakoś w okolicach świtu. Pamiętam, że promienie wschodzącego słońca dopiero przedzierały się przez druciane ogrodzenie przyszpitalnego parkingu. Stałam przy oknie, kiedy poczułam, że coś się przesunęło. Pobiełam do łazienki z kaczką i przyglądałam się, jak to malutkie, szare stworzenie wyślizgnęło się. Moje dziecko.

Ocieram łzy, kiedy Shaw przeskakuje do następnego pytania.

– A ojciec dziecka? – pyta. – Czy przyszedł się z panią zobaczyć?

– Nie – odpowiadam. – Nie wiedział, że byłam w ciąży.

– Dlaczego nie wiedział?

– Nie miałam okazji, żeby mu o tym powiedzieć – odpowiadam. – Planowałam powiedzieć mu tamtego dnia, podczas lunchu, ale zanim zdążyłam, on oznajmił mi, że z nami koniec.

Widzę go oczyma wyobraźni, jak siedzi przy stole, czekając na mnie. Dłonie ma splecione przed sobą i wpatruje się nieruchomym wzrokiem w jakiś obraz na ścianie – reprodukcję nagiej kobiety Chagalla, która wisi niczym owoc na drzewie w kształcie serca.

– To musiało być trudne – stwierdza Shaw.

– Tak, było – odpowiadam. – Choć w głębi duszy spodziewałam się tego od lat.

– Dlaczego?

– Był żonaty.

Przypominam sobie jego twarz, kiedy weszłam do restauracji. Podniósł na mnie wzrok i miał taki smutny wyraz twarzy. Podeszłam, żeby go pocałować, ale odwrócił policzek. Myślałam, że jest po prostu zmęczony. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że...

– Żonaty – mówi Shaw, przerywając moje myśli. – A jak długo pani się z nim spotykała?

– Dziesięć lat – odpowiadam. – Chociaż znaliśmy się znacznie dłużej.

Chcę, by Shaw wiedziała, że to było na poważnie. Chcę, by wiedziała, że jestem zdolna do tego, żeby kochać i być kochaną, że nie jestem jakąś emocjonalnie popapraną, obłąkaną kobietą. Dlatego opowiadam jej o nim, o moim Chrisie, o mojej miłości, o mężczyźnie, bez którego nie mogę żyć. O mężczyźnie, bez którego muszę żyć.

– Poznaliśmy się w Nowym Jorku, tuż po jedenastym wrześniu – zaczynam. – Był antropologiem sądowym. On i jego ekipa ekshumowali części ciał ze Strefy Zero. Robiłam o nich reportaż.

Moje myśli płyną i widzę siebie, jak stoję, patrząc na tego pięknego mężczyznę, jego czarne włosy pokryte kurzem, jego olbrzymie dłonie ściskające łopatę. Był bardzo wysoki, miał ponad metr dziewięćdziesiąt, a jego ciało, chociaż silne, było szczupłe i żylaste. Ze swoimi wystającymi kośćmi policzkowymi i gęstą brodą wyglądał jak osadnik z Dzikiego Zachodu. Nie mogłam od niego oderwać oczu. Miałam zaledwie dwadzieścia sześć lat i było to jedno z moich pierwszych poważnych zleceń. Byłam zdenerwowana, lecz kiedy przedstawił się, z tym swoim szorstkim akcentem z Yorkshire, natychmiast poczułam luz. Jakbyśmy znali się od lat. Rozmawialiśmy przez jakąś godzinę. Odpowiadał na moje pytania najlepiej, jak potrafił. Był uprzejmy, profesjonalny, ale od razu wiedziałam, oboje wiedzieliśmy, że coś się między nami wydarzyło. Coś niewypowiedzianego.

Spoglądałam za głowę Shaw i wpatruję się w dziobatą ścianę. Widzę nas oboje przed winiarnią w Victorii. Trzy lata po naszym pierwszym spotkaniu w końcu byliśmy razem. Przyjechał do Londynu ze swojego domu na północy, żeby wziąć udział w konferencji, i wpadliśmy na siebie na ulicy. Zaprosił mnie na drinka i stało się. Widzę błysk w jego jasnoniebieskich oczach, kiedy opowiada mi, co chce zrobić, kiedy później pójdziemy do mojego mieszkania. Słyszę, jak szepcze każdą najmniejszą częścią siebie. Słyszę jego głos, który pieści każde słowo, kiedy bierze moją dłoń w swoją i głaszcze szorstką powierzchnię mojej skóry.

– Wiedziała pani, że jest żonaty, kiedy zaczęliście się spotykać?

Głos Shaw przywołuje mnie z powrotem do pokoju. Patrzę na nią, zauważając błysk złota na palcu serdecznym, i nagle pióro w jej dłoni staje się bronią.

– Tak, wiedziałam.

– A czy to panią obchodziło?

Jej głos twardnieje. Muszę trzymać ją na bezpieczną odległość. Nie mogę powiedzieć jej o swoich przemyśleniach na temat małżeństwa, o tym, jak nigdy nie chciałam skończyć tak jak moi rodzice, o tym, że nie chciałam niczego od Chrisa poza świadomością, że zawsze do mnie wróci, o tym, że wystarczało mi samo przekonanie, że kocha mnie bardziej, niż kiedykolwiek kochał swoją żonę. Chociaż teraz wiem, że to było kłamstwo. Wobec tego mówię jej to, co chce usłyszeć.

– Oczywiście, że mnie to obchodziło.

– Jak się pani z tym czuła? Z ciężką?

– Z początku zszokowana – wyjaśniam. – Nieprzygotowana. Ale potem zaczęłam się przyzwyczajać do tej myśli. Chociaż być może zaczęły działać hormony szczęścia.

Shaw kiwa głową i spogląda w swój notatnik. Nienawidzi mnie, mówię wam. Jestem „tą drugą kobietą”, tą, która u takich kobiet jak ona pojawia się w nocnych

koszmarach. Ale w tej chwili oddałabym wszystko, żeby być na jej miejscu i wieść bezpieczne, wygodne życie z mężem i rodziną. Kiedy tak siedzę, czekając, aż zacznie mówić dalej, czuję się taka samotna, że aż sprawia mi to fizyczny ból.

– Mówiła pani, że zaplanowała ten lunch, żeby powiedzieć Chrisowi o dziecku?

– Tak.

Wspomnienie jego ust na mojej skórze, kiedy wstał od stołu i pożegnał się ze mną, płonie w moim ciele, gdy tak siedzę, czekając, aż Shaw będzie mówić dalej.

– Ale postanowił zakończyć związek, zanim miała pani szansę mu powiedzieć?

– Tak.

– Czy podał jakiś powód?

– Jego żona znalazła wiadomość – wyjaśniam. – I zmusiła go, żeby jej o wszystkim powiedział. I zrobił to.

Wydobywa się ze mnie chrapliwy głos. Chris jest wszędzie wokół mnie. Czuję jego wodę kolońską o zapachu lasu cedrowego. Widzę, jak jego oczy zwięzają się, kiedy nachyliła się nade mną, bierze moją dłoń i mówi: „Chodzi o Helen. Ona wie”.

I ja też wiedziałam, wiedziałam, że te słowa oznaczają koniec. Kiedy miał do wyboru swoją niezawodną żonę i niestałą kochankę, zawsze byłam na straconej pozycji.

– Postanowił zerwać ze mną. Dać ich małżeństwu jeszcze jedną szansę.

– To musiał być szok – mówi Shaw, bacznie mi się przyglądając.

– Szczerze mówiąc, popadłam w otępienie – mówię.

I to prawda. Popadłam. Mówią, że szok dociera do nas długo po zdarzeniu, i kiedy siedziałam tam, słuchając go, zauważyłam, że się śmieje. Jezu, ja nawet przyznałam mu rację. Nie wypadłam jak burza z restauracji ani nie chlusiłam mu kieliszkiem wina w twarz, ani nie powiedziałam mu, że jest dupkiem. Zwyczajnie siedziałam tam, zjadłam swoje risotto i powiedziałam mu, że tak, że to wszystkim nam wyjdzie na dobre.

– Dlaczego nie powiedziała mu pani o dziecku? – pyta Shaw.

– Nie byłam w stanie.

Patrząc wstecz, dostrzegam, że musiałam być sparaliżowana żalem. Tak, mogłam mu powiedzieć o dziecku, ale miałam poczucie, że to coś złego, coś zbrukanego. On mnie nie chciał. Nie chciałby również naszego dziecka.

– I co pani wtedy zrobiła?

Coś mówi mi, że ona zna odpowiedź.

– Poszłam do mojego klubu przy Greek Street.

– I to tam wypiła pani wino?

– Tak.

– Ile pani wypiła?

– Kilka kieliszków. Ale przedtem nie piłam przez... jakiś czas.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, lekarka i pacjentka. Obie zdające sobie sprawę z wagi faktu, że się do tego przyznałam, chwilowo nie wspominając o innych ważnych sprawach, jak dziecko, jego wady urodzeniowe i granice bezpieczeństwa.

– A kiedy wróciła pani do biura, wpadła pani w złość na Rachel Hadley?

– Tak – przyznaję. – Czy teraz mnie pani rozumie?

Shaw nie odpowiada.

– Jak długo przebywała pani w szpitalu?

– Tylko jedną noc – wyjaśniam. – Rano krwawienie się zmniejszyło, a w południe stało się jasne, że tylko niepotrzebnie będę zajmować łóżko. Wypisali mi receptę na serię silnych leków przeciwbólowych, a potem wyszłam.

– A później?

– Poszłam na piechotę do domu. Chciałam pomyśleć.

– Idąc okrężną drogą przez kafejkę The Star?

– Tak – odpowiadam. – Chociaż tak naprawdę nie wiedziałam, dokąd idę. Po prostu potrzebowałam pomyśleć.

– Kiedy policja skończyła panią przesłuchiwać, poszła pani do domu?

– Tak.

Wracam myślami do tamtego wieczoru. Zapach szpitala przylgnął do mojego płóciennego plecaczka, kiedy wchodziłam po schodach. Czuję go nawet teraz, gdy tutaj siedzę. Szpitale i cele policyjne mają ten sam zapach – mieszanki chloru i rozpaczy. Kiedy otworzyłam drzwi do mieszkania, zadzwonił telefon. To Graham pytał, czy dostałam opis trasy. I udawałam, że dobrze się czuję, że mój świat właśnie się nie rozpadł. Powiedziałam mu, że spotkamy się rano, po czym zwinęłam się w kłębek na łóżku i płakałam, dopóki nie usnęłam.

– Nazajutrz wyjechałam do Syrii – opowiadam, podnosząc wzrok na Shaw. – Z Grahamem, moim fotografem.

Wygląda na zdumioną.

– Nazajutrz? – niemal wykrzykuje. – Mimo że właśnie przeżyła pani poronienie?

– Każdego dnia jakaś kobieta traci dziecko, doktor Shaw – wyjaśniam. – A to moja praca. Ludzie liczyli na mnie, liczyli, że tam pojadę.

– Kto liczył na panią?

– Rano, w dniu, kiedy poroniłam, dostałam wiadomość od mojego bliskiego przyjaciela – wyjaśniam. – Jest tłumaczem, znamy się od lat. Powiedział, że w Aleppo dzieją się straszliwe rzeczy. Czuję, że muszę tam wrócić. Inaczej nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy.

– A więc pomijając tego tłumacza, granicę z Syrią miała przekroczyć tylko pani i ten fotograf?

– Tak.

– I nie zaniepokoiło to pani?

– Nie. Robiliśmy to już wiele, wiele razy. Graham był bardzo doświadczony i przez lata wielokrotnie ze sobą współpracowaliśmy.

– A Chris? Powiadomiła go pani o wyjeździe?

– Nie, nie powiedziałam Chrisowi, że wyjeżdżam. Dlaczego miałabym to zrobić? Przecież zerwaliśmy.

– A jak opisałyby pani swój stan umysłu w tamtej chwili, kiedy przygotowywała się do powrotu do Syrii?

– Mój stan umysłu?

– Jak się pani czuła? – brnie dalej. – Szczęśliwa? Pełna obaw? Zdenerwowana?

Potrząsam głową.

– Czułam się otępiała, doktor Shaw – odpowiadam. – Całkowicie i zupełnie otępiała.

Piątek, 17 kwietnia 2015

Siedzę przy stole w kuchni mojej matki, przyglądając się, jak Paul przygotowuje lunch. Nie wspominam o zeszłej nocy. W głębi duszy nadal nie jestem pewna, czy to naprawdę się wydarzyło. Chociaż ziemia, którą dzisiaj rano znalazłam na podłodze w kuchni, podpowiada, że musiało się zdarzyć. I nawet teraz, kiedy siedzę tutaj z otwartymi tylnymi drzwiami, czuję zapach mojego krwawego snu. Słaby szept śmierci.

– Dodałem do ulubionych listę najlepszych rozwiązań, żebyś je sobie przejrzała – mówi Paul, a jego twarz wilgotnieje, ponieważ stoi nad kadzią gorącej, parującej zupy, miksując płyn przy użyciu błyszczącego chromowanego blendera. Najwyraźniej ma poranek wolny od pracy i pomyślał, że byłoby miło, gdybyśmy spędzili go, oglądając wyposażenie do łazienek. Niezupełnie to zbieżne z moją koncepcją rozrywki, ale w jego opinii nowa łazienka wszystko zmieni, kiedy dom mamy zostanie wystawiony na sprzedaż.

Spoglądam na mały, czarny laptop, który stoi przede mną na stole. Paul uprzejmie dodał do ulubionych strony internetowe, a teraz to do mnie należy wybór pomiędzy błyszczącym, białym wystrojem o nazwie „Szczaw”, projektem heksagonowym w kolorze złamanej bieli pod nazwą „Miriady”, srebrno-szarym „Bartleyem” i wieloznaczną, ciemnopomarańczową „Sieną”. Jak dla mnie wszystkie wyglądają dobrze i mają podobne ceny. Tak bardzo się nad tym napracował, że przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

– Myślę, że powinniśmy wybrać Miriady – proponuję, przesuwając laptop na bok, kiedy stawia przede mną ogromną miskę zupy jarzynowej.

Pachnie słodyczą i orzechami, a w brzuchu burczy mi z głodu. Nie byłam w stanie stawić czoła śniadaniu, ponieważ bez względu na to, jak mocno szorowałam, odór tego krwawego snu zdawał się przyłgnąć do mojej skóry.

– Jesteś pewna, że ten kształt nie odstraszy ludzi? – dopytuje Paul, zajmując miejsce naprzeciwko mnie. Kroi kawał chleba z razowego, pełnoziarnistego bochenka i kładzie go na moim talerzu. – Proszę, kupiłem dla ciebie to ziarniste coś w luksusowej piekarni.

– Dzięki – mówię. – To naprawdę słodkie z twojej strony.

Biorę chleb i zamaczam go trochę w zupie.

– Podoba mi się ten kształt – tłumaczę, wkładając chleb do ust. – Ostre krawędzie są dobre. Powinieneś zobaczyć moje mieszkanie, to jedna wielka ostra krawędź.

– Nie dziwi mnie to – mówi Paul. Robi przerwę na siorbnięcie zupy. – Założę się, że twoje mieszkanie jest całe minimalistyczne i białe.

– Tak, takie jest – odpowiadam. – To moja reakcja przeciwko całemu temu perkalowi, w jakim się wychowałam.

– Muszę je kiedyś zobaczyć, to twoje mieszkanie – oznajmia Paul. – Zabrać tam też Sally... – dorzuca. – Spędzić przyjemnie dzień.

– Jesteś więcej niż mile widziany – odpowiadam. – Choć nie widzę Sally, która urządziła sobie taką wycieczkę. Mieszkam w tym mieszkaniu prawie od piętnastu lat i ani razu mnie nie odwiedziła.

– Cóż, ja chciałbym je kiedyś zobaczyć – zapewnia. – Możesz pokazać mi widoczki z Soho.

Śmieje się dziwnie i przez kilka chwil siedzimy w niezręcznej ciszy.

Mam usta pełne zupy. Jest nieco chłodniejsza i teraz w najlepszym razie przyprawia mnie o mdłości. Odkładam łyżkę i bawię się kawałeczkiem chleba.

– W każdym razie... na czym to skończyliśmy? – pyta Paul, przysuwając do siebie laptop. – Miriady. Jeśli tobie odpowiada, ja chętnie zaufam twojej ocenie. Zamówię dzisiaj po południu, a rachunki możemy uregulować później.

– Wspaniale – zgadzam się. – Wypiszę ci czek, zanim wyjdiesz.

– Skończyłaś? – zmienia temat, wskazując gestem na moją do połowy pustą miskę.

– Tak, dziękuję – odpowiadam i podaję naczynie. – Było pyszne.

– Napijesz się kawy? – pyta. Niesie miski i talerze do zlewu, balansując nimi w zgięciu ramienia.

– Tak, proszę – odpowiadam, przysuwając do siebie laptop, żeby jeszcze raz spojrzeć na Miriady.

Próbuję sobie wyobrazić, jak by to wyglądało w łazience mojej matki. Wracam myślami do tego poranka, kiedy stałam w pokrytej pleśnią różowej wannie, trzymając żalostną namiastkę słuchawki prysznicowej w jednej dłoni, a drugą używając do szorowania skóry resztką mydła karbolowego. Tak, myślę, kiedy Paul wraca do stołu z dzbankiem do kawy, Miriady to bardzo dobry pomysł.

Kiedy tak siedzimy, Paul przysuwa do siebie komputer i wchodzi na Facebook.

– Muszę tylko szybko sprawdzić wiadomości, a potem możemy działać – wyjaśnia.

– O, nie wiedziałam, że jesteś na Facebooku – mówię, kiedy klika w ikonę wiadomości.

– Chłopaki z pracy mnie namówili – tłumaczy się. – To chyba dobre, żeby się trochę poprzekomarzać. Wysyłają mi te wszystkie głupawe filmiki. Pewnie uznałabyś je za trochę niepoważne, ale ile z tego śmiechu...

Dlaczego ludzie się przejmują, pytam sama siebie w myślach, kiedy Paul znowu wstaje i otwiera tylne drzwi, żeby wynieść kosz ze śmieciami. Czemu ma służyć to wklejanie swojego życia na stronę internetową, którą wszyscy oglądają? Przychodzi mi na myśl Rachel Hadley i jej profil na Twitterze. Czuję ucisk w żołądku.

W rogu ekranu widnieje ramka, w której jest napisane: „Osoby, które możesz znać”, i przewijam te twarze, szczęśliwa, że żadnej z nich nie znam. Bez zastanowienia wpisuję znajome nazwisko w okno wyszukiwarki, czując się bezpiecznie z przekonaniem, że mężczyzna, którego kocham, nigdy nie afiszowałby się na takiej stronie...

A jednak się pojawia. Jego nazwisko. I nagle czuję, jak moje palce sztywnieją, kiedy klikam w nie i widzę, jakie życie wybrał, nie wybierając mnie.

Jego zdjęcie profilowe, zrobione na jakiejś rodzinnej imprezie, pokazuje go eleganckiego, w garniturze, obejmującego ramieniem kobietę o młodzieńczej twarzy i krótkich blond włosach. Przyglądam się jej. W swoim liliowym szalu z wełny łączonej

z jedwabiem, z garniturem białych zębów i różowymi policzkami wygląda jak kobieta z wyższych sfer. Jak młoda Lady Di. Klikam na zdjęcie i pojawia się cała strona fotografii. Jedna po drugiej opowiadają historię, która zawsze zbyt go przerażała, by się nią ze mną podzielić.

Oglądam dalej, podczas gdy na zewnątrz Paul tłucze pokrywą pojemnika na śmieci. Palec mi sztywnieje, kiedy klikam po kolei w niekończące się zdjęcia. Przechodzę obok niego, kiedy świętuje swoją rocznicę ślubu w tej samej restauracji w Mayfair, do której zabrał mnie po swoim powrocie z długiej pracy w Ugandzie. Ciarki chodzą mi po skórze, kiedy powiększam zdjęcie jego żony, która ma oczy szkliste od alkoholu i siedzi rozparta na zielonych krzesłach bankietowych. Dłoń mi drży, gdy klikam w kolejne zdjęcie. Przedstawia jego żonę, jak leży na dzikiej plaży i wystawia w kierunku obiektywu kieliszek szampana.

– Nie nadaję się na wakacje – powiedział mi, kiedy leżeliśmy nadzy, spleceni we wzajemnym uścisku w zbombardowanym hotelu w Iraku. – Jak ktoś może jeszcze podróżować dla przyjemności? Jak możemy kiedykolwiek zapomnieć o tym, co widzieliśmy?

I ten głos przeszywa moją błonę bębenkową swoim fałszem. Chcę go wydrzeć i zdeptać, aż zamilknie tu i teraz, na podłodze w kuchni mojej matki. Okłamał mnie, przez wszystkie te lata mówił mi, że nie kocha swojej żony, że prowadzą osobne życie, że nikt na świecie nigdy nie rozumiał go tak, jak ja go rozumiem. I przez cały ten czas, kiedy ja wiązałam z nim nadzieje, on używał życia w szykownym niebie z Helen i „swoimi dziewczynkami”.

Prawie bez zastanowienia klikam w nazwisko jego żony – wyświetla się napisane niebieską czcionką pod jej fotografią. Helen kapryśnie wydyma wargi na swoim czarno-białym zdjęciu profilowym. Dalej na stronie pojawia się link do strony internetowej pod nazwą Carrington & Miller. Klikam w link i odkrywam, że Helen wraz ze swoją przyjaciółką Dellą jest współwłaścicielką sklepu z wyposażeniem domu. Zdjęcia jasnoróżowych zawieszek z chorągiewkami i poduszek na sofę z brytyjską flagą płyną przez stronę razem z żenującymi plakatami zalecającymi wszystkim, żeby „Zachowali Spokój i Robili Swoje”. Całość ocieka cukierkowatością. Robi mi się niedobrze.

Zamykam okno i wracam na stronę Facebooka. Powiększam zdjęcie profilowe Helen i ściska mnie w żołądku, kiedy go dostrzegam, z lampką szampana w dłoni, na jakiejś imprezie ulicznej. Przyglądam się bliżej i czytam podpis pod spodem: „Harrogate świętuje królewski ślub”. Co to, kurwa, jest? To jest mężczyzna, który przesiadywał ze mną do późna w nocy, ostro krytykując establishment i wznosząc toast za republikę przyszłości, a tutaj szczerzy zęby jak idiota w jakiejś jaskraworóżowej papierowej czapeczce. Przewijam dalej i widzę wewnątrz ich eleganckiego miejskiego domu, jego córki, wystrojone, z białymi zębami i utapirowanymi włosami, siedzące okrakiem na koniach. Patrząc na to życie oczami jego żony i uświadamiam sobie, że przez ostatnie dziesięć lat uprawiałam seks z kimś zupełnie obcym.

– Przepraszam, ale kosz na śmieci był przepełniony – wyjaśnia Paul, kiedy wraca do domu. – Kawa powinna być już zaparzona.

Jej zapach gryzie się ze smakiem goryczy w moich ustach – pozostałością

krwawego snu. Parzy mnie w skórę i podchodzi do gardła z taką siłą, że mam wrażenie, że za chwilę zemdleję. Odsuwam krzesło do tyłu z szurnięciem, uciekam od stołu, wybiegam na górę po schodach i docieram do łazienki we właściwym momencie.

– Kate?

Słyszę głos Paula, podczas gdy sama przyklękam na podłodze i wymiotuję tym wszystkim – zapachem, kawą, zupą, kieliszkiem do szampana w dłoni Helen, córką na koniu i bezwarunkową miłością wypisaną na twarzy Chrisa, kiedy stoi tak przy jej boku. Rzygam tym i rzygam, dopóki nie czuję nic poza smakiem mojej własnej rozpacz.

– Kate, dobrze się czujesz?

Czuję ciepło jego dłoni na plecach i zrywam się na nogi, zanim popłyną łzy. Potrzebuję powietrza, hałasu i nicości, żeby zatamować ten przejmujący ból, który tli się w okolicach mojej klatki piersiowej.

– Wszystko dobrze – szepczę, chwiejąc się na nogach i przecierając usta kawałkiem papieru toaletowego, który podał mi Paul. – Po prostu potrzebuję odpocząć.

– Może pójdziesz i położysz się na chwilę? – proponuje. Stoi w drzwiach, z twarzą bladą od troski. – Przyniosę ci szklankę wody.

W głębi duszy błagam go, żeby przestał być taki miły. W tym momencie mogę poradzić sobie ze wszystkim z wyjątkiem serdeczności. Serdeczność mnie po prostu zabija.

– Nie, serio, Paul – zapewniam, przeciskając się obok niego i schodząc na dół.

– Potrzebuję tylko pobyc troszeczkę sama.

Biorę torebkę i wydaję książeczkę czekową.

– Nie wygłupiaj się – protestuje, wchodząc za mną do kuchni. – Możemy to załatwić później.

– Nie, w porządku – mówię, wypisując czek, a potem wręczam mu go. – Jeśli teraz tego nie zrobię, to zapomnę.

– Jesteś pewna, że wszystko z tobą dobrze? – pyta, zabierając czek i wkładając go do tylnej kieszeni spodni. – Mogę zostać jeszcze chwilę, jeśli chcesz porozmawiać.

– Proszę, przestań się zamartwiać – błagam go, kiedy idziemy w stronę drzwi.

– Mam się dobrze.

– Cóż, wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś czegoś potrzebowała – mówi. – Dzwon o każdej porze.

– Dzięki – mamroczę, otwierając drzwi.

– Aha, i jeśli nadal masz ochotę – zaczyna, nie schodząc z progu – spotykamy się jutro przy Ramieniu Neptuna. Powiedzmy o jedenastej?

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Chcę po prostu, żeby sobie poszedł.

– Wycieczka do Reculver – przypomina.

– Ach, to – mówię, wyprowadzając go za drzwi. – Całkiem o tym zapomniałam.

Patrzy na mnie i marszczy brwi.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Wyglądasz tak blado. Mam tylko nadzieję, że nie zatrąłem cię moją zupą. Była z przepisu Nigelli.

– Nie, nie, Paul, zupa była doskonała – odpowiadam, próbując z całych swoich sił zdusić szloch, który czai się w moim gardle. – To tylko... ja tylko...

– Zostawiam cię, żebyś odpoczęła – dodaje troskliwym głosem, kładąc dłoń na moim ramieniu. – Uważaj na siebie, dobrze?

Idzie wzdłuż podjazdu, wsiada do auta, a ja przyglądam się, jak odjeżdża, mijając schludne rośliny w skrzynkach i skromne bliźniaki. Takie jest życie, tłumaczę sobie, zamykając drzwi. Nie wojna i choroba, i spalone hotele, ale kobiety i mężczyźni w swoich pudełkach, z dziećmi, ekspresami do kawy i wakacjami – tak właśnie powinno wyglądać prawdziwe życie. Tak wygląda życie Chrisa. A ja jestem na obrzeżach tego wszystkiego – zjawą bez fundamentów, bez korzeni. Kiedy cofam się znów do mrocznego domu mojej matki i zamykam za sobą drzwi, czuję się jak ostatni człowiek, który pozostał na tej ziemi.

Telefon leży na podłodze obok mnie, a ja przyglądam się, jak jego ekran ciemnieje na niewysłanej wiadomości. On nadal nie odbiera, więc pozostaje mi jedynie moja zgorzkniałość i nienawiść. Spędziłam cały wieczór, próbując to wyrazić w esemesie, ale cały czas wydobywają się ze mnie niewłaściwe słowa. Pierwsza wiadomość była krzyżowym ogniem pytań na temat zranienia i złości na jego hipokryzję, jego tchórzostwo, jego podwójną moralność i jego przeraźliwe upodobanie do papierowych czapeczek. Potem zmieniłam zdanie, skasowałam wiadomość i zaczęłam pisać nową. A teraz, po trzeciej próbie, poddałam się. Esemes to zbyt mało pojemny środek przekazu, żeby dać wyraz temu wszystkiemu, co chcę powiedzieć Chrisowi. I kiedy podnoszę telefon i wymazuję ostateczny tekst, myślę sobie, że w ciszy leży poczucie własnej godności.

Zrobiło się późno, ale nie mogę zmierzyć się z własnym łóżkiem. Czeka tam na mnie staruszka. Biorę więc swój ciepły sweter, otulam nim ramiona i schodzę na dół. Po garści pigułek nasennych udaję się do solidnego zielonego fotela. Siedzenie tutaj zbliża mnie do mojej matki. Jego wytarte podłokietniki przypominają jej objęcia i kiedy tak siedzę tutaj, zapadając się w jego fałdy, dom spowija ciemność.

Usiłuję nie myśleć o Chrisie, tyle że on jest wszędzie. Czuję zapach jego skóry – mieszankę potu i drewna cedrowego – podczas gdy sama zwijam się w kłębek w fotelu.

Pochodzimy z tak różnych światów... On miał szczęśliwe dzieciństwo klasy średniej w Yorkshire. Jego rodzice byli nauczycielami i wychowali swoich czterech synów w pełnym zakamarków wiejskim domu na głębokiej prowincji w Dales. To tam Chris odkrył swoje zamiłowanie do technik śledczych. Pamiętam tak wyraźnie, jak opowiadał mi tę historię... Kiedy miał osiem lat, znalazł jakąś kość wystającą z ziemi. A gdy ją wyciągnął, nie mógł uwierzyć, jakie miała rozmiary. Nazajutrz wrócił w to miejsce z łopata swojego ojca i zaczął kopać. Po kilku godzinach wykopał olbrzymi szkielet. Potem potwierdzono, że był to szkielet pewnego konia rasy Clydesdale, który zginął podczas burzy jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej. Chrisa zafascynowało to, jak zbiór kości mógł ujawnić tajemnicę, która pozostawała nierozwiązana przez całe lata, i właśnie to odkrycie go zmieniło, naznaczyło jego życie. Wtedy już wiedział, kim chce zostać, kiedy dorośnie, i zabrał się do realizacji tego planu. Rodzice pomagali mu w czasie studiów, wspierali jego marzenia. I z tego, co wiem, nadal go wspierają. Ostatnim razem, kiedy o nich słyszałam, nadal mieszkali w tym samym starym domu na wsi. Oczywiście nigdy ich nie poznałam. Nie wiedzą nawet, że istnieję. Ale wyobrażam sobie, że ich dom jest pełen oprawionych w ramki zdjęć dzieci i wnuków. Pewnie mają duży drewniany stół,

gdzie cała rodzina zbiera się na święta Bożego Narodzenia, i trzaskający ogień w kominku, żeby wszystkim było ciepło.

Takie było dzieciństwo Chrisa. Ciepłe i bezpieczne. Całkowite przeciwieństwo mojego.

I podjął próbę odtworzenia tego dzieciństwa dla własnych dzieci. Ale potem spotkał mnie i wyrzuciłam mu wszystko do góry nogami. Byłam jego sekretem, jego zakopanymi kośćmi, tajemnicą, którą po prostu musiał odkryć.

Moje powieki stają się coraz cięższe, lecz kiedy je zamykam, widzę Nidala, który ściska swój album.

– *Tusbih 'alá khayr*, Kate.

– *Tusbih 'alá khayr*, Nidal. Co dzisiaj porabiasz?

– Robię książkę.

– Brzmi cudownie. Jak się nazywa?

– To księga uśmiechów.

I kiedy coraz bardziej zapadam w sen, cienkie, papierowe wycinki fruują wokół mojej głowy. Widzę promiennie uśmiechniętego chłopca, który stoi na bajkowym moście. Widzę cukierkoworóżowe wieże Disneylandu połyskujące w świetle słońca w technikolorze i Myszkę Miki brykającą po bujnej zielonej łące.

– Chcę to.

Słyszę głos Nidala, ale nie widzę go. Widzę jedynie jego zdjęcia.

– Chcesz Disneyland?

– Nie. Chcę tamto. Być chłopcem na tym moście. Pomożesz mi?

– Nie widzę cię, Nidal.

– Pomóż mi.

– Nidal, gdzie jesteś?

Jego głos jest jakby bliżej. Tuż obok mnie. Jeśli sięgnę ręką, dotknę go.

– Pomóż mi.

Wyciągam ręce w stronę głosu i czuję, jak upadam. Rozlega się głośny huk i kiedy otwieram oczy, leżę na boku na podłodze w salonie.

– To tylko sen – zapewniam sama siebie, kiedy zbieram się z podłogi. – Po prostu kolejny pieprzony sen.

Czoło mam złane potem. Wycieram je wierzchem dłoni i wychodzę na korytarz. Powietrze jest słone i lekki wiaterek owiewa moje gołe stopy. Potem powraca świadomość i słyszę to łup, łup, łup...

– Kto tam?

Te słowa pojawiają się instynktownie. Ludzkie ciało wie, kiedy jest samotne, naprawdę samotne, i gdy w pobliżu jest jakaś żywa istota, każdy nerw, każdy mięsień na to reagują. Kiedy skradam się korytarzem, pobieżnie rozglądam się dookoła, żeby sprawdzić, czy znajdę tam coś, w co mogę się uzbroić. Biorę z kredensu stary drewniany zegar mojej matki. Tylko to jest pod ręką.

Jeśli jest tutaj jakiś intruz, wystarczy jedno celne uderzenie w głowę, żeby go obezwładnić. Trzymając zegar mocno w dłoniach, powoli zbliżam się do kuchni. Kiedy podchodzę, dźwięk staje się coraz mocniejszy. Łup, łup, łup. Dostosowuje się do rytmu

mojego serca, podczas gdy ja docieram do kuchennych drzwi i przygotowuję się, by zamierzyć się na tego kogoś, kimkolwiek on jest. Biorę głęboki oddech i powoli odliczam. Jeden, dwa, trzy...

Wpadam do kuchni gotowa do walki. Z zegarem uniesionym nad głową wydobywam z siebie okrzyk strachu i ulgi. Kuchnia jest pusta i, z tego, co widzę, nic nie zostało choćby tknięte. Poza drzwiami, które są otwarte na oścież. I chłodny wieczorny wiatr, który wpadł do salonu i połaskotał mnie w stopy, teraz nimi trzaska. Łup, łup, łup.

Przesuwając się powoli w kierunku drzwi, staję na stopniu i wołam do pustego ogrodu:

– Kto tam?

Niebo jest bezksiężycowe i ciemność sprawia, że kiedy wychodzę na zewnątrz, czuję się bezbronna. Odgarniam włosy z oczu wierzchem dłoni, by dobrze widzieć. Powinnam była zabrać latarkę, mówię sobie, kiedy przez mrok słyszę głos Harry'ego.

– Jeśli kiedykolwiek będziecie potrzebować zapasowej latarki – chichotał – po prostu zapytajcie Kate. Ma ich tyle, że starczyłoby dla całej armii.

I miał rację. W mojej pracy latarka jest artykułem pierwszej potrzeby, bez którego nie potrafię się obejść. Mam setki latarek. A tutaj stoję w ciemności jedynie ze starym drewnianym zegarem, którym mogę oświetlić sobie drogę.

Odstawiam zegar na ziemię i skradam się do ogrodzenia. Ręce mi się trzęsą, kiedy wdrapuję się na plastikowe krzesło i zaglądam do ogrodu sąsiadów. Wszędzie panuje cisza i spokój. Dom spowijają ciemności, a szopa wygląda jak... jak zwyczajna ogrodowa szopa. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu, żadnej twarzy w oknie.

Co się ze mną dzieje?

Stoję tam jeszcze przez chwilę, lecz wszędzie panuje cisza. Muszę się przespać. Może to stres związany z tym wszystkim tak na mnie działa.

Wracam do domu i zamykam drzwi od kuchni na dwie zasuwki.

Ale gdy dochodzę do schodów, dostrzegam swoje odbicie w lustrze w korytarzu. Mam coś na twarzy. Robię krok do przodu, żeby bliżej się temu przyjrzeć. Na policzkach mam rdzawoczerwone plamy. Co to jest? Idę umyć twarz i wtedy dostrzegam, że mam je również na dłoniach. Wącham je. To krew. Zaschnięta krew. Serce zaczyna mi walić jak młotem. Sprawdzam, czy nie mam jakichś ran albo zadrapań. Może skaleczyłam się na płocie? Ale niczego nie znajduję.

Czuję się tak, jakby mój umysł odmawiał posłuszeństwa. Jak to możliwe? Stoję tutaj umazana czyjąś krwią...

Posterunek policji w Herne Bay Trzydzieści pięć godzin od zatrzymania

– Przepraszam, Kate, ale naprawdę chciałabym porozmawiać o twoim ostatnim pobycie w Syrii – mówi łagodnym głosem doktor Shaw. – Sądzę, że to ważne.

Natychmiast się spinam. Ta kobieta się nie podda. Całe to przesłuchanie, uświadamiam sobie teraz – te całe trzydzieści godzin z okładem – było preludium właśnie do tego. Shaw nic nie obchodzi tabletki nasenne. Ma gdzieś polskie kelnerki. Ona *jest* zainteresowana tym, co wydarzyło się w Syrii. To Syria doprowadziła mnie do szaleństwa. A przynajmniej ona tak uważa.

– Już mówiłam. Nie mam zamiaru rozmawiać o Syrii.

Shaw pochyla się do przodu na swoim krześle i patrzy na mnie.

– Kate, musimy o tym porozmawiać, jeśli mam dokonać pełnej oceny. Rozumie mnie pani?

Patrzę na nią. I na ten jej kamienny wyraz twarzy. Nie ma pojęcia, jakie to dla mnie trudne.

– Czyli utknęłam tutaj na dobre? – mówię, nie odpowiadając na zadane przez nią pytanie.

– Nie – odpowiada. – Ale musielibyśmy zabrać panią do szpitala na dalszą obserwację. Proszę posłuchać, wiem, że to dla pani potwornie stresujące, lecz odpowiedzi na te pytania są dla mnie kluczowe.

Ma rację. I ja o tym wiem. Choć to niczego nie ułatwia.

– Dobrze – mówię po cichu. – Zróbmy to. Tylko uwińmy się z tym możliwie szybko.

– Możemy też zrobić przerwę w każdym momencie – pociesza Shaw, otwierając swój notes. – Jeśli czuje pani, że to zbyt wiele, proszę po prostu powiedzieć i się w tym miejscu zatrzymamy.

Kiwam głową.

– A zatem... – zaczyna głosem łagodniejszym niż wcześniej. – Mogę zacząć od pytania, dlaczego postanowiła pani wrócić do Syrii? Wydaje się dziwne, że zdecydowała się pani tam wrócić, chociaż najwyraźniej odczuwała pani tak ogromne napięcie fizyczne i psychiczne.

– Co ma pani na myśli? – pytam, próbując się skupić.

– Cóż – kontynuuje Shaw. – Rozmawialiśmy na temat tych incydentów z Rachel Hadley i Rosą Dunajski i wiem, że zażywa pani jakiś dosyć silny lek przeciwpsychotyczny. Decyzja o wyjeździe do tak nieprzewidywalnego miejsca, jakim jest Syria, gdy jest się w tak kiepskim stanie, z tak kiepskim samopoczuciem... chyba nie należy do rozsądnych, co?

– W pani ustach brzmi to tak, jakbym zarezerwowała sobie jakieś zorganizowane wakacje w biurze podróży, doktor Shaw – odpowiadam. – Nikt mi nie doradzał, ponieważ jestem reporterką z dużym stażem. Wiem, co robię, bo to moja praca. Zawód, który

wykonuję bez żadnych problemów od ponad dwudziestu lat.

Shaw zapisuje coś w swoim notesie. Wiem, że dla niej jestem niezniszczalna. Muszę być silna. Muszę pokazać jej, że nie jestem taka, za jaką mnie uważa.

– Może mi pani powiedzieć, co wydarzyło się dwudziestego dziewiątego marca?
– pyta, nie podnosząc wzroku znad kartki. – Rozumiem, że to był pani ostatni dzień w Aleppo?

– Tak – odpowiadam. – Był.

– I wtedy wydarzył się ten incydent?

– Tak by to pani nazwała? – odpowiadam i nie jestem w stanie dłużej ukrywać pogardy w moim głosie.

– Co się stało, Kate?

– Proszę posłuchać – warczę. – Dlaczego mnie pani o to pyta? Wie pani, co się stało. Cały pieprzony świat wie, co się stało.

– Chciałabym, żeby to pani mi o tym opowiedziała – mówi spokojnie, ignorując mój wybuch. – Jak już powiedziałam, potrzebuję, żeby wszystko mi pani opowiedziała, tak abyśmy mogły dokończyć ocenę.

– Ach tak... Ocena... – mówię szyderczo. – Mniejsza z tym, że jakiemuś małemu chłopcu grozi poważne niebezpieczeństwo. Zaznaczajmy dalej kwadraciki, żeby mogła pani zrobić ze mnie wariatkę.

– Kate, takie stawianie sprawy nikomu nie pomoże.

Spoglądam na zegar nad jej głową. Jestem tutaj prawie dwa dni. Kto wie, co oni w tym czasie mu zrobili?

– Kate?

– W porządku, doktor Shaw – wykrzykuję, przyznając się do porażki. – Od czego chciałaby pani, żebym zaczęła?

– Może od dwudziestego dziewiątego rano?

Mam lepkie dłonie, kiedy je splatam, próbując zebrać myśli. Nie ma ucieczki. Będę musiała o tym opowiedzieć, o wydarzeniu, które przez ostatnie dwa lata próbuję wymazać z pamięci. Pochyliam się do przodu na krześle, biorę głęboki oddech, po czym zaczynam powoli mówić.

– Dobrze – odzywam się na tyle spokojnym głosem, na ile jestem w stanie. – Tak jak powiedział pani Harry, siedzieliśmy w piwnicy pod sklepem spożywczym razem z syryjską rodziną.

– Khaledem i Zajnah Safarami?

– Tak – odpowiadam. – A także z ich małym synkiem, Nidalem.

Drzę. Nie mogę opanować drżenia. Chwytam się mocno krzesła obiema dłońmi i ciągnę moją opowieść.

– Siedzieliśmy tam od tygodnia – opowiadam jej. – To było całkowite spustoszenie. W ciągu kilku miesięcy od czasu mojej ostatniej wizyty to miasto zamieniło się w pył i gruz. Brakowało elektryczności, wody, panował głód. Ulice stały się niebezpieczne. To było piekło.

– Cóż za potwornie niebezpieczna sytuacja, w której trzeba się odnaleźć – mówi Shaw, otwierając szeroko oczy.

– Tak – przyznaję. – Ale ludzie w Syrii borykają się z tym na co dzień. Jako dziennikarka miałam obowiązek być świadkiem tego, zrelacjonować to i powiadomić świat, co tam się dzieje.

– Ale w świetle tego, że ostatnio podupała pani na zdrowiu, być może nie była pani w najlepszej kondycji psychicznej, by podejmować się takiego ryzykownego zadania – sugeruje Shaw ostrożnie.

– Mówiłam pani, że dobrze się czuję – warczę na nią. – Nie możemy wszyscy zawijać się w kokon i ukrywać za cholernymi notatnikami.

Nie odzywa się. Pstryka tylko długopisem, który trzyma pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Czuję ucisk w klatce piersiowej i pocieram ją, kiedy wstaję i podchodzę do okna.

– Prosiła mnie pani, żebym opowiedziała o tym ostatnim dniu – mówię, odwracając się, żeby spojrzeć na Shaw, która, jak zauważam, zamknęła teraz swój notes. – Mogę to teraz zrobić?

– Tak, oczywiście – przystaje, obserwując mnie, kiedy wracam na miejsce.

Czyżbym rozpoznała w jej głosie nutkę podekscytowania?

– Dziękuję – odpowiadam, panując nad swoim głosem, a potem siadam i zaczynam znowu opowiadać: – Mój fotograf, Graham, i ja spędziliśmy poranek w centrum Aleppo, przeprowadzając wywiad z rodziną, której dom został w nocy zbombardowany. Zdjęcia Grahama miały być głównym tematem niedzielnej depeszy. Byłam w trakcie pisania relacji, kiedy usłyszałam jakiś hałas w korytarzu za drzwiami. Wyjrzałam z pokoju i zobaczyłam Nidala. Uderzał piłką w ścianę.

Zamykam oczy i widzę go – chudego, żylastego chłopca w zbyt obszernej koszulce piłkarskiej w brazylijskich barwach. Odpędzam ten obraz mrugnięciem oczu i opowiadam dalej:

– Poszłam zamknąć drzwi, kiedy usłyszałam głos jego ojca. Zaczęli się kłócić.

– O co się kłócili?

– Khaled obawiał się, że Nidal robi zbyt dużo hałasu – wyjaśniam. – Martwił się, że przyciągnie uwagę żołnierzy, którzy byli na zewnątrz. Chciał, żeby wrócił do pokoju...

Trzymam dłonie na kolanach, próbując opanować drżenie.

– Proszę opowiadać dalej, Kate.

– Wyszłam z pokoju, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Nidal zobaczył mnie i zaczął płakać. Powiedział, że chciał tylko pograć w piłkę nożną i znowu normalnie żyć. Powiedział, że ma już dość tego trzymania go tutaj jak w więzieniu.

– I co pani mu na to powiedziała?

– Poprosiłam, żeby się uspokoił. Wyjaśniłam, że jego ojciec jest zmęczony i że powinien zrobić to, co mu powiedział, i na razie zrezygnować z gry w piłkę.

Wypijam łyk wody i spoglądam na zegar. Całe moje ciało zaczyna drżeć i uświadamiam sobie, że minęło ponad czterdzieści godzin, odkąd wzięłam ostatnią pigułkę nasenną. Drapię się po uszkodzonym ramieniu. Shaw zauważa to i patrzy na mnie z dezaprobatą.

– Powiedziała mu pani, żeby się uspokoił – powtarza. – I posłuchał?

Swędzenie staje się coraz silniejsze, podciągam rękaw i drapię jak szalona swoją

skancerowaną skórę. Czuję zapach ulicznego kurzu na swoich ubraniach, we włosach, na skórze. Słyszę, jak on krzyczy. To jest nie do zniesienia, ale muszę brnąć dalej. Nie mam wyboru.

– Nie, nie posłuchał – odpowiadam, szarpnięciem opuszczając rękaw. – Zaczął krzyczeć i powiedział, że nienawidzi swojego ojca, nienawidzi mnie, że nie możemy trzymać go w takim zamknięciu, że chce uciec. I wtedy jego ojciec stracił nad sobą panowanie.

Słyszę głos Khaleda, niski i złowieszczy, kiedy chwyta syna za kołnierz: *Myślisz, że kiedy zostaniesz uchodźcą, będziesz miał czas na granie w piłkę, co? Jeśli zostaniesz uchodźcą, będą traktować cię jak robactwo, jak gówno. Czy tego właśnie, chłopcze, chcesz?*

– Nie oskarżam go – mówię dalej. – Ten biedny człowiek był przerażony i wyczerpany, a Nidal nie dawał za wygraną. Khaled, kiedy mnie zobaczył, wrócił do swojego pokoju. Pomyślał, że Nidal będzie ze mną bezpieczny. Ufał mi.

Znowu tutaj jest, tu i teraz, w tym pokoju, razem ze mną. Jego mała twarzyczka wygląda żałośnie z tym wyrazem przerażenia, wściekłości i rozczarowania.

Shaw chrząka i kręci się niecierpliwie na swoim krześle. Opowiadam dalej moje wspomnienia, podczas gdy Nidal obserwuje mnie z kąta pokoju:

– To wszystko wydarzyło się tak szybko... – Niemal czuję, jak jego gorąca skóra ociera się o moje ramię. – Próbowałam. Naprawdę próbowałam, ale on był w takim stanie, a potem...

– Co zrobił potem?

Krew pulsująca w mojej głowie miesza się z głosami. Nidala. Khaleda. Grahama. Są takie głośne, że ledwo słyszę, co ona mówi.

– Kate. – Pochyliła się do przodu na swoim krześle i kładzie dłoń na moim ramieniu. To łagodny, uspokajający gest i zaskakuje mnie nim. – Nie śpiesz się – zachęca. – Mamy mnóstwo czasu.

Wiem, że to nieprawda. Wiem, że czas ucieka i muszę walczyć z tymi głosami i powiedzieć jej, co się stało.

– On uciekł – mówię, a mój głos zamienia się w szept. – Wybiegł z tej piwnicy na ulicę i biegł tak szybko, że nie byłam w stanie go dogonić. Po prostu nie byłam w stanie go zatrzymać.

Sobota, 18 kwietnia 2015

Paul czeka obok ławek przy Ramieniu Neptuna. Ubrał się na tę pogodę w gruby wywatowany płaszcz i buty turystyczne, które na linii frontu nie wyglądałyby od rzeczy. Ma ze sobą okazałych rozmiarów plecak, jak przypuszczam, wypakowany po brzegi zaopatrzeniem na cały dzień.

– Pomyślałem, że piknik mógłby być przyjemny – stwierdza, kiedy podchodzi, żeby się ze mną przywitać. – Na plaży.

– Tyle że pogoda nie nadaje się za bardzo na piknik – mówię z powątpiewaniem, patrząc do góry na szare chmurzyska, które zbierają się nad naszymi głowami.

– Powinno się udać – zapewnia, podążając za moim wzrokiem. – Nad Reculver widać skrawek niebieskiego nieba.

Wskazuje palcem w kierunku odległego końca linii brzegowej, gdzie z klifów sterczą wieże. Nie widzę żadnego niebieskiego nieba. Nie mam pojęcia, jak może być tak uparcie optymistyczny.

– No to ruszajmy – decyduję, kiedy schodzimy już po schodach nad brzeg morza.

Nadal czuję się nieswojo z powodu ostatniego wieczoru. Ten hałas. Ta krew. Zdarłam z siebie ubrania i stałam pod prysznicem, przeszukując każdy centymetr swojego ciała w poszukiwaniu rany. Ale wyglądało to tak, jakby ta krew pochodziła znikąd. A skoro wszystko zostało spłukane przez otwór odpływowy, jak mogę mieć jakąkolwiek pewność, że ta krew w ogóle istniała?

Kusi mnie, żeby powiedzieć Paulowi o swoich obawach. Ale nie chcę go martwić. Ma już i tak dość spraw na głowie z Sally. Zatrzymuję się, żeby zapiąć moją starą kurtkę z kapturem. Jej podszywka w dotyku przypomina koc, kiedy morskie powietrze smaga mnie po twarzy.

– Boże, jest lodowato – mówię, przyśpieszając, żeby dogonić Paula. – Zapomniałam, jak zimno może być nad morzem.

– Będzie dobrze, kiedy ruszymy żwawym krokiem – pociesza. – Zaraz zrobi się ciepło.

Przyśpieszam jeszcze kroku, żeby za nim nadążyć.

– Jakbym słyszała swoją matkę – krzyczę, a mój głos brzmi niczym cienka trzcina trzepocząca na ostrym wietrze.

– Nazywasz mnie staruszką? – śmieje się, kiedy wiatr prawie porywa mu szalik. – Bezczelna krowa.

Wspinając się po szerokiej ścieżce, która prowadzi nas w stronę klifów, natykamy się na pas jasnoróżowych muszli małży, które chrzęszczą pod naszymi stopami. Zatrzymuję się, żeby podnieść jedną z nich, i zachwycom się jej barwą fuksji. Obracam muszlę w palcach i kładę na wewnętrznej stronie dłoni. Wygląda jak malutkie złamane serce. Wygrzebuję ze środka piasek i wkładam ją do kieszeni. Kiedy dalej wspinamy się ścieżką w górę, zanurzam dłonie w ciepłych fałdach materiału i pocieram palcami

chropowatą muszelkę. Przynosi to dziwne uczucie ukojenia.

Idąc zamaszystym krokiem, Paul wysunął się do przodu i teraz prawie biegnę, żeby do niego dołączyć. Krew żwawo pulsuje w moim ciele. Powietrze jest czyste, a wdychając ogromne jego hausty do płuc, czuję się tak, jakbym z każdym oddechem się otwierała. Nade mną, z przodu, dostrzegam Paula, który stoi na wąskim drewnianym mostku łączącym ścieżkę ze schodami prowadzącymi na szczyty klifów.

– Coś sobie przypominam – mówię, kiedy go doganiam i razem wspinamy się po wysokich schodach na wąską wiejską drogę, wzdłuż której rosną paprocie. – To miejsce zawsze mnie przerażało.

– Dlaczego?

Wszedł za mnie i słyszę jego szybki, płytki oddech.

– Po prostu jest na uboczu – wyjaśniam. – Czuję, że jesteś za moimi plecami, tyle że teraz wiem, że to ty. Lecz gdybym była tutaj sama i poczułabym, że ktoś za mną idzie, byłabym przerażona. Ta droga ma zbyt wiele zakrętów, zbyt wiele kryjówek, z których ktoś może nagle wyskoczyć.

– Masz na myśli takich ludzi jak Alexandra? – pyta Paul, przybierając żartobliwy ton głosu. – Łuu, huuu.

– Przestań – złoszczę się, nie oglądając się za siebie – Albo ją przywołam. Wtedy to ty będziesz miał się z pyszna.

Czuję ulgę, kiedy ścieżka otwiera się na szeroki pas łąki i przyśpieszamy. Krzaki kolcolistu rosną w skupiskach wśród traw, a ich grube palce upstrzone są drobniotkami, połyskującymi żółtymi kwiatuskami, niczym klejnotami. W oddali pieje kogut. Zatrzymuję się, żeby posłuchać.

– Farmy – mówi Paul, wskazując głową na wschód. – Mnóstwo ich za tym żywopłotem.

Uśmiecham się, ponieważ przypominam sobie, jak kiedyś pojechałyśmy z mamą z wizytą na farmę. Żona farmera oprowadziła nas po gospodarstwie i skończyło się na tym, że zostałyśmy na herbatę. Zdaje się, że mama chodziła z tą kobietą do szkoły. Wyszłyśmy stamtąd z koszykiem jaj, sera i świeżym mlekiem. Mama była taka szczęśliwa tamtego dnia... Prawdziwie szczęśliwa, nie tak jak wtedy, kiedy jeździłyśmy na plażę i przybierała ten udawany uśmiech.

Niskie muczenie krowy odpowiada na wołanie koguta i kiedy idziemy dalej, myślę o mojej matce, dziewczynie ze wsi, która spędziła swoje życie uwięziona na przedmieściach. Zasługiwała na więcej, niż dostała.

– Tam są – krzyczy Paul.

Wystawia rękę i wskazuje nią w stronę linii brzegowej.

– Wieże. Czyż nie są widowiskowe?

Podnoszę wzrok i dostrzegam dwie wieże Reculver, które sterczą złowrogo z klifów, jedyne pozostałości po rzymskim forcie, który kiedyś strzegł zatoki przed niechcianymi intruzami.

– Siostry – szepczę, kiedy znów ruszamy, kierując się w stronę wież. – Tak je nazywałyśmy. Zapomniałam, jakie są piękne.

Wiatr chłosta nas po twarzach, gdy podążamy w stronę wież, naciągam więc kaptur

na twarz, żeby ochronić ją przed przenikliwym zimnem. W tym miejscu aż roi się od jednodniowych wycieczkowiczów i musimy przeciskać się przez grupy turystów i udręczonych rodziców, którzy odsuwają małe dzieci od krawędzi klifu. Panuje tutaj o wiele większy ruch niż w czasach mojego dzieciństwa. Wtedy jedyną atrakcją były wieże i znajdująca się poniżej plaża, na której w 1943 roku testowano miny wyskakujące. Teraz działa tutaj punkt informacji turystycznej ze sklepem, w którym można kupić podkoszulki, kubki i butelki z pasiastymi miętówkami, a dalej stoi furgonetka z lodami, która robi świetny interes na maluchach stojących w wijącej się wokół ścieżki kolejce.

Paul wysuwa się do przodu i przeskakuje przez niski płot z drutu kolczastego, który stoi po bocznej stronie wież. Wieje tam przenikliwy wiatr i dopiero gdy zmierzamy w kierunku pozostałości po głównej bramie fortu, staję pewnie na nogach. Z tego miejsca fort nie wygląda jak ruiny, lecz jak piękna kompletna budowla, której fasada w kształcie litery V jest zdominowana z obu stron przez wieże. To złudzenie optyczne zapiera mi dech w piersiach, podobnie jak wtedy, kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy. Dostrzegam głowę Paula, która to znika, to ukazuje się za kamiennymi murami, a gdy podchodzę do niego, widać wówczas, że budowla popada w ruinę, rozsypując wokół siebie gruz przypominający trzewia sterczące ze zmasakrowanego ciała.

Robię krok w tył, żeby przepuścić grupę turystów. Idą za wysokim mężczyzną w czarnym filcowym kapeluszu i surducie. Opowiada teatralnym głosem, prowadząc ich coraz dalej w ruiny:

– Mówi się, że te wieże są jednymi z najbardziej aktywnych miejsc w hrabstwie Kent, jeśli chodzi o zjawiska paranormalne – wyjaśnia tubalnym głosem. Turyści podążają za nim z otwartymi ustami, a on mówi dalej: – Musicie państwo przyznać, że faktycznie czuje się tutaj jakąś głęboko niepokojącą obecność.

Patrzy na nich wyczekująco, a oni kiwają jednomyślnie głowami. Jakaś kobieta w fioletowej kamizelce robi zdjęcie, ale przewodnik wystawia dłoń w rękawiczce.

– Może później. Nie chcemy przeszkadzać tutejszym mieszkańcom.

Paul zeskakuje ze skały, na której stoi, i dołącza do mnie przy tablicy informacyjnej.

– On mówi o dzieciach – szepcze, nachylając się do mnie, a ja drżę, czując na karku jego zimny oddech.

– Ach, stara historia – stwierdzam, odwracając się do niego twarzą. – Nadal to w kółko powtarzają?

Przypominam sobie te opowieści o dzieciach, podobno spalonych żywcem w lochach fortu. Legenda głosi, że zostały złożone w ofierze, żeby poświęcić budowlę. W ciemne burzowe noce słyhać ich krzyki na terenie fortu. Zwykła pożywka, żeby przyciągnąć ludzi do tego miejsca.

– Musisz jednak przyznać, że człowiek czuje się tutaj jakoś dziwnie – stwierdza Paul, kiedy porzucamy tablicę informacyjną i podchodzimy do brzegu klifu. – Z pewnością odczuwałem to jako dziecko. Kiedyś nawet wydawało mi się, że coś słyszę.

– Co takiego?

Schyłam głowę, ponieważ tuż nade mną przemyka jaskółka brzegówka.

– Głosy. Krzyki. Słyszę je teraz. A ty?

Patrzę na niego. Na pewno mnie nabiera... Ale ma śmiertelnie poważną minę.

– Nie słyszę niczego poza krzykami rodziców, których właśnie skasowano na dyszkę za kilka lodów – odpowiadam, śmiejąc się niepewnie. – Paul, nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone ani w to, że Rzymianie spalili żywcem dzieci w tych wieżach.

– Dlaczego nie? Przecież rzucali chrześcijan lwom na pożarcie. – Paul krzywi się.
– Możesz sobie wyobrazić, jakie to uczucie być spalonym żywcem?

– Nie, nie mogę – odpowiadam i moje ciało przeszywa dreszcz. – Aha! Paul, wracając do dzieci, czy udało ci się może dopytać agentów od nieruchomości o tych ludzi spod czterdziestkiczwórki? W sprawie tego chłopca?

– Nie dałem rady, Kate – tłumaczy się. – Ostatnio miałem w pracy istne wariactwo i mówiąc szczerze...

Milknie i potrząsa głową.

– Co? – pytam go. – Co chciałeś powiedzieć?

– Nieważne – mówi. – Nic takiego.

– Proszę – mówię. – Powiedz mi.

– Cóż, chodzi o to, że... Cóż, rozumiem... – płacze się. – Chodzi mi o to, że to naturalne po tym, co przeszłaś...

– Co jest naturalne?

– Słyszenie głosów, widzenie różnych rzeczy – precyzuje, zniżając głos. – To żal po stracie, prawda? Czytałem o tym. Chodzi o tego chłopca w Syrii, tak?

– Paul, wiem, co widziałam – trwam przy swoim i wzbiera we mnie gniew. – Wiem, że to naprawdę istniało.

– Posłuchaj, nie denerwuj się – uspokaja, chwytając moją dłoń. – Porozmawiam z tym agentem nieruchomości najszybciej, jak się będzie dało, dobrze? Uspokój się. A teraz chodźmy. Zejdziemy na plażę i urządzimy sobie piknik? Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu.

Przepychamy się przez tłum turystów i schodzimy po schodach na plażę. Kiedy moje stopy zanurzają się w piasku, a powietrze wypełnia zapach morza, słyszę ją.

Chodźcie, dziewczynki, kanapki!

Idę za jej głosem do miejsca na uboczu, gdzie stoi Paul, rozkładając ogromny koc plażowy w szkocką kratę.

Jeszcze jedna strona, mamo, i już idę.

Paul otwiera plecak i wyjmuje termosy z gorącą herbatą, kanapkami zawiniętymi w folię aluminiową i okrągłą metalową puszkę pełną maślanych ciasteczek. Moich ulubionych.

Nie przestrasz się na śmierć, kochanie. Odłóż książkę, przyjdź i zjedz trochę ciasta.

Siadam na kocu, biorę termos i nalewam sobie filiżankę gorącej herbaty, tymczasem Paul rozpakowuje kanapkę.

A teraz porozmawiajmy o miłych rzeczach.

Wypijam łyk herbaty i czuję, jak dobroczynnie spływa mi po gardle, napełniając moje ciało zdrowiem. Chociaż raz Paul się nie odzywa i kładę się na plecach na pledzie.

Morskie powietrze mnie usypia. Zamykam oczy. Słyszę fale, które szepczą w oddali, i kojące słowa mojej matki.

Widzisz, mówiłam, że dobrze ci to zrobi.

W ciągu ostatnich kilku dni próbowałam odnaleźć matkę w jej domu, tymczasem ona przez cały czas była tutaj, siedziała ukryta w ruinach na plaży w Reculver.

Kiedy dźwięk morza kołysze mnie do snu, widzę go. Stoi na ulicy ze swoją piłką. Znowu do mnie powrócił. Walę pięściami w okno.

– Spójrz do góry, Nidal! Na miłość boską, spójrz w górę.

Ale on jest pochłonięty grą i mnie nie słyszy.

– Podnieś wzrok, dziecko. Podnieś wzrok.

Jakiś męski głos mnie przekrzykuje. To Graham.

– Musimy powiedzieć jego rodzicom, Kate.

– Nie, zaczekaj. Mogę mu pomóc.

Biegnie w kierunku piłki i wykopuje ją wysoko w powietrze. Uderza w ziemię i piłka odbija się od drogi z taką siłą, że aż chmura pyłu wzbija się w powietrze. Ma zamiar po nią pobiec, ale kiedy podnosi głowę, jego twarz wykrzywia się. Dostrzega ich.

– Nidal!

Stoi jak zamurowany na drodze, ze szczupłymi rączkami podniesionymi nad głową. Jest przerażony, a ja jestem tutaj, uwięziona za szybą.

– Kate, pomóż mi.

Walę pięściami w okno, ale szyba nie rozbija się.

– Pomóż mi.

W końcu szyba ustępuje i spadam razem z nią, coraz bardziej w dół, na miękki piasek. Kiedy otwieram oczy, nade mną stoi Paul.

– No dalej, śpiochu, czas wracać.

– Musiałam przysnąć – mówię, stając na nogi. – Która godzina?

– Prawie szesnasta – odpowiada wzburzony. – Też przysnąłem. Naprawdę powinniśmy już iść, zbliża się przypływ. I jeszcze ta mgła.

Spoglądam w stronę klifów i uświadamiam sobie, że ich nie widzę. Mgła spowiła większość drogi powrotnej.

Mam ciężką głowę i zastanawiam się, jak długo spałam.

– Chodź – woła Paul, ruszając wzdłuż plaży. – Szybko, zanim woda wzbierze.

Wkrótce znika we mgle.

Biorę płaszcz i narzucam go na ramiona, po czym niepewnym krokiem idę przez skały w kierunku, gdzie zniknął Paul. Ale po kilku krokach tracę grunt pod nogami i upadam twarzą na kamyczki. Nogi mi się trzęsą, sen dalej robi swoje.

– Kate!

Słyszę Paula, ale go nie widzę. Chcę do niego krzyknąć w odpowiedzi, lecz czuję ból i zawroty głowy, jakbym była pijana. Co się ze mną dzieje? Muszę przestać zażywać te pigułki.

W końcu z trudem staję na nogach i potykając się, ruszam w stronę, gdzie, jak sędzę, znajduje się ścieżka.

Nagle w jakiejś dziurze we mgle dostrzegam go.

– Dostań się do skał! – krzyczy Paul. Stoi na drugim końcu plaży, wymachując rękami. Pomiedzy nami jakimś sposobem pojawiły się wzburzone wody morza. – Nie idź tędy! Ledwo zdołałem przejść! Musisz kierować się na lewo, do skał!

Potem znika znowu za ścianą mgły. Morska woda chlupocze wokół moich kostek, a plaża powoli znika. Jestem uwięziona na skałach.

– Wspinaj się do góry! – głos Paula dobiega skądś po mojej lewej stronie.

Wiatr smaga moją twarz wodą, kiedy próbuję oprzeć stopy na skałach, kompletnie nic nie widząc. Ocieranie oczu wierzchem dłoni jeszcze bardziej zamazuje wzrok, bo teraz tusz do rzęs spływa mi po twarzy gęstymi, czarnymi smugami. Woda wzbiera i wiem, że będę musiała zaraz stąd uciekać albo narażę się na ryzyko, że mnie porwie. Chwytam się wystającej ostrej skały i opierając się na niej, podnoszę się do góry. Ma szerokość mojej stopy i jestem pewna, że mnie nie utrzyma, ale jakimś sposobem daję radę i tkwię tam nieruchomo, a tuż pode mną woda rozbija się ze złością o skały.

Urwista ściana klifu wznosi się nade mną, wspinając się do góry w kierunku wież. Muszę się na nią wdrapać. Ale kiedy podnoszę wzrok, strach ogarnia moje wyczerpane ciało. Nie ma tam żadnych półek skalnych, tylko gładka powierzchnia. Nie dam rady dostać się na szczyt. Myślę o turystach, którzy stoją tam na górze, przy wieżach. Może gdybym zawołała, ktoś by mnie usłyszał.

Lecz w porównaniu ze wzburzonym morzem mój głos jest ledwie szeptem. Zamykam oczy i próbuję zebrać siły. Potem znowu go słyszę.

– Kate!

Paul. Otwieram oczy i patrzę w górę na szczyt klifu.

– Kate!

Jest daleko, ale to musi być on. Jest. Widzę go, niewyraźnie, przez mgłę. Wyciąga rękę. Słyszę, jak mówi, żebym się wspinała.

– Nie ma żadnych półek skalnych! – krzyczę. – Nie będę w stanie niczego się

chwycić!

– Dobrze, posłuchaj mnie! – wrzeszczy przez wyjący wiatr. – Musisz skoczyć na dół... przebrnąć przez... zanim będzie zbyt wysoka! Tam jest inna droga, którą możesz wyjść!

Spoglądam w dół na wodę. Nawet na tej półce skalnej sięga mi prawie do kolan.

– Nie dam rady! – krzyczę w odpowiedzi.

– ...musisz, Kate... jedyna droga!

– Powiedz mi, co mam robić – krzyczę, a usta napełniają mi się słoną wodą.

Wypluwam ją na skały.

– Przebrnij przez... – krzyczy – ...po lewej stronie... głązy...

Kiedy wchodzę do wody, strzępy jego słów docierają do mnie znad głowy. Woda jest gęsta od błota i muszę podnosić wysoko stopy, żeby nie ugrzęznąć w szlamie. Kiedy szukam głazów, owijają się wokół mnie lepka mgła.

– Tam! – krzyczy Paul i biegnie wzdłuż krawędzi klifu, obserwując, jak brnę przez wodę.

W końcu widzę głązy i staram się kierować w ich stronę. Poziom wody podnosi się, a ja czuję, jakbym miała nogi z ołowiu.

– Wspinaj się... Tam jest półka! Dalej, Kate, pośpiesz się!

Półkę pokrywają mokre wodorosty i z początku, kiedy próbuję się wspiać, dłoń mi się z niej ześlizguje. Ponawiam próbę, tym razem pomagając sobie jeszcze łokciami, i w końcu udaje mi się jej chwycić. Podciągam się do góry i staję na skalnej półce, łapiąc powietrze i spoglądając w dół na podnoszący się poziom wody.

– Szybko! – krzyczy. – Przykryje cię z głową za mniej niż minutę! Właż na półkę!

Podnoszę wzrok. To tak daleko. Jak mam to zrobić?

– Dalej, Kate!

Mam uczucie, jakby moje ciało miało zamiar się poddać. Ręka mnie rwie i kiedy spoglądam w dół, dostrzegam, że krwawi w kilku miejscach. Musiałam ją poranić podczas tej całej wspinaczki. Nad moją głową skrzeczy mewa. Ptaki morskie wyczuwają krew, jak sępy w Etiopii. Podciągam się na półkę. Jest szeroka i udaje mi się postawić na niej obie stopy, ale kiedy staję wyprostowana, wiatr prawie zwiewa mnie w dół.

– Przyklej się do niej! – krzyczy Paul. – Wtedy odzyskasz równowagę!

Robię, co mówi, i przyciskam ciało do ściany klifu. Tak blisko, że czuję smak wodorostów.

– A teraz chwyć się tej półki tuż nad tobą!

Patrzę w górę przez zacinający deszcz i dostrzegam szeroki kawałek wystającej skały. Jestem przerażona, że nie wytrzyma mojego ciężaru, lecz sięgam rękami do góry i podciągam się.

– Grzeczna dziewczynka! – krzyczy Paul skądś nade mną. – Jeszcze tylko kilka półek i dostaniesz się na szczyt!

Staję w wyprostowanej pozycji i sięgam rękami do następnej półki. Tym razem jest bardziej stabilna i zdecydowanie bliżej położona. Wdrapuję się na nią, ale muszę się zatrzymać, żeby odetchnąć.

– No dalej, już prawie tu jesteś! Została jeszcze tylko jedna!

Widzę następną półkę, lecz jest tak wysoko, że chyba nie dam rady. Nogi mam zdrętwiałe z zimna i jeśli stracę grunt, spadnę z bardzo dużej wysokości.

– Po prostu chwyć ją, Kate!

Jego głos mnie dopinguje i podciągam się na półkę.

– Grzeczna dziewczynka!

Podnoszę wzrok i widzę go.

– A teraz policz do trzech i chwycisz mnie za rękę! – Paul cały czas krzyczy.

Spoglądam w górę i widzę jego rękę zwisającą z krawędzi klifu.

– Kate! Zaczynam liczyć! Jesteś gotowa?

– Tak! – wołam. Drżą mi dłonie.

– Jeden!

Wycieram swoją trzęsącą się dłoń rękawem.

– Dwa!

Pode mną jest wzburzone morze. Mogę iść tylko do góry, bez względu na to, jakie to przerażające.

– Trzy!

Sięgam ręką i chwytam jego dłoń, a on trzyma mnie tak mocno, że boję się o mój nadgarstek. A potem frunę w powietrzu, ponad klifami. Mam wrażenie, jakbym leciała w przestworza. Zamykam oczy, czekając na chwilę, kiedy zwolni uścisk, a ja spadnę. Ale tak się nie dzieje. Dajemy radę. Przywieramy do siebie nawzajem i nie odrywamy się, dopóki nie stanę bezpiecznie na szczycie klifu. Paul otula mnie swoim płaszczem, a ja leżę, próbując złapać powietrze.

– Już myślałem, że cię straciłem! – wciąż krzyczy, przyciągając mnie do siebie.

– Jezu, naprawdę myślałem, że...

Ukrywa twarz w moim ramieniu i kiedy przytulam go, czuję, jak jego ciało drży.

– Idziemy do domu? – szepczę w jego wilgotne włosy.

Podnosi wzrok i wygląda jakoś inaczej. Może to przez sól w moich oczach albo przez gęstą mgłę, która wisi nad szczytem klifu. Jego włosy, zwichrzone przez wiatr i deszcz, wyglądają na czarne. Przyglądam się, jak odgarnia je z oczu, i znajome uczucie ściska mnie w żołądku. Przez chwilę przypomina kogoś zupełnie innego.

– Tak, sądzę, że powinniśmy... – mówi. Wstajemy i stoimy twarzą w twarz, odwróceniem plecami do gwałtownego nadmorskiego wiatru. – Chodźmy.

Kiwam głową, a on bierze mnie za rękę, kiedy po cichu idziemy w kierunku światła zatoki.

Posterunek policji w Herne Bay Trzydzieści sześć godzin od zatrzymania

Powietrze w pokoju zmieniło się i ciężko mi oddychać.

– Mogłybyśmy otworzyć okno? – pytam doktor Shaw. – Strasznie tu gorąco.

– To centralne ogrzewanie – odpowiada. – Włącza się automatycznie. Obawiam się, że okno tylko troszeczkę można uchylić, ale mogę sprawdzić, czy to pomoże.

Zamierza wstać, lecz potrząsam głową.

– Proszę się nie przejmować, wszystko w porządku – powstrzymuję ją. – Idźmy dalej.

Zdejmuję sweter i zawieszam go na oparciu krzesła. Kiedy siedzę tutaj w swoim cienkim podkoszulku, ubłoconych dżinsach, czuję się bezbronna, obnażona. Jakbym została całkowicie odarta z poczucia godności.

– Dobrze – mówi Shaw. – Kontynuujmy, jeśli jest pani w stanie, Kate. – Spuszcza wzrok i czyta ze swoich notatek: – Nidał grał w piłkę nożną w przedpokoju. Jego ojciec wyszedł z pokoju i pokłócili się. Potem powiedziała pani chłopcu, że powinien posłuchać ojca i przestać grać w piłkę. Chłopiec krzyknął i uciekł.

To wszystko brzmi tak gładko i beznamiętnie, zupełnie inaczej, niż było w rzeczywistości.

– I co się wtedy wydarzyło? – pyta.

– Nie wiem – szepczę. – Nie pamiętam.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć – mówi Shaw.

Nie odpowiadam. Cisza wydaje się taka kusząca. Czuję się, jakby brakowało mi słów.

– Może kiedy przeczytam pani relację Grahama Turnera, którą przekazał Harry’emu Vine’owi po powrocie z Aleppo... – brnie dalej Shaw swoim spokojnym i opanowanym głosem.

– Nie! – krzyczę, a mój głos drży. – Proszę nie czytać. Jak Harry mógł mi to zrobić?

– Kate, muszę zrozumieć okoliczności, jakie doprowadziły do pani aresztowania przy Smythley Road czterdzieści cztery – wyjaśnia. – A żeby to zrobić, musimy przyjrzeć się także temu, co wydarzyło się tamtego dnia w Aleppo.

Trzyma w ręce kartkę papieru formatu A4. Czyżby tylko tyle zajęło podsumowanie tego, co się stało, Graham? Kilka nędznych akapitów?

– „Relacja złożona przez Grahama Turnera... – zaczyna Shaw, a kiedy czyta dalej, chowam głowę w dłoniach i próbuję zagłuszyć płynące słowa rytmem swojego oddechu. – Przebywaliśmy w centrum Aleppo od tygodnia i w tym czasie Kate zaprzyjaźniła się z małym syryjskim chłopcem, synem ludzi, u których mieszkaliśmy. Jej zachowanie wykraczało poza zawodowy profesjonalizm i widziałem, że zaangażowała się emocjonalnie w tego chłopca i jego rodzinę ze szkodą dla naszego bezpieczeństwa”.

Myślę o Grahamie Turnerze, moim przyjacielu, moim koledze, o człowieku, który tyle razy towarzyszył mi w piekle, i zastanawiam się, dlaczego mi to zrobił. Dlaczego

poczuł potrzebę zdradzenia mnie w ten sposób.

Shaw chrząka i czyta dalej:

– „Po południu dwudziestego dziewiątego marca ten chłopiec grał w piłkę za drzwiami naszego pokoju i zakłócił nam spokój. Kate wyszła, żeby z nim porozmawiać, a następną rzeczą, jaką odnotowałem, było to, że porwała swoje buty i pobiegła do sklepu nad nami, by odnaleźć chłopca. O tej porze dnia był to poważny błąd, ponieważ dzielnicę silnie bombardowano, a sklep znajdował się w miejscu rzucającym się w oczy. W trosce o jej bezpieczeństwo pobiegłem za nią i zobaczyłem ją na zewnątrz, na ulicy”.

Łzy płyną mi po twarzy, kiedy siedzę tak, słuchając słów Grahama. Czuję w ustach ten pył, ten smak benzyny, podczas gdy Shaw kontynuuje:

– „Rozmawiała z chłopcem i powiedziała mu, że jeśli wróci do środka, to zabierze go do Anglii”.

– I zabrałabym – łkam. Graham, ty dupku. – Zabrałabym to dziecko gdziekolwiek, gdzie chciałoby pojechać, jeśli to by oznaczało, że mogę je uratować.

Shaw czeka, aż złapię oddech, po czym czyta dalej:

– „Otworzyłem drzwi i zobaczyłem ich, jak idą w moim kierunku. Chłopiec chwycił ją za rękę, wracali do środka”.

– Nie, nie, nie! – wyję, ponieważ czuję dotyk jego małej rączki. – Proszę mi tego nie robić...

Byliśmy już niedaleko. Byliśmy już tak blisko...

– „Doszli do drzwi i mieli już wejść do środka, kiedy chłopiec powiedział coś o swojej piłce, powiedział, że została na ulicy. Kate kazała mu ją tam zostawić. Obiecała, że kupi mu nową. Ale chłopiec zachowywał się jak szalony. Ciągnął ją za rękę, próbując wyrwać się z jej uścisku. Kate straciła nad sobą panowanie. Krzyknęła na niego. Powiedziała mu, że to tylko głupia piłka i że ma wracać do środka. Potem chłopiec wyrwał rękę z jej dłoni i wybiegł z powrotem na ulicę. Chciała pobiec za nim, lecz ją powstrzymałem. Powiedziałem, żeby nie była taka lekkomyślna. Tam było niebezpiecznie i musieliśmy wrócić do domu i odnaleźć rodziców chłopca”.

Całe moje ciało dygocze. Nie wytrzymam tego. Muszę ją powstrzymać. Proszę, niech ktoś ją powstrzyma. Kiedy czyta dalej relację Grahama, zatykam uszy dłońmi. Ale nie mogę wymazać z pamięci tych ostatnich chwil.

Serii strzałów. Chmury pyłu wzbijającej się w powietrze. Nie widzę go, choć słyszę jego dziecięcy głos:

Kate. Pomóż mi.

Nogi mam jak z ołowiu i chwila, w której do niego docieram, wydaje się wiecznością.

– Pomóż mi! – krzyczy.

Został postrzelony w głowę, lecz strzał był chybiony. Jeszcze żyje.

– To boli – kwili.

– Już dobrze, Nidal – szepczę. – Pomoc nadchodzi. Wszystko będzie dobrze.

Szarpie się w moich ramionach, a ja trzymam go coraz mocniej. Gdzie jest Graham? Dlaczego nie przychodzi pomóc?

– To był wspaniały mecz, Nidal – szepczę. – Kapitan mówi, że twoja drużyna

wygrała. Następny przystanek Brazylia, co?

Ściska moją rękę.

– Zaraz zabierzemy cię w bezpieczne miejsce – obiecuję. – Miej otwarte oczy, Nidal. Nie zamykaj ich. Nie zasypiaj, dziecko, nie zasypiaj.

Ale jego oczy wywracają się do tyłu.

– Dalej, Nidal! – krzyczę. – Dalej! Nie umrzesz tutaj! Słyszysz mnie? Nie umrzesz na tej ulicy! Wydostaniemy się stąd! Pojedziemy do Disneylandu i będziemy razem stać na tym moście, słyszysz mnie? A potem możesz napisać o tym wszystkim w swojej księdze uśmiechów! Ale musisz otworzyć oczy, żeby to zobaczyć, Nidal! Musisz otworzyć oczy...

Lecz gdy wypowiadam te wszystkie słowa, on opada bezwładnie w moich ramionach.

Słyszę głosy nad głową. Męskie głosy. Próbują wyciągnąć go z moich objęć, ale nie pozwolę mu odejść. Nie pozwolę.

– Kate – mówi Shaw, a jej głos niczym ostrze przecina moje serce. – Kate, wszystko w porządku?

– Niech pani przestanie! – krzyczę. – Dość, dość, dość! Co pani próbuje ze mną zrobić? Chce pani, żebym jeszcze raz to przeżywała tylko po to, by mogła pani udowodnić, że postradałam zmysły, by mogła pani zaznaczyć jakąś pieprzoną rubryczkę? On nie żyje! Ten mały chłopiec nie żyje! Został zastrzelony, kiedy próbował odzyskać swoją piłkę. I to była moja wina. Straciłam nad sobą panowanie i uciekł. Gdybym zachowała spokój, może wciąż by żył... Czy to chce pani usłyszeć? Jak potem umarł w moich ramionach i jak od tamtej pory nie daje mi to spokoju, jak ciągle widzę jego twarz i słyszę ten głos, dzień w dzień?

– Kate – mówi Shaw. – Niech pani się teraz uspokoi. Proszę wziąć głęboki oddech.

– Odpierdol się, ty protekcyjnalna suko! – wrzeszczę. – Nie potrzebuję żadnych głębokich oddechów! Muszę powiedzieć ci o twardych faktach. O Grahamie Turnerze. O tym człowieku, którego relacji używasz, żeby zrobić ze mnie wariatkę. Chcesz wiedzieć, co on zrobił, zamiast mi pomóc? Stał tam po prostu ze swoim aparatem. Stał tam, fotografując martwe dziecko. To on powinien tutaj być na obserwacji, nie ja! Wszystko to bzdury! Każde słowo to bzdura! – Zrywam się z krzesła i podbiegam do Shaw, a potem wyrywam jej z rąk kartkę papieru. – Nidal! – krzyczę, osuwając się na podłogę, i tylko słyszę piskliwy głos Shaw wzywający pomoc. – Nidal!

Sobota, 18 kwietnia 2015

Kiedy taksówka podjeżdża pod numer czterdzieści sześć przy Smythley Road, zapada zmrok. Podróż z bulwaru nadmorskiego była krótka, a my siedzieliśmy w ciszy na tylnym siedzeniu, przemoczeni, zmarznięci i wyczerpani, podczas gdy kierowca rzucał gromy na imigrantów, podnosząc głos tak, żebyśmy go słyszeli zza szumu lokalnego radia.

A teraz jesteśmy tutaj. Nie ma odwrotu.

– Trzy funty dwadzieścia pensów – mówi kierowca, kiedy Paul majstruje przy plecaku. Wyciąga portfel z przedniej kieszeni. Ocieka morską wodą.

– Przepraszam za to – mówi, podając nasiąknięty wodą dziesięciofuntowy banknot.

– To wszystko, co mam.

– Nie ma problemu – mówi kierowca. – Mokry czy nie, to legalny środek płatniczy.

Majstruje przy swoim pudełku na pieniądze, podczas gdy my czekamy, zakłopotani.

– Proszę posłuchać, niech pan zatrzyma resztę – proponuje Paul, niecierpliwie pochylając się nade mną, żeby otworzyć drzwi.

– Dzięki, bracie – odpowiada kierowca, składając banknot w zgrabny kwadrat.

Wysiadamy na ociekającą deszczem ulicę i kiedy patrzę w stronę ciemnego domu, czuję nagłą panikę. Nie miałam takiej intencji, kiedy zgodziłam się na ten jednodniowy wypad. Spoglądam na Paula. Uśmiecha się, chociaż i w nim wyczuwam napięcie. Czy my naprawdę mamy zamiar to zrobić? Może jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać.

– No dalej – mówi, wyciągając rękę. – Wyskakujmy z tych mokrych ciuchów.

Światło zapala się w domu obok, w sypialni na piętrze, i wyobrażam sobie, jak Fida zasłania zasłony i wskakuje do łóżka obok swojego męża brutala. I nagle już nie chcę być sama.

Biorę więc Paula za rękę i pozwalam mu się zaprowadzić do domu. Pozwalam mu położyć mnie na schodach, gdzie krew mojej matki nadal plami dywan, i powoli zdejmować ze mnie przemoczone ubrania. Czuję ciepło jego skóry na swojej skórze i kiedy podnoszę głowę, żeby spotkać jego usta, moje ciało przechodzi dreszcz pożądania. Minęło tak dużo czasu.

Wygląda to inaczej niż z Chrisem i staram się odsunąć od siebie wspomnienia tego ostatniego, drogocennego razu, kiedy to robiłam. Tymczasem oddaję się temu nowemu mężczyźnie, który przyciska mnie do ziemi swoim ciałem. Lecz kiedy odwraca mnie tyłem i zdejmuje mi majtki, kiedy wchodzi we mnie głęboko, nie ma w tym zbyt wiele uczucia, żadnej czułości. Ostry ból sprawia, że krzyczę. Teraz wiem, że jeszcze nie wydobrałam. Nie powinnam tego robić. Czuję na sobie jego ciężar i próbuję zmienić pozycję, ale on mnie odpycha. Nie chce mnie widzieć, jak sądzę, ponieważ przyciska moją twarz do brudnego dywanu. Jeśliby mnie zobaczył, to wszystko ległoby w gruzach. W ten sposób możemy oboje udawać, że jesteśmy z kimś innym, i może to uwolni nas od

poczucia winy. Myśli o Sally, o tej dziewczynie, która – kiedy ją poznał – miała donośny głos i kochała życie. Kiedy spazmatycznie szczytuje, krzyczy, wyrzucając z siebie pokłady jakiegoś uczucia gdzieś pomiędzy przyjemności i bólu. Kiedy ze mnie wychodzi, leżę nieruchomo jak kukła.

– Cóż – mówi, całując mnie delikatnie w czoło. – To było...

– Nic nie mów – proszę, wstając. – Po prostu nic nie mów. Nie powinniśmy byli.

Sięgam po swoje ubrania i chwiejnym krokiem idę po schodach do łazienki.

Leżę na łóżku, drzwi są zamknięte. Paul śpi obok mnie. Tak naprawdę nie chciałam, żeby został, ale powiedział, że Sally będzie bardziej podejrzliwa, jeśli późno wróci. W końcu zdecydowałam, że lepszy Paul niż głosy.

Ręka mnie rwie w miejscu, w którym przecięłam ją na skałach. Kiedy dotarliśmy z powrotem na nadmorski bulwar, Paul kupił w aptece jakąś maść przeciwzapalną i plastry. Opatrzył nimi moje rany, kiedy czekaliśmy na taksówkę.

– Proszę bardzo – powiedział, kiedy skończył. – Od razu lepiej.

Wtedy już wiedziałam, że skończymy w łóżku.

Kiedy tak leżę, obserwując, jak światło księżycy przenika przez zasłony, pojawia się przede mną twarz Nidala, rozszczępiając się na srebrne pasma. Gdzieś w oddali pohukuje sowa, a noc robi się ciężkawa. Zamykam oczy i wyobrażam sobie łodzie rybackie, które podskakują na wodzie poniżej Ramienia Neptuna, czekając, aż wszędzie słońce i wypłyną w żyzne morze. Czuję pod moim ciałem ruch fal, kiedy dryfuję razem z nimi przez ujście rzeki do Kanału i do Francji. Daleko, daleko, w szeroki świat, gdzie bezimienni ludzie wiodą swoje życie, a ich historie dopiero zostaną napisane.

Kładę się z powrotem w łódce, słyszę słaby stukot, stukanie koła ratunkowego, które z boku podskakuje na wodzie. Stuk, stuk. Morze staje się coraz bardziej dzikie i ten dźwięk nasila się. Odwracam się na bok i zatykam uszy. Głęboki sen jest w zasięgu i trzymam się go kurczowo z całych swoich sił. Ale łódka kołysze się gwałtownie, a koło ratunkowe uderza w burtę z siłą, która wyrzywa mnie z otępienia.

Siadam, rozglądam się dookoła, tymczasem łódź zamienia się w pokój z łóżkiem, komodą i wąską szafą, które wyłaniają się z cienia ciężkich adamaszkowych zasłon.

Ten dźwięk wygania mnie z łóżka i teraz stoję, trzęsąc się, na środku pokoju. A potem coś słyszę. Czyjś głos:

– Mamusiu!

Dobiega z zewnątrz, lecz jestem zbyt przerażona, żeby podejść do okna.

– Mamusiu!

Głos brzmi tak żałośnie, jest tak pełen strachu, że rozwiewa moje obawy i ostrożnie skradam się do okna. Opieram dłonie na parapecie, biorę głęboki oddech i wyglądam na zewnątrz.

Znowu tam jest. Siedzi na rabatce kwiatowej mojej matki. Mały chłopiec. Teraz wyraźnie go widzę. Ma około czterech lat i jest ubrany w pomarańczowy sweterek i ciemne, luźne spodnie. Ma bladą twarz wyglądającą z czupryny prostych, czarnych włosów. Pochyliam się do przodu i delikatnie stukam w okno. Podnosi wzrok, ma oczy wielkie ze strachu. Przeszywa mnie chłód. Ma podbite oko.

– Jezu! – krzyczę, biegnąc z powrotem do łóżka. – Co oni mu zrobili? Paul, obudź

się! – wrzeszczę, ciągnąc go za ramię. – Szybko, Paul! To ten chłopiec. Siedzi tam na zewnątrz i jest ranny!

– Co... – jęczy, naciągając kołdrę pod podbródek. – Wracaj do łóżka.

– To ten chłopiec, Paul! – krzyczę uparcie. – Ten, o którym ci opowiadałam! Siedzi tam, przed domem, w ogrodzie. Jest ranny! Musisz się obudzić! Proszę.

Ściągam z niego pościel i Paul zwija się w pozycji embrionalnej. Jest nagi i szybko biorę ręcznik z podłogi i rzucam nim w niego.

– Masz, załóż to – mówię, kiedy otwiera oczy. – Musisz przyjść i zobaczyć.

– Która godzina? – mamrocze, kiedy zataczając się, staje na nogach i owija się ręcznikiem w pasie. – Jest jeszcze ciemno, Kate.

– Nieważne – warczę. – Po prostu chodź i zobacz.

Biorę go za rękę i ciągnę do okna. Księżyc schował się za ogromną ciemną chmurą i przyciskam twarz do szyby, żeby lepiej widzieć.

– Tam – mówię, przyciągając Paula bliżej. – Widzisz go, obok rabaty kwiatowej?

Potrząsa głową.

– Nic nie widzę – mówi sennym głosem. – Oprócz tego rozwalonego starego krzesła ogrodowego.

– Patrzysz w złe miejsce – stwierdzam, stukając palcem w szybę, która szybko pokrywa się parą naszych oddechów. – On tam jest, na samym środku rabatki.

– To pewnie nic takiego, Kate – uspokaja, nachylając się nade mną, żeby otworzyć okno. Kiedy podnosi zasuwkę, słyszę jakiś dźwięk przypominający trzepot skrzydeł.

– Zobacz – mówi Paul, wystawiając głowę w nocne powietrze. – Nikogo tam nie ma. Może to jakiś lis albo coś. Miejskie lisy są ogromne. Łatwo pomylić takiego lisa z dzieckiem.

Przepycham się obok niego i wystawiam głowę przez okno. W ogrodzie panuje cisza i spokój, a rabata kwiatowa jest pusta.

– On tutaj był – szepczę, odwracając się do Paula, który stoi w ręczniku, cały się trzęsąc. – Przysięgam, że był tutaj na rabatce kwiatowej. Musiałeś go przestraszyć, kiedy otworzyłeś okno.

– Wracaj do łóżka – mówi łagodnie, wyciągając do mnie rękę. – To tylko zły sen. No chodź, musisz odpocząć, szczególnie po tym, co wydarzyło się dzisiaj na plaży.

– Nie muszę odpoczywać! – krzyczę, zamykając z trzaskiem okno. – Muszę pomóc temu dziecku! To nie był żaden zły sen. To działo się naprawdę. Słyszałam, jak krzyczał: „Mamusiu”, kiedy go zobaczyłam. On tam był! Wiem, że tam był, i ktoś jeszcze o tym wie.

Przeciskam się obok niego i podnoszę z podłogi ubrania.

– Kate, co ty robisz? – pyta Paul, kiedy wkładam sweter przez głowę. – Wpakujesz się w kłopoty.

– Nie. Nie wpakuję się – odpowiadam, wyciągając spod łóżka botki. – To ona będzie mieć kłopoty. Co za matka pozwala swojemu mężowi bić dziecko? Co za matka pozwala swojemu małemu synkowi wychodzić z domu w środku nocy? Przynosi hańbę.

– To jakieś szaleństwo – mówi Paul, zbiegając za mną po schodach.

– To nie jest żadne szaleństwo – znów warczę. – Ona ma tam dziecko i źle je

traktuje. I jeśli policja mi nie pomoże, to sama tam pójde i przeszukam ten dom.

Paul zatrzymuje się, żeby pozbierać ubrania, które leżą na pierwszym schodku. Krzywię się, kiedy przypominam sobie nasze rozpaczliwe pieprzenie się. Co ja sobie myślałam? Stoję przy drzwiach wejściowych i szarpię się z kluczem, podczas gdy Paul za mną sapie, wkładając na siebie ubrania.

– Kate, zastanów się nad tym – prosi. – Pomyśl o konsekwencjach. Wszyscy wiemy, kim jest ten chłopiec. Kate, on nie istnieje.

– Istnieje! – krzyczę, kiedy zamek w końcu ustępuje. – Naprawdę istnieje! I mnie potrzebuje!

Otwieram drzwi i zanurzam się w noc.

– Kate, wracaj – woła za mną Paul. – Jeśli pójdziesz do domu obok, ona wezwie policję, a to nikomu nie pomoże.

Powietrze na zewnątrz jest ciepłe, a niebo usiane maleńkimi gwiazdami, kiedy idę, głośno tupiąc wzdłuż podjazdu, i walę do drzwi.

– Otwieraj natychmiast! – krzyczę. – Słyszysz mnie? Otwieraj te drzwi!

Cofam się i patrzę w okno sypialni. Zapala się światło, więc wracam pod drzwi, tym razem waląc w nie jeszcze mocniej. W końcu, po jakichś dziesięciu minutach krzyczenia i stukania, drzwi się otwierają.

– Czego chcesz? – pyta Fida, nie patrząc mi w oczy. – Jest środek nocy.

Jest całkowicie ubrana, hidżab też ma na swoim miejscu. Może dlatego tak długo zajęło jej otwieranie drzwi. Ubierała się. Chroniąc swoją skromność. A może ukrywając coś?

– Tak, wiem, że jest środek nocy – warczę. – A twój mały synek powinien być w łóżku, tymczasem przed chwilą kulił się ze strachu w moim ogrodzie. Czy teraz możesz mi powiedzieć, co tu, do cholery, się dzieje? On jest drobną, małą istotką i wołał ciebie, krzyczał za mamusią.

– Panno Rafter – mówi, potrząsając głową. – Musi pani przestać. Teraz mnie pani przeraża.

Podnosi na mnie wzrok i wtedy ja wydaję z siebie okrzyk. Ma spuchnięte oko i głęboką ranę ciętą na grzbiecie nosa.

– O Boże! – wykrzykuję, podchodząc do niej. – Co ci się stało? Czy on to zrobił?

– To nic – odpowiada, odsuwając mnie. – Wczoraj upadłam i uderzyłam się w twarz. To wszystko.

– Fida, posłuchaj mnie – mówię, ścisząc głos, bo co, jeśli on teraz tam jest? – To poważna sprawa. Wiem, co robi twój mąż. Nic nie osiągniesz, kryjąc go. To potwór. Wiem o tym, bo mieszkałam z takim oprawcą pod jednym dachem. Zazwyczaj kończyło się na tym, że moja mama przez większość wieczorów wyglądała tak jak ty i wymyślała wszystkie możliwe wytłumaczenia. A teraz proszę, Fida, wpuść mnie, bym mogła się upewnić, że chłopcu nic nie jest.

– Nie ma żadnego chłopca! – teraz ona krzyczy. – I proszę, zostaw mnie w spokoju!

Ma zamiar odejść, ale wkładam rękę między drzwi a futrynę, żeby je zablokować.

– Fida, mogę ci pomóc – przekonuję. – Nie musisz przechodzić przez to wszystko

sama. Mogę wyciągnąć z tego ciebie i chłopca.

Wpatruje się we mnie. Dłonie jej się trzęsą i widzę, że jest przerażona.

– Proszę już iść – szepcze. – Proszę iść.

I z tymi słowami zamyka drzwi.

Stoję na podeście, zastanawiając się, co robić dalej. Chłopiec musi gdzieś tutaj być, myślę sobie, kiedy obchodzę dom z boku i sprawdzam, czy furka jest otwarta. Podnoszę zasuwkę do góry i właśnie mam zamiar wejść, kiedy słyszę, że coś się za mną rusza. Odwracam się i widzę Paula, który idzie wzdłuż podjazdu w moim kierunku.

– Kate – mówi przerażonym głosem. – Dość już. Chodź.

– On jest w środku! – podnoszę głos. – I mam zamiar tam pójść i go znaleźć.

– Proszę, przestań – błaga Paul.

Ale jest już za późno, wbiegam do ogrodu. Drzwi do szopy są otwarte i wchodzę do środka.

– W porządku! – wołam. – Jestem tutaj i mogę ci pomóc!

Wchodzę dalej. Gdzie on jest? Może gdzieś tutaj się chowa. Nagle coś słyszę. Jakiś stłumiony głos. Brzmi, jakby dochodził gdzieś spod ziemi.

– Kate.

– Nidal? – szepczę.

– Kate Rafter.

Podnoszę wzrok i widzę niezwykle młodego policjanta, który stoi w wejściu.

– Czy może pani powiedzieć, co pani tutaj robi?

Podchodzi do mnie i dostrzegam Fidę, która stoi na zewnątrz z drugim policjantem i Paulem.

– Och, dzięki Bogu, że jesteście – mówię. Widać Fida musiała pójść po rozum do głowy i wezwała ich. Biorę policjanta za rękę i wciągam do środka. – Tutaj jest dziecko, nad którym się znęcają. Gdzieś tutaj je ukrywają.

– Kate, przestań! – woła Paul z zewnątrz. – Po prostu wracaj do domu.

– Panno Rafter, dostaliśmy zgłoszenie o wtargnięciu od najemcy tego domu – wyjaśnia policjant. – Czy mogłaby pani powiedzieć, co robi w tej szopie?

Serce we mnie zamiera. Nie złożyła doniesienia na swojego męża, tylko na mnie...

– Czy to nie jest oczywiste?! – krzyczę. – Tutaj jest dziecko w poważnym niebezpieczeństwie! Widziałam je na własne oczy! Wciąż woła matkę, a dzisiaj w nocy siedziało u mnie na rabatce kwiatowej!

Policjant uśmiecha się znacząco, po czym próbuje ukryć swoje rozbawienie, zasłaniając usta dłonią.

– Och, cieszę się, że to pana bawi – mój głos jest co najmniej szorstki. – Ale proszę mi wybaczyć, jeśli nie będę podzielać pana poczucia humoru. Ta kobieta jest ofiarą przemocy domowej. Proszę spojrzeć na jej twarz. Podobnie jak jej dziecko. Jestem pewna, że miał podbite oko, kiedy go widziałam. Musicie przeszukać dom. Oni muszą trzymać go gdzieś tam pod kluczem.

– Proszę się pośpieszyć, panno Rafter – mówi policjant, biorąc mnie pod rękę.

– Nie powinna pani tutaj przebywać.

Kiedy dochodzimy do drzwi, Fida robi krok w moim kierunku.

– To zdarza się prawie codziennie – wyjaśnia. – Ona nie przestanie. Nie mam dziecka. Upadłam, to wszystko. Mieszkam tutaj sama i nie zasługuję na to, żeby być tak nękana.

Widzę w jej oczach, że chce coś powiedzieć. Na miłość boską, dlaczego ona po prostu im o tym nie powie?

– Ona potrzebuje pomocy – szepcze do policjanta, który stoi najbliżej mnie. – Nie czuje się dobrze.

Patrzę na nią i coś we mnie pęka. W pozbawionej wyrazu twarzy Fidy widzę twarz mojej matki i cała moja frustracja i bezradność nagle wypływają na powierzchnię. Muszę przemówić jej do rozsądku.

– Dlaczego im nie powiesz, głupia kobieto?! – krzyczę, chwytając za jej hidżab i szarpiąc nim gwałtownie. – Dlaczego po prostu nie powiesz im, gdzie on jest?

Odpowiedź przychodzi do mnie w postaci zimnego, twardego metalu, który zatrząskuje się wokół moich nadgarstków, i męskiego głosu, który mówi mi, co mam prawo powiedzieć, a czego nie. Kiedy prowadzą mnie z powrotem przez ogród, słyszę, jak Fida szlocha, i uświadamiam sobie, że tym razem posunęłam się za daleko.

Posterunek policji w Herne Bay Trzydzieści siedem i pół godziny od zatrzymania

Doktor Shaw wyszła z pokoju i teraz pilnuje mnie jakiś młody policjant. Siedzi przy drzwiach z dłońmi splecionymi przed sobą i podobnie jak jego koledzy wygląda, jakby niedawno wyrósł z pieluch. Jak moje życie może być w takich rękach?

Powiedziałam Shaw wszystko, co chciała wiedzieć, i teraz mój los zależy od tego, co nazywa się Ustawą o zdrowiu psychicznym, na podstawie której ona, gdzieś w tym budynku, właśnie kończy wypełniać formularz diagnostyczny na mój temat.

Zegar nad głową młodego mężczyzny pokazuje szesnastą zero jeden. Jestem tutaj prawie od czterdziestu godzin. Zeszłej nocy spałam w celi bez okien i nic mi się nie śniło. To już coś. Być może sam akt opisywania Shaw moich koszmarów nocnych sprawił, że stały się niepotrzebne. Kto wie?

Wezwano Paula i poinformowano go o moim zatrzymaniu. Pozwolono mi porozmawiać z nim przez kilka minut. Powiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby mnie stąd wyciągnąć, ale to były słowa bez pokrycia. Jediną osobą na świecie, która posiada władzę uwolnienia mnie z tego miejsca, jest doktor Shaw, a nie mam pojęcia, jakie są jej zamiary.

Podczas gdy ja tkwię zatrzymana na tym maleńkim posterunku policji przy opustoszałej bocznej uliczce, mąż Fidy wyładowuje pewnie swoją furję na chłopcu. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Jeśli mnie zwolnią, zadzwonię do Harry'ego i powiem mu, że mam historię do nagłośnienia. Wykorzystam swoje kontakty w instytucjach działających na rzecz dzieci i użyję wszelkich wpływów, jakie mi zostały, żeby wydostać stąd tego chłopca. Jednak mogę to zrobić dopiero wówczas, gdy sama opuszczę swoje więzienie. Tyle że nie mam pojęcia, czy i kiedy to nastąpi.

Drzwi otwierają się i młody mężczyzna zrywa się na równe nogi. Shaw wchodzi z policjantem, który mnie aresztował. Trzyma w dłoniach plik papierów. Przyglądam się badawczo jej twarzy w poszukiwaniu odpowiedzi, ale jest nieprzenikniona. Serce zaczyna mi walić jak młotem i robi mi się sucho w ustach. Dopiero teraz, w tej ostatniej chwili, tak naprawdę uświadamiam sobie grozę mojej sytuacji. Ta kobieta, która siada przede mną na krześle, szurając jego nogami, ma władzę, by zamknąć mnie w szpitalu psychiatrycznym. Moje życie, moja kariera, cała moja przyszłość skurczyły się do tego pokoju, tej kobiety i dokumentów, które trzyma w dłoniach.

– Kate – zaczyna Shaw, po czym przerywa, żeby odchrząknąć. Po czym mówi dalej: – Dokonałam oceny i jestem przekonana, że nie stanowi pani zagrożenia ani dla siebie samej, ani dla innych. W związku z tym nie będę zalecać dalszego pani zatrzymania zgodnie z paragrafem sto trzydziestym szóstym Ustawy o zdrowiu psychicznym.

Oczy mi wilgotnieją i spoglądam na swoje kolana, powstrzymując się od płaczu. Nie tutaj. Nie przed tymi ludźmi.

– Jednak... – kontynuuje Shaw – na podstawie tego, co mi pani powiedziała,

i objawów, jakie pani opisała, uważam, że cierpi pani na ciężki zespół stresu pourazowego, i chciałabym skierować panią na wizytę do odpowiedniego specjalisty. Nie mogę pani do tego zmusić, lecz bardzo to pani zalecam, szczególnie w tak krytycznym momencie jak ten, kiedy to pani zachowanie doprowadziło do aresztowania.

Kiwam głową. Zrobię wszystko, o co mnie poprosi, byle tylko móc wrócić do domu i pomóc temu chłopcu.

– Zrobiłam to, co do mnie należało – mówi Shaw, kładąc dokumenty na kolanach.

– A teraz przekażę panią posterunkowemu Walkerowi, żeby przedstawił w skrócie skutki pani aresztowania.

Podnoszę wzrok na Walkera, który podnosi do góry brwi. Co za rozpaczliwa namiastka policjanta... Stał tam, kilka metrów od prześladowanego dziecka, i co zrobił? Aresztował mnie.

– Czy ma pani jakieś pytania, zanim odejdę, Kate? – pyta Shaw.

Mam wiele pytań. Chcę ją zapytać, czy kiedykolwiek dziecko umarło na jej oczach. Chcę ją zapytać, dlaczego bez przerwy zdejmuje obrączkę i z powrotem zakłada ją na palec. Chcę ją zapytać, dlaczego się krzywiła, kiedy opisywałam, jak mój ojciec mnie bił. Chcę ją zapytać, kiedy te koszmary nocne się skończą. Chcę ją zapytać, czy mi wierzy.

Zamiast tego potrząsam głową.

– Dobrze – mówi, podnosząc się z miejsca. – Zostawię panią z posterunkowym Walkerem.

Kiwa głową i przez chwilę wydaje mi się, że powie mi kilka słów pocieszenia. Ale wtedy odwraca się i idzie w kierunku drzwi. Jestem dla niej po prostu kolejnym przypadkiem. Kolejnym formularzem do wypełnienia. Nie interesuje jej moje życie i to, co widziałam. Wyjdzie z tego pokoju i wejdzie do kolejnego, gdzie jakiś biedny gnojek będzie siedział i zwierzał jej się ze swojego życia, podczas gdy ona będzie starannie odznaczać swoje rubryczki. I przychodzą mi na myśl ci niezliczeni mężczyźni i niezliczone kobiety, z którymi przeprowadzałam wywiady w ciągu wielu lat. Ci, których historie we mnie pozostały, i ci, o których nawet przez chwilę nie pomyślałam po tym, jak opublikowano depezę. Zastanawiam się, czy tak właśnie mnie postrzegali – jako kobietę, która odchodząc razem z ich historią, zabrała im także kawałek duszy.

Drzwi zamykają się i posterunkowy Walker podchodzi do mnie.

Godzinę później siedzę w samochodzie Paula na przydworcowym parkingu, z plecakiem na kolanach.

– Spakowałem wszystkie twoje rzeczy, jakie udało mi się znaleźć – wyjaśnia, opierając ręce na kierownicy. – Mam nadzieję, że to wszystko.

– Jestem pewna, że wszystko – odpowiadam. – W końcu nie zabrałam aż tyle rzeczy.

– Wiesz, że pewnie tak będzie najlepiej, prawda? – mówi. – No i Fida nie wniosła oskarżeń.

– Ha! – wykrzykuję, wyglądając w zmierzch późnego popołudnia. – Nie wniosła oskarżeń... Oczywiście, że nie wniosła, ponieważ wie, że gdyby policja zaczęła drążyć głębiej, dowiedzieliby się o małej tajemnicy jej męża. On jest potworem, Paul, a ona go kryje.

– Cóż, niezależnie od tego, co robi, to teraz nie twoja sprawa – wzdycha. – Nie może być. Słyszałaś, co powiedział ten gliniarz. Jeśli wrócisz do tego domu, Fida wystąpi o sądowy zakaz zbliżania się, który z pewnością zaopiniują pozytywnie. A wtedy będziesz miała złamane życie. Będą cię ciągać po sądach, a twoją reputację szlag trafi. Nie warto.

– Nie – szepczę. – Wygląda na to, że nie mam wyboru. Poza wizytą u psychiatry.

– A czy w tym byłoby coś złego? – mówi łagodnie. – Zduś ten PTSD w zarodku, zanim się pogłębi... Dopóki jeszcze jesteś w stanie to zrobić. Zanim skończysz jak... No wiesz, co mam na myśli.

– Zanim skończę jak Sally?

Opiera głowę na kierownicy i wzdycha.

– Powiesz jej? – pytam. – O nas.

Podnosi głowę. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Oczywiście, że nie – mówi. – To by ją zniszczyło.

– Tak – przyznaję. – Ale myślę, że Sally zniszczyła się już sama dawno temu.

Kładzie dłoń na moim ramieniu i głaszcze je czule.

– Naprawdę mi na tobie zależy, Kate – mówi. – Zawsze mi zależało. Może w innym życiu moglibyśmy...

– Przestań – protestuję, uwalniając ramię. – Chyba oboje wiemy, że to szaleństwo. Tamta noc taka właśnie była. Potrzebowaliśmy trochę pocieszenia.

Uśmiecha się i pociera twarz dłońmi.

– To dokąd jedziesz? Wracasz do Londynu?

– Najpierw pojadę do swojego mieszkania, ale długo tam nie zabawię. Zbyt wiele tam duchów.

– Masz na myśli Chrisa?

Wzdrygam się na dźwięk jego imienia.

– Zostawiłaś tę stronę z Facebooka otwartą na moim laptopie – wyjaśnia Paul. – Żonaty, co? Dla mnie to kawał dupka.

– Sally jest szczęściarą – wzdycham, odpinając pas bezpieczeństwa – że ma kogoś takiego jak ty. Nie sądzę, żeby zdawała sobie z tego sprawę.

Uśmiecha się, lecz dostrzegam, że to uśmiech pełen bólu.

– Powiedziałaś, że nie zabawisz tam zbyt długo – mówi, zmieniając temat.

– Wobec tego gdzie się wybierasz?

– Porozmawiam z Harrym – wyjaśniam. – Przeciągnę go z powrotem na swoją stronę, a potem wrócę do Syrii. To jedyne miejsce, gdzie teraz jestem w stanie przebywać.

– Zwariowałaś? Widziałaś wiadomości?

– Sama piszę te wiadomości, Paul – odpowiadam. – To moja praca.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł po tym wszystkim, przez co przeszłaś z tym małym chłopcem w Aleppo?

– Tak. Jestem pewna.

– Jezu, dziewczyno – mówi z cierpkim uśmiechem. – Nie uznajesz półśrodków, co? Będzie mi ciebie brakowało.

Nachyla się, przytula mnie mocno i czuję się tak dobrze, że prawie chcę zostać,

choć wiem, że to niemożliwe. Nie tylko ze względu na sytuację z Fidą, ale też z uwagi na Sally. Będzie najlepiej dla wszystkich, gdy ucieknę stąd najdalej, jak się tylko da.

– Też będzie mi ciebie brakowało – wyznaję, uwalniając się z jego objęć. – Byłeś dla mnie wspianiałym przyjacielem przez te kilka dni. Naprawdę to doceniam.

– Powiedziałem ci, że to żaden kłopot – mówi. – Teraz masz dojść do siebie, jasne?

– Spróbuję – odpowiadam. – Aha, Paul, wiem, że myślisz, że to jedynie wytwór mojej wyobraźni, ale mógłbyś zrobić mi przysługę i mieć oko na ten dom pod numerem czterdzieści cztery? Zrób to dla mnie, proszę.

– Oczywiście, że będę miał oko – obiecuje chropawym głosem.

Otwieram drzwi i wychodzę na słone powietrze.

– Cześć – mówię. – Dbaj o siebie.

– Ty też – odpowiada, ocierając oczy. – A teraz już idź, bo pociąg ci ucieknie.

Zamykam drzwi i kieruję się w stronę wejścia na dworzec. Kiedy tam dochodzę, przystaję na chwilę, obserwując srebrnego sedana, który wyjeżdża z parkingu, a kiedy znika pośród beładnego skupiska podmiejskich domów, wyciągam telefon i podchodzę do ławki obok kasy biletowej.

Siadam i wstukuję numer. Ostatnia próba.

Łączy rozmowę i słyszę ciężki oddech.

– Cześć – zaczynam. – To ty, Sally?

– Kto mówi?

– To ja, Kate. Posłuchaj, Sally, muszę ci coś powiedzieć.

– Ostatnio już dość powiedziałaś.

Słowa ciężko jej przychodzą. Jest pijana. Niech to szlag! Jednak muszę spróbować.

– Posłuchaj, muszę się śpieszyć. Jestem na dworcu i mój pociąg przyjeżdża za pięć minut.

– Znowu w tych swoich rozjazdach, co? Wiedziałaś, że nie zagrzejesz tu długo miejsca.

Jad sący się z jej głosu. Zabrała się za drugą butelkę. Rozpoznaję to. Pierwsza wprawia ją w wesołość. Po drugiej robi się złośliwa.

– Chodzi o pracę – wyjaśniam. – Muszę wracać do redakcji.

– Miło być potrzebnym – mamrocze.

Mam pokusę, żeby po prostu zakończyć tę rozmowę, ale wiem, że muszę spróbować. Biorę głęboki oddech.

– Sally, dzwonię, żeby prosić cię o przysługę – wyjaśniam. – To naprawdę ważne.

– Aha, przysługa – mówi kpiąco.

– Sally, proszę, to poważne – błagam. – Potrzebuję, żebyś miała na oku ten dom obok domu mamy. Dom Paula.

– O czym ty w ogóle mówisz?

Biorę głęboki oddech.

– Mieszka tam mały chłopiec i myślę, że jest źle traktowany.

– Mały chłopiec?

– Tak.

– W domu mamy?

– Nie. Obok. W domu, który wynajmuje Paul.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Nic – odpowiadam. – Ale naprawdę bardzo byś pomogła, gdybyś mogła... Może pójdziesz tam i spotkaj się z tymi sąsiadami, sprawdź ich. Chodzi mi o to, że w końcu to lokatorzy Paula.

– Żarty sobie stroisz?! – krzyczy. – Chcesz, żebym poszła, zapukała do czyichś drzwi i zapytała ich, czy biją swoje dziecko?

– Nie, ja tylko...

– Nigdy się nie zmienisz, Kate, co? Zawsze wtykasz nos w nie swoje sprawy. Zawsze mówisz ludziom, jak mają żyć.

– Sally, to nie tak. To dziecko... Ono ma kłopoty.

– Tak? Czyż nie to samo mówiłaś o Hannah? Wiesz, jaki masz problem? Jesteś zgorzkniała.

– Zgorzkniała? O czym ty mówisz?

– Zgorzkniała, bo nigdy nie miałaś dzieci, bo postawiłaś na pierwszym miejscu swoją wielką karierę, a teraz jest już za późno.

Rani mnie swoimi słowami, ale nie dam tego po sobie pokazać.

– Och, na miłość boską, Sally, pleciesz bzdury.

– Doprawdy? Czyżby? Nie. Po prostu zbyt dobrze cię znam i tyle. Prawda boli, co?

– Jesteś pijana – kwituję, próbując nie stracić nad sobą panowania. – Nie wiem, dlaczego w ogóle zawracałam sobie głowę.

– Okazała ci brak szacunku, prawda, ta kobieta po sąsiedzku? Powiedziała coś, co ci się nie spodobało? Dlatego robisz jej teraz gnój?

– Nie, to nie tak...

– Zawsze zmyślasz – mówi, podnosząc głos. – Nie możesz się powstrzymać, co? Kiedy ona rozprawia, słyszę, jak przez megafon zapowiadają mój pociąg.

– Posłuchaj, muszę już iść – przerywam jej. – Łaski bez, Sally.

Przerywam rozmowę i wkładam telefon z powrotem do kieszeni.

Dlaczego w ogóle sądziłam, że ona mogłaby mi pomóc? Nie potrafi nawet zaopiekować się samą sobą, a co dopiero kimś innym.

Wstaję i zakładając plecak na ramię, próbuję wyrzucić z głowy jej pijackie insynuacje. Czas wracać do pracy, mówię sobie, idąc do pociągu. Czas zostawić za sobą Herne Bay, razem ze wszystkimi jego nieszczęściami.

Aleppo, Syria Dwa tygodnie później

Coś się zmieniło. *Ja* się zmieniłam.

Przyjechałam do Aleppo wczoraj w nocy. Mam za sobą koszmarną podróż. Zostaliśmy przemyceni do miasta przez mojego starego przyjaciela i tłumacza, Hassana. Musieliśmy iść na piechotę prawie pięć kilometrów przez nieczynny kanał ściekowy. Hassan prowadził z latarką przypiętą do czoła. Szczury pełzały nam po stopach, kiedy brnęliśmy po kostki w wodzie i w starożytnym gównie. Moje ciało przez całą drogę nie przestawało dygotać. Z każdym krokiem pytałam siebie dlaczego. Dlaczego wróciłam? Zakryłam usta dłonią, ponieważ poziom wody wzrósł i w nozdrzach czułam smród ekskrementów i chemikaliów. W chwili kiedy myślałam już, że się załamie, wynurzyliśmy się na jakąś pustą przestrzeń, opuszczony teren przemysłowy na przedmieściach Aleppo, gdzie zorganizowano prowizoryczny obóz. I kiedy tak tam stałam, patrząc na bezkres rozpadających się namiotów, miałam ochotę pobiec z powrotem przez ten kanał. Czułam w powietrzu zapach śmierci, który przypomniiał mi o moim dziecku. I kiedy Hassan wziął mnie za trzęsącą się rękę i zaprowadził do mojego namiotu, zapytałam siebie ponownie: dlaczego wróciłam?

Tego ranka zapoznawałam się ze szpitalem polowym w północnej części obozu. Został założony przez parę młodych studentów medycyny i był wypełniony po brzegi przerażonymi, zakrwawionymi ludźmi, w większości kobietami i dziećmi.

Jakiś młody mężczyzna w namokniętym białym kitlu biega od łóżka do łóżka, rozpaczliwie próbując zatamować krwawiące kończyny kawałkami płótna. Widziałam na własne oczy wiele podobnych scen w Gazie i Iraku, ale wtedy byłam silniejsza. Tym razem jestem zdenerwowana. Ciarki przebiegają mi po skórze na najmniejszy nawet dźwięk.

I kiedy tak zanurzam się w tym szpitalnym chaosie, czuję, że coś odchodzi. Nie potrafię dłużej wykonywać tej pracy.

Jednak przelykam strach i zachowuję pozory. Idę przez szpital polowy za młodym lekarzem, który przedstawia się jako Halil, i słucham, jak opowiada mi o tym, co się wydarzyło.

Zatrzymujemy się przy rozklekotanych noszach na kółkach, na których leży nieruchomo jakaś młoda kobieta. Ma ledwie dwadzieścia lat i wpatruje się w sufit z szeroko otwartymi ustami, podczas gdy Halil zakłada opaskę uciskową na to, co pozostało z jej ręki. Przykucam obok niej, serce wali mi jak młotem. Wiem, że nie ma żadnych środków przeciwbólowych i że ona jest w agonii. Głaszczę ją po ręce i kiedy odwraca do mnie twarz, przychodzi mi na myśl Hannah. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, była prawie w wieku tej dziewczyny. I gdy tak siedzę, patrząc na zmasakrowane ciało młodej kobiety, moje własne przeszywa piekący ból. Wspomnienie starej rany, którą sama zadałam, ale której nigdy nie próbowałam zaleczyć.

Wydarzyło się to na dziesiątych urodzinach Hannah. Właśnie wróciłam z Gazy,

skąd zdawałam relację o bombardowaniu szkoły, w trakcie którego zginęły setki dzieci. Doświadczenie brnięcia przez morze okaleczonych ciał wywarło na mnie silne wrażenie i pamiętam, że pomyślałam, jakie mamy szczęście na Zachodzie, jak los przesądził o tym, że niektóre dzieci urodziły się w trakcie pokoju, a inne przychodziły na świat podczas wojny. Trzy dni po moim powrocie zostałam zaproszona na przyjęcie urodzinowe Hannah i ta mała dziewczynka z zachwytem pokazywała mi swoją nową lalkę. Nie mam pojęcia, co mnie napadło, ale widok Hannah w jej nowej błyszczącej sukience, z tymi wszystkimi prezentami, sprawił, że wpadłam w furję. Porwałam lalkę i ukręciłam jej głowę. „No dalej, Hannah”, krzyczałam, rzucając w nią lalkę. „Pobawmy się w Strefę Gazy”. Nigdy nie zapomnę tego strachu i konsternacji, jakie malowały się wtedy na jej twarzy, kiedy tak stała tam nad szczątkami swojej lalki. Moja matka i Sally wpadły w szal, ale wkrótce o tym zapomniały. Jednak Hannah nigdy nie zapomniała i potem wzdrygała się za każdym razem, kiedy się pojawiałam.

Odsuwam od siebie to wspomnienie i pytam dziewczynę, jak ma na imię. Patrzy na mnie pustym wzrokiem, oczami zamglonymi od bólu.

– Ma na imię Amira – pomaga Halil. – W jej dom uderzyła bomba, kiedy ona i jej rodzina spali. Niemowlę zostało wyrwane z jej objęć, zginął też jej mały synek.

Odwracam się do dziewczyny. Wydaje się taka młoda, a jednak już jest matką. Patrzę na jej wyrwaną rękę i wyobrażam sobie niemowlę, które na niej leżało. W jednej chwili ciepłe i bezpieczne, ssące pierś matki, a w kolejnej unicestwione... Młoda kobieta zamyka oczy i odwraca się, a kiedy Halil prowadzi mnie do następnego łóżka, mam przed oczami tylko Hannah i jej zepsutą lalkę, i wiem, że stało się. W końcu straciłam zimną krew.

Godzinę temu wróciłam do namiotu, ale nie byłam w stanie odpocząć. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym jak tylko o tej dziewczynie i dziecku, które straciła. Serce waliło mi jak młotem i czułam się tak, jakbym za chwilę miała się załamać. Potrzebowałam powietrza. Założyłam więc swój plecak i wyszłam.

Teraz siedzę na zewnątrz, przyglądając się, jak na niebie rozbłyskają kolejne gwiazdy. Tutaj, z dala od jęków pacjentów, panuje cisza. Moje myśli płyną do Paula i Sally, do Herne Bay. Zastanawiam się, jak oni się czują. Paul będzie się zamartwiał o Sally. Wiem, że będzie. Chciałabym, żeby postąpiła właściwie i przestała pić. Myślę także o swoich własnych demonach. Powrót tutaj przekonał mnie, że muszę stawić czoła swojemu problemowi.

W Londynie zapewniłam Harry'ego, że jak tylko wrócę z Syrii, porozmawiam z psychoterapeutą zatrudnionym przez firmę. Miał wątpliwości, czy zgadza się na mój wyjazd, ale wie, że jestem jedyną osobą, która potrafi zrozumieć, co się tutaj dzieje. Moje reportaże zwiększają poczytność gazety, a to Harry'emu wystarcza. Ale, tak sobie myślę, może po powrocie umówię się na wizytę u jakiegoś psychoterapeuty. Może nadszedł już czas.

Robi się zimno. Biorę plecak i otwieram go, a potem wyjmuję pierwszą rzecz, jaka wpada mi w ręce: gruby wełniany sweter. Wkładam go przez głowę, ale kiedy wsuwam rękę do rękawa, wyczuwam coś twardego. Wysuwam rękę i na ziemię wypada jakiś płaski czarny przedmiot.

Schylam się, żeby to podnieść, i potrząsam głową, obracając go w dłoniach. Dyktafon mamy... Paul musiał go spakować, myśląc, że należy do mnie. Przewracam plecak na bok i siadam na nim na trawie. Jeśli urządzenie nadal działa, mogę usłyszeć ją jeszcze raz, moją kochaną mamę. Zwijam się na boku i majstruję przy przyciskach. To starszy model niż mój i chwilę zabiera mi, żeby go uruchomić, lecz w końcu słyszę szum, a później charakterystyczny ton głosu mojej matki:

Próba mikrofonu, próba mikrofonu. Tak się to mówi, prawda? Mam mówić do tego czegoś, ponieważ ciągle zapominam, gdzie zostawiłam okulary. Kate mówi, że musiałabym przekopywać się przez całą stertę karteczek, skoro jestem roztargniona, więc kupiła mi to ładne, nowe coś. Chociaż mówiłam jej, żeby nie zawracała sobie tym głowy. Jestem za stara na te nowomodne bzdury.

Uśmiecham się, kiedy jej głos płynie przez zapyłone powietrze. Wraca do mnie dokładnie wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebuję. Oczy zachodzą mi łzami, kiedy mówi dalej o tym, co musi kupić w supermarkecie, i o świątecznych harmonogramach wywozu śmieci. Głupie, drobne, trywialne sprawy, ale słuchanie, jak o tym rozprawia, powoduje, że czuję się bezpiecznie. Potem przerywa i następuje długa chwila ciszy. Przewijam do przodu i znowu słyszę jej głos:

...ten dom obok.

Przewijam kawałek do tyłu i czekam, aż znowu zacznie mówić:

Mówię ci o tym, ponieważ wiem, że oni wszyscy mają mnie za stukniętą, ale do tej pory widziałam go już dwa razy i było go widać wyraźnie jak na dłoni.

Ma poważny ton głosu, wstaję i pogłaśniam, a serce wali mi jak młotem, kiedy ona mówi dalej:

Tam mieszka mały chłopiec. Drobna, mała istotka. Nie ma więcej niż trzy, cztery latka. Mieszka w tym domu obok...

To ostatnia rzecz, jaką słyszę, kiedy oślepia mnie jaskrawe, białe światło i ciska mną o ziemię. Słyszę znajomy huk. To huk zbliżającego się pocisku. Zasłaniam twarz i zamykam oczy, a potem zapada ciemność.

część druga

Herne Bay Wtorek, 5 maja 2015

Ktoś świeci mi światłem w twarz. Mrużę oczy i próbuję sobie przypomnieć, gdzie jestem. Wtedy dostrzegam jakiegoś mężczyznę, który przede mną stoi. Z mojej perspektywy wygląda jak olbrzym z ogromnymi, owłosionymi rękami założonymi na piersiach. Ale kiedy przyglądam się bliżej, widzę, że to tylko Paul. Mój mąż. A to światło jest światłem wczesnego ranka, które wpada przez okno oranżerii.

– Czego chcesz? – mamroczę, leżąc zagłębiona w fałdach fotela. Czuję suchość w ustach, a mówienie sprawia, że boli mnie głowa.

– Sally, muszę z tobą porozmawiać – zaczyna. Ma niski i poważny ton.

– Cóż, ale ja nie chcę z tobą rozmawiać.

Kładę dłonie na głowie. Światło słoneczne, które wlewa się przez okno, sprawia, że pęka mi głowa. Nadal czuję smak wina z poprzedniego wieczoru i jeśli się ruszę, na pewno zwymiotuję. Dlaczego on tak nade mną stoi? Wie, że ma tutaj nie wchodzić. To *moja* przestrzeń. Chcę po prostu znowu zasnąć.

– Sally, proszę – nalega. – Musisz się obudzić. Dostaliśmy złe wiadomości.

Zabieram dłoń z twarzy i patrzę na niego. Ma czerwone oczy. Płakał. Przeszywa mnie chłód. To ona.

– Hannah? – szepczę. – Chodzi o Hannah?

Potrząsa głową.

– Nie, to nie Hannah.

Dzięki Bogu, myślę sobie, zagłębiając się z powrotem w fotelu. Jeśli to nie Hannah, to nie obchodzi mnie, co ma do powiedzenia. Ale nadal tutaj stoi. Czuję, jak wisi nade mną w powietrzu.

– O co chodzi? – warczę. – No już powiedz.

Przysiada na brzegu stołu i chowa twarz w dłoniach.

– Paul, na miłość boską, powiedz mi.

– Chodzi o Kate – mówi, podnosząc wzrok.

– Ach, co tym razem zrobiła? – pytam, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu wina. Potrzebuję szybkiego drinka na uspokojenie. – Dała się porwać?

Nie mogę znaleźć tego wina. Musiałam je wypić wczoraj wieczorem. Wstaję i kieruję się w stronę drzwi.

– Usiądź – mówi Paul, kładąc rękę na moim ramieniu. – To poważna sprawa.

Patrzę na niego. Ma trupio bladą twarz.

– Posłuchaj, cokolwiek to jest – rzucam, siadając z powrotem – Kate z tego wyjdzie. Ona potrafi o siebie zadbać. Zawsze potrafiła.

– Sally, posłuchaj mnie...

– Dopiero co tutaj była. Wyglądała dobrze.

Zaczyna mi drżeć serce. Potrzebuję drinka.

– Posłuchaj, kochanie – mówi, pochylając się do przodu i biorąc moje dłonie.

– Pozwól mi tylko powiedzieć.

– Nie interesuje mnie to – mój głos jest coraz ostrzejszy, odpycham jego dłonie.

– Kate potrafi o siebie zadbać.

Co on sobie właściwie wyobraża? Przychodzi tutaj o tej porze, tak rano, i zaczyna te swoje poważne rozmowy, podczas gdy ja jeszcze nawet nie zdążyłam nic wypić?

Przeciskam się obok niego i idę do salonu, ale kiedy docieram do drzwi, czuję na ramionach jego dłonie.

– Usiądź – nie ustępuje i teraz prowadzi mnie w kierunku sofy.

– Zabieraj ode mnie łapy – krzyczę. – Mówiłam ci, że nie interesuje mnie ani Kate, ani to, w jakie kłopoty się wpakowała. Zejdź mi z drogi.

– Sally, przestań – tym razem odzywa się stanowczo.

– Nie, nie przestanę – odpowiadam, szamocząc się z nim. – Nie będziesz mi dłużej mówił, co mam robić.

– Jezu Chryste, po prostu posłuchaj, głupia kobieto! – krzyczy, chwytając mnie mocno obiema rękami. – Ona nie żyje! Twoja siostra nie żyje!

Robi mi się ciemno przed oczami i osuwam się na podłogę.

– Przykro mi, kochanie – wyznaje. – Tak bardzo, bardzo mi przykro. Nie chciałem ci tego powiedzieć w ten sposób, ale inaczej byś nie posłuchała. – Paul delikatnie podnosi mnie do góry i sadza na sofie. – Przyniosę ci szklanekę wody – mówi, poprawiając poduszki za moją głową.

– Nie – znów warczę. – Nie chcę wody.

Siada obok mnie i trzyma mnie za rękę.

– Dowiedziałem się o tym wczoraj wieczorem – opowiada. – Wracalem samochodem do domu, miałem włączone radio i mówili o tym, że w Syrii zbombardowano szpital polowy.

– Zamknij się – szepczę, ale on mówi dalej.

– Zwróciłem na to uwagę, ponieważ to było w Aleppo, a wiedziałem, że ona tam wróciła.

– Zamknij się.

Wbijam paznokcie w jego dłoń, ale nie cofa jej. Nadal mówi, pocierając moją dłoń:

– Dzisiaj rano włączyłem telewizor i na ekranie pojawiło się jej zdjęcie. Obóz, w którym przebywała, został zbombardowany, Sal. Nikt nie przeżył.

– Powiedziałam, żebyś się zamknął! – krzyczę, odpychając jego ręce. – Mylisz się, ty cholerny idioto. Nie wiesz, o czym mówisz.

Okładam pięściami jego klatkę piersiową, a on po prostu tam stoi i pozwala mi się uderzać, raz za razem. Nadal walę w jego klatkę, aż nie mam już energii i spadam jak kłoda pod jego nogi.

– Kate zawsze ma się dobrze. Potrafi o siebie zadbać. Mylisz się – teraz już łkam.

– Przykro mi, kochanie – szepcze, wkładając mi rękę pod głowę i podnosząc mnie z podłogi. – Tak bardzo mi przykro.

Całuje mnie w policzek, ale niczego nie czuję. Ciało opada mi bezwładnie, kiedy niesie mnie przez pokój do oranżerii.

– Ona żyje – mówię mu, kiedy sadza mnie w fotelu. – Gdyby nie żyła,

wiedziałabym o tym.

– To ogromny szok – zapewnia, kładąc mi rękę na czole. – Trudno to pojąć...

– Powiedziałam, że ona żyje! – krzyczę i odpycham go. – A teraz odpiardol się i zostaw mnie w spokoju.

– Posłuchaj, Sally. – Paul nie daje za wygraną. – Myślę, że powinienem z tobą zostać, przynajmniej na chwilę. Jesteś w szoku.

– Nie słyszałeś? Powiedziałam, że chcę zostać sama.

– Dobrze – zgadza się i idzie w kierunku drzwi. – Jak sobie życzysz.

– I zasun te pieprzone rolety – warczę. – Przez to światło boli mnie głowa.

Słyszę jego kroki na drewnianej podłodze, kiedy podchodzi do okna.

– Tak lepiej? – pyta, gdy światło znika, a ja kiwam głową, z ulgą przyjmując ciemność.

– Zawołaj, gdybyś mnie potrzebowała – rzuca jeszcze, zanim zamknie za sobą drzwi.

Myślę o Kate, która waliła pięściami w stół, kiedy tata rzucał się na mamę. To nie fair, mówię sobie, zagłębiając się z powrotem w fotelu. Jak ona może nie żyć, a ja ciągle tutaj jestem? To ona była tą silną, wojowniczką. To po prostu niemożliwe. On musi się mylić.

Potrzebuję drinka.

Opuszczam rękę z boku fotela i szukam po omacku w ciemnościach butelki wina, którą schowałam poprzedniego wieczoru. Moja dłoń spoczywa na niej i wyciągam ją do góry. Nie mam kieliszka, ale też go nie potrzebuję. Otwieram butelkę i biorę duży haust. Wino... Ciepłe i nieco gorzkawe, ale spełni swoje zadanie. Potrzebuję tylko uśmierzyć ból w dole żołądka.

Teraz na zewnątrz zapadł już zmrok. Nie mam pojęcia, która jest godzina. Dokończyłam wino i zabiłabym za kolejną butelkę. Paul przychodził do mnie kilka razy zapytać, czy chcę filiżankę herbaty. Powiedziałam mu, że potrzebuję porządnego drinka, ale nie słuchał mnie. Wciąż powtarza, że jestem w szoku.

Czy tak właśnie jest?

Kiedy tak siedzę w ciemności, myślę tylko o Kate. Widzę ją z mamą, jak stoi w nogach mojego łóżka w dniu, kiedy urodziła się Hannah. Mama robiła aferę, czy dobrze zapięłam zatrask, czy Hannah właściwie się odbiło po jedzeniu, a Kate stała tam, tak zwyczajnie, wpatrując się w dziecko. Jakby patrzyła na jakieś dziwne stworzenie. Wiedziałam dokładnie, jak się czuje, bo przy całej mojej wiedzy o niemowlętach Hannah równie dobrze mogłaby być kosmitką. Wtedy sama byłam jeszcze dzieckiem.

W końcu powiedziałam jej, żeby usiadła, a kiedy mama poszła przynieść herbatę, obie przyglądałyśmy się Hannah, która spała w plastikowym szpitalnym łóżeczku dla noworodków. W pewnym momencie odwróciłam się do Kate i powiedziałam: „Co ja z tym zrobię?”, a ona patrzyła na mnie przez chwilę, wzruszyła ramionami i odpowiedziała: „Mnie o to nie pytaj”. I obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Kiedy mama wróciła, zapytała, co nas tak rozbawiło, ale byłyśmy zbyt roześmiane, żeby odpowiedzieć.

Trzy tygodnie później wyjechała na uniwersytet i nigdy więcej nie wróciła. Ta chwila w szpitalu była jedną z niewielu, kiedy czułyśmy między sobą więź. Odkąd

pamiętam, Kate była tą lepszą córką, tą zdolną, tą odważną, i nigdy nie mogłam jej dorównać, ale przez tę krótką chwilę, kiedy siedziałyśmy, patrząc na Hannah śpiącą w swoim łóżeczku, byliśmy po prostu dwiema chichoczącymi, nieświadomymi niczego dziewczynkami ze szkoły.

Potem przypominam sobie coś jeszcze. Zadzwoiła do mnie. Tuż przed tym, jak wyjechała do Syrii. Próbuję poskładać to, co wtedy powiedziała, ale w głowie mam zaledwie strzępy tamtej rozmowy. Musiałam być pijana. Pamiętam, jak mówiła, że jest na dworcu... A może to było lotnisko... Przypominam sobie jak przez mgłę, że byłam na nią zła, że znowu wyjeżdża. Powinnam była, do cholery, po prostu posłuchać. Co ona próbowała mi powiedzieć? Nie, to nie ma sensu. Nie jestem w stanie niczego sobie przypomnieć.

A teraz odeszła i już nigdy więcej nie usłyszę jej głosu.

Kiedy odsuwam od siebie wspomnienie tamtej rozmowy telefonicznej, wracam myślami do Hannah. Zastanawiam się, gdzie jest. Gdyby tylko nawiązała ze mną jakiś kontakt... Musi dowiedzieć się o swojej babci, a teraz też o cioci Kate. Dlaczego ona jest taka uparta? A potem w głowie dźwięczy mi jej głos. *Puść mnie, mamo.* Ciągnę ją za nadgarstek, błagając, żeby wróciła do domu. A potem robi mi się ciemno przed oczami i chciałabym przypomnieć sobie, co było dalej, tyle że nie potrafię. Po prostu nie potrafię.

– Sally.

Podnoszę wzrok. Paul w szlafroku stoi w drzwiach.

– Chodź, kochanie, już po północy – namawia. – Dlaczego nie idziesz do łóżka?

– Nie jestem zmęczona – odpowiadam.

– Przez cały dzień siedzisz w tym fotelu – mówi i wchodzi do oranżerii, zamierza włączyć światło.

– Zostaw to! – krzyczę, a złość, żal i uraza podchodzą mi do gardła. – Po prostu zostaw to, do cholery, dobrze?

Zatrzymuje się z kablem od lampy w dłoni.

– Siedzenie tutaj, brak ruchu, milczenie nie przywróci życia Kate – mówi, upuszczając kabel na podłogę. – Jeśli nie dopuścisz mnie do siebie, to tylko pogorszy sytuację. Możemy o tym porozmawiać. Jestem tutaj dla ciebie, Sally. Jestem tutaj, żeby słuchać.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – odpowiadam.

Jego głos doprowadza mnie na skraj wytrzymałości nerwowej. Potrzebuję pobyć sama z moimi wspomnieniami o Kate. Muszę odnaleźć w tym jakiś sens, a on przychodzi tutaj przez cały czas i rozprasza mnie, sprawiając, że czuję się, jakby brakowało mi tchu.

– Rano będziesz tego żałowała – grozi. – Jeśli zaśniesz w tym fotelu, będziesz cała zdrętwiała.

– Ale to moja decyzja, prawda? – warczę. – A teraz, proszę, po prostu idź spać i daj mi spokój.

Kiedy zamyka drzwi, ciarki przebiegają mi po skórze. Potrzebuję kolejnego drinka. Czekam jeszcze kilka minut, po czym wstaję z fotela i skradam się przez salon do korytarza. Zatrzymuję się przy szafie pod schodami. Nie słysząc Paula. Musi już być w łóżku. Ostrożnie otwieram drzwi do szafy i sięgam ręką do środka. Butelki nadal są

tam, gdzie je zostawiłam kilka dni temu. Mój sekretny składzik. Doskonała kryjówka. Paul nigdy nie przechodzi obok tej szafy. Myśli, że jest pełna rupieci i starych ubrań. Ostrożnie zamykam drzwi i szybko przemykam z powrotem do oranżerii.

Zapadam się w fotelu, przyciskając butelkę do piersi. Tylko jeden kieliszek, mówię sobie, jeden kieliszek, żeby ukoić nerwy. Ale kiedy odkręcam butelkę, wiem, że nigdy nie będę miała dość.

Budzę się w pustym łóżku. Bolać mnie plecy i naciągam na ramiona pościel, ale sen nie nadchodzi. Otwieram oczy i leżę jeszcze przez chwilę. Coś dziwnego wisi w powietrzu. Coś się wydarzyło, zanim położyłam się spać, coś potwornego... Potem sobie przypominam. Wiadomości. Twarz Paula. To dzieje się naprawdę. Ja żyję, a moja siostra jest martwa.

– Paul! – krzyczę. – Paul, jesteś tam?

Nie ma odpowiedzi, więc gramolę się z łóżka. Ubrania, które miałam na sobie wczoraj, są schludnie przewieszane przez oparcie krzesła pod oknem. Paul musiał mnie zanieść na górę w środku nocy i przebrać w piżamę, ale nic nie pamiętam.

– Paul! – krzyczę znowu, lecz nadal nie ma odpowiedzi.

Wkładam szlafrok i schodzę na dół, żeby go znaleźć.

Na stole kuchennym zostawił wiadomość, w której pisze, że wezwano go do pracy, ale wróci najszybciej, jak się tylko da.

Wrzucam kartkę do kosza na śmieci i wychodzę z kuchni, z nieco większą jasnością umysłu. Kiedy Paul jest w domu, czuję się stłamszona, a mózg przestaje mi działać. Przynajmniej kiedy nie ma go w domu, potrafię jasno myśleć.

Idę prosto do szafy pod schodami i otwieram drzwi. Potrzebuję drinka, tylko jednego, żeby uśmierzyć ból w klatce piersiowej. Wkładam rękę do środka. Lecz nie ma tam nic poza starymi płaszczami i pudłami. Włączam światło, odsuwam na bok rupiecie i szukam po omacku butelek, ale nic nie znajduję. Wchodzę głębiej do środka, a potem szukam na czworakach. Gdzie one, u diabła, są? Dwa dni temu włożyłam tutaj sześć butelek. Gdzie one zniknęły? Czuję suchość w ustach, a serce zaczyna mi walić, kiedy szaleńczo przetrząsam stare pudełka na buty i zjedzone przez mole marynarki. I dostrzegam ją, żółtą karteczkę przyklejoną do podłogi w miejscu, gdzie stały butelki.

Odrywam ją, ręce trzęsą mi się ze złości.

„Nie warto, Sally”, napisał. „Możemy przejść przez to razem... Bez alkoholu. Kocham Cię xxx”.

Pieprzony idiota. Zabrał moje wino. Biegnę z powrotem do kuchni i zaczynam otwierać szafki i wysuwać szuflady. Gdzie on to schował? Nie poradzę sobie z tym wszystkim bez drinka. To zbyt wiele. Za bardzo mnie to przytłacza.

Wchodzę do oranżerii i zaglądam za sofę, za zasłony, krzycząc z frustracji. Potem, kiedy dochodzę do fotela przy oknie, coś na zewnątrz przykuwa mój wzrok. Pojemnik do recyklingu, przygotowany do jutrzejszej porannej wywózki śmieci, stoi na werandzie razem z czterema pustymi butelkami po winie w środku. Wylał wino do zlewu... Nie wierzę.

Uderzam pięściami w okno. Co za głupi człowiek. Dlaczego on to zrobił? Tylko pogarsza sprawę.

Nie ma mowy, żebym przetrwała ten dzień bez alkoholu, więc będę musiała pojechać i kupić zapasy.

– O tym nie pomyślał, co? – mamroczę do siebie, zdejmując szlafrok i rzucając go na podłogę.

Jaki sens ma wylewanie mojego wina do tego kurewskiego zlewu, skoro mogę wyjść i kupić sobie więcej? Jestem dorosłą kobietą, a on traktuje mnie jak jakiegoś niemądrego dzieciaka. Pierdolę go.

Znajduję mój obszerny zielony płaszcz puchowy, który wisi na wieszaku w przedpokoju, i wkładam go na piżamę. Miejmy nadzieję, że nikt nie zauważy, myślę sobie, wygrzebując swoje stare tenisówki z szafki na buty, ale kiedy schylam się, żeby je włożyć, w przelocie dostrzegam swoje odbicie w lustrze wiszącym w korytarzu. Mam przekrwione oczy i od wielu dni się nie myłam. Mam cienkie, tłuste włosy i niezdrowo żółtą skórę. Jezu, myślę sobie, odsuwając się od lustra, co pomyślała sobie Kate, kiedy mnie taką zobaczyła? Zawsze była nieskazitelnie wypacykowana. Od dziecka bardzo zwracała uwagę na swój wygląd. Wszystko musiało być perfekcyjne. Była taka szczupła i ładna. Nigdy nie mogłam jej dorównać.

Próbuję o niej nie myśleć, kiedy sięgam do kieszeni płaszcza i wyciągam okulary przeciwsłoneczne. Dzień jest pochmurny i będę wyglądać głupio, ale lepsze to, niż przerazić kogoś na śmierć.

Kiedy wyruszam, ulice są opustoszałe. Na szczęście. Nie mam pojęcia, która jest godzina ani jaki mamy dzień tygodnia. Widzę tylko przed oczami butelkę zimnego, białego wina i kiedy mijam kolejne ulice po drodze do sklepów, nie czuję nic poza brakiem tego wina w moim krwiobiegu.

Naciągam kaptur płaszcza na twarz i idę wąską ścieżką do Spara. Nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył. Chcę tylko zrobić to, co potrzebuję zrobić, i wrócić do domu bez żadnych problemów.

Kiedy wchodzę do sklepu, z ulgą zauważam, że dzisiaj pracuje mężczyzna, a nie jego żona. Ona zawsze patrzy na mnie, jakbym była brudna, kiedy stawiam butelki na ladzie. Suka. Ale jej stary jest dość sympatyczny i uśmiecha się, kiedy biorę koszyk i kieruję się w stronę chłodziarek.

Radio sklepowe gra *Hey Jude* i czuję głęboki smutek. Jakby ktoś zadał mi cios w brzuch. Kate lubiła tę piosenkę, kiedy byliśmy dziećmi. Zmieniała słowa na „Hey you” i tańczyła ze mną wokół pokoju. Ale to było w czasach, gdy byłam bardzo mała. Zanim zaczęłyśmy się nienawidzić. Próbuję odciąć się od tej piosenki, wkładam trzy butelki Pinot Grigio do koszyka i idę w kierunku lady, tyle że ta melodia już wbiła mi się do głowy i wiem, że pozostanie tam przez resztę dnia, dopóki jej nie zapiję.

Stawiam wino na ladzie, notując sobie w pamięci, że mam znaleźć nowy schowek. Jakieś miejsce, do którego nigdy nie przyjdzie mu na myśl zajrzeć.

– Wyszło słońce, tak? – zagaja mężczyzna, zauważając moje okulary. Przebiega wzrokiem po butelkach i zaczyna wkładać je do cienkiej reklamówki.

Kiwam głową, chcąc, żeby po prostu się pośpieszył.

– W końcu mamy wiosnę – mówi z uśmiechem. – Tym bardziej to jest przejmujące, prawda? – Wskazuje na stojak z gazetami przy drzwiach. – Ona pochodziła stąd, wie pani?

Idę za jego wzrokiem i dostrzegam mnóstwo nagłówek gazet:

ZMIECENI Z POWIERZCHNI ZIEMI
NIKT NIE PRZEŻYŁ

ZBOMBARDOWANI W CZASIE SNU

– Syria – wyjaśnia, rozchylając kolejną reklamówkę, żeby włożyć do niej pozostałe butelki. – Końca nie widać, co? Ile może unieść taki jeden kraj? Biedni ludzie i biedna ta dziennikarka. Miała zaledwie trzydzieści parę lat. Mówią, że formalnie została uznana za zaginioną, ale przecież nikt nie mógł z tego wyjść cało. Widziała pani te zdjęcia? Masakra. Daje do myślenia, prawda? W jednej chwili człowiek zajmuje się swoimi sprawami, a w drugiej szust! – Pstryka palcami i ten dźwięk sprawia, że aż podskakuję.

Odchodzę od lady i idę w kierunku stojaka z gazetami.

Biorę egzemplarz „Timesa” i patrzę na zdjęcie umieszczone na pierwszej stronie – sterta worków na ciała leżąca na wypalanej ziemi. Skręca mnie w żołądku i upuszczam gazetę na podłogę. Zaraz zwymiotuję.

– Jeśli to wszystko, to dwadzieścia siedem funtów trzydzieści sześć pensów, złotko – informuje mnie mężczyzna, kiedy schylam się, żeby podnieść gazetę. – Gazetkę też pani chce?

– Nie – odpowiadam, odkładając ją z powrotem na stojak i wracając do lady.

Biorę siatki i wciskam plik dwudziestofuntowych banknotów do ręki mężczyzny. Całą zawartość swojego portfela.

– Poczekaj, kochanie, to o wiele za dużo – mówi. – Wracaj po resztę.

Ale ja jestem już na zewnątrz. Trzymając się za brzuch, biegnę za pizzerię i gwałtownie wymiotuję. Potem opieram rękę o ścianę, żeby się uspokoić, i stoję tam tak przez chwilę, próbując jedynie oddychać. Potem ocieram usta i wracam na główną ulicę. Muszę dostać się do domu. Muszę uciec od tego mężczyzny, od tych gazet i piosenki Beatlesów, która dźwięczy mi w głowie. Muszę dojść do domu i nalać sobie małego drinka, a wtedy wszystko się zmieni na lepsze. Będę w stanie trzeźwo myśleć.

Dwie godziny później jestem pijana. Leżę na sofie z zamkniętymi oczami, a w pokoju rozbrzmiewa głos Paula McCartneya.

Tylko jeden kieliszek, powiedziałam sobie, tyle że pierwszy ledwo poczułam, więc wypiałam drugi. Ten drugi mnie rozgrzał i nieco przytępił mój umysł, ale to nadal nie wystarczało... Kiedy nalałam sobie trzeci, przypomniały mi się płyty Kate. Sterta starych winylowych płyt, które mama przechowywała w szafce pod telewizorem. Musi gdzieś tutaj być, powiedziałam do siebie, przeglądając powycierane okładki. I wtedy go znalazłam. Longplay *Hey Jude* Beatlesów, a na odwrocie jej imię napisane czarnym pisakiem – Kate Martha Rafter. Wyjęłam płytę i przetałam ją zewnętrzną stroną rękawa, a potem wypiałam duży łyk wina, umieściłam krążek na starym adapterze mojej matki i nagle wszystko powróciło, ona powróciła. Byłyśmy znowu dwiema małymi dziewczynkami tańczącymi wokół pokoju.

I teraz, kiedy tak leżę na sofie, a ta piosenka wciąż dźwięczy mi w głowie, próbuję sobie wyobrazić Kate, ale widzę tylko tę przeklętą torbę na ciało.

– Hey you – śpiewam do duchów w pokoju. – Ta dam, da dam.

Powoli moje powieki stają się cięższe niż te słowa i wszystko ciemnieje mi przed oczami.

Budzi mnie głośny huk. Siadam i nasłuchuję.

Słyszę głuchy stukot ciężkich kroków i jakiś głos, niski i stłumiony, wołający mnie

po imieniu. Zamierzam wstać, lecz nie jestem w stanie się ruszyć. Serce wali mi jak młotem i nie mogę złapać oddechu.

Kroki zbliżają się.

– Kate? – szepczę. – Czy to ty?

Próbuję wstać z sofy, ale mam tak ciężkie nogi, że ledwo mogę się ruszyć.

– Och, na miłość boską!

Podnoszę wzrok i dostrzegam go. Stoi w drzwiach, a na jego twarzy maluje się wściekłość.

– Sally, dlaczego to zrobiłaś? – pyta, wchodząc do środka. – Wiesz, że to nic nie da.

– Nic się nie stało – zapewniam, opadając z powrotem na sofę. – Daj spokój.

– Jezu – mówi, podnosząc butelkę z podłogi. – Trzy butelki wina jednego ranka? Zabijesz się. – Stawia je na stole, po czym podchodzi i siada na oparciu sofy. – Picie nie przywróci jej życia – oznajmia, wyjmując pusty kieliszek z mojej dłoni.

– Wiem o tym – odpowiadam.

– Tak naprawdę tylko pogorszy sprawę – tłumaczy.

Chowam głowę w poduszkach, żeby nie musieć go słuchać, ale nadal słyszę jego gładzenie.

– Potrzebujesz jasnego umysłu, żeby sobie z tym poradzić, Sally – wyjaśnia.

– Żeby w pełni pogodzić się z jej śmiercią.

I kiedy tam leżę, coś sobie przypominam. Jeden z nagłówków z dzisiejszych porannych gazet.

– I tak się mylisz – mówię, prostując się. – W sprawie Kate. Ona żyje.

– Och, Sally, o czym ty mówisz? – wzdycha.

– Widziałam gazety w sklepie – wyjaśniam mu, wystawiając palec w powietrze.

– Piszą „zaginiona”... *Zaginęła*, a nie *zginęła*. Mówię ci, pojawi się tutaj za kilka dni zdrowa jak ryba. – Śmieję się na głos.

Potrząsa głową, a na jego twarzy maluje się takie zadowolenie, że mam ochotę go trzasnąć.

– Co? Czemu tak potrząsasz głową?

– Sally, posłuchaj mnie – mówi. – Przed chwilą dostaliśmy telefon z Ministerstwa Obrony. Powiedzieli, że Kate podała nas jako najbliższych krewnych. Sally, oni to potwierdzili. Twoja siostra nie zaginęła, kochanie, ona nie żyje. Odsyłają nam jej rzeczy.

Wstaję z sofy, sięgając po coś, czego mogłabym się chwycić, czegokolwiek.

– Ale te gazety... – zaczynam. – Piszą, że zaginęła... Dlaczego miałoby coś takiego pisać, jeśli to nie byłaby prawda?

– Tak bardzo mi przykro, Sally.

Jego twarz wypełnia pokój, a w głowie kręci mi się od tej cholernej piosenki. „Hey you”. Wystawiam rękę, żeby uchronić się przed upadkiem, lecz jest za późno i upadam, uderzając w kant stolika kawowego.

– Nie powinnam tutaj być – myślę sobie, siedząc na sterylnie białym łóżku.

Przez szparę w cienkiej zielonej zasłonie widzę oderwane od ciała stopy, które przechodzą obok w pośpiechu, ale żadne nie zatrzymują się przy moim boksie. Dlaczego nikt nie przychodzi?

Pielęgniarki umyły mnie, kiedy przyjechałam. Zeszyły mi głowę i podłączyły mnie do urządzenia badającego rytm serca. Paul został w poczekalni, a mnie zawieziono na izbę przyjęć. Poczulałam ulgę. Wciąż mnie pytał, czy ze mną wszystko w porządku. Jakiej odpowiedzi się spodziewał? Tak, czuję się świetnie. Jestem nieprzytomna ze szczęścia. Moja siostra nie żyje, ale wszystko jest dobrze, po prostu ekstra.

Moje poczucie samotności rośnie, kiedy kolejne stopy przebiegają obok kotary, nie zatrzymując się. Wszyscy, których kochałam, odeszli – moja córka, moja siostra. Brakuje mi nawet mojej matki, tej kłótlivej starej krowy.

Też powinnam umrzeć, myślę, kładąc dłoń na postrzępionych szwach, które wiją się po moim czole niczym tory kolejowe. Nie pozostało już nic, co trzymałoby mnie przy życiu.

Nic.

Kotara odsłania się i do boksu wchodzi Paul z uśmiechem zakłopotania. Zaczynam kaszleć. Sama jego obecność wydaje się wysysać tlen z pomieszczenia. Czy tak właśnie dzieje się, kiedy związek umiera? Ludzie wykańczają się nawzajem, aż w końcu coś pęka? Wiem, że wykańczam Paula.

Widzę to wyczerpanie na jego twarzy, kiedy zasłania kotarę i podchodzi do łóżka.

– Mam poczucie, że to wszystko moja wina – odzywa się. – Nie powiniennem być wychodzić. Powiniennem być z tobą zostać. Tak mi przykro.

– To nie twoja wina – mówię. – Jestem już dużą dziewczynką.

Mam obolałą głowę i mówienie sprawia mi ból.

Przyglądam się, jak wysuwa krzesło i siada. Podwija rękawy i drapie się w ręce. Patrzę na srebrzyste blizny i przypominam sobie tamtą noc. Jego, jak próbował wyrwać mi z rąk butelkę, a potem ten dźwięk pękającego szkła. Zauważa, że patrzę, i przestaje się drapać.

– Przykro mi – szepczę. – Tak bardzo mi przykro, Paul.

Po tamtej nocy wszystko się między nami zmieniło. Śpimy w oddzielnych pokojach. Już nie jemy razem posiłków, a Paul coraz więcej czasu spędza w pracy. Jesteśmy dwojgiem obcych sobie ludzi, którzy tylko przez przypadek mieszkają pod jednym dachem.

– Nie przejmujmy się tym teraz – mówi łagodnie. – Nie wiedziałaś, co robisz.

Uśmiecha się, a mnie skręca w żołądku. Biedny Paul. Nazajutrz nawet nie chciał przyznać, co mu zrobiłam.

– Nie zrobiłam tego celowo.

– Wiem – zapewniam, a jednak widzę w jego oczach, że mi nie ufa. – W porządku, naprawdę. – Próbuje się uśmiechnąć. – W każdym razie... Lekarz powiedział, że możesz teraz iść do domu. Samochód stoi przed wejściem. Możemy jechać, jak tylko będziesz

gotowa.

Myśl o powrocie do domu sprawia, że znowu myślę o Kate. O tych doniesieniach.

– Po prostu to wydaje się niemożliwe – mówię, odwracając się od niego. – To, że ona odeszła...

– Wiem – przyznaje. – Sam nie mogę w to uwierzyć. Była wspaniałą kobietą. Po prostu żałuję, że cię wczoraj zostawiłem. Jestem idiotą. Albo, jak to mawiała Kate, głupolem... – Śmieje się ze smutkiem, a mnie boli serce.

– Też mnie tak nazywała – wyznaję, powoli schodząc z łóżka, a potem biorę sweter z krzesła. – Kiedy byliśmy dziećmi.

Widzę nas obie na plaży w Reculver. Jedno z moich najbardziej żywych wspomnień. Buduję zamek z piasku, a ona kopie. Zawsze, cholera, kopała. Potem przestaje, podnoszę wzrok, a ona trzyma coś w dłoniach. „Czy to jakaś skamieniałość?”, pytam, podchodząc bliżej. „Nie wiem”, odpowiada. „Ale mam zamiar to zatrzymać”. W następnej minucie mama nachyla się nad nami, po czym zabiera z rąk Kate znalezisko, biegnie i wrzuca je do morza. „Po co to zrobiłaś?”, pochlipuje moja siostra, kiedy matka wraca do nas na plażę. „To było moje”. Spódnica ocieka jej morską wodą i matka patrzy na nas gniewnie, kiedy z powrotem siada na swoim ręczniku plażowym. „To był niewybuch, Kate. Nie baw się takimi rzeczami”. A Kate kiwa głową, z poważnym wyrazem twarzy, i dalej kopie, tymczasem ja nie mogę się skupić na moim zamku z piasku, ponieważ jestem zdezorientowana. „Co to jest niewybuch?”, pytam. „Czy to jakiś rodzaj jajka dinozaura?”. A moja matka i Kate tarzają się ze śmiechu i wyglądają na takie rozbawione, że nie mogę się oprzeć i dołączam do nich. „Oj, Sally. Ale z ciebie głupol”.

Zamykam oczy i chowam twarz w wełnianych fałdach rozpinanego swetra. Słyszę głos mojej matki, kiedy w końcu zaczynają płynąć łzy: „Nie baw się takimi rzeczami”.

– Głupia, niemądra frajerka – krzyczę. – Dlaczego ona zawsze musiała być taka cholernie odważna? Dlaczego nie mogła po prostu zostawić w spokoju tych wszystkich ludzi, pozwolić im staczać własne bitwy?

– Och, Sally – mówi Paul. Wstaje i bierze z moich dłoni sweter. – Wszystko w porządku. Wyrzuc to z siebie.

Kładzie sweter na łóżku i bierze mnie w ramiona. Pachnie sobą, mieszanką świeżego mydła i ciasta, chociaż nigdy nie piecze żadnych cholernych ciast. Po prostu jego skóra coś takiego w sobie ma. Taki kojący zapach. Zanurzam twarz w jego klatce piersiowej i wdycham go.

– Przeżyłaś ogromny szok – szepcze. – Ale przejdziemy przez to. Obiecuję.

– Nie potrafię – mówię, wyswobadzając się z jego objęć. – Nigdy się z tym nie pogodzę. I ta świadomość, że zmarła w samotności, bez nikogo, kto mógłby pocieszyć ją w ostatnich chwilach... Powinnam była być dla niej miłsza, kiedy przyszła się ze mną spotkać, ale nie byłam w stanie myśleć o niczym innym poza tym wszystkim, co kiedyś zrobiła. Zżerało mnie to od środka, a teraz jest już za późno.

– Szsz – uspokaja mnie Paul, biorąc mój sweter. – Już dobrze. Nie możesz zmienić przeszłości. Co się stało, to się nie odstanie. A ja ci pomogę, kochanie. Przejdziemy przez to razem. A teraz pośpiesz się, idziemy do domu.

Jestem przetrzymywana w niewoli we własnym domu. Paul jest zdeterminowany, żebym nie wymknęła się do sklepu po alkohol, wziął nawet urlop do końca tygodnia, żeby móc zostać w domu i odgrywać rolę niańki.

Przychodzi kilka razy w ciągu dnia, przynosi mi herbatę, ciasteczka i stertę głównianych czasopism, wciąż powtarzając, że jak tylko będę gotowa, to możemy porozmawiać o Kate.

Brak alkoholu sprawia, że jestem roztrzęsiona i strasznie boli mnie brzuch. Będę musiała znaleźć jakiś sposób, by się wymknąć i kupić coś do wypicia. Jednak na razie czuję się taka dziwnie spokojna, chociaż nie wiem, jak długo to potrwa.

Strzepując okruszki ciasteczek z kołdry, odwracam się i przewracam na bok. Paul zaproponował, żebym wzięła sobie „miłą kąpiel”, ale nie chcę się ruszać, ponieważ kiedy to zrobię, wszystko stanie się rzeczywistością. Jeśli będę tutaj leżeć i dostatecznie intensywnie o niej myśleć, może zdołam ją odzyskać.

Zamykam oczy i wracam we wspomnieniach do tamtego domu. Musiało być około dwudziestej. Siedzimy wokół stołu, czekając na niego, aż wróci z pubu. Trajkotam, żeby zagłuszyć ciszę, ale moja matka i Kate tylko wymieniają spojrzenia. Widzę strach w ich oczach. Nie jestem głupia, chociaż one tak myślą. Mama zrobiła właśnie zapiekankę z kurczaka. Była doskonała, kiedy została wyjęta z piekarnika, tyle że to było trzy godziny temu, a teraz stoi na środku stołu, stygnąc i wysychając.

– Mamo, to jest niedorzeczne – warczy Kate, uderzając rękami o stół. – Nie możemy tutaj siedzieć przez cały wieczór. Dochodzi prawie dwudziesta pierwsza i muszę zrobić zadanie z historii. Po prostu pokrójmy to cholerne danie i podgrzejesz mu, kiedy wróci.

Moja matka splata dłonie na kolanach i spuszcza głowę. Wygląda tak, jakby się modliła.

– Wiesz, że on lubi, jak jadamy razem, Kate – mówi trzęsącym się głosem.

– A teraz, proszę, nie rób scen. Przynajmniej nie dziś wieczór.

– To ja robię sceny? – wykrzykuje. – Ja? To szaleństwo, mamo. Jeśli chce, żebyśmy razem jedli, to dlaczego nie może zebrać się i wrócić z pubu?

– Może obejrzymy telewizję? – proponuję, ale moja matka patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi. – Może leci coś fajnego.

– Och, na miłość boską, Sally. Nie pleć bzdur.

Lodowatość jej głosu przeszywa mnie i moje oczy zaczynają zachodzić łzami. Odwracam głowę i próbuję powstrzymać łzę, która niepewnie balansuje na krawędzi mojej powieki, żeby tylko nie spadła mi na talerz. Potem czuję dłoń na mojej dłoni. Łagodne ściśnięcie, które mówi mi, że wszystko będzie dobrze. Odwracam się i widzę, jak się do mnie uśmiecha. Moja starsza siostra. Uśmiecha się i przez chwilę wszystkie czujemy się dobrze. Potrafi dodawać otuchy swoim uśmiechem.

Ale potem drzwi wejściowe trzaskają i wszystkie siedzimy prosto, niczym milczący żołnierze na paradzie. Krew odpływa z twarzy mojej matki, a mnie serce zaczyna walić jak młotem.

– A teraz pamiętaj, Kate – szepcze moja matka. – Nie sprzeciwiaj mu się, dobrze?

Kate ma zamiar odpowiedzieć, lecz nagle on pojawia się w drzwiach, wypełniając

pokój smrodem stęchłego dymu z papierosów i whisky.

– Ja pierdolę, trzy wiedźmy z *Makbeta* – mamrocze, zataczając się w kierunku stołu.

Chwyta się kantu i niemalże strąca talerz.

Kate wzdycha dramatycznie, a ja wpatruję się w nią, pragnąc, żeby tylko go nie sprowokowała.

– Nad czym tak wzdychasz, co? – pyta szyderczo, osuwając się na krzesło obok mnie. – Coś nie tak z płucami?

– Dajcie spokój, bądźmy wszyscy mili – mówi matka, bierze nóż i zaczyna kroić zapiekanekę.

Jak zawsze najpierw ojciec. Obserwuję, jak ostrożnie nakłada łyżką warzywa na jego talerz. Ręka jej się trzęsie, kiedy układa stertę marchewki z groszkiem obok kawałka zapiekanki.

Kate jest następna, potem ja. Na końcu kroi cienki paseczek dla siebie.

– Dobrze, wcinajcie – mówi. Kiwa głową na Kate, jakby chciała powiedzieć „siedź cicho”, ale Kate jest zajęta napychaniem sobie ust jedzeniem najszybciej, jak może. Jak tylko skończy, pójdzie po schodach na górę.

Zaczynam jeść, lecz ze zdenerwowania wyszło mi w gardle i kiedy próbuję przełknąć kawałek ciasta, utyka mi w przełyku i zaczynam się dławić. Kate wali mnie w plecy, a potem sięgam po szklankę wody.

– Jezu Chryste – wrzeszczy mój ojciec, kiedy kawałek ciasta w końcu przesuwa się dalej, a ja siedzę, próbując złapać na nowo oddech. – Co ty nam próbujesz zrobić?

Podnoszę wzrok, ale on nie zwraca się do mnie. Zamiast tego trzyma rękę na nadgarstku mojej matki.

– Nic dziwnego, że to biedne dziecko się zakrztusiło – warczy. – Tego, kurwa, nie da się jeść!

Wbijają widelec w zapiekanekę i zaczyna pstrykać kawałkami ciasta po stole.

– Tylko spójrz! Popatrz! To jest kompletnie wyschnięte.

Czuję, jak tuż obok mnie złość Kate zaczyna narastać, jakby gorąco rozprzestrzeniało się wokół stołu.

– Co o tym sądzisz, kochanie?

On mówi do mnie.

– Uważasz, że to jest wyschnięte?

Spoglądam na matkę. Uśmiecha się do mnie, ale ma przerażenie w oczach.

– Hmm... Ja...

– No odpowiadaj. Zadałem ci pytanie – bełkocze. – Czy to jest, kurwa, wyschnięte?

Wiem, co się stanie, jeśli się z nim nie zgodzę. Wpadnie w jeszcze większą złość i wyładuje się na nich. Chcę tylko, żeby to wszystko się skończyło.

– Tak – kwilę. – To jest troszkę wyschnięte.

– Ach, milutka Sally! – krzyczy Kate, stukając sztućcami w talerz. – Na miłość boską!

– Daj spokój – szepcze moja matka, kładąc dłoń na ramieniu Kate. – Nie zwracaj na to uwagi.

Ojciec się nie odzywa, ale my wiemy, że to zły znak. Im dłużej trwa cisza, tym gorsza będzie kara.

– Możesz mi się przypatrywać, ile chcesz. Nie boję się ciebie – buntuje się Kate.

O nie! Podnoszę na nią wzrok. Siedzi z dłońmi na stole, gapiąc się na ojca.

– A powinnaś – mamrocze.

– Co mówiłeś, tato, bo nie zrozumiałam?

Teraz go prowokuje. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy czekam na wybuch. Raz, dwa, trzy...

Talerz przelatuje o centymetry od głowy Kate, a on zrywa się na nogi i chwyta ją za włosy.

– Przestań, Dennis! – krzyczy matka. – To tylko dziecko!

– To suka. Taka właśnie jest – mówi z szyderczym uśmiechem, zdejmując pas.

– Pyskata, zarozumiała suka. Zabieraj się z tego krzesła i marsz do kuchni. No już.

– No dalej, wielki człowieku! – wrzeszczy Kate, kiedy on wywleka ją z pokoju.

– Uderz mnie! Poczuj się lepiej niż parszywe piąte koło u wozu!

– Kate, przestań! – krzyczy matka, trzymając się kurczowo oparcia krzesła. – Nie pyskuj mu! Daj spokój, Dennis, ona nie miała tego na myśli.

Ale on jej nie słucha. Wpycha Kate do kuchni, a my możemy jedynie siedzieć i słuchać jej wrzasków...

Przewracam się na łóżku i patrzę na ciemniejące niebo. Wkrótce dzień dobiegnie końca, ale ja już drzę na samą myśl, że nadejdzie poranek. Kolejny dzień bez drinka. Kolejny dzień bez Kate.

Kiedy tak leżę z nogami przyciągniętymi do klatki piersiowej, znowu powracam myślami do tamtego wieczoru. Kiedy tata wyszedł z kuchni, po Kate nie było ani śladu, ale byliśmy z mamą zbyt przerażone, żeby zapytać, gdzie się podziała. Mama położyła mnie spać, podczas gdy on siedział do późna i na cały regulator oglądał w telewizji jakieś nocne programy. Leżałam w łóżku, nasłuchując kroków Kate na schodach, lecz dolatywał do mnie tylko śmiech z telewizora. Czy ona uciekła? Czy w końcu miała dość i postanowiła uciec? Czy on jej coś zrobił... Ale w tym miejscu moje myśli się urywały. Wszystko będzie dobrze. Po jakiejś godzinie śmiech się urwał i usłyszałam głuchy odgłos kroków mojego ojca na schodach. Żadnych innych kroków poza jego krokami. Zebrałam się na odwagę i kiedy usłyszałam tatę na piętrze, zawołałam go i zapytałam, gdzie ona jest.

– Idź teraz spać, skarbie – powiedział, stojąc w drzwiach. – Nie martw się o siostrę. Wszystko jest dobrze.

Po wszystkim zawsze był miłszy.

Usiadłam na łóżku, zdeterminowana, żeby coś zrobić. Może mnie posłucha, jak go grzecznie poproszę.

– Dlaczego robisz im krzywdę, tatusiu?

Stał tam przez chwilę w ciszy, po czym wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Nie rozumiałabyś tego, kochanie – powiedział. – A teraz już śpij.

– Proszę, tatusiu – nalegałam, teraz już płacząc. – Proszę, przestań im robić krzywdę. To okrutne.

Westchnął i usiadł przy mnie na łóżku.

– Nie jestem okrutny, Sally – wyjaśnił. – Jestem zrozpaczony. Tyle może znieść mężczyzna, zanim straci panowanie nad sobą. Chcesz dowiedzieć się czegoś o swojej siostrze, co? Zdradzić ci sekret?

Jego zachrypnięty głos sprawił, że ciarki przebiegły mi po plecach, i teraz też go słyszę, kiedy leżę w łóżku wiele lat po tamtej rozmowie. Czuję smród whisky w jego oddechu, kiedy szeptał mi do ucha sekret, który trzymam w tajemnicy od ponad dwudziestu lat.

Nie chciałam mu wierzyć, ale jednocześnie wiedziałam, że to musiała być prawda. Po cóż innego mama miałaby ją tak ochraniać?

– Gdzie ona jest? – zapytałam mojego ojca, kiedy wstał i zamierzał wyjść. – Czy uciekła?

Wskazał gestem ręki na okno. Wstałam z łóżka, odsunęłam zasłony i wyjrzałam na zewnątrz. Była tam, w ogrodzie. Leżała nieruchomo, zwinięta w kłębek jak niemowlę, na kwiatowej rabatce, owinięta jakimś workiem.

– Musimy ją wpuścić, ona zamarźnie – powiedziałam, zwracając się do ojca, który stał z ręką opartą o framugę okna. – Proszę, tatusiu.

– Ona jest złym człowiekiem, Sally. Musi dostać nauczkę – zapewniał. – Godzina z kawałkiem na zewnątrz jej nie zabije.

I zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie przy oknie. A potem ona poruszyła się i podniosła wzrok.

– Sally! – widziałam, jak krzyczy do mnie, żeby ją wpuścić.

I chciałam, bardziej niż wszystko inne, zejść na dół i jej pomóc, lecz w uszach dzwoniły mi słowa mojego ojca:

– Ona jest niebezpieczna, Sally. Ona jest złym człowiekiem.

Kiedy Kate machała rękami i błagała mnie, żebym ją wpuściła do środka, nagle zobaczyłam w niej dzikuskę. Przerażające, nieokiełznane stworzenie. I po raz pierwszy w życiu się jej bałam. Ojciec ma rację, pomyślałam, zaciągając zasłony i odcinając się od niej. Musi dostać nauczkę.

I pomyślałam, że dostała. Ale potem, zaledwie kilka tygodni później, zrobiła coś, co sprawiło, że zmieniłam zdanie. Wpadła do mnie koleżanka ze szkoły, żeby się pobawić. Jenny Richards. Kate nie było w domu i Jenny zapytała, czy mogłybyśmy pójść i zajrzeć do jej pokoju. Przetrzęsnęłyśmy jej rzeczy, po czym wyciągnęłyśmy ubrania Kate i zaczęłyśmy przebieranki. Ot co, dwie małe dziewczynki, które dobrze się bawią... Ale Kate wróciła wcześniej do domu i nas znalazła. Wpadła w szal. Nigdy nie widziałam, żeby była taka zła. Wyciągnęła nas z pokoju, po czym przycisnęła mnie do ściany na półpiętrze.

– Nigdy więcej nie zbliżaj się do moich rzeczy – krzyczała, chwytając mnie dłonią za gardło. – Słyszysz? Nigdy. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Złość w jej oczach sprawiła, że poczułam się tak, jakbym zrobiła coś znacznie gorszego niż przymierzenie kilku jej sukienek. Wyglądała, jakby chciała mnie zabić. To było przerażające.

Dygotałam, schodząc na dół po schodach. Mama zapytała, co się stało, ale byliśmy

z Jenny zbyt zszokowane, żeby cokolwiek z siebie wydusić. Kiedy kilka godzin później Kate zeszła na dół na herbatę, żadna z nas nie była w stanie spojrzeć jej w oczy. Od tamtej chwili robiłam to, co mi kazała, i schodziłam jej z drogi. Ale tamtego dnia coś się we mnie zmieniło. Stałam się twardsza, mniej ufna. I powiedziałam sobie, że już nigdy nikt mnie tak nie skrzywdzi.

Siedzę w ogrodzie na tyłach domu, czekając, aż wzejdzie słońce. Musi być teraz koło piątej nad ranem. We śnie dręczyły mnie koszmary. Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, widziałam Kate na rabatce kwiatowej, jak wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem. Obudziłam się jakąś godzinę temu z krzykiem. Paul wbiegł i zrobił wielkie zamieszanie. Przyniósł mi kakao i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ale jak to możliwe? W końcu dałam za wygraną ze snem i wyszłam tutaj.

Ogród jest śliski od rosy i czuję, że mam wilgotne stopy, kiedy tak siedzę przycupnięta na plastikowym krześle. Powinnam była włożyć odpowiednie buty, ale tylko pantofle były pod ręką. Gdy chowam stopy pod krzesło, czuję, jak coś ociera się o moją nogę. Wydaję z siebie stłumiony krzyk. Ale kiedy spoglądam na dół, widzę, że to po prostu wymizerowana młoda mewa.

– Czego chcesz? – pytam, podczas gdy ona łąsi się wokół moich nóg jak kot w poszukiwaniu piesszczot. – Zgubiłaś się?

Wyjmuję telefon z kieszeni szlafroka i oświetlam ptaszka latarką. Patrzy na mnie na wpół przymkniętymi ślepiami i zauważam, że ma zwichnięte jedno skrzydło. Wzdłuż krawędzi jest upstrzone czarnymi kropkami, niczym plamkami błota, a spod spodu wystają żywe, uszkodzone tkanki. Ptak pewnie umiera, a ja nie mam pojęcia, co zrobić. Nigdy nie zajmowałam się chorym ptakiem. Wpatruje się we mnie rozpaczliwym wzrokiem, jak małe dziecko szukające otuchy u swojej matki. Ślepie ptaszka wyprowadzają mnie z równowagi i odganiają go.

– Idź sobie, parszywe stworzenie – syczę. – Nic nie mogę zrobić.

Macha słabo złamanym skrzydłem i chwiejąc się na nogach, znika w ciemnościach.

Kiedy obserwuję, jak ptak znika, przychodzi mi na myśl Hannah. Pamiętam, że kiedy była małą dziewczynką, chciała zostać weterynarzem i przynosiła do domu na wpół martwe ptaki i myszy, które ratowała przed kotem sąsiadów. Próbowала jej wytłumaczyć, że lepiej byłoby pozwolić im umrzeć, ale ona spędzała całe godziny, opiekując się nimi, zawijając je w kawałki materiału. Kiedy nadchodziło nieuchronne, zabierałyśmy te małe ciała i grzebałyśmy je na końcu ogrodu mamy. Hannah łkała, kiedy układałyśmy je w ziemi, a mama tłumaczyła jej, że Bóg wezwał je do siebie. Urządzałyśmy później małą stypę z ciastem i lemoniadą, ale wiedziałyśmy, że niedługo pojawią się następne ofiary. Byłaby wspaniałym weterynarzem, jeśli nadal chodziłaby do szkoły. O Boże, jak ja za nią tęsknię...

Kiedy tak siedzę w ciemnościach, czuję, jak moje ciało ogarnia tępy ból. Żyję z tym bólem, odkąd Hannah się wyprowadziła. Wypełniam tę pustkę pićem, lecz teraz, kiedy nie jestem pod wpływem alkoholu, pozostaje mi jedynie ból. Na pogrzebie taty wikariusz powiedział, że kiedy tracisz kogoś, kogo kochasz, to tak jakby umarła jakaś część ciebie. Nie wiedziałam, co to znaczy, dopóki Hannah nie odeszła. Potem zrozumiałam. Bez niej przestałam być matką. Z trudem byłam żoną. Sally, która istniała wcześniej, zniknęła i zastąpiła ją osoba, którą teraz jestem. Być może wyglądam tak samo i mówię tak samo, ale pozostała we mnie luka, której nigdy nie da się wypełnić. Równie dobrze mogę umrzeć.

Tak łatwo byłoby się wymknąć, powiedzieć sobie, że już dość. Przychodzi mi na myśl wiele sposobów, na które można by to zrobić – na przykład za pomocą kilku butelek szampana i garści pigułek albo lśniącego pistoletu ze złotą obwódką, niczym czarny charakter z filmu Jamesa Bonda. Oczywiście oba są dla mnie zbyt eleganckie. Może luksusowa gorąca kąpiel i zaostrzony nóż? Patrzą na swoje nabrzmiałe niebieskie żyły, które wiją się wzdłuż moich nadgarstków, i wyobrażam sobie, jak je przecinam.

Wzdrygam się i spoglądam w niebo. Noc jest gęsta i ciemna, i chciałabym, żeby pojawiło się światło i rozwiało te moje myśli. Wstaję, bo nagle rozpaczliwie potrzebuję drinka. Pstryknięciem strzepuję wieszak z kolan. Nogi mam jak z ołowiu i ruszam w kierunku drzwi do oranżerii. Wiem, że będę czuła się jeszcze gorzej, ale tego potrzebuję. Tylko w taki sposób mogę sobie poradzić z tym bólem.

Przechodzę na paluszkach przez pokój i biorę butelkę wina z mojego nowego schowka, starej torby podręcznej, którą trzymam schowaną pod fotelem. Paul nie znosi tutaj przychodzić, więc nie ma niebezpieczeństwa, że coś znajdzie. Zdołałam wymknąć się z domu, kiedy wczoraj wieczorem położył się spać. Poszłam na całodobową stację benzynową za rogiem i kupiłam kilka butelek. Kiedy wróciłam, dzięki Bogu, on nadal spał.

Wyszłam znowu na zewnątrz, gdy tylko słońce zamajaczyło na horyzoncie. Jestem skrajnie wyczerpana, lecz wiem, co się stanie, kiedy położę się do łóżka. Ona przyjdzie. Z wpatrującymi się we mnie martwymi oczami. Nie będę ryzykować. Siadam więc i piję.

Jestem już przy dnie butelki, kiedy to dostrzegam – niewielką kupkę czegoś białego na trawie, a kiedy przyglądam się jej bliżej, okazuje się, że to jakieś stworzenie.

– O nie – wzdycham, a potem wstaję i podchodzę. – Proszę, nie. Nie potrzebuję jeszcze tego.

Mewa nie rusza się i przypuszczam, że nie żyje. Ma zamglone ślepia i na wpół otwarty dziób. Ale kiedy przykucam, żeby jej się bliżej przyjrzeć, wydaje z siebie przyprowadzający o mdłości dźwięk. Nie płacz, lecz raczej szloch. Ten ptak wykrztusza z siebie agonialne rżenie. Nie mogę tego znieść.

W głowie dźwięczy mi głos Hannah.

– Mamusiu, musimy mu pomóc.

Ale jemu już nie da się pomóc, myślę sobie, przechodząc nad nim i idąc do kuchni. Spod drzwi nadal go słyszę – liiiii, liiiii. To pełen żalości dźwięk, niczym niemowlę, które płacze za mamą, i wiem, że będę musiała coś zrobić. Ta agonía może trwać godzinami.

Podchodzę więc do kredensu i wydaję najcięższy przedmiot w domu – wałek do ciasta. I gdy zaciskam dłoń wokół jego szorstkiej powierzchni, przychodzi mi na myśl ojciec, który grozi Kate wałkiem mamy. Przypominam sobie słowa Kate w artykule, który przeczytałam wiele lat później: „Daj komuś broń, a stanie się wojownikiem”.

– Daj mi siłę, Kate – szepczę, wracając do ogrodu.

Podchodzę do ptaka, lecz on się nie rusza, i modlę się, żeby był już martwy, żebym nie musiała tego robić, ale kiedy schylam się, aby sprawdzić, wzdryga się i znowu zaczyna kwilić. Brzmi to tak, jakby ten dźwięk wydobywał się gdzieś spod niego, z jakiegoś głębszego i ciemniejszego miejsca. Przyprawia mnie o gęsią skórkę. Brzmi niemalże jak głos dziecka.

– Nie patrz na niego – mówię do siebie, podnosząc wałek do ciasta nad głową.

Chcę zamknąć oczy, wiem jednak, że nie wolno mi tego zrobić, bo inaczej chybię, przysparzając mu tym jeszcze więcej bólu. Nie. Muszę załatwić to jednym celnym uderzeniem.

Ale dłonie mi się trzęsą, kiedy opuszczam wałek, i chociaż czuję, że kości pękły, nie trafiam w głowę. Ptak kuleje i, ogłuszony, zaczyna uciekać. Gonię za nim, okładając go, aż cała ścieżka jest usłana piórami i ciemnoczerwoną krwią. Ptak skrzeczy za każdym uderzeniem. Chcę zatkać uszy, ale nie mogę. Ten dźwięk rozchodzi się po moim ciele, aż w końcu udaje mi się zmiażdżyć mu czaszkę i ptaszek pada bezwładnie obok moich stóp.

Stoję tam kilka chwil z zakrwawionym wałkiem nadal uniesionym nad głową i patrzę na resztki ptaka. Jego różowe ślepia są teraz czarne od krwi. Nie chcę dłużej na nie patrzeć. Chcę, żeby to już się skończyło.

Podnoszę go – ostre igły jego złamanego skrzydła kłują mnie w skórę – i powoli podchodzę do rabatki kwiatowej. Kładę ptaka na krawędzi trawnika i zaczynam kopać rękami w ziemi. Potrzebuje spokojnego miejsca spoczynku, mówię sobie, kiedy pod palcami czuję wilgoć gleby. Tego chciałaby Hannah. Kopię i kopię, coraz głębiej i głębiej, przedzierając się przez splecione korzenie i płosząc po drodze robaki, po czym wyczuwam dłonią coś twardego.

Spoglądam w dół i dostrzegam błysk złota. Odsuwając na bok korzenie i ziemię, ciągnę za to błyszczące coś, aż ustępuje, a potem siedzę, trzymając swoje znalezisko w dłoniach. Serce mnie boli, kiedy przypominam sobie wybieranie płaskiego, złotego zegarka na szesnaste urodziny Hannah. Odwracam go i czytam napis na wewnętrznej stronie paska:

Naszej pięknej dziewczynce z okazji jej szesnastych urodzin. Zawsze Cię będziemy kochać, mama i Paul xxx

W jaki sposób tutaj się znalazł? Czy ona go wyrzuciła, żeby mnie ukarać? Ale potem, kiedy siedzę, pocierając palcami jego porysowaną powierzchnię, słyszę jej głos:

Pozwól mi odejść, mamo. Krzywdzisz mnie.

Miała zamiar ode mnie odejść. Byłam zła. Znalazłam wyniki wyszukiwania na jej komputerze. Próbowła nawiązać kontakt ze swoim biologicznym ojcem, tym małym gnojkiem, z którym zaciążyłam, kiedy mieliśmy obydwoje po czternaście lat. Mówiłam jej, że nie interesuje się nami. Mówiłam jej, że jego rodzice wyprowadzili się, dowiedziawszy się o dziecku, i powiedzieli mi, żebym zostawiła go w spokoju. Mówiłam, że przez szesnaście lat ani razu nie próbował nawiązać kontaktu. Mówiłam, że Paul jest jej tatą i że nic nie osiągnie, rozgrzebując przeszłość. Lecz ona mnie nie słuchała.

Po prostu pozwól mi odejść, mamo.

Do tej pory te słowa były ostatnią rzeczą, jaką pamiętałam z tamtego wieczoru. Wieczoru, kiedy odeszła. Ale gdy siedzę tutaj, a jej głos dzwoni mi w uszach, przypominam sobie coś jeszcze. Widzę, jak stoi w drzwiach. Mówi do mnie, że jestem alkoholiczką. Podbiegam do niej i chwytam ją za nadgarstki, żeby wciągnąć ją z powrotem do środka.

Po prostu pozwól mi odejść, mamo.

Ciągnę ją i ciągnę, mówię, że nie odejdzie ode mnie, że jej nie puszczę. Jest

wszystkim, co mam. A potem rozlega się huk. Trzaśnięcie drzwiami? Mój upadek? Trzymam w dłoni jej zegarek. Mam zegarek Hannah, ale ona odeszła. Co się stało? Nie pamiętam. Nie wiem, czy chcę pamiętać.

Spoglądam na zegarek z zardzewiałym paskiem, stłuczonym cyferblatem i skręca mnie w żołądku. Paul nie może zobaczyć tego zegarka. Już uważa za dziwne to, że nie pamiętam niczego, co wiąże się z odejściem Hannah, i wie, że miałyśmy napięte relacje. Jeśli znajdzie ten zegarek, domyśli się z mojego wyrazu twarzy, że coś się wydarzyło, a wtedy będę musiała mu powiedzieć. Kłamstwa strasznie mi nie wychodzą. A kiedy on dowie się, że tego wieczoru się pokłóciłyśmy, oskarży mnie o jej odejście, ja zaś nie będę mogła tego znieść. Muszę się tego pozbyć.

Kładę więc zegarek z powrotem w ziemi, tam, skąd go wykopałam, a na nim martwego ptaka, zasłaniając skrzydłem jego pocerniałe oczy. Potem zasypuję jedno i drugie, aż na wierzchu pozostaje jedynie brązowa plama – nierzucający się w oczy kwadrat ziemi w nierzucającym się w oczy ogrodzie. Nikt się nie dowie, mówię sobie, kiedy zataczając się, wracam do domu, wprost do mojej skrytki na wino. Nikt się nie dowie.

– Co ty zrobiłaś?

Słyszę jego głos, jakby dobiegał z dużej odległości, ale czuję, jak chwyta mnie rękami i stawia na nogach. Próbuję otworzyć oczy, lecz nie mogę. Powieki mam zbyt ciężkie od snu.

– Co ty masz na sobie? Czy to krew? Co do cholery... Co ty ze sobą zrobiłaś?

– Kładzie rękę na dolnej części moich pleców i prowadzi mnie przez pokój.

Słyszę bieżącą wodę, a potem nagłe uczucie gorąca na skórze.

– Już schodzi – mówi i czuję, jak jego skóra ociera się o moje dłonie. – Gdzie się tak skaleczyłaś? Naprawdę nie mogę zostawić cię na dłużej niż minutę?

Woda przestaje lecieć i na wpół otwieram oczy, a mimo to światło wciąż mnie razi. Czuję jego ręce zaciśnięte wokół mojej talii i uczucie ciepła, które wzbiera w moim ciele.

Łóżko jest miękkie i padam na nie jak kłoda. Czuję go za sobą, przytula się do moich pleców. Słyszę, jak jego oddech staje się płytszy, a potem chwyta mnie dłońmi za piersi. Cudownie jest znowu być blisko niego. Wyginam się w pałąk, a on wchodzi we mnie.

– Sally – jęczy, a kiedy zaczynamy się kochać, moje oczy napęlniają się łzami.

Tak bardzo za nim tęskniłam.

Paula nie ma, kiedy się budzę, chociaż nadal mogę wyczuć palcami kształt jego ciała w miejscu, gdzie leżał.

Dlaczego bolą mnie dłonie? Podnoszę je na wysokość oczu i widzę ślady zadrapań. Na paznokciach mam obwódki z grudek czarnej ziemi.

Ogarnia mnie strach. Co stało się wczoraj wieczorem?

Wciągam džinsy, sweter i zbiegam po schodach, wołając go po imieniu. Bez żadnego odzewu.

– Paul!

Zataczając się, wchodzę do kuchni. Nic. Dostrzegam jego pusty kubek, który stoi w zlewie. Osuwam się na ladę i próbuję odzyskać jasność myślenia, żeby zastanowić się, co robić dalej. Ale to wszystko jest tak pogmatwane, że widzę tylko fragmenty obrazów, które do siebie nie pasują – Paul leżący obok mnie na łóżku, moje palce kopiące w ziemi. Dlaczego ja kopałam?

A potem nagle znowu tam jestem. Stoję w ogrodzie, patrząc na ziemię, a serce bije mi tak mocno, jakby miało wyskoczyć z moich piersi. Kości – cały rząd, drobne i misterne, falujące na powierzchni ziemi, i ten blask światła. Teraz to sobie przypominam, choć wcale nie chcę sobie przypominać. Odsuwam od siebie ten obraz, lecz ciągle go widzę, niczym plamę, która za każdym razem, kiedy zamykam oczy, staje się coraz ciemniejsza. Przypominam sobie jakieś strzępy rozmowy. Głośny trzask i pisk. Hannah. *Po prostu pozwól mi odejść, mamo.*

Czy ja tracę zmysły?

Potrzebuję Paula.

Wypadam z kuchni i biegam od pokoju do pokoju, wołając go, ale nie ma odzewu. Potrzebuję go, żeby przyszedł i mnie stąd zabrał, uratował mnie, zabrał daleko stąd. Myśli, że tracę rozum, ale nie może mnie porzucić. Nie pozwolę mu na to. Wszystko mu wynagrodzę. Możemy spróbować jeszcze raz. Zarezerwować jakieś miłe wakacje w Hiszpanii albo gdzie indziej, tylko we dwoje. Możemy uciec od tego wszystkiego i mieć trochę ciszy i spokoju. Będzie miło. I sama myśl o tym mnie uspokaja, chociaż jeszcze przed chwilą byłam całkiem spanikowana. Zobacz, jeśli się skupię i będę pozytywnie myśleć, to wszystko będzie w porządku.

Wracam do kuchni i kiedy podchodzę do zlewu, żeby nalać wodę do czajnika, dostrzegam go przez okno. On tam jest. Stoi, patrząc na rabatkę kwiatową. Ogarnia mnie poczucie ulgi, ale wtedy przypominam sobie ten złoty zegarek i biegnę do drzwi.

– Paul! – krzyczę. – Chodź do domu.

Podnosi na mnie wzrok, potem znowu patrzy na rabatkę i zastanawiam się, co sobie myśli.

– Paul, proszę.

Spuszcza głowę i idzie w moim kierunku, powłócząc nogami.

– Co się dzieje, Sally?

Wygląda dziwnie. Czy on jest zły?

Próbuję przyjrzeć się ziemi wokół niego, ale wygląda na nieporuszoną.

– To był ptak – mówię, rozglądając się dookoła, jakby mógł w każdej chwili skądś wyskoczyć. – Mewa. Miała pogruchotane skrzydło i musiałam skrócić jej cierpienia. Pogrzebałam ją.

– Tak myślałem, że chodziło o coś takiego – mówi. – Znalazłem tam wałek do ciasta. Jest na nim mnóstwo drobnych kosteczek.

– O nie! – wydaję z siebie stłumiony okrzyk. – Och, proszę, nie mów tego. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam, ale to stworzenie wydawało z siebie tak przeraźliwy dźwięk... miało złamane skrzydła, a ja nie wiedziałam, co zrobić...

– Chodź, kochanie – szepcze. – Nie martw się aż tak. Wejdźmy do środka i usiądźmy.

Idzie przodem, a ja ruszam za nim chwiejnym krokiem, próbując nie myśleć o Hannah i jej akcjach ratunkowych. O wszystkich tych drobnych kosteczkach.

– Idź do salonu, a ja zrobię nam coś do picia – mówi, sięgając do szafki kuchennej i wydając dwa kubki. – Herbatę czy kawę?

Oddałabym wszystko za kieliszek wina, ale nie chcę zdradzać swojego sekretnego schowka.

– Chętnie napiję się herbaty – odpowiadam. – Zrób mocną.

Wchodzę do salonu i włączam światło. Widzę stertę dokumentów na stoliku kawowym, praca Paula, i czuję się źle, że z mojego powodu kolejny dzień nie poszedł do pracy.

– Proszę bardzo – mówi, wchodząc z kubkiem herbaty.

– Dzięki, Paul – odpowiadam, kiedy stawia go przede mną na stoliku.

Siada i sączy herbatę, a ja czekam, aż moja przestygnie. Żadne z nas się nie odzywa i ta cisza sprawia, że się denerwuję. Ptak znowu wraca. Lata pod sufitem, przyprowadzając mnie o zawroty głowy. Lata dookoła, a jego martwe ślepie przeszywają mnie wzrokiem, aż nie mogę już tego dłużej znieść. Wstaję i włączam telewizor.

– Sally, musisz?

Ignoruję protesty Paula, siadając w fotelu, a potem gapię się w telewizor. Telewizja działa na mnie kojąco, kiedy tak się czuję, kiedy nerwy przebijają się przez powierzchnię mojej skóry niczym małe nożyki. Zawsze działała. Gdy byłam dzieckiem, zagłuszałam krzyki moich rodziców, pogłaśniając telewizor. W moich ulubionych programach miasteczka były zielone i słoneczne, wszyscy byli szczęśliwi i bezpieczni, nikt nie krzyczał ani się nie kłócił. Jak zatykałam uszy, to mogłam udawać, że też tam mieszkam. Byłam taką przestraszoną, małą dziewczynką, lecz wiedziałam, że w godzinach pomiędzy piętnastą trzydzieści a siedemnastą – w czasie antenowym dla dzieci – nikt nie może mnie skrzywdzić.

Robię głośniej, bo właśnie zaczyna się lokalny dziennik informacyjny.

– Sally?

– Blime prowadzi ten program, odkąd byłam dzieckiem – wyjaśniam, wskazując na prezentera o skórze jaszczurki. – Bardzo długo. Dziwne, że jeszcze nie wysłali go na emeryturę.

– Czy możemy chociaż przyciszyć? – proponuje Paul, sięgając po pilota, który nadal jest pod moją kontrolą. – Nie słyszę własnych myśli.

– Nie – odpowiadam, przyciskając go do piersi, podczas gdy obraz na ekranie telewizora się zmienia. – Chcę tego posłuchać. On mówi o Kate.

Prezenter mówi, że dorastała w okolicy i chodziła do miejscowej szkoły.

– Och, Kate byłaby zachwycona – ironizuję. – Cholernie nienawidziła szkoły w Herne Bay.

– Z tego, co wiadomo, Kate Rafter zaginęła i przypuszczalnie nie żyje – mówi dalej.

Pochyliłam się do przodu w fotelu.

– Widzisz – mówię do Paula, wskazując na ekran – on też tak mówi: „zaginęła”. Mówiłam ci. Nadal jest szansa.

– Sally, on powiedział, że zaginęła i przypuszczalnie nie żyje. Oni...

– Szs – syczę, kiedy przeskakują do relacji z miejsca, w którym to się wydarzyło: pola pełnego namiotów i worków na zwłoki. – O Boże – wydaję z siebie stłumiony okrzyk. – Spójrz na to.

– Sally, wyłącz to – prosi Paul. – To nie pomoże.

Jaszczurowaty prezenter znowu powraca na wizję. Ma poszarzałą twarz i wygląda poważnie, kiedy opowiada nam, że przyjaciele i koledzy Kate czuwają w milczeniu w jakimś kościele w Londynie. W kościele Świętej Oblubienicy przy Fleet Street. Potem uśmiecha się i oddaje głos Christine, która przedstawia prognozę pogody.

– Muszę jechać – oznajmiam, zrywając się na równe nogi.

– Dokąd jechać?

Paul wyłącza telewizor w momencie, kiedy Christine ostrzega przed silnym wiatrem.

– Sally, oddychaj – mówi. – Musisz zwolnić albo dostaniesz napadu lęku.

Poklepuję się po kieszeniach, chociaż nie mam pojęcia, czego szukam. Pewnie kluczyków. Zawsze miałam kluczyki od auta w kieszeni, chociaż to kolejna rzecz, którą straciłam.

– Przestań – prosi Paul, chwytając mnie za ramiona. – Daj spokój, kochanie, po prostu usiądź i zrobij nam kolejny kubek herbaty.

– Nie chcę kolejnego kubka herbaty – warczę, wbiegając do korytarza po buty.

– Muszę jechać do Londynu. Organizują tam czuwanie. Właśnie o tym powiedział. Muszę sprawdzić odjazdy pociągów, ale kursują dość regularnie, prawda?

– Sally! – teraz już krzyczy. – Przestań, na miłość boską!

Staje przede mną, trzymając mnie za ramiona obiema rękami.

– Musisz się uspokoić albo wpędzisz się w chorobę – grozi. – Nikt nie jedzie do żadnego Londynu. W porządku? Nikt. Musisz odpocząć i pozwolić sobie ją opłakać. Przeżyłaś ogromny szok i prawie nie sypiasz w nocy. Chodzi mi o to, Chryste, przecież spędziłaś prawie całą noc, kopiając w ogródku.

– Ale on powiedział...

– Posłuchaj, wszystko jest w porządku – mówi Paul, biorąc mnie w ramiona.

– Czuwanie nie trwa dwa dni. Jeśli obiecasz mi, że trochę się prześpisz i zjesz jak trzeba, wtedy cię tam zabiorę. A teraz zaprowadzimy cię do łóżka. Musisz odpocząć.

Lecz kiedy układam się wygodnie na łóżku i zamykam oczy, widzę tego ptaka.

Przyciska dziób do mojego ucha i szepcze głosem Hannah:

Po prostu pozwól mi odejść, mamo.

Czuję zapach spalonego tosta, a kiedy przekręcą się na drugi bok, wszystko wywraca mi się w żołądku. Światło latarni przenika przez białe, lniane zasłony i dostrzegam cień ptaka, który siedzi na występie muru, otwierając i zamykając dziób.

Po prostu pozwól mi odejść, mamo.

Naciągam kołdrę na głowę, chcąc ponownie zasnąć. Lecz wtedy otwierają się drzwi.

– Cześć, kochanie – mówi. – Musiałaś potrzebować tego snu. Już prawie wieczór. Poklepuje mnie delikatnie po plecach, ale ja wciąż leżę zawinięta w kokon.

– Sally – znów się odzywa. – Obudź się, kochanie. Przyniosłem ci coś do zjedzenia.

– Nie chcę – mamroczę. Muszę się zastanowić. Zaplanować, co robić. Jak dotrzeć do Kate.

– Posłuchaj, musisz jeść, bo inaczej zachorujesz – nalega. – To tylko kawałeczek tosta. Nie jadłaś obiadu. Proszę, Sally.

Gwałtownym ruchem zrywam kołdrę z głowy i wpatruję się w niego.

– Dobrze – warczę. – Postaw gdzieś z boku.

Stawia jedzenie na komodzie i patrzy na mnie zaniepokojony.

– Będę na dole – wyjaśnia. – Gotuję dla nas coś dobrego na kolację. Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Przyglądam się, jak wychodzi z pokoju na korytarz na piętrze i zamyka drzwi. Na szczęście sobie poszedł. Był taki czas, że opiekuńcza natura Paula była dla mnie ukojeniem. Teraz mam poczucie, jakby była gorsetem. Wiem, że powinnam być dla niego miłsza. Uratował mnie. Uratował nas obie.

Siadam w łóżku i otwieram górną szufladę szafki nocnej. Tam, pod stertą starych wyciągów z banku, leży album ze zdjęciami w wytłoczone srebrne wzory.

Nasz album ślubny.

Odczekuję chwilę, a potem go otwieram. Pierwsze zdjęcie jest czarno-białym ujęciem naszej trójki. Paul wygląda przystojnie w swoim ciemnogramatowym garniturze i różowym krawacie w groszki, który Hannah kupiła mu w prezencie ślubnym. Trzymam w dłoni kieliszek szampana i wyglądam całkiem przyzwoicie, choć może trochę grubo w tym swoim spodniem w kolorze kości słoniowej. Hannah stoi między nami w sukience druhny w kolorze pistacjowym, którą wybrała kilka tygodni wcześniej w małym butik w odzież w stylu vintage w Whitstable. Uśmiecha się promiennie do obiektywu, a ja czuję ukłucie – to poczucie winy. Była taka szczęśliwa, że w końcu ma tatę. I to nie byle jakiego tatę, ale ciepłego, kochającego tatę, który pomagał jej w zadaniach i zabierał ją na basen. Kiedy wpatruję się w to zdjęcie, dostrzegam, że to do Paula się przytulała, a nie do mnie. Stoję tam sobie z drinkiem, pogrążona we własnym świecie.

Paul był moją drogą do normalności. Zabrał Hannah i mnie z tamtego domu – od mamy i jej bezustannego krytycyzmu – i podarował nam nowe życie, z wakacjami, z meblami do kuchni na wymiar i niedzielnymi spotkaniami przy grillu. Było doskonale. Ale potem coś poszło nie tak.

Zamykam album i wkładam go z powrotem do szuflady, lecz kiedy znów się kładę i zamykam oczy, widzę przed sobą twarz Hannah, wykrzywioną z wściekłości.

– Nienawidzę cię! – krzyczy do mnie. – Nie masz pojęcia, jak to jest mieszkać z alkoholiczką! Pijaczką!

Chcę ją chwycić, posadzić i opowiedzieć, że naprawdę wiem, jak to jest, że mój tata był alkoholikiem, a moje dzieciństwo polem bitwy, z której nikt nie wyszedł bez szwanku.

Ten rozdźwięk pomiędzy Hannah i mną pogłębiał się powoli, a potem rozprzestrzenił się jak choroba, aż w końcu nas zniszczył. Gdy tak sobie leżę, próbuję dokładnie określić, kiedy to wszystko się zaczęło. Czy to było w jej czternaste urodziny, kiedy wyszła na miasto ze znajomymi zamiast ze mną i z Paulem do Alfredo's? Może głupio to brzmi, lecz Alfredo's należała do rodzinnej tradycji. Była to włoska restauracja w Whitstable i zabierałam ją tam na urodziny, odkąd była małym dzieckiem. I zabołało mnie, kiedy powiedziała, że już z tego wyrosła. Naprawdę zabołało. Paul nie rozumiał, dlaczego byłam taka przygnębiona. Powiedział, że to całkiem naturalne, że dorasta, broniąc swojej niezależności. Nie miałam wyboru. Spędziłam więc jej urodziny, siedząc z Paulem przed telewizorem i myśląc o torcie, który czekał na jubilatkę w kuchni. Tyle że kiedy wróciła do domu, stwierdziła, że jest zbyt zmęczona, by zdmuchiwać świece, a tak w ogóle to takie rzeczy są dla dzieciaków.

I tak to się coraz bardziej pogłębiało, ten rozdźwięk między nami. Hannah większość wieczorów spędzała z rówieśnikami. Paul założył nową firmę przewozową i pracował do późna, żeby postawić ją na nogi i rozkręcić. Tym sposobem zostałam sama ze sobą, telewizorem i wspomnieniami czasów, kiedy nie byłam jeszcze tak osamotniona. Nie było więcej rodzinnych spotkań przy grillu, śmiechu, został tylko pusty dom. Wino pomogło mi wypełnić pustkę, kołło samotność i powstrzymywało mnie od rozmyślenia o przeszłości. Nie wiedziałam, do jakiego stopnia jestem od niego uzależniona, aż w końcu było już za późno.

Wylanie z pracy w banku powinno było mnie otrzeźwić, a ja potraktowałam to jako okazję, by zamknąć się w domu i jeszcze więcej pić. Paul mieszkał ze mną, lecz byliśmy dla siebie jak obcy ludzie, którzy mijają się na schodach. Nie łączyły nas już intymne relacje. Całe pocieszenie i miłość znajdowałam na dnie kieliszka. Hannah wracała do domu ze szkoły i wtedy próbowałam udawać trzeźwą, skakać koło niej, przygotować kolację, ale nie była naiwna i kończyło się na tym, że kłóciłyśmy się o jakieś bzdury. W rezultacie unikała wspólnych posiłków i schodziła na dół później, upewniwszy się, że już śpię.

Po jej wyjeździe zaczęłam wracać myślami do tamtych dni, usiłowałam zrozumieć, czy czegoś nie przegapiłam. Jej nastroje gwałtownie się zmieniały, tyle wiem. Paul powiedział, że to pewnie hormony, ale ja podejrzewałam, że brała narkotyki. Stała się wycofana i skryta. Przestała wychodzić do miasta i godzinami przesiadywała zamknięta w swoim pokoju. I teraz zastanawiam się, bo jeśli to nie były narkotyki... a co, jeśli to przeze mnie?

Pewnego wieczoru kilka miesięcy później znalazłam wyniki wyszukiwania w internecie. Szukała go w Googlach. Nazywał się Frankie Echevarria. Kate powiedziała, że brzmi jak „swędzenie tyłka”. Zawsze mnie to rozśmieszało. Ale fakt, że to rzadko spotykane nazwisko, nieco ułatwiało poszukiwania. Hannah dowiedziała się, że teraz był

nauczycielem i mieszkał w Brighton. Miał rodzinę i ustatkowane życie.

Nie chciałam, żeby została zraniona, więc próbowałam ją powstrzymać.

– Nie chciałby, żebyś tak znieckała się z nim kontaktowała – powiedziałam jej.

– Daj sobie z tym spokój.

– To mój ojciec! – krzychała na mnie. – Potrzebuję go!

– Nie potrzebujesz go! – ja krzyknęłam do niej. – Masz mnie i Paula.

– Nie chcę ciebie! Chcę rodzica z prawdziwego zdarzenia! – I spojrzała na mnie tak prowokująco, że coś we mnie pękło.

Teraz wracają do mnie moje własne słowa.

– Ten człowiek miał gdzieś mnie i z pewnością ciebie też. Chciał, żebym się ciebie pozbyła. A ja powiedziałam mu, że nigdy tego nie zrobię. Powiedziałam mu, żeby mnie zostawił w spokoju i że poradzę sobie z naszym błędem.

Dlaczego użyłam tego słowa? Żałowałam tego już w chwili, kiedy wydobywało się z moich ust, ale było za późno.

– Błędem? – powtórzyła, a jej głos był tak gorzki, że aż mnie to przeraziło. – Tym właśnie dla ciebie jestem? Błędem? Jezu, mamo, a kim ty jesteś, co?

Odwracam się na bok i wyglądam przez okno. Czuję zapach czosnku dolatujący z dołu. Paul gotuje kolejne danie, którego ja znów nie zjem. Będziemy siedzieć przed telewizorem, później znowu tutaj wrócę, spróbuję się przespać, a potem wszystko zacznie się od początku... Kolejny pusty dzień. Ale kiedy tak leżę, widzę ciało Kate, pozostawione w jakiejś kostnicy w obcym kraju. Muszę stawić czoła prawdzie. Moja siostra nie zaginęła. Ona nie żyje i potrzebuje przyzwoitego pogrzebu. Wyskakuję z łóżka. Może i zawiódłam Hannah, ale nadal mam szansę zachować się właściwie w stosunku do Kate. Godziwie ją pożegnać. Kiedy wkładam szlafrok i idę do łazienki, nieco rozjaśnia mi się w głowie.

Czas sprowadzić ją do domu.

Paul wygląda na zszokowanego, kiedy wchodzi do kuchni. Umyłam włosy, przebrałam się w czyste ubrania i pachnę teraz lawendą, a nie potem i alkoholem.

– Cześć, kochanie – wita mnie, całując w policzek. – Tak się cieszę, że zesłaś na dół. Zrobiłem lasagne. Zjesz trochę?

– Kawaleczek – odpowiadam, wysuwając krzesło, żeby usiąść.

– Założę się, że lepiej ci po kąpieli – a mówiąc to, śmiga z talerzami i sztuccami.

– Czuję się czysta, ale nie czuję się lepiej – odpowiadam.

Jestem w tym pokoju zaledwie od kilku minut, a on już sprawia, że jestem spięta.

– Czystość to dobry początek – stwierdza, stawiając przede mną talerz. – Zrobić ci coś do picia?

Szybko podnoszę wzrok, ale proponuje mi wodę gazowaną, nie chardonnay. Kiwam głową i nalewa mi do szklanki.

– Chciałam porozmawiać o zwłokach Kate – wyjaśniam, kiedy siada na krzesło naprzeciwko mnie. – Czego potrzebujemy, żeby sprowadzić je do domu?

– Nie jestem pewien – odpowiada, bębniąc palcami po stole. – Trzeba będzie przejść przez procedurę repatriacji, a to może trwać tygodniami. To znaczy, jeśli znajdą jej ciało.

– Nie znaleźli jej ciała? – pytam, prostując się na krzesło. – A więc nadal istnieje szansa, że ona żyje?

– Sally... – mówi, kładąc dłoń na moim ramieniu. Zawsze tak robi, jeśli choć trochę podnoszę głos. – Ona nie żyje.

– Skąd wiesz?! – krzyczę, odpychając jego dłoń. – Może gdzieś tam być, ranna, potrzebująca pomocy, a my siedzimy tutaj, jedząc cholerne lasagne.

– Nikt nie przeżył – oznajmia. – Miejsce, w którym się zatrzymali, zostało bezpośrednio trafione. Kiedy mówią, że ktoś zaginął... Cóż, nie chcę się wdawać w szczegóły, ponieważ nie chciałabyś tego usłyszeć.

– Nie chcesz się wdawać w szczegóły? – warczę. – Paul, nie jestem, kurwa, dzieckiem! Oczywiście, że chcę wiedzieć, co się stało z moją siostrą. Przestań ściemniać i po prostu mi powiedz.

Odkłada widelec i wzdycha.

– Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

– Tak – odpowiadam, a żołądek podchodzi mi do gardła.

– Cóż – zaczyna niepewnie. – W Ministerstwie Obrony mówią, że eksplozja była tak potężna, że wiele ciał zostało... unicestwionych.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że może nie istnieją żadne zwłoki do sprowadzenia.

Jego słowa są jak pociski, które wbijają się w moją skórę. Moja siostra. Moja piękna, odważna siostra. Próbuję sobie wyobrazić jej ostatnie chwile i mam nadzieję, że to nastąpiło szybko, że nie cierpiała.

– Więc nie możemy jej zorganizować pogrzebu? – pytam, obserwując, jak Paul nakłada łyżką kopczyk mięsnego, zapychającego dania na mój talerz. – Mamy tak po

prostu zostawić ją gdzieś tam w... w kawałkach?

Odkłada łyżkę i znowu pociera moje ramię.

– Będiesz miała wspomnienia – pociesza. – Ona zawsze będzie tutaj żyła. – Stuka się w czoło, a na jego twarzy pojawia się tak głupawy, protekcyjny uśmiezek, że mam ochotę go z niej zedrzyć.

– Nie masz pojęcia, ty idioto! – krzyczę, zrywając się od stołu i biegnąc po schodach na górę. – Żadnego pojęcia!

Wracam znowu do łóżka, a potem tak leżę w ciemnościach, myśląc o zmasakrowanym ciele Kate. Po chwili wchodzi i włącza światło.

– Wiesz co, Sally. Mam już tego trochę dość – mówi, siadając ciężko na łóżku.

– Och, proszę cię, wyjdź – rzucam.

– Nie, nie wyjdę! – krzyczy, chwytając mnie za nadgarstek. Ścisną mocno i to boli.

– Nie jestem jakimś szkodnikiem, którego strzepniesz palcami i który po prostu zniknie.

– Paul, przestań, robisz mi krzywdę – proszę, uwalniając rękę.

Patrzę na niego. Prawie nigdy nie widuję go w takiej złości. Ma wykrzywioną twarz i rozszerzone nozdrza.

– Posłuchaj, wiem, że jesteś przygnębiona – tłumaczy. – Ale mam już dość prowadzenia cię przez to wszystko za rączkę. Chciałem mieć żonę, a nie cholerną pacjentkę.

– Właśnie umarła mi siostra – mówię, zasłaniając twarz rękami.

– Tak! – znów krzyczy. – Twoja siostra! Kobieta, którą wyrzuciłaś ze swojego życia, ponieważ powiedziała coś, czego nie chciałaś słuchać! Tak właśnie postępujesz z innymi ludźmi, Sally. Jeśli nie podoba ci się to, co mówią, to ich odpychasz.

– To nieprawda – oponuję.

Dlaczego on zawsze bierze stronę Kate? Wiele lat temu powiedziałam mu, co ona zrobiła, a on nadal ją usprawiedliwiał. Powiedział, że to na pewno był wypadek. Miałam poczucie winy, że mu o tym powiedziałam, ale musiałam. Miałam już dość tego, że wyrażał się o niej tak, jakby była jakąś świętą. Jednak niczego to nie zmieniło.

– To prawda – mówi dalej. – Kate i ja zbliżyliśmy się do siebie, kiedy tutaj wróciła. Była zdruzgotana, naprawdę roztrzęsiona z powodu śmierci małego chłopca w Syrii. Ale ty nic o tym nie wiesz, prawda? Jak to powiedziałaś, kiedy się poznaliśmy: miałaś dość słuchania o wspaniałej pracy Kate. Byłaś o nią tak zazdrosna, że aż zżerało cię od środka.

Chowam twarz w poduszce, ale on podnosi moją głowę.

– Nie ignoruj mnie – wyrzuca z siebie. – Mam za sobą lata czegoś takiego, bycia ignorowanym i traktowanym jak jakaś cholerna wycieraczka. Nie. Będiesz tego słuchać. Raz w życiu stawisz czoła sprawom, zamiast przed nimi uciekać.

Siadam na łóżku i patrzę na niego.

– Kate opowiedziała mi różne rzeczy – kontynuuje. – Na przykład to, jak wasz stary ją bił. Żadne dziecko nie powinno znosić czegoś takiego.

Moje ciało przeszywa chłód, kiedy Paul wspomina mojego ojca, który nagle wypełnia cały pokój.

Ona jest niebezpieczna, Sally...

Zatykam uszy rękami, ale Paul gwałtownym szarpnięciem je odrywa.

– Nie! – krzyczy. – Nie będziesz szła na skróty, tak jak to zawsze robisz! Kate zamartwiała się o ciebie, próbowała ci pomóc, mimo że staczała własne bitwy.

Potrząsam głową. Oczy mam pełne łez i ocieram je wierzchem dłoni.

– Była naprawdę w kiepskim stanie – mówi dalej Paul. – To, co wydarzyło się w Syrii, bardzo poważnie się na niej odbiło. Miała koszmary senne, słyszała głosy, miała zwidy.

– Co masz na myśli, mówiąc, że miała zwidy?

– Mówiła, że widziała jakieś dziecko w ogrodzie po sąsiedzku – wyjaśnia.

– W sąsiednim domu nie mieszkają żadne dzieci. Potem znalazłem tabletki nasenne w jej torebce, całe mnóstwo, były bardzo mocne. Łykała je co wieczór całymi garściami. I piła alkohol. Mnóstwo alkoholu.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

– Bo nie chciałem cię martwić.

– Nie chciałeś mnie martwić?! – teraz znów ja krzyczę. – Na miłość boską, to moja siostra!

– Dobra, będę brutalny, skoro tego chcesz – mówi. – Byłaś pijana i siedziałaś w tym swoim brudzie, i nawet jeśli bym ci powiedział, jaki byłby z ciebie pożytek? Kate traciła rozum i musiałem sam sobie z tym poradzić, podczas gdy ty siedziałaś tutaj, upijając się do nieprzytomności.

– Nie traciła rozumu. Nie bądź śmieszny.

– Policja twierdziła inaczej.

– Policja? – W głowie mi się kręci, kiedy próbuję to wszystko zrozumieć.

– Aresztowano ją – wyjaśnia drżącym głosem. – Wdała się w bójkę z sąsiadami.

Oskarżała ich o różne rzeczy. Potem włamała się do ich szopy w środku nocy i wezwali policję. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie, całkowicie bredziła. Powiedziała, że cierpi na PTSD. No wiesz, tak jak żołnierze.

– O co ich oskarżała?

– O coś związanego z tym dzieckiem... Jestem pewien, że to się jakoś łączy z tym, co stało się temu chłopcu z Aleppo...

– Chwileczkę... – mówię. – Powiedziałeś, że nigdy nie widziałeś jej w takim stanie... Czy ty z nią byłeś, kiedy włamała się do tej szopy?

Robi się czerwony na twarzy i odwraca się do okna.

– Wpadłem sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku.

– W środku nocy?

– Siedziałem do późna w pracy i właśnie wracałem – odpowiada opryskliwie.

– Posłuchaj, nie w tym rzecz. Chodzi o to, że twoja siostra została aresztowana. Została zatrzymana na obserwację na mocy cholernej Ustawy o zdrowiu psychicznym, a ja musiałem sobie z tym poradzić.

Nic tutaj się nie zgadza, a Paul mówi tak szybko, że ciężko za tym nadążyć.

– Kate cierpi na chorobę psychiczną?! – wykrzykuję. – To niemożliwe.

Ale wtedy znowu słyszę słowa mojego ojca: *Ona jest niebezpieczna, Sally.*

– Nie widziałaś jej – mówi Paul. – Wyglądała jak jakaś wariatka. Sąsiedzi byli przerażeni. Próbowała zaatakować jednego z nich.

– Ale kiedy przyszła się ze mną spotkać, nic jej nie dolegało – stwierdzam.
– Zauważyłabym, gdyby zachowywała się dziwnie.

– Zauważyłabyś? – Wydobywa z siebie dźwięk, który leży gdzieś pomiędzy śmiechem a westchnieniem. – Naprawdę byś zauważyła? Szczerze mówiąc, Sally, jesteś zamknięta w swoim świecie. Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć i co ci pasuje.

– Znam moją siostrę – odpowiadam, ale już w momencie, kiedy wypowiadam te słowa, wiem, że to nieprawda. Nie mam pojęcia, kim naprawdę jest Kate. Kim była.

Przypominam sobie końcowe fragmenty naszej ostatniej rozmowy telefonicznej. Głos Kate, błagający: *Sally, dzwonię, żeby prosić cię o przysługę.*

– Dzięki Bogu, wycofali zarzuty – mówi. – Ale pod warunkiem, że Kate wyjedzie z Herne Bay. Jasno postawili sprawę, że złożą wniosek przeciwko niej o sądowy zakaz zbliżania się, jeśli znowu będzie kręcić się w pobliżu domu.

Myślę o tym, w jaki sposób Kate wściekała się na ojca. Jak walczyła z nim, z wylupiastymi oczami, z podniesionymi pięściami.

– Kiedy ją wypuścili, przyjechałem po nią i zawiozłem ją na dworzec kolejowy – Paul opowiada dalej, bębniąc palcami po parapecie. Nienawidzę, kiedy to robi. Wyprowadza mnie to z równowagi. – I wtedy widziałem ją po raz ostatni. Spójrz sama, jak bardzo się mylisz, mówiąc, że nie mam racji. Widziałem na własne oczy Kate rozbitą, podobnie jak widziałem Hannah, która się rozsypała.

– Nie porównuj Hannah do Kate! – krzyczę. – Hannah się nie rozsypała. Była nastolatką z problemami. Jak mawiałeś, szukała własnej drogi.

– O Jezusie, Sally, naprawdę jesteś niewiarygodna! – Uderza pięścią w parapet. – Powiedziałem tak, bo chciałem być miły i cię nie martwić! Teraz żałuję, że nie byłem wobec ciebie szczerzy i otwarty, może wtedy Hannah nadal by tu była!

– Dlaczego na mnie krzyczysz?

– Krzyczę, ponieważ mam cię dość – mówi. – Rozpieszczałem cię i chroniłem, odkąd się poznaliśmy, nawet ze szkodą dla twojej córki. I byłem głupcem, ponieważ miałaś rację. Nie jesteś dzieckiem. Jesteś dorosłą kobietą i potrzebowałaś znać prawdę.

Trzęsą mu się dłonie i to mnie przeraża.

– Jaką prawdę? – pytam. – O czym ty mówisz?

– Kiedy się poznaliśmy, Hannah tak się ciebie bała, że moczyła się prawie każdej nocy – mówi lodowatym głosem. – A ja, zamiast ci o tym powiedzieć, ukrywałem to, żeby cię chronić.

– Paul, pleciesz bzdury – mówię. – Hannah nigdy nie moczyła się w nocy, nawet kiedy była jeszcze małym dzieckiem. W wieku osiemnastu miesięcy umiała już korzystać z nocnika, a potem skrupulatnie przestrzegano chodzenia do toalety. Gdyby zaczęła się moczyć w wieku trzynastu lat, wiedziałabym o tym.

– Cóż, nie wiedziałaś – brnie dalej. – To biedne dziecko błagało mnie, żebym ci o niczym nie mówił. Panicznie bała się tego, co mogłabyś zrobić. Kiedy budziłaś się na kacu, zdążałem już zmienić pościel.

– Ach, spadaj, Paul! – bronię się. – Znam Hannah i, tak, były między nami nieporozumienia, ale później, kiedy miała już dobre naście lat. Nie bała się mnie. To śmieszne.

– Czyżby? – pyta. – Wiesz, kiedyś powiedziała mi, że kiedy miała pięć lat, zostawiła ją samą w ogródku przy piwiarni, a sama poszła zrobić siku za barem. Jaka matka coś takiego robi?

Na to wspomnienie moje policzki oblewa rumieniec.

– Zdarzyło mi się to tylko raz – tłumaczę się. – W rocznicę śmierci mojego taty, byłam w kiepskim stanie. To było niewłaściwe, wiem, że było, lecz nigdy już się więcej nie powtórzyło.

– Jak już wspomniałem, Sally, widzisz tylko to, co chcesz widzieć – powtarza. – A jak było z twoją matką, co? Jak nazywał się dom opieki, który dla niej znalazłem, ten, w którym umarła?

Myśli zasnuwa mi mgła. Dlaczego on mnie atakuje w ten sposób?

– Hmm, coś ze wzgórzem w nazwie – jąkam się. – Wzgórze z Widokiem?

– Wszystko pięknie, ale... – mówi z szyderczym uśmiechem – to była Wierzbowa Farma. Wiem, bo sam znalazłem to miejsce, opłaciłem i odwiedzałem tam twoją matkę dwa razy w tygodniu. Kiedy ją odwiedziłaś, Sally? Ach, prawda. Wcale jej nie odwiedzałaś.

– Miałyśmy z matką trudne relacje – wyjaśniam.

– Masz trudne relacje ze wszystkimi! – krzyczy. – I właśnie to jest takie irytujące. Obwiniasz wszystkich dookoła, lecz to ty psujesz ludziom krew. Nie dogadywałaś się ze swoją matką, nie dogadywałaś się z Kate, nie dogadywałaś się z Hannah, na mnie też nie możesz patrzeć. Jediną osobą, którą kiedykolwiek wydawałaś się lubić, był twój cholerny ojciec, a on był zapijaczonym popaprańcem. Zdaje się, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Nie! – krzyczę, zrywam się z łóżka i rzucam się na niego, wbijając paznokcie w jego twarz. – Nie waż się nigdy tak mówić. Nigdy więcej tak nie mów.

Chwyta mnie za nadgarstki i ściska je mocno, a kiedy mój gniew ustępuje, dostrzegam krew, która płynie po jego twarzy.

– To by było na tyle – mówi drżącym głosem. – Z nami koniec.

– Nie chciałam – szlocham, kiedy puszcza moje nadgarstki i rzuca się do drzwi.

– Przepraszam, Paul. Proszę, nie zostawiaj mnie, możemy to wszystko poukładać, proszę.

– Już za późno, Sally – stwierdza, ocierając krew z twarzy. – To koniec.

Dłużej tego nie zniosę. Paul odszedł. Bez niego nie zostało mi nic. Tylko duży, pusty dom. Najwyższy czas też odejść... Wino mnie znieczuli, a resztę dokończę za pomocą garści pigułek. Ładnie i schludnie.

Kładę się na plecach na łóżku i pogrążam się w oparach białego wina. Spar dopiero otwarto, kiedy przyszłam, a kobieta tylko potrząsnęła głową, przebiegając wzrokiem po moich trzech butelkach wina.

– Dość wcześnie, prawda?

Zwykle plotłam jej trzy po trzy o tym, że mam później jakąś kolację, ale tym razem nie mogłam zawracać sobie głowy jakimiś wymówkami.

– Tak, *jest* dość wcześnie – syknęłam, podając jej gotówkę – ale daję pani zarobić, więc w czym problem?

Czułam na sobie jej wzrok, kiedy wychodziłam ze sklepu. Musiałam wyglądać strasznie w płaszczu i kapciach, ale nie przejmowałam się tym. Nigdy więcej już jej nie zobaczę.

Kiedy wróciłam do domu, w głębi duszy miałam nadzieję, że zastanę go tam stojącego w kuchni, z tym wyrazem dezaprobaty na twarzy. „Wino, Sally, tak wcześnie rano? No naprawdę...”. Ale w domu nikogo nie było, więc wyjęłam kieliszek z szafki kuchennej i poszłam na górę.

Zamykam oczy i w głowie dzwoni mi jego głos. Był taki zły, taki rozgoryczony. Jakby mnie nienawidził.

Naprawdę odpycham od siebie ludzi. Paul ma rację. Ale jeśli przez całe dzieciństwo rozpaczliwie szukasz akceptacji własnej matki i nigdy jej nie dostajesz, dorastasz z przekonaniem, że jesteś nic niewarta. Jaki sens ma dopuszczanie do siebie ludzi, skoro tylko cię zranią?

Miłość, którą czułam do Hannah, kiedy przyszła na świat, była tak wielka, że za każdym razem, kiedy na nią patrzyłam, czułam się tak, jakbym miała umrzeć, jakby serce miało mi pęknąć. Była taka drobniutka, taka bezbronna i wiedziałam, że to mnie przerasta. Oddałam ją więc mamie i pozwoliłam jej robić rzeczy, których sama nigdy nie byłabym w stanie zrobić, jak karmienie kaczek, stanie godzinami i popychanie huśtawki, wszystko bez zniechęcenia. Dlatego właśnie Hannah tak bardzo kochała moją mamę, ponieważ mama była godna zaufania, taka, jakie powinny być matki, a ja byłam nieprzewidywalna i niezrównoważona. Wzdrygam się, kiedy przypominam sobie ten wieczór w pubie. Jej drobną twarzyczkę, kiedy zostawiłam ją w ogródku piwnym i weszłam do baru. Żadne dziecko nie zasługuje na taką matkę jak ja.

A teraz pozostał mi tylko alkohol.

Osuszam kieliszek i nalewam kolejny, i następny, aż pokój zasnuwa się różowawą mgłą. Zamykam oczy i tak dobrze mi w tej ciemności, że chcę się w nią zapaść. Kiedy leżę na plecach, widzę małego chłopczyka, który dryfuje w morzu. Fale spadają mu na głowę, a potem zapada cisza. Już po wszystkim. I myślę o tym, jaka kusząca musi być decyzja, żeby się poddać. Przestać oddychać i zapaść w długi, głęboki sen.

Już czas.

Sięgam do szafki nocnej obok łóżka i wyjmuję fiolkę tabletek nasennych. Picie powoduje, że źle sypiam, a kiedy budzę się w środku nocy, jedynym sposobem, żeby znowu zasnąć, jest szybkie połknięcie tabletki. Teraz wystarczy zwiększyć dawkę i będę mogła miło i przyjemnie zapaść się pod ziemię. Będę mogła pójść poszukać Kate i Davida i cały ten ból zniknie.

Przedziurawiam folię i wrzucam do ust jedną tabletkę, popijając ją łykiem wina. Zostało jeszcze osiemnaście, ale oceniam, że już połowa z tego spełni swoje zadanie. Wypycham kolejną z listka i właśnie mam ją włożyć do ust, kiedy słyszę pukanie do drzwi wejściowych. To Paul. Wrócił. Zmienił zdanie.

Wkładam pigułki z powrotem do szuflady i zatrzaskuję ją.

– Paul – wołam, zbiegając po schodach. – Już idę.

Serce mi pęka, kiedy dostrzegam przez szybę sylwetkę jakiejś kobiety. To pewnie ta wścibska Sandra z sąsiedniego domu. Jedyna kobieta, która puka do naszych drzwi, zazwyczaj dlatego, że ma jakieś pretensje.

– O co chodzi tym razem? – warczę, otwierając drzwi.

Ale to nie Sandra. To jakaś młoda kobieta. Wygląda, jakby była z Bliskiego Wschodu, i ma na sobie piękną błękitną suknię i pasującą do niej chustę.

– Sally? – pyta.

Kiedy słyszę jej akcent, uświadamiam sobie, że pewnie chodzi o Kate. Ona musi być z konsulatu.

– Czy przyszła pani w sprawie mojej siostry?

Potakuje głową.

– Wobec tego proszę wejść – zapraszam.

Kiedy prowadzę ją do środka, od alkoholu i pigułek nasennych kręci mi się w głowie. Sciska mnie w żołądku. Nie jestem na to w ogóle przygotowana. Powie mi o śmierci Kate i wiem, że to nie będzie nic dobrego. Zabieram ją do kuchni i pytam, czy napije się herbaty. Przydałoby się coś mocniejszego, ale sposób, w jaki jest ubrana, podpowiada mi, że zapewne by tego nie zaakceptowała.

– Musiała pani przyjechać z daleka – stwierdzam, nalewając wodę do czajnika.

– Nie, nie z tak daleka – mówi, rozglądając się niepewnie dookoła.

– Może pani usiądzie? – proponuję. – Proszę się rozgościć.

Przyglądam się, jak siada przy stole. Jest bardzo zdenerwowana. Jej twarz drga co jakiś czas i zastanawiam się, czy to skutek życia w Syrii. Taki rodzaj nerwicy frontowej.

– Proszę bardzo. – Stawiam przed nią kubek herbaty. – Cukier jest na stole, jeśli pani słodzi.

– Dziękuję – odpowiada, ale kiedy pije łyk, ręce zaczynają jej się trząść i oblewa się herbatą. – Przepraszam – mówi, odstawiając kubek. – Niezdara ze mnie.

– Proszę się nie wygłupiać – bagatelizuję, podając jej ściereczkę do naczyń. – To zapewne moja wina. Zbyt dużo nalałam. Mam nadzieję, że nie zaplamiła pani sobie swojej pięknej sukni.

Wyciera wilgotną plamę, a ręce nadal jej się trzęsą, potem kładzie ściereczkę na stole i obejmuje dłońmi na wpół pusty kubek.

– Czyli znała pani moją siostrę – zagajam, siadając obok niej.

– Tak, trochę – odpowiada. – Spotkałyśmy się zaledwie kilka razy, ale była bardzo miła. Chciała mi pomóc.

Unoszę brwi do góry.

– To podobne do Kate – mówię, upijając łyk herbaty. – Wszystkim chciała pomóc. Taka się już urodziła.

– Tak bardzo mi było przykro, kiedy dowiedziałam się o jej śmierci.

– Tak – przyznaję. – To był ogromny szok. Pani też wtedy tam była, prawda?

– Gdzie tam?

– W Syrii – wyjaśniam. – Była pani z nią?

– Ach, nie – tłumaczy. – Nie pochodzę z Syrii. Mieszkam obok domu pani matki.

Mam na imię Fida.

Odstawiam kubek, serce wali mi jak młotem.

– W domu Paula?

– Tak.

– Czy to przez panią aresztowano moją siostrę?

– Tak, ale to wszystko było ogromną pomyłką.

– Ogromną pomyłką? – pryham. – Jeśli dobrze rozumiem, została zmuszona do wyjazdu z Herne Bay, ponieważ pani wezwała policję. Gdyby pani tego nie zrobiła, wtedy nie pojechałaby do Aleppo. Nie zginęłaby.

– To było nieporozumienie – wyjaśnia, patrząc na mnie błagalnie. – Jeśli pani pozwoli, mogę wytłumaczyć.

– Nie chcę, żeby pani mi cokolwiek tłumaczyła! – krzyczę, a serce wali mi jak młotem. – Już za późno. Moja siostra nie żyje.

– Ale ja muszę pani coś powiedzieć – wyznaje. – Potrzebuję... Potrzebuję pani pomocy. Mam...

– Chciałabym, żeby pani wyszła – mówię, wstając z krzesła.

– Proszę pozwolić mi powiedzieć! – krzyczy.

– Posłuchaj, skarbie, nie interesuje mnie to – sarkam, krzyżując ramiona na piersiach. – A teraz spływaj.

Wstaje, a ja odprowadzam ją do drzwi.

– Przepraszam – mówi, odwracając się do mnie. – Ja tylko chciałam...

– Nie słyszałaś?! – krzyczę, otwierając drzwi na oścież. – Powiedziałam, wynos się!

Wchodzę z powrotem do domu. Jestem zadowolona, że ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam w życiu, było to, że stanęłam w obronie mojej siostry. Teraz już sobie z tym poradzę. Biorę kolejną butelkę wina na wypadek, gdybym jej potrzebowała. Ale kiedy idę na górę po schodach, słyszę jakiś stukot. Odwracam się i dostrzegam stertę poczty, która leży na wycieracze.

Na samym wierzchu dostrzegam grubą kopertę bąbelkową. Schylam się i podnoszę ją. To pewnie coś dla Paula – nikt do mnie niczego nie przysyła. Ale wtedy dostrzegam moje imię wydrukowane drukowanymi literami i logo gazety Kate na odwrocie. Rozdzieram przesyłkę, zastanawiając się, co to może być. Zaglądam do środka i widzę cienki, czarny przedmiot. Wyciągam go i trzymam trzęsącymi się rękami.

Dyktafon. Porysowany, poszczerbiony, z częściowo roztopioną plastikową obudową, ale wiem, co to jest. Z pewnością nie jest to...

Jest tam coś jeszcze. Znów wkładam rękę do bąbelkowej koperty i wyjmuję kartkę papieru. Zabieram kartkę i dyktafon do kuchni, po czym siadam przy stole, żeby ją przeczytać.

Sally,

chciałbym złożyć moje najgłębsze kondolencje z powodu straty Twojej siostry, Kate. Była odważną i wspaniałą kobietą i najlepszą dziennikarką, z jaką kiedykolwiek pracowałem. Ten dyktafon został znaleziony przez jednego z ratowników niedaleko miejsca, gdzie po raz ostatni ją widziano. Przesłano go do redakcji, ale po wysłuchaniu zawartości uznałem, że ten przedmiot ma charakter bardziej osobisty niż zawodowy. Sama się zorientujesz, kiedy tego posłuchasz.

Współpracuję ściśle z Ministerstwem Obrony i konsulatem w Syrii i skontaktuję się, jak tylko będę miał więcej informacji dla Ciebie.

Tymczasem jeśli mogę służyć Ci jakąkolwiek pomocą w tym trudnym czasie, proszę, kontaktuj się ze mną śmiało.

Z pozdrowieniami

Harry Vine

Harry Vine. Przewijam sobie to nazwisko w głowie, a potem zaskakuje. Harry. Redaktor naczelny Kate. Opowiadała o nim za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do domu. Zawsze mawiała: „Harry będzie tym zachwycony” albo „Zaczekaj, aż powiem

Harry'emu, nie uwierzy". Była matką chrzestną jego dzieci, o ile sobie dobrze przypominam. Dwóch dziewczynek. Pamiętam, że byłam zazdrosna o jej relację z tym całym Harrym i jego rodziną, i zastanawiałam się, dlaczego nie może być w takich relacjach z Hannah i ze mną.

Kiedy składałam list i kładę go na kuchennym blacie, wracam myślami do czasów, kiedy Kate przyjeżdżała w odwiedziny do domu. Nienawidziłam tego. Mama całymi dniami sprzątała i upewniała się, że kupiliśmy odpowiednie jedzenie. A potem siedzieliśmy nieruchomo na sofie, czekając, aż nadjedzie. Ulubiona córka. Wpadała i wyglądała nieskazitelnie i stylowo, a ja czułam się przy niej jak obdartus w tych ciuchach z taniego domu towarowego. Siedziałam tam, patrząc na nią i zastanawiając się, jak ona to robi. Jakim sposobem ma takie szczęście po tym, co kiedyś zrobiła. Jakby miała na sobie niewidzialną pelerynę, która chroni ją od złego. Wszystko, czego się dotknęła, zamieniało się w złoto. Tymczasem ja byłam jej dokładnym przeciwieństwem.

Jednak cały czas nie była przecież w stanie udawać. Niekiedy dostrzegaliśmy prawdziwą Kate i nie było w tym nic pięknego. Tak jak wtedy, kiedy przyjechała na dziesiąte urodziny Hannah, która już nigdy potem nie doszła do siebie. Żadna z nas nie doszła do siebie. Nawet mama była zszokowana. Wiedzieliśmy, że Kate właśnie wróciła z dość makabrycznej misji w Gazie, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak wielki wywarło to na nią wpływ. Mama kupiła Hannah na urodziny lalkę Barbie i mała była taka podekscytowana... Podawała lalkę z ręki do ręki wszystkim swoim przyjaciółkom na przyjęciu, żeby mogły uczesać jej włosy i zmienić ubranka. To był piękny dzień i zanim pokroiliśmy tort, wszystkie dzieciaki wysypały się do ogrodu, żeby się pobawić. Stałam w kuchni, licząc świece, kiedy w drzwiach, za moimi plecami, pojawiła się Kate. Trzymała w rękach lalkę i miała dziwny wyraz twarzy.

– Zachodnie dzieci są takie rozpieszczone, że robi mi się niedobrze – powiedziała, wchodząc do kuchni. – Spójrz na to wszystko. To jakaś groteska.

– Oj, daj spokój, Kate, to tylko kilka kielbasek i kawałek tortu – powiedziałam. – Pod żadnym względem nie jest to szczyt luksusu.

– Spędziłam ostatnie kilka tygodni, rozmawiając z dziećmi, które nie mają niczego – oznajmiła wyniosłym i pełnym namaszczenia głosem. – Żadnej zabawki, żadnej książki. Większość z nich nie ma nawet dostępu do bieżącej wody. Gdybyś zobaczyła te dzieci, Sally, zastanowiłabyś się dwa razy, zanim nadmiernie dogodzisz własnemu dziecku.

– Nie dogadzam jej nadmiernie – odrzekłam. – To jej urodziny. A teraz, proszę, nie rób scen.

– Scen?! – wrzasnęła. – Ach, tak. Zapomniałam. To jest dla ciebie najważniejsze, prawda? Siedzieć cicho. Nie kwestionować niczego. Nie robić pieprzonych scen, jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi.

Już miałam jej odpowiedzieć, kiedy przez tylne drzwi weszła Hannah.

– Widziałyście moją lalkę? – zapytała, podnosząc na nas wzrok. – O, jest. Mogę ją dostać z powrotem, ciociu Kate?

I wtedy Kate zrobiła coś tak potwornego, że sama myśl o tym nadal sprawia mi ból. Podeszła do Hannah z diabolicznym wyrazem twarzy i powiedziała:

– Wiesz co, Hannah. Pobawmy się w Strefę Gazy.

Potem urwała lalce głowę i rzuciła ją na podłogę.

Hannah wpadła w histerię. Jej krzyki przywołały mamę i dzieciaki z ogrodu. Mama natychmiast zauważyła wyraz twarzy Kate i wkroczyła do akcji, mówiąc Hannah, że wyślemy lalkę do szpitala dla zabawek i będzie jak nowa. Potem wyniosłyśmy tort do ogrodu i zapaliłyśmy świece. Ale urodziny i tak miałyśmy już zepsute, a kiedy przyjaciele Hannah poszli do domu, ona położyła się na łóżku i płakała, aż w końcu zasnęła. Po tym wszystkim między nią a Kate już nic nie wyglądało tak samo. Ukochana ciocia stała się kimś innym, kimś nieprzewidywalnym i przerażającym.

Tyle że ja już wcześniej o tym wiedziałam...

Siadam przy stole i biorę do rąk dyktafon, gmerając przy przyciskach. Mam poczucie, że robię coś niewłaściwego. Dyktafon należał do Kate i czuję się jak intruz, kiedy naciskam przycisk „play” i czekam. Początkowo słyszę tylko głośny szum. Urządzenie musi być zepsute. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, w jakim jest stanie. Naciskam „stop”, po czym próbuję jeszcze raz. Uruchamia się z trzaskiem i słyszę jakiś głos, tyle że on nie należy do Kate. To głos mamy...

Próba mikrofonu, próba mikrofonu. Tak się to mówi, prawda? Mam mówić do tego czegoś, ponieważ ciągle zapominam, gdzie zostawiłam okulary. Kate mówi, że musiałabym przekopywać się przez całą stertę karteczek, skoro jestem roztargniona, więc kupiła mi to ładne, nowe coś. Chociaż mówiłam jej, żeby nie zawracała sobie tym głowy. Jestem za stara na te nowomodne bzdury.

Łzy płyną mi po twarzy, kiedy siedzę, słuchając głosu mojej matki. Brzmi tak staro, tak słabo. Nie byłam przy niej w tych ostatnich miesiącach życia. Wciąż było we mnie tyle złości, tyle żalu...

– Och, mamó – szepczę, kiedy głos zanika.

Rozlega się biały szum i domyślam się, że to już koniec. Podnoszę dyktafon i próbuję znaleźć przycisk przewijania do tyłu. Ale potem ona znowu zaczyna mówić:

Mówię ci o tym, ponieważ wiem, że oni wszyscy mają mnie za stukniętą, ale do tej pory widziałam go już dwa razy i było go widać wyraźnie jak na dłoni.

Co? Nie, to niemożliwe. Przewijam taśmę do tyłu, żeby jeszcze raz odsłuchać ten fragment, po czym puszczam nagranie dalej:

Tam mieszka mały chłopiec. Drobną, małą istotką. Nie ma więcej niż trzy, cztery latka. Mieszka w tym domu obok. Widuję go cały czas. W ogrodzie, przed szopą, śmiga szybko jak jakiś mały chochlik. I słyszę także jego głos, przeważnie nocą. Słyszę, jak płacze za mamusią. Paul uważa, że umysł zaczyna mi szwankować, może ma rację... Widzisz, ten mały jest wierną kopia mojego synka, mojego Davida. Tak bardzo za nim tęsknię.

Mały chłopiec... Przypominam sobie teraz, co powiedziała Kate. Podczas tej ostatniej rozmowy telefonicznej.

Sally, dzwonię, żeby prosić cię o przysługę. To naprawdę ważne... Potrzebuję, żebyś miała na oku ten dom obok domu mamy...

W głowie mi się kręci, kiedy siedzę z tym urządzeniem w rękach, próbując znaleźć sens w tym, co mówi moja matka. Być może czegoś nie dosłyszała, ale też widziała jakiegoś chłopca. Podobnie jak Kate.

Potem powracają do mnie słowa Fidy. Co ona próbowała mi powiedzieć?

Potrzebuję pani pomocy.

Odkładam dyktafon i wstaję z krzesła. Coś dziwnego dzieje się w tamtym domu. Biorę płaszcz z końca schodów i zmierzam ku wyjściu, a w uszach dźwięczy mi głos Kate:

Sally, proszę...

Tym razem obiecuję jej nie zawieść.

Kiedy docieram na Smythley Road, słońce właśnie zachodzi. Stary dom mamy jest cały oświetlony pomarańczowymi promieniami zachodzącego słońca. Dzięki temu wygląda ładnie, chociaż to tylko wysłużony bliźniak. Przypominają mi się te niedziele wielkanocne, kiedy mama wyciągała nas na plażę w Reculver, żeby zobaczyć tańczące słońce.

Kiedy idę w kierunku domu, wyraźnie widzę całą naszą trójkę. Siedzimy przytulone do siebie, owinięte sfatygowanym kocem plażowym, czekając, aż wszędzie słońce. „Spójrzcie na wodę”, krzyczy mama, i ono się tam pojawia. Słońce, niczym duża pomarańczowa piłka plażowa podskakująca na falach. „Ono tańczy”, krzyczy Kate. „Naprawdę tańczy”.

To była jedynie iluzja. To woda się ruszała, a nie słońce. Wiedziałam o tym i uważałam to wszystko za głupie. Bajeczka dla dzieci przekazywana w rodzinie. Ale Kate i matka wierzyły w to i siedziały tam jak zahipnotyzowane, pogrążone w swoim własnym, małym świecie fantazji, podczas gdy słońce przemykało po falach.

A jeśli to wszystko też jest złudzeniem, myślę sobie, kiedy wspinam się do góry wzdłuż podjazdu. A jeśli ten dzieciak jest jedynie wytworem wyobraźni mojej matki i Kate? Tak czy owak, czuję się dobrze, że w ogóle coś robię. Może właśnie tak czuła się Kate, kiedy w jakimś odległym miejscu badała czyjaś historię.

Kiedy podchodzę do drzwi wejściowych, zauważam, że są otwarte. Kto zostawia otwarte drzwi o tej porze wieczorem, myślę sobie, delikatnie pukając.

– Halo? – wołam. – Jest tam kto?

Przez uchylone drzwi widzę, że dom jest pogrążony w ciemnościach. Nagle czuję strach. Może powinnam wracać i przyjść tu jutro, w ciągu dnia, kiedy będzie więcej ludzi na ulicy. Ale wtedy znowu przychodzi mi na myśl Kate. Muszę jej pokazać, że potrafię być silna. Biorę głęboki oddech i wchodzę do środka.

W korytarzu jest tak ciemno, że prawie nic nie widzę. Serce gwałtownie mi bije, kiedy wchodzę dalej.

I wtedy, w miarę jak moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, dostrzegam ją. Leży w dziwnej pozie u podnóża schodów, zasłaniając twarz rękami. Szlag. Co się stało? Podchodzę do niej i odsuwam jej rękę. Twarz ma umazaną krwią.

– Fida – mówię, próbując się uspokoić. – Fida, co się stało? Spadłaś?

Mamrocze coś, czego nie rozumiem.

– Musisz jechać do szpitala – namawiam. – Mogłaś sobie coś złamać.

Sięgam do kieszeni, po czym uświadomiłam sobie, że nie zabrałam telefonu. Nie korzystam z niego. Musi być gdzieś w domu.

– Fida, masz komórkę? Albo telefon stacjonarny?

– Szz... – mówi, wskazując ręką za mnie.

– Co? – pytam, nie mając odwagi tam spojrzeć.

– Szz... – powtarza tylko z wytrzeszczonymi oczami.

Spoglądam przez ramię w ciemność. Nic tam nie ma.

– Gdzie jest telefon, Fido?

– Szs... – Chyba próbuje mi coś powiedzieć.

Idę przez korytarz, ale nie widzę telefonu. Czuję coś lepkiego pod stopami. Wzdrygam się. To krew. Dom nią śmierdzi. Pamiętam ten zapach. Taki zapach miało moje dzieciństwo. Chociaż Kate zawsze była pierwsza na miejscu zbrodni, ja chowałam się za nią, stając na palcach, żeby zobaczyć, w jakim stanie tym razem była matka. Nawet jeśli Kate próbowała mnie odgonić, i tak widziałam siniaki. I tak czułam zapach krwi.

Muszę ją stąd wyciągnąć. Może zdołam ją zabrać do domu mamy, jakoś się chyba tam dostanę, a potem stamtąd zadzwonię na policję.

– Szs... – z trudem dyszy, po czym osuwa głowę na stopień.

– Przykro mi, kochanie, nie słyszę cię – mówię do niej, a serce wali mi jak młotem.

– Posłuchaj, będziemy musiały jakoś postawić cię na nogi.

Potrząsa głową, po czym chwyta mnie za rękę. Ma płytki oddech, kiedy z trudem wydobywa z siebie słowa.

– On... poszedł.

– Kto poszedł?

Czy ma na myśli swojego męża?

Wywraca oczami.

– Szs... – mówi, krzywiąc się z bólu. – Szopa. – To słowo wypada z jej ust niczym kamień.

– Szopa? On jest w szopie?

Jestem przerażona. Chcę uciekać. Ale Fida mocniej ściska mnie za ramię.

– Ty... musisz... tam... pójść... – ledwie wypowiada każde słowo, przy każdej sylabie ściska mnie mocniej za ramię. – Chłopiec...

Kładzie się z powrotem, wyczerpana trudem wydobywania z siebie słów, po czym unosi głowę i patrzy na mnie błagalnym wzrokiem.

– Proszę...

– Twój synek jest w tej szopie?

Kiwa głową.

– Pomóż mu – dyszy.

Potem głowa opada jej do tyłu. Kładę dłoń na jej klatce piersiowej. Nadal oddycha, ale wygląda, jakby zemdląca.

Wstaję, serce mi łomocze. To dla mnie zbyt wiele. Muszę wezwać policję. Lecz jeśli temu dziecku coś się stanie w czasie, kiedy mnie tutaj nie będzie, nigdy sobie tego nie wybaczę. To jedyne dziecko, któremu mogę pomóc.

Zdejmuję płaszcz i delikatnie przykrywam nim Fidę, po czym pokonuję drogę przez dom.

Bądź odważna, mówię sobie, kiedy otwieram tylne drzwi i wychodzę do ciemnego ogrodu. Bądź jak Kate.

Kiedy idę przez trawnik w kierunku szopy, mam uczucie, jakby nogi za chwilę miały się pode mną ugiąć. Co ja, do cholery, robię? Czuję się dezorientowana po winie i pigułkach, ale wiem, że muszę to zrobić. Jeśli zdołam pomóc temu chłopcu, to wreszcie w ciągu trzydziestu pięciu lat życia na tej ziemi zrobię coś dobrego. Może potem Paul będzie ze mnie dumny. Zobacz, że potrafię być dobrym człowiekiem.

Docieram do szopy. Drzwi są otwarte na oścież. Liczę do trzech, po czym wchodzę do środka.

– Halo! – wołam, a serce wali mi tak szybko, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. – Halo! – powtarzam. – W porządku. Możesz wyjść. Przyszłam, żeby ci pomóc.

Kiedy oczy przyzwyczajają się do ciemności, dostrzegam, że to po prostu zwyczajna szopa ogrodowa z doniczkami na rośliny i starymi pudłami. Czego ja się spodziewałam? Lochu? Fida musiała bredzić od uderzenia w głowę. Tutaj nie ma gdzie ukryć dziecka. On musi być w tym domu.

Właśnie mam wyjść, kiedy słyszę jakiś dźwięk. Szelest dobiegający z głębi szopy. Sztywnieję.

– Halo! – wołam, a głos znowu mi drży.

Jestem przerażona, tak bardzo przerażona. I wtedy dostrzegam, że w przeciwległym kącie coś się rusza. Podchodzę bliżej i on tam jest. Drobnny chłopiec siedzący w kucki za kompletem drabin.

– O Boże – mówię łagodnie, a serce wali mi jak młotem.

Podchodzę do niego, a on ze strachu cofa się jeszcze dalej w głąb kąta.

– Już dobrze – szepczę, wyczuwając jego strach. – Nie zrobię ci krzywdy.

Chłopiec mamrocze coś pod nosem.

– Co powiedziałaś, kochanie?

Kłękam i ostrożnie przesuwam się w jego stronę. Przypominam sobie, że Hannah jako dziecko była taka nieśmiała i nie lubiła, kiedy dorośli stali jej nad głową. Przerazało ją to. Mama mawiała: „Jeśli zrobisz się mała, dzieci ci zaufają”.

– Jak ci na imię? – pytam go.

Teraz jestem obok niego i siadam na podłodze, opierając ręce na kolanach.

Zerka na mnie przez chwilę, po czym znowu chowa twarz. Ma takie drobne rączki.

– Co ty tutaj robisz? – pytam go. – Bawisz się w chowanego?

Patrzy na mnie w osłupieniu, więc próbuję jeszcze raz.

– Może pójdziemy i znajdziemy mamusię?

Kiwa głową, po czym coś szepcze. Nachylam się bliżej, delikatnie biorę go za rączkę i wyciągam z jego kryjówki.

– Co powiedziałaś, skarbie?

– Znajdź mamusię – prosi, po raz pierwszy patrząc mi w oczy.

– Chodźmy więc – mówię, stając na nogach. – Chodźmy i poszukajmy mamusi.

– Wyciągam rękę, ale on zostaje tam, gdzie jest. – No chodź – proszę.

– Nie! – krzyczy, potrząsając głową. – Nie wychodź tam! Tam jest zły pan.

To biedne dziecko jest przerażone, a ja nie wiem, co robić. Domyślam się, że ten

„zły pan” to jego ojciec i jeśli przyjdzie i go tutaj znajdzie, to mamy pozamiatane. Muszę zabrać chłopca i Fidę do domu mojej mamy, a potem mogę się zastanowić, co dalej.

– Nie ma złego pana – mówię, klękając obok niego. – Już sobie poszedł. Ale znam miłe miejsce, do którego możemy pójść. To dom *mojej* mamusi i założę się, że będą tam herbatniki. Zaczekamy tam na twoją mamę.

– Mamusi tam nie ma! – krzyczy. – Mamusia tutaj na dole!

Pokazuje na podłogę.

– Nie bądź głuptasem – mówię. – Twojej mamusi tam nie ma.

– Jest! – krzyczy. – Ona na dole! – Osuwa się na kolana i odgina kawałek starego dywanu. – Tam – mówi.

Podchodzę do miejsca, gdzie klęczy. W podłodze jest wycięty kwadratowy kształt. Przyklękam, żeby przyjrzeć się bliżej. To rodzaj kłapy z ogromną, metalową zasuwą wbudowaną w podłogę.

– Co masz na myśli? – pytam, podnosząc na niego wzrok.

Mówi coś, ale nie słyszę, więc wstaję i podchodzę do niego. Potykam się o stare, metalowe wiadro, które z hukiem spada na kamienną posadzkę. Przestraszony tym dźwiękiem, chłopiec zamierza mi uciec.

– Szs, już dobrze – mówię, biorąc go za rączkę. – Nie panikuj. To tylko stare, głupie wiadro.

Jest przerażony. Jego małe ciało trzęsie się w moich ramionach, a ja delikatnie głaszczę go po głowie. Włosy śmierdzą mu stęchlizną. Jakby nie były myte od wielu tygodni.

– Już dobrze – szepczę, chociaż sama jestem przerażona.

– Mamusia – znowu powtarza, wyswobadzając się z moich ramion. – Mamusia tam na dole.

Podchodzi do kłapy i wskazuje na nią. Jeśli to jest jakaś zabawa, to może powinnam się do niej dołączyć. Rozbawić go trochę, dopóki nie zdołamy stąd wyjść.

– Ona tam jest? – pytam łagodnie, znowu do niego podchodząc. – Pod tymi drzwiami?

Kiwa głową.

– Otwórz – mówi. – Otwórz teraz.

Przykucam i ciągnę za rygiel. Zacina się, więc szarpię nim. W końcu się przesuwam i ciągnę rygiel do siebie. Kiedy to robię, wąska struga światła sączy się do góry, a chłopiec przeciska się obok mnie i znika we włazie.

– Zaczekaj – wołam, nachylając się nad dziurą. Dostrzegam schody poniżej. Chłopiec znika w ciemnościach.

Muszę go stamtąd wydostać. Idę w dół. Schody są zrobione z drzewa, coś jak te na zaadaptowanych strychach, i prowadzą mnie do szerokiego, przestronnego pomieszczenia, słabo oświetlonego przez jedyną żarówkę na środku sufitu.

Wewnątrz unosi się smród potu i wilgoci, i stojąc tam tak, zasłaniam usta dłonią. Co to za miejsce, u diabła? Widzę odsłonięte ściany z cegły z wystającymi ze szpar kępami żółtej izolacji. Kiedy przesuwam się do przodu, dostrzegam zawilgły jednoosobowy materac przykryty cienką kołdrą, wciśniętą pod ścianę. Na kołdrze

widnieje wzór z wyblakłymi postaciami z kreskówek.

Wchodzę dalej do środka, nadal zasłaniając usta dłonią. Nie mam odwagi, żeby je odsłonić, ponieważ smród jest tak intensywny, że obawiam się, że zwymiotuję. Uderzam w coś stopą i teraz ten przedmiot turla się po podłodze. Wytężam wzrok, by zobaczyć, co to takiego. Serce mi łomocze. To srebrne pióro. Wydaje mi się znajome.

Odwracam się, żeby znaleźć chłopca. Jest po drugiej stronie pomieszczenia. Zdaje się, że stoi tam kolejne łóżko wciśnięte pod ścianę.

– Mamusiu, obudź się – krzyczy, gramoląc się na łóżko, i wtedy dostrzegam jakieś wybrzuszenie, które leży na samym środku.

Przeszywa mnie chłód. W tym łóżku ktoś jest. Jego mamusia.

– Pani jest tutaj! – krzyczy. – Pani pomoże! Ona jest miła.

Zdziera pościel i widzę kępę brudnych blond włosów. Kim jest ta biedna kobieta? Chłopiec wtula się w jej ramiona, a ona obsypuje jego buzię pocałunkami.

– Hm, dzień dobry – mówię. – Jestem Sally. Ja...

Kobieta podnosi głowę. Zaglądam jej w oczy i mój świat przestaje istnieć.

– Mama? – szepcze.

– Hannah! – wydaję z siebie stłumiony okrzyk. – Co... co ty tutaj robisz?

– David jest zmęczony – mówi chłopiec. – Mamusia przytuli Davida.

Hannah bierze chłopca w ramiona i kołysze go tak, jak ja ją kołysałam, kiedy była mała.

– To twój synek? – pytam. Nie wiem, cóż innego miałabym powiedzieć.

Podnosi wzrok i kiwa głową, a ja czuję się tak, jakby ktoś wyrwał mi serce.

Nie jestem w stanie tego wszystkiego znieść.

Potem słyszę kroki dobiegające z góry.

– Sally?

Odwracam się na dźwięk jego głosu i odrywam dłoń od ust.

– Och, dzięki Bogu, że tu jesteś – krzyczę.

Ale on, zamiast podejść do mnie, rusza do Hannah.

– Znaleźliśmy ją, Paul – szlocham. – Naszą dziewczynkę.

Podchodzę do nich, ale coś mnie powstrzymuje. Paul przyciąga Hannah do siebie i obejmuje ją ramieniem. Wygląda na wkurzonego.

– Paul? – pytam.

A potem to zauważam. Trzyma coś w dłoni. Coś błyszczącego.

– Co ty wyprawiasz, Paul, ty głupolu?

Wypowiadam te słowa lekko i śmiało i muszę powstrzymywać się od śmiechu. To jakiś kawał, tak?

– Sally, zapytajmy raczej – odzywa się – co ty tutaj robisz? Skąd się tu wzięłaś? Skończył ci się alkohol?

To nie żaden kawał. To się dzieje naprawdę.

Paul trzyma Hannah między nami, jest tak blisko mnie, że czuję na skórze jej oddech, zupełnie jak wtedy, kiedy była niemowlęciem i zasypiała w moich ramionach. Jej śliczne blond włosy zostały obcięte na krótko, są całe poplątane i tłuste. Tak bardzo przywiązywała wagę do tych włosów, były jej dumą i radością.

– Twoje włosy... – szlocham. – Co się stało z twoimi ślicznymi włosami?

Moja piękna, niebieskooka dziewczynka, która zniknęła tamtego dnia ponad pięć lat temu, stała się kobietą. Wyniszczoną kobietą z zapadniętymi oczami. Wpatruje się we mnie, potem mruga i odwraca się, a ja czuję, jak wzbiera we mnie coś, czego brakowało mi od tamtego dnia, kiedy odeszła. To moja córka i zrobię wszystko, żeby ją stąd wydostać. Nie ma silniejszego uczucia niż miłość matki.

– Hannah – szepczę, wyciągając do niej rękę. – Już dobrze. Jestem tutaj.

Kiedy mówię, Paul odciąga ją do tyłu. Nie chcę jeszcze uświadomić sobie, co on trzyma w dłoni.

Śmieje się.

– To najzabawniejsza rzecz, jaką od dawna słyszałem. Teraz jesteś. Czyż to nie jest słodkie?

– To moja córka, Paul – mówię, nie spuszczać z niego wzroku.

– Ha – parska. – A to dobre. Twoja córka? Nigdy nie byłaś dla niej dobrą matką.

Byłaś porażką. Dlatego właśnie musiałem w to wkroczyć, dać tej dziewczynie odrobinę poczucia bezpieczeństwa, trochę nią pokierować.

Wyciąga drewniane krzesło z boku pomieszczenia i siada na nim, nadal trzymając Hannah przyciśniętą do swojej klatki piersiowej. Dlaczego ona się nie odzywa? Dlaczego po prostu go nie odepchnie?

– Paul, co się dzieje? – pytam go, przesuając się powoli w ich stronę. – Po prostu ją puść.

Wpatruje się we mnie, a ja wytrzymuję jego wzrok.

– Puszczę ją, jak będę na to gotowy – wyjaśnia, nie odwracając wzroku. – Ale najpierw chcę ci powiedzieć kilka rzeczy, a jeśli będziesz próbowała zrobić coś głupiego, Sally, poderżnę jej gardło.

Wysuwa rękę spod jej klatki piersiowej i wtedy dostrzegam, że ściska w dłoni nóż. Przesuwa go w kierunku twarzy Hannah.

– Paul, do kurwy nędzy! – krzyczę. – Proszę! Dlaczego to robisz?

– Dlaczego to robię? – pyta spokojnie. – Hmm... Dobre pytanie. Robię to, ponieważ nie zostawiłaś mi żadnego wyboru. Zawsze byłem niańką, frajerem od beznadziejnych przypadków. Jak sądzisz, dlaczego skończyłem z tobą? Ale potem nadszedł czas, kiedy musiałem podjąć decyzję. Musiałem wyciągnąć Hannah z tej niebezpiecznej sytuacji i umieścić ją w jakimś niezagrożonym miejscu. Prześladowałaś własne dziecko, Sally. Ktoś musiał ją z tego wyciągnąć.

Czuję, jak wzbiera we mnie znajomy gniew – wspomnienie z dzieciństwa, które spędziłam, tłumiąc go i cały czas próbując zachować spokój. Ale jeśli chcę wyciągnąć stąd Hannah, muszę raz jeszcze przełknąć swój gniew. Pozwól mu mówić dalej, strofuję się w myślach, powoli osuwając się na podłogę i przyciągając do siebie kolana. Pozwól mu mówić, aż nadejdzie właściwy moment.

– Dziękuję – mówię, próbując zapanować nad swoim głosem. – Dziękuję, że tak dobrze się nią zaopiekowałeś.

Hannah patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi. Jest zdezorientowana, ale porozumiewawczo kiwam głową w jej stronę.

– Jeśli ją wypuścisz – kontynuuję – powiem policji, jak dobrze zrobiłeś, że dałeś jej bezpieczne schronienie, z dala od kłótni, z dala ode mnie. Oni rozumieją. Powiem im, że to wszystko moja wina.

– Ty głupia suko! – krzyczy, zrywając się na nogi i chwytając Hannah za gardło. – Myślisz, że jestem, kurwa, idiotą?! Nikt z nas stąd nie wyjdzie! Rozumiesz?! Nikt!

Siedzę na podłodze z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej, wpatrując się w ścianę przede mną. Widnieją na niej jakieś słowa wypisane czerwonym długopisem. Jedno słowo wyróżnia się. To, które zostało napisane wiele razy – „mama”.

– Wzruszające, prawda?

Paul uśmiecha się. Jak ten gnojek może się uśmiechać po tym, co zrobił?

Nie odzywam się. Jeśli się odgryzę, to tylko ułatwię mu zadanie.

– Popatrz na to – mówi. – Potrafisz to przeczytać? Tutaj jest napisane: „Pomóż mi, mamo”. Czyż to nie słodkie? Upominanie się o swoją mamę. Ale mama nigdy nie przyszła, prawda, Hannah? Była zbyt zajęta upijaniem się. Powiedziałem jej, możesz pisać, co chcesz, to mi nie przeszkadza, ponieważ jedno jest pewne – twoja matka nie przyjdzie. Twoja matka nie była nawet w stanie mieć tego w dupie. Mam rację, prawda, Sally?

Potrząsam głową. Moja dziewczynka mnie wzywała, a ja nie potrafiłam jej usłyszeć.

David kwili na łóżku i wstaje, żeby pójść go uspokoić.

– Zostaw go – warczy Paul.

– On jest przerażony – tłumaczę. – To tylko małe dziecko.

– Powiedziałem, zostaw go!

Dźga nożem w ścianę i znowu siadam, ciało mam odrętwiałe z powodu szoku i strachu.

– Czyj on jest? – pytam, próbując zagłuszyć jego płacz.

Paul śmieje się i ściska mocniej Hannah.

– Sama chcesz jej o tym powiedzieć czy ja mam to zrobić?

Hannah zwiesza głowę.

– Dobrze. To ja jej powiem – mówi, wywracając oczami. – On jest mój, ty głupia suko. Dzieciak jest mój. I to twoja wina.

David nadal płacze, a powietrze wokół mnie coraz bardziej się zagęszcza. Nie mogę oddychać, kiedy siedzę tutaj, słuchając człowieka, którego kiedyś kochałam, opisującego, jak molestował seksualnie moją córkę.

– Zawsze byłaś schlana – stwierdza, zaciskając mocniej rękę na klatce piersiowej Hannah. – Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Nie piłaś, powiedziałaś, że widzisz światełko i stałaś się abstynentką. Ale wystarczyła tylko mała zachęta i zanim się obejrzałaś, byłaś starą pijaczką, zupełnie jak twój ojciec. Podobało mi się to. Obserwowanie, jak się wyniszczasz. A ty byłaś taka głupiutka, taka naiwna i tak rozpaczliwie potrzebowałaś miłości, że naprawdę myślałaś, że byłem zainteresowany tobą, a nie twoją ładną, małą córeczką. Wkrótce nie byłaś w stanie zajmować się Hannah. Ktoś musiał to zrobić za ciebie. Dziewczynka potrzebowała pocieszenia i ja tam byłem.

Hannah odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Oczy ma zalane łzami. Znowu wygląda jak mała dziewczynka i wyciągam do niej rękę.

– Przepraszam, kochanie – szepczę. – Tak bardzo mi przykro.

– Przykro jej, Hannah – Paul powtarza moje słowa kpiąco. – Słyszałaś? Mamusi

jest przykro. Czyż to nie urocze?

Hannah kuli się ze strachu, kiedy on to mówi, a ja chcę ją utulić, i tylko ten nóż pewnie przyłożony do jej gardła mnie powstrzymuje.

– A potem pewnej nocy przekroczyliśmy granicę, prawda, kochanie? – Szturcha ją w bok. – Prawda? Powiemy twojej ukochanej matce, gdzie mnie uwiodłaś?

Hannah ma zwieszoną głowę, ale widzę, że płacze. Trzęsą jej się ramiona. Nie mogę tego znieść.

– Wstydzimy się, co? – mówi, zbliżając twarz do jej twarzy. – Dobrze więc. Ja jej powiem.

Nienawidzę tego człowieka bardziej niż jakiegokolwiek żywej istoty w swoim życiu. To potwór, a ja wpuściłam go do swojego domu. Jak mogłam być taka głupia?

– Zabierz, kurwa, te ręce z uszu albo ją zabiję – warczy. – Masz słuchać, co mam ci do powiedzenia, tak? Spróbuj zatkać uszy jeszcze raz, a przysięgam, że ją zabiję. Powoli, tuż pod twoim nosem. Rozumiesz?

– Tak – szepczę. – Rozumiem.

– Jasne – mówi, wracając do swojego miejsca pod ścianą. – Co to ja mówiłem? Ach tak... Lato dwa tysiące dziewiątego roku. Właśnie skończyła szesnaście lat. Słodka szesnastka. Flirtowałaś ze mną od wielu miesięcy, prawda?

Szarpie Hannah za koniec włosów.

– Pytałem, czy *to* robiłaś?

Jęczy i kiwa głową.

– Krytykowałaś ją za próby odszukania ojca – mówi. – Co wieczór wracałem do domu pełnego wrzasków i krzyków. Zachowywałaś się jak cholerna przekupka. Nigdy nie odpuszczałaś. A potem był ten incydent z zegarkiem. Dla biednej Hannah była to kropla, która przepełniła czarę.

Przez moje ciało przebiega dreszcz.

– Myślałaś, że zachowasz to w tajemnicy, prawda? – mówi, potrząsając głową. – Sądziłaś, że nie dowiem się o tym, że zaatakowałaś własną córkę. Ale Hannah powiedziała mi o tym, kiedy tylko tamtego wieczoru wróciłem do domu. Powiedziała mi, jak rzuciłaś się na nią niczym wariatka i stłukłaś jej zegarek. Trzęsła się jak osika. Naprawdę przeraziłaś tę biedną dziewczynę. I to był decydujący moment, Sal. To był moment, w którym dowiedziałem się, jaka możesz być niebezpieczna.

– Niebezpieczna? – jąkam się. – Ja... Ja nie jestem niebezpieczna. Hannah o tym wie.

– Hannah, kurwa, panicznie się ciebie bała! – krzyczy. – Podobnie jak ja! Kiedy powiedziała mi o tym zegarku, wiedziałem, że muszę dać z siebie wszystko. Być odpowiedzialnym dorosłym. Wtedy właśnie zacząłem robić plany, żeby wyciągnąć stamtąd Hannah.

– Odpowiedzialnym dorosłym?! – teraz to ja krzyczę. – Jesteś psychopata!

Kiwa głową, a na jego twarz wypełza diabelski uśmiezek.

– Swój swego zawsze pozna – kwituje. – Powiem ci coś, Sally, byłaś kiepską żoną, ale jeszcze gorszą matką.

– Chciałam tylko, żeby była szczęśliwa – mówię, a głos więźnie mi w gardle. – Nie

chciałam, żeby dała sobie złamać serce. Chciałam, żeby wyjechała i miała lepsze życie niż ja.

– Cóż, to akurat nie było trudne, prawda? – Przeszywa mnie wzrokiem.

Serce mnie boli, ponieważ on wciąż wygląda tak samo. Nadal jest Paulem, miłym mężczyzną, w którym się zakochałam, tyle że jakby coś nim owładnęło...

– Nie było trudno być lepszym od ciebie – wyjaśnia głosem przepelnionym goryczą. – Chodzi mi o to, że ta dziewczyna naprawdę nie miała dobrych wzorów do naśladowania, co? Zbikowana moczymorda, stara, pijana kobieta.

– Miała swoją ciotkę Kate – odpowiadam. – Ona uciekła. Hannah też tak mogła.

– Ach tak, Kate – mówi, potrząsając głową. – Zastanawiałem się, kiedy pojawi się w naszej rozmowie. Kate uciekła z tej zasranej dziury, bo nie mogła cię znieść. Dlatego nigdy nie przyjeżdżała do domu. Myślisz, że chciała, by ci wszyscy jej wytworni znajomi dowiedzieli się o tobie, jej zapijaczonej żalostnej siostrze? Byłaś kompromitacją. Sama mi o tym powiedziała... Tuż po tym, jak ją przeleciałem.

– Co?! – wydaję z siebie stłumiony okrzyk. – Nie! Jesteś kłamcą!

Ale wtedy przypominam sobie, co powiedział mi o tamtym wieczorze, kiedy Kate włamała się do szopy swoich sąsiadów. Był tam z nią.

– Zamknij się – mówi, owijając rękę wokół gardła Hannah. – Nie chcę rozmawiać o twojej martwej kurewskiej siostrze. To byłoby zbyt proste. Chcę, żebyś posłuchała, jak twoja córka zwabiła mnie do twojego łóżka.

Obraca nóż w dłoniach. Trzyma go tak blisko jej gardła, że każde wyslizgnięcie mogłoby wszystko zakończyć. Siłą woli chcę, żeby trzymał go nieruchomo, ale on nadal obraca go, wte i wewte, wte i wewte. Nie mogę tego znieść.

– Wyszłaś gdzieś – ciągnie swoją opowieść. – Bóg jeden wie gdzie. Zapewne poszłaś w kolejne tango. Wróciłem do domu z pracy, zmęczony i głodny, ale nie było żadnego jedzenia. Poszedłem na górę i ona tam była. Chyłkiem chodziła po sypialni w bieliźnie. Stałem w drzwiach, spojrzałem na nią i pomyślałem: „Na to właśnie czekałem. Oto moja nagroda i ona mi ją podaje na talerzu”. Zasługiwałem na to, po tylu latach cierpienia, po tym, jak musiałem wlec cię do domu z tych parszywych pubów, jak musiałem cię myć, jak musiałem wachać twój nieświeży alkoholowy oddech na twarzy, po tym, jak musiałem pieprzyć twoje zwiotczone ciało... A więc wszedłem do środka, wziąłem ją za rękę i przycisnąłem do ściany.

– Przestań! – krzyczę, zatykając rękami uszy. – Dlaczego to robisz?

– Co mówiłem o zatykaniu uszu?! – wrzeszczy, a ja opuszczam ręce wzdłuż ciała, odliczając bezgłośnie w głowie, próbując utopić jego słowa w cyfrach.

Raz, dwa, trzy, cztery...

– Wiele razy – mówi. – Przy ścianie, na podłodze, w kuchni, na twoim łóżku...

Pięć, sześć, siedem, osiem...

– Za każdym razem, kiedy wychodziłaś, patrzyła na mnie tymi swoimi ogromnymi, niebieskimi oczami, a ja miękłem...

Dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście...

– Ale potem niezbyt uważaliśmy, prawda, Hannah?

Przestaję liczyć i podnoszę na niego wzrok.

– Mieliliśmy mały wypadek, a raczej ona miała mały wypadek.

Głaszczesz teraz twarz Hannah drugą stroną ostrza noża. Ścisza mnie w żołądku.

– Nastoletnia mama – mówi. – Zupełnie jak ty.

Coraz bardziej ścisza mnie w głowie, jakbym miała zaciśniętą wokół niej jakąś obręcz.

– Potwór.

Tyle jestem w stanie wydobyć z żołądka. Nie ma więcej słów.

– Mały chłopiec – mówi, ignorując mój wybuch. – Słodkie, małe dziecko. Dlatego właśnie musiałem ją stamtąd usunąć. Potrzebowałem umieścić ją w bezpiecznym miejscu, z dala od ciebie i twoich pijackich humorów. Bóg jeden wie, co byś jej zrobiła, gdybyś się dowiedziała.

Gniew, który tłumię w sobie, wybucha i zrywam się na równe nogi, zatrzymując się dopiero wtedy, kiedy dostrzegam drgnięcie noża.

– Co bym jej zrobiła?! – krzyczę. – Obroniłabym ją! Zabrałabym ją od ciebie! Rozerwałabym cię, kurwa, na strzępy! Jesteś psychopata!

Siada, upiornie spokojny. Obserwuje mnie. A potem zaczyna się śmiać.

– Oto i ona, słyszysz, Hannah! – krzyczy. – To jest prawdziwa Sally. Brutalna, stuknięta, stara pijaczka. Właśnie przed tym cię uratowałem.

Potem bez słowa wstaje i popycha Hannah z powrotem na krzesło. Podchodzi do mnie, trzymając nóż przed sobą.

– Wiesz co, Hannah? – mówi do niej, patrząc mi prosto w oczy, kiedy się cofam.

– Zmieniłem zdanie. Nie sądzę, żeby twoja matka potrzebowała tortur psychicznych. Ona potrzebuje być odrobinę sponiewierana. Zawsze tego chciałaś, prawda, Sal? Zawsze czułaś się pominięta, kiedy twój ojciec lał pasem twoją siostrę, tak było?

Chwyta mnie rękami za włosy i uderza pięścią w oko. Krzyczę i zataczam się do tyłu. Ból jest straszliwy.

– Dlatego właśnie Kate prowokowała waszego starego, prawda? – mówi, stojąc nade mną, podczas gdy ja przykucam na podłodze i zasłaniam dłońmi oczy. – Ponieważ podobało jej się, kiedy ją bił, tak? Podobało jej się, bo to oznaczało, że została zauważona. A ty byłaś zazdrosna, ponieważ też chciałaś być zauważona. Wiesz co, myślę, że odziedziczyłaś po swoim tatusiu część tej przemocy. Pamiętasz tę butelkę po winie? Kate naprawdę to się spodobało. Od razu przeszła na moją stronę.

Zabieram rękę z twarzy. I kiedy patrzę na ciemnoczerwone plamy na swoich dłoniach i czuję w ustach metaliczny smak krwi, widzę twarz Paula tamtego wieczoru, twarz, która nachyla się nade mną. Widzę go, stojącego z butelką w dłoniach. Widzę mnie skuloną na podłodze, podobnie jak teraz. I ten obraz do mnie powraca. Obraz Paula rozbijającego butelkę. Paula, który przesuwa sobie ostrymi krawędziami szkła po rękę, przez cały czas zanosząc się od śmiechu.

To nie ja. Nie ja to zrobiłam.

– Jesteś kłamcą – mamrocę, z trudem stając na nogach.

– Co tam bełkoczesz? – Podchodzi do mnie bliżej.

– Powiedziałaś, że jesteś kłamcą.

– O, posłuchaj, Hannah – mówi, a na jego twarzy pojawia się uśmiech. – Mała

mistrzynie powróciła na drugą rundę. Co to będzie tym razem, Sal, pięści czy coś mocniejszego?

Macha nożem w moim kierunku, a ja próbuję skoncentrować się na jego srebrnym ostrzu. Już się nie boję. Mogę przyjąć wszystko, cokolwiek mi zafunduje, jeśli to oznacza bezpieczeństwo Hannah. Może mnie zabić. Mam to gdzieś, jeśli tylko ona wyjdzie stąd żywa.

Nie mogę oddychać.

Siedzi na mnie okrakiem, przyciskając do podłogi jedną ręką, a drugą przykładając mi nóż do gardła. Nie jestem w stanie mówić. Mogę tylko słuchać, jak snuje opowieść o tym, w jaki sposób ma zamiar mnie zabić.

– Jak sądzisz, Hannah, co? – pyta. – Na co zasługuje mamusia? Na podejrzenie gardła czy coś bardziej powolnego?

Słyszę pochlipywanie z drugiego końca pomieszczenia. To mały David. Chcę do niego zawołać, uspokoić go, ale Paul najwyraźniej to wyczuwa i naciska mocniej na moją klatkę piersiową. Próbuję poskładać w całość to wszystko, co mi powiedział. Muszę wiedzieć, zanim umrę.

– A co z rozmową telefoniczną? – pytam, przypominając sobie głos Hannah na linii, który mówił mi, że jest bezpieczna. – Rozmawiałam z nią. Powiedziała, że wszystko u niej dobrze.

– Ach tak... – mówi, nachylając twarz do mojego policzka. – To było miłe, co? Zrobiliśmy sobie małą wycieczkę do Londynu, prawda, Han? I powiedziałem wtedy: „Wiem, zadzwońmy do twojej matki i powiedzmy jej, że u ciebie wszystko w porządku. Takie małe niewinne kłamstewko, żeby się nie martwiła”. Ale ty się nie martwiłaś, prawda? Każda inna matka by się martwiła, ale nie ty. Byłaś szczęśliwa, że zobaczyłaś jej plecy.

– To nieprawda!

– Oczywiście, że prawda – warczy. – Co mi powiedziałaś? „Ona jest już dużą dziewczynką, może robić, co chce”. Ty, kurwa, porażko!

Nie odpowiadam, ale wiem, że muszę zrobić wszystko, żeby tylko wciąż mówił.

– A Kate? – kontynuuję. – Spotkała się z nią w Brixton... Hannah powiedziała, że tam mieszka.

– Kolejna jednodniowa wycieczka – wyjaśnia. – Mam tam starych przyjaciół. Miło, prawda, Hannah? Ciozia Kate podobno była reporterką, tak? Nie miała nawet pojęcia, co działo się pod jej nosem. Głupia kurwa.

– A dziecko? – pytam. – Urodziła je w szpitalu?

Potrząsa głową i uśmiecha się.

– Masz mnie za głupiego? – syczy. – Nie miałem zamiaru ryzykować wizyty w szpitalu, gdzie spotkałbym te wszystkie osoby uszczęśliwiające innych na siłę. Nie. Urodziła go tutaj. Fida odebrała poród.

Fida... Wiedziała, że Hannah tutaj jest. Dlaczego jej nie słuchałam?

– Zdaje się, że się poznałyście – stwierdza.

– Skąd... Skąd o tym wiesz?

– Śledziłem ją. Wiedziałem, że coś kombinuje. Zobaczyłem ją przez okno – uśmiecha się szyderczo. – Na szczęście mnie wyręczyłaś. Wystraszyłaś ją.

Przeszywa mnie chłód. Była tak blisko tego, żeby mi powiedzieć. Jeślibym jej na to pozwoliła, wtedy to wszystko by się nie wydarzyło.

– Nie powinna była tego robić – mówi dalej. – Powiedziałem jej, że ma trzymać

gębę na kłódkę, ale była nieposłuszna. No to przez jakiś czas niewiele będzie mogła powiedzieć.

– To ty ją tak urządziłeś? – pytam, myśląc o Fidzie leżącej na schodach. Dlaczego nie poszłam od razu do domu obok i nie wezwałam karetki?

– To bystra dziewczyna – mówi. – Za bystra na własne nieszczęście. Ale pomyliła się. Myślała, że nie dowiem się o tym, że zadzwoniła do biura i zapytała tępawą recepcjonistkę o mój domowy adres. Głupia dziewczyna. Choć w łóżku sprośna jak cholera. Przypomina trochę Hannah. Efekt rozbitego domu. Ofiara strefy wojennej. I podobnie jak Hannah ją też uratowałem. Mogłabyś powiedzieć, że pod tym względem przypominam trochę Świętą Kate, co?

– Nie masz nic wspólnego z moją siostrą – szepczę.

– Co powiedziałaś? – pyta. – No dalej. Chcę cię usłyszeć.

– Powiedziałam, że nie masz nic wspólnego z moją siostrą.

– Przypuszczam, że nie, ponieważ ja żyję, a ona jest martwa. Zdaje się, że tak właśnie działasz na ludzi, prawda, Sal? Twój tata, twoja mama, Kate. Wszyscy odeszli.

– Mama cię kochała – mówię. – Byłaby zdruzgotana, gdyby wiedziała.

– Mogę ci powiedzieć coś w tajemnicy? – wyrzuca z siebie słowa i czuję zapach jego oddechu. – Hannah, powiem twojej matce o naszym małym sekrecie.

Hannah nie odpowiada. Złamał ją. Moja śliczna, zadziorna, kłótliva dziewczynka zniknęła. Została tylko skorupa. Dawna Hannah walczyłaby o to, żeby się stąd wydostać. Teraz tylko przygląda się, pozwalając na to, żeby to nadal trwało.

– No to jej powiem – decyduje, przesuwając po mojej twarzy nożem niczym piórkiem. – Twoja mama poradziła sobie z tym w stoicki sposób. Lepiej, niż się spodziewałem.

– Z czym sobie poradziła? – pytam. – O czym ty mówisz?

– Mówię o twojej matce – wyjaśnia, z powrotem przykładając mi nóż do gardła.

– O twojej kochanej matce, której nienawidziłaś. Była pyską staruszką, zupełnie jak ty. Przez jakiś czas myślała, że jestem ósmym cudem świata, lecz potem zaczęła wtykać nos w moje sprawy. Myślała, że może sobie ze mną pogrywać. Dniami i nocami gadała do tego swojego urzędnika, jakby była jakąś, kurwa, panną Marple.

Kiedy zamykam oczy, słyszę głos mojej matki w dyktafonie:

Drobna, mała istotka. Nie ma więcej niż trzy, cztery latka. Mieszka w domu obok...

– Mama wiedziała? – szepczę. – Wiedziała o Davidzie?

– Widziała go kilka razy w ogrodzie – wyjaśnia, przenosząc ciężar ciała tak, że jego łokcie wpijają się w mój żołądek. – Ale kto by jej uwierzył? Większość ludzi i tak uważała ją za stukniętą. Zrobiłem więc jej przysługę i zameldowałem ją w tym domu opieki.

– Co? Mama nie miała demencji?

– Nie – przyznaje. – Ale nieźle się bawiłem, pozwalając jej myśleć, że ją ma. Zaczęłem przedstawiać rzeczy, sprawiać, że myślała, że je zgubiła. Chryste, myślała, że to jej zmarłe dziecko przyszło ją straszyć. Kiedy do niej zadzwoniłem, właściwie błagała, żeby ją zabrać z jej własnego domu.

Potrzęsa głową i śmieje się.

– Potrzebujesz pomocy – szepczę. – Nie jest z tobą dobrze.

– Zabawne słyszeć to z ust spuchniętej alkoholiczki – warczy. – Naprawdę świetne, Sal.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Mam tak zgniecioną klatkę piersiową, że wydaje mi się, że za chwilę serce mi z niej wyskoczy. – Dlaczego nasza śliczna Hannah?

– Ona nie była naszą śliczną Hannah – mówi, a na jego twarz wypełza uśmiech. – Ona była efektem twojego szybkiego niefartownego numerku z jakimś pryszczatym nastolatkiem.

– Ona była niewinną młodą dziewczyną, Paul.

– Niewinną? A to dobre – parska. – To mała dziwka, jak jej matka. Rozłożyłabyś nogi przed każdym, prawda, Han?

Podnosi się ze mnie i podchodzi do miejsca, gdzie Hannah siedzi z Davidem.

– Rusz się – mówi do chłopca, odpychając go. David nawet nie marudzi, tylko siada na podłodze. Jego posłuszeństwo mrozi krew w żyłach.

– Jak już mówiłem – kontynuuje – ona była zwykłą małą dziwką.

Podnoszę wzrok. Paul dłonią obejmuje gardło Hannah. Ściągnął ją z łóżka i prowadzi ją w moim kierunku.

– Co ty robisz?

Kładzie ręce na jej piersiach.

– Przestań, Paul! – krzyczę. – Natychmiast przestań!

– Miękkie i jędrne – mówi z szyderczym uśmieszkiem. – Takie jak ty pewnie kiedyś miałaś. Szkoda, że jak się poznaliśmy, byłaś już wybrakowanym towarem.

Hannah ma spuszczoną głowę, ale widzę, że jest przerażona. Ramiona jej się trzęsą, kiedy jego ręka wędruje w dół jej ciała.

– Lubisz to, prawda? – szepcze.

Coraz niżej i niżej, aż nie jestem już w stanie tego znieść. Nie mogę pozwolić, żeby to się stało.

– Zabieraj swoje łapy od mojej córki! – krzyczę, rzucając się na niego i wrywając Hannah z jego uścisku. – Ty popieprzony sukinsynu!

Próbuję chwycić nóż, ale Paul jest silniejszy ode mnie. Chwyta mnie za nadgarstki i uderza moją twarzą w ścianę, raz, dwa, trzy razy, opluwając mnie i szarpiąc mną do przodu i do tyłu.

– Nigdy! Się! Nie! Nauczysz! Suko!

Opada mi głowa, kiedy ciągnie mnie do tyłu, czuję w ustach smak krwi.

– Nie, Paul – jęczę, kiedy trzyma moją twarz w dłoniach i patrzy mi w oczy.

Twarz mu łagodnieje i przez chwilę obawiam się, że spróbuje mnie pocałować.

Cios spada znikąd i krzyczę, ponieważ moja głowa znowu uderza o ścianę.

– Przestań!

Słyszę głos Hannah gdzieś z drugiego końca pokoju.

– Daję jej nauczkę – oznajmia, ciągnąc mnie do tyłu. – Odpłacam jej się za wszystkie te razy, kiedy traktowała mnie jak pieprzonego psa.

Przyciąga mnie do swojej klatki piersiowej, przyciskając twarz do mojej twarzy. Widzę ostrze błyskające mi przed nosem, a on jeszcze mocniej naciska. Zamykam oczy.

– Uciekaj, Hannah! – krzyczę. – Zabieraj Davida i biegnij po pomoc!

– Nie musisz mówić Hannah, co ma robić – oznajmia, wbijając we mnie nóż. – Ona jest moja.

Osuwam się na podłogę, trzymając się obiema rękami za żołądek. Pokój wiruje. Odrzynam dłonie. Są całe we krwi.

– Co ty zrobiłeś? – jęczę, a on siedzi teraz na brzegu łóżka i przygląda mi się.

– To, co powinienem był zrobić wiele lat temu – wyjaśnia. – Skrócić twoje cierpienie.

Hannah stoi na środku pokoju. Chce do mnie podejść, widzę to, ale ją też zabije, jeśli tylko spróbuje to zrobić. Podnoszę na nią wzrok i uśmiecham się. Chcę dodać jej otuchy. David musiał zasnąć, bo przestał kwilić.

– Przykro mi, kochanie – mówi Paul. Mówi do mnie. Ma łagodny głos, niemal kojący. Jak głos tego człowieka, którego kiedyś znałam. – Musiałaś dostać nauczki – zapewnia, a jego głos coraz bardziej cichnie, podczas gdy próbuję zachować przytomność.

Nie jestem w stanie dłużej siedzieć. Muszę odpocząć. Czuję pustkę w ciele i uderzam głową o podłogę. Pokój rozplywa się, a ja płynę w pięknej, czystej wodzie. Słyszę, jak ktoś woła do mnie po imieniu, i widzę na plaży moją matkę. Macha do mnie rękami jak oszalała, woła, że czas wychodzić z wody i urządzić piknik. Próbuję jej odkrzyknąć, ale nie słysząc mojego głosu. Czuję, że tonę.

– Sally!

Głos mamy jest teraz rozpaczliwy. Widzę, jak brodzi przez fale. Idzie mnie uratować, lecz musi się pośpieszyć. Nie mogę oddychać. Ciśnienie w klatce piersiowej jest duże, topię się. Potem czuję, jak mama chwyta moją dłoń i wyciąga mnie z wody na oślepiające słońce. Zatrzymuję się na chwilę w jego promieniach, szepcząc:

– Mama?

– Sally.

Znam ten głos, ale on nie należy do mamy.

– Sally. O Boże!

Płynę, machając rękami, przez ciemności, przez gęstą ścianę bólu, a kiedy dopływam, czuję, jak obejmują mnie czyjeś ramiona.

– Już dobrze – mówi. – Wydostaniemy cię stąd. Wszystko będzie dobrze. Tylko zostań ze mną.

Otwieram oczy. Ona tutaj jest. Przyszła mnie uratować.

część trzecia

Herne Bay

Naciągam kaptur, żeby zasłonić twarz, kiedy wysiadam z pociągu na peron. Nogi mnie rwą w miejscach, gdzie zszyte rany zaczynają się goić, i nadal kiedy chodzę, odczuwam ból w prawym kolanie. Przy schodach prowadzących do wyjścia stoi ławka, podchodzę do niej i siadam na chwilę, masując bolący staw.

Turecki lekarz zdołał usunąć odłamek pocisku, ale powiedział, że jest jeszcze jeden odprysk, do którego dostanie się jest prawie niemożliwe. Nie przejmowałam się tym. Żyłam. Mogłam poradzić sobie z uszkodzonym kolaniem. Reszta mieszkańców obozu nie miała tyle szczęścia. W trakcie bombardowania cała północno-zachodnia część została zrównana z ziemią. Byłam na południowym krańcu obozu przy ogrodzeniu, z dala od epicentrum wybuchu, chociaż i tak zwałił mnie z nóg i straciłam przytomność. Pamiętam, jak zaczęłam dochodzić do siebie i zastanawiałam się, gdzie jestem. W pierwszych chwilach byłam pewna, że nie żyję i w jakiś sposób przeniosłam się do apokaliptycznego życia po życiu. Ale kiedy stanęłam na nogach i rozejrzałam się dookoła, uświadomiłam sobie, że to, co mnie otacza, istnieje naprawdę i wygląda gorzej niż jakiegokolwiek moje wyobrażenia o piekle.

Kolano bardzo mi krwawiło, kiedy ruszyłam w kierunku pozostałości obozu, kulejąc i wołając kogoś, kogokolwiek. Lecz cisza poległych, spalonych na popiół unosiła się kopącymi smugami dymu ze środkowej części obozu. Fragmenty ciał leżały porzucane na zgliszczach po całym polu, a wychudzony pies, który szedł za zapachem świeżej krwi, zaczął zajadać się szczątkami zmarłych. Przypominało to koniec świata.

Stałam przez chwilę, obserwując grupę ludzi, którzy właśnie przyjechali na miejsce wybuchu. Zaczęli przeszukiwać stertę postrzępionego płótna – tego, co pozostało z namiotów. Twarze mieli wykrzywione ze zmęczenia, kiedy szukali ocalałych.

Powinnam była zostać. Tak byłoby dobrze, tak byłoby przyzwoicie, ale wiedziałam, że muszę uciekać. Wiedziałam to na kilka chwil przed wybuchem, kiedy usłyszałam głos mojej matki. Teraz to już nie była moja bitwa. Byłam potrzebna gdzie indziej. Kiedy przechodziłam przez zgliszczca szpitala polowego, usłyszałam głos dziecka wołającego matkę, ale nie dobiegał on z obozu. Dobiegał ze środka mojej głowy, z miejsca, gdzie są przechowywane wspomnienia.

W tamtym domu działo się coś złego. Czulałam to, słyszałam i widziałam na własne oczy. Moja biedna matka doświadczyła tego samego. I obie myślałyśmy, że postradałyśmy zmysły. Kiedy tak stałam na tym polu śmierci, wiedziałam, że muszę pójść za tymi krzykami dziecka i spróbować wszystko poukładać.

Cudownym zbiegiem okoliczności Hassana też nie dosięgła bomba. Kiedy uderzyła, udzielał pomocy w jednej z dzielnic we wschodniej części miasta. Wrócił i znalazł mnie oszołomioną i wędrującą w kółko w tym pyle. Kiedy zobaczyłam, że idzie w moim kierunku, pomyślałam, że to duch, i padłam jak kłoda u jego stóp. Podniósł mnie, wsadził do samochodu i ulegając moim namowom, odwiózł na granicę turecką.

Przyjechaliśmy o zachodzie słońca, a potem zabrał mnie do jakiegoś centrum medycznego, gdzie po jego naleganiach dałam sobie wyleczyć nogę. W szpitalu kazałam Hassanowi obiecać, że gdyby ktoś pytał, ma powiedzieć, że zginęłam podczas wybuchu. Wiedziałam, że muszę zniknąć z pola widzenia radaru, jeśli mam mieć jakąkolwiek szansę powrotu do Herne Bay. Wręczyłam mu kupkę moich rzeczy – notatki, dyktafony, przepustkę prasową – i kazałam mu odesłać je Harry’emu i powiedzieć, że znaleziono je w zgliszczach. Wszystko musiało wyglądać tak, jakbym zginęła. Biedny Hassan patrzył na mnie jak na wariatkę, ale kiedy mu powiedziałam, że robię to po to, żeby ratować swoją rodzinę, nie zadawał więcej pytań. Dla Hassana lojalność i rodzina znaczą najwięcej. Dał mi trochę rzeczy do ubrania – tradycyjną islamską suknię – i zorganizował przez swoją wtyczkę przeszmugłowanie mnie z powrotem przez Turcję do Europy.

– Na razie – powiedział, machając mi na pożegnanie – Kate Rafter odeszła. Powiem im, że masz na imię Rima. Daję ci imię mojej matki. Na szczęście.

Wstaję i powoli idę w kierunku wyjścia z dworca, upewniając się, że mam kaptur nasunięty dobrze na oczy. Panuje tutaj cisza. Tylko garstka ludzi, głównie turystów, tłoczy się w hali biletowej. Kiedy przechodzę obok stoiska z gazetami, dostrzegam swoją fotografię, która wpatruje się we mnie. Zatrzymuję się i biorę do ręki gazetę.

REPORTERKA Z HERNE BAY UZNANA ZA ZMARŁĄ – krzyczy nagłówek. Dziwne wrażenie – przeczytać o własnej śmierci. Ścisza mnie w żołądku, ponieważ zaczyna docierać do mnie świadomość tego, co zrobiłam.

Idę do toalety i czytam artykuł. Cytują w nim Harry’ego, który mówi, że byłam najlepszą dziennikarką wojenną swojego pokolenia, i nawet cholerny Graham Turner ma swoje pięć minut, opisując mnie jako „błyskotliwą i odważną reporterkę, która nigdy nie traciła zimnej krwi”.

– Sukinsyn – mamroczę do siebie, wrzucając gazetę do kosza na śmieci w łazience i kierując się do wyjścia. Nie wspomniał ani słowem o tym, że kilka tygodni temu, kiedy przyszedł pomarudzić do Harry’ego, powiedział, że jestem kulą u nogi. Jego zeznanie mogło doprowadzić do mojego aresztowania i nigdy mu tego nie wybaczę.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, przystaję na chwilę, by pomyśleć, co robić. Uświadamiam sobie, że nie zastanawiałam się, jak to będzie, kiedy już przyjadę do Herne Bay. Gdybym miała klucze od domu matki, mogłabym tam pojechać i obserwować sąsiedztwo, ale kiedy wyjeżdżałam, zwróciłam je Paulowi. W głębi duszy chciałabym pojechać prosto pod numer czterdzieści cztery i skonfrontować się z Fidą i jej mężem, ale czy to rozsądne, żebym jechała tam sama? Nie, najlepiej będzie, jeśli znajdę Paula. Muszę mu zaufać, że nie doniesie na policję, że wróciłam, dopóki nie zrobimy tego, co trzeba. Pewnie o tej porze będzie w pracy, chociaż to dość daleko stąd.

Odruchowo szukam w kieszeni telefonu, chociaż wiem, że go tam nie ma. Jestem zgubiona bez niego, ale musiałam się go pozbyć. Chociaż przetrwał wybuch – był wetknięty do watomanej saszetki na pasku, razem z moimi kartami kredytowymi i paszportem – wiedziałam, że jeśli chcę z powodzeniem zrealizować swój plan, muszę być nie do namierzenia, więc zostawiłam go w Aleppo, a kartę SIM zgniotłam pod butem.

Kontrola paszportowa w terminalu promowym w Calais była błyskawiczna i na szczęście nikt nie analizował wnikliwie mojego nazwiska. W nagłówkach gazet

opisywano mnie jako „Kate”, podczas gdy w paszporcie jest napisane „Catherine”. Poza tym celnicy są przeszkoleni w szukaniu potencjalnych terrorystów, a nie dziennikarek, które upozorowały własną śmierć. Kupiłam nowe ubrania w hipermarkecie i schowałam włosy pod grubym, wełnianym kapeluszem, chociaż szanse na to, żeby ktokolwiek rozpoznał mnie po drodze, były niewielkie. W przeciwieństwie do Rachel Hadley nigdy nie umieszczałam zdjęcia swojej twarzy w depeszach i teraz jestem z tego zadowolona.

Została jeszcze tylko jedna opcja – muszę pojechać do ich domu. Błagam, żeby tylko Paul tam był, myślę sobie, opuszczając parking z pochyloną głową. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzę, byłoby wyjaśnianie tego wszystkiego pijanej Sally. Im bardziej będę trzymać ją z dala od tego wszystkiego, tym lepiej.

Kiedy docieram do domu, na podjeździe nie ma samochodu Paula i tracę rezon. Stoję pod drzwiami i naciskam dzwonek, pragnąc tylko, żeby Sally była trzeźwa. Będę musiała ją przekonać, żeby pozwoliła mi zadzwonić ze swojego telefonu do Paula. Ale nikt nie otwiera. Zamierzam znowu nacisnąć dzwonek, lecz potem myślę, że może lepiej zrezygnować. Obchodzę dom z boku.

Ale kiedy zaglądam przez okno do oranżerii, nie ma tam ani śladu Sally. W pomieszczeniu panuje większy porządek niż ostatnim razem, kiedy tutaj byłam, a po podłodze nie poniewierają się żadne złowieszcze butelki po winie. Może gdzieś pojechali, myślę, a potem wpadam w panikę. Obejrzą wiadomości. Pomyślą, że nie żyję. A co, jeśli to doprowadzi Sally do ostateczności i zrobi coś głupiego? Serce mi wali, kiedy pociągam za klamkę. Drzwi są otwarte.

– Sally! – wołam, wchodząc do środka. – Sally, jesteś tam?

Lecz kiedy wchodzę do korytarza, w domu panuje cisza. Zaglądam przez drzwi do kuchni. Na stole stoją dwa kubki.

– Sally! – wołam znowu, wchodząc po schodach. – Jesteś tam?

Ścisła mnie w żołądku, a usta mam wyschnięte na pieprz, kiedy docieram do szczytu schodów.

Coś tutaj jest nie tak.

Przechodzę przez piętro i idę w kierunku jej sypialni. Drzwi są otwarte i wchodzę do środka. Zasłony są zasłonięte, a pokój śmierdzi potem i stęchłym alkoholem. A więc ona *wciąż* pije. No to gdzie teraz jest?

Podchodzę do okna, odsuwam zasłony, uwalniając kaskadę cząsteczek kurzu, które wirują w cuchnącym powietrzu. Wzdrygam się, kiedy patrzę na ten pokój, który wygląda strasznie z ubraniami porozrzucanymi na podłodze i talerzem zeschniętych tostów na szczycie komody. Kołdra jest cała skłębiona, pewnie nie była prana od wielu tygodni.

Wracam na dół do kuchni, żeby zadzwonić do Paula. Lecz kiedy podnoszę słuchawkę, uświadamiam sobie, że nie znam jego numeru telefonu. Szlag. Może jest gdzieś zapisany. Idę otworzyć szufladę kuchenną, gdzie Sally zawsze trzyma takie rzeczy.

A potem dostrzegam coś z boku. Jakiś czarny przedmiot.

Dyktafon. Jest cały zniszczony i uszkodzony. To nie może być... Podnoszę go trzęsącą się dłonią...

Obok niego leży jakaś kartka. Od Harry’ego. To dyktafon mamy. Próbowaliśmy znaleźć go po wybuchu, ale gdzieś zniknął. Sądziłam, że został zniszczony.

Patrzę na dyktafon i na kubki na stole. Sally pewnie tego wysłuchała. Paul także. A on, bardziej niż ktokolwiek inny, zrozumiałby, jakie mogą być konsekwencje. Teraz to wszystko nabiera sensu. Ta cisza, opustoszały dom. Wiem dokładnie, gdzie oni są.

Kiedy przyjeżdżam, numer czterdzieści cztery spowijają ciemności. Ani śladu samochodu Paula i Sally.

Może przyszli na piechotę, myślę sobie, naciągając kaptur na głowę, i wspinam się do góry po podejździe. Drzwi wejściowe są otwarte i kiedy wchodzę na schodek, ściska mnie w żołądku.

– Fida... – mówię.

Prawie nie można jej rozpoznać. Ma zakrwawioną, spuchniętą twarz. Jest nieźle pobita.

– Fida. – Potrząsam nią i otwierają jej się oczy. – Co się stało? Czy to twój mąż to zrobił?

Podnosi na mnie wzrok i oczy jej się rozszerzają.

– Nie! – wydobywa z siebie zduszony krzyk. – Nie! To niemożliwe... Myślałam, że pani...

– Już dobrze – mówię przyciszonym głosem, klękając obok niej, żeby mogła usłyszeć. – Wszystko później wyjaśnię. Musimy cię stąd wydostać.

Lecz ona próbuje coś powiedzieć. Nachylam się bliżej, żeby ją usłyszeć.

– Nie... chciałam... zrobić mu... krzywdy... – szepcze, niemalże dławiąc się słowami.

– Komu? – pytam cicho. – Komu nie chciałaś zrobić krzywdy?

Usiłuje podnieść głowę, ale opada jej do tyłu.

– Nie próbuj się podnosić – mówię. – Tylko głęboko oddychaj. – Zauważam, że jest przykryta kurtką. Otulam ją tą kurtką jeszcze ciaśniej.

– W porządku, Fida. Idę zadzwonić po karetkę.

– Musi mi pani uwierzyć – szepcze. – On mnie zmusił... – Głos jej słabnie i zastanawiam się, czy nie majaczy. – On mnie zmusił, żebym to robiła.

Oczy wywracają jej się do góry. Wiem, że muszę działać szybko i wyciągnąć ją stąd, zanim wróci jej mąż psychopata. Potem przypominam sobie, że nie mam telefonu.

Przeszukuję korytarz. Nic. Biegnę do kuchni. Tam go znajduję. Staromodny, bezprzewodowy telefon na przyciski na półce przy drzwiach. Biorę go, wstukuję numer alarmowy i wracam do Fidy.

– Chciałabym wezwać karetkę.

Kiedy rozmawiam z operatorem, Fida ciągnie mnie za rękaw.

– Zaczekaj sekundę – mówię do niej, podając adres kobiecie po drugiej stronie słuchawki.

Kończę rozmowę, po czym wracam do Fidy. Ma cięższe obrażenia, niż początkowo myślałam. Teraz już rozumiem, dlaczego nie jest w stanie mówić. Ma całe pocięte i spuchnięte usta. To pewnie agonia.

– Już dobrze, karetka jest w drodze – uspokajam ją, modląc się, żeby szybko przyjechali. – Wszystko będzie dobrze.

Zaczyna się trząść i kładę dłoń na jej ramieniu.

– Szsz – szepcze. – Już dobrze. Zajmą się tobą w szpitalu. Upewnię się, że wiedzą

o twoim mężu. Nie znajdzie cię.

– Niedobrze – mamrocze. – Ja... on prawie umarł... jest taki drobny, ja... ja nie jestem potworem...

Jej słowa skręcają mi wnętrzności. A więc on naprawdę istnieje. Nie oszalałam.

– Fida – mówię, nachylając się nad nią. – Powiedz mi, gdzie on jest?

Jej oddech staje się płytki i przez chwilę myślę, że zemdleje, lecz potem otwiera oczy i chwyta mnie za ramię.

– Sally – wydusza z siebie.

– Sally?! Moja siostra?! – krzyczę. – Ona tutaj jest?!

Uświadamiam sobie, że kurtka, którą jest przykryta, to zielona puchówka Sally.

– Proszę... Gdzie ona jest?

– Sz... sz... szopa.

Wysiłek wypowiedzenia tego ostatniego słowa jest zbyt wielki i Fida osuwa się na schody.

– Posłuchaj – mówię, zrywając się na równe nogi. – Karetka jest w drodze. Wszystko będzie dobrze. Idę poszukać mojej siostry.

Wychodzę do ogrodu. Panuje w nim upiorna cisza. Kiedy zamykam tylne drzwi, serce wali mi jak młotem. Słyszę jakiś szelest w żywopłocie i zastygam w bezruchu.

– Kto tam? – wołam, żałując, że nie mam przy sobie latarki. – Sally?

To pewnie jakiś ptak, tłumaczę sobie, chociaż ciarki przebiegają mi po plecach, kiedy idę przez trawnik.

Dlaczego Sally tutaj przyszła? Przeważnie boi się własnego cienia. To niepodobne do niej, żeby pakować się w takie niebezpieczeństwo.

Kiedy tam dochodzę, drzwi są otwarte. Wchodzę do środka.

– Sally? – wołam. – Sally, jesteś tutaj?

Słyszę jakiś stłumiony dźwięk, jakby głosy mówiące pod wodą.

– Sally? – rzucam się do przodu.

Nie dostrzegam dziury w podłodze, dopóki nie jest za późno.

Spadam na dół po jakichś schodach i ląduję na zimnym betonie, pozbawiona tchu i posiniaczona. Co się, do cholery, stało? Powoli podnoszę się na kolana, dotykam rękami żeber. I wtedy ją zauważam.

Leży na zawilgłym materacu, łzy płyną jej ciurkiem po twarzy, a przy niej, przyciśnięty kurczowo do jej piersi, siedzi chłopiec.

– Ciocia Kate?

– Hannah! – krzyczę, trzymając dłoń na klatce piersiowej, żeby się uspokoić. – Co ty tutaj robisz? Co tu się, do cholery, dzieje?

Idę w ich kierunku, zataczając się.

Chłopiec też zaczyna płakać i wtedy dostrzegam sznur zawiązany wokół nadgarstków Hannah. Podbiegam do niej i zaczynam go odwiązywać.

– Hannah – mówię szybko. – Co się dzieje?

Powtarzam pytanie, ale ona nie odpowiada. Łzy nadal płyną ciurkiem po jej twarzy.

Rozplątnę zawiązany na supeł sznur, a ona pociera nadgarstki. Chłopiec wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Słyszeliśmy cię, jak wtedy byłeś w szopie – mówi Hannah przez łzy, przyciskając chłopca do piersi. – Myśleliśmy, że przyszedłeś nas uratować.

– Uratować was? – pytam. – Chcesz powiedzieć, że przez cały czas tutaj byliście?

Kiwa głową.

– Ale kim jest ten chłopiec?

– David to mój syn – wyjaśnia.

– David...

Zastygam w bezruchu, próbując to wszystko pojąć. Potem zauważam coś błyszczącego w półświatle. Moje srebrne pióro. Leży na ziemi obok łóżka.

Hannah dostrzega, że na nie patrzę.

– David je znalazł. Przynosi mi prezenty, żeby mnie rozweselić.

Czuję się jak sparaliżowana.

– Lubi błyszczące rzeczy – wyjaśnia Hannah.

Kiedy schylam się, żeby podnieść pióro, dostrzegam obok małą stertę szklanych kulek i przypominam sobie tę, którą znalazłam w ogrodzie mamy.

– Mamo.

To głos Sally. Odwracam się. W kącie leży sterta starych koców.

– Czy twoja mama tutaj jest, Hannah?

Ma przerażone oczy, spoglądają w stronę koców.

Podbiegam i zaczynam je ściągać.

– O Boże! Sally!

Jest zawinięta w te koce jak dziecko w powijaki. Odwracam ją do siebie.

– Och, Sally! – Ma zmasakrowaną twarz. Całą we krwi. Ma krew we włosach, na całym ubraniu. – Jezu, co się stało? – krzyczę, delikatnie układając ją w bezpiecznej pozycji. Jęczy słabo.

– Miał nóż – mówi Hannah.

Podnoszę wzrok. Hannah stoi nade mną, wpatruje się w swoją matkę.

– Kto ją zadźgał? – pytam, próbując mówić po cichu, żeby nie niepokoić Sally.

– Hannah, kto ją zadźgał? – powtarzam, ale ona nie odpowiada. Patrzy na mnie tylko nieobecny wzrokiem.

– Mamo – mamrocze Sally. – To ty?

Krew sączy się przez jej sweter w okolicach żołądka. Zbyt szybko.

– Potrzebujemy jakąś szmatę, żeby zatamować krwotok – mówię do Hannah. – I pomoc... Musimy wezwać pomoc.

Podnoszę wzrok. Hannah nadal tam stoi, nieruchomo.

– Hannah! – krzyczę. – Musisz teraz iść i wezwać pomoc!

– Nie potrafię.

– Hannah, proszę.

Czuję, jak coś muska moją skórę, odwracam się i widzę, że Sally otworzyła oczy.

– Już dobrze – uspokajam ją. – Wyciągniemy cię stąd. Wszystko będzie dobrze.

Tylko zostań ze mną. – Naciskam na koc w miejscu, w którym ma ranę na brzuchu.

– Kate... – szepcze. – To niemożliwe... Jesteś...

Krew odpływa jej z twarzy i martwię się, że wraz z utratą krwi szok spowodowany moim widokiem może przyprawić ją o zawał serca.

– Wszystko dobrze, Sally – uspokajam, pocierając jej czoło końcówkami palców, tak jak robiła to mama, kiedy byliśmy małe. – Tylko się nie denerwuj. Oddychaj, o tak, wdech i wydech.

Ma szeroko otwarte oczy, jak u dziecka, i nie spuszcza ze mnie wzroku, ponieważ razem walczyliśmy o to, żeby utrzymać ją przy życiu.

– Hannah, musisz iść i powiedzieć komuś, że potrzebujemy pomocy! – krzyczę.

Wdech i wydech. Wdech i wydech.

– Właśnie tak. Dobra dziewczynka, Sally – chwalebę ją. – Wszystko będzie dobrze.

– Paul – mówi nagle, chwytając mnie za rękę. – Paul.

– Już dobrze – mówię uspokajająco. – Paul będzie tutaj najszybciej, jak się da.

Będzie się o ciebie martwił.

Potrząsa głową, a jej oddech zaczyna się urywać.

– A teraz sza – mówię. – Wdech i wydech.

Chwyta mnie za dłoń.

– Nie – wydusza z siebie. – Paul...

– Zadzwonimy do niego ze szpitala – zapewniam ją. – Skupmy się na twoim oddychaniu. Wszystko będzie dobrze.

– Nie! – krzyczy, potrząsając moim ramieniem. – Paul to zrobił!

– Co?

– Paul... – mówi zachrypniętym i płytkim głosem. – On to zrobił... Trzymał Hannah... Zgwałcił ją, kiedy miała zaledwie...

Puszczą moją rękę i łapie się za pierś, jakby próbowała wycisnąć z siebie te słowa.

– Chłopiec – wzdycha. – Paul... Jego tata...

Jej oddech słabnie i Sally gwałtownie opada do tyłu.

– Sally, no dalej, damy radę – mówię, jednocześnie robiąc co w mojej mocy, by na

mojej twarzy nie było widać tego przerażenia, które czuję każdą moją kosteczką. – No dalej, wdech i wydech, wdech i wydech!

Odwracam się i patrzę na Hannah. Siedzi teraz na brzegu materaca, z chłopcem w ramionach. Wygląda na przerażoną.

– Czy to prawda? – pytam. – To, co mówi twoja mama, czy to prawda? Wdech i wydech, Sally. Dobra dziewczynka.

Hannah kiwa głową, a ja mam uczucie, jakby głowa mi płonęła.

– Gdzie on jest, Hannah? – pytam, odwracając głowę tak, żeby Sally mnie nie słyszała. – Gdzie jest Paul?

– Nie wiem – odpowiada. – Powiedział mi, żebym nie próbowała uciekać... Jeśli wróci...

– Musimy wezwać policję – mówię. – Zajmij się mamą. Ja pójdę zadzwonić po policję.

Łup.

Chłopiec kwili, a Hannah zrywa się na równe nogi. Nad głową słyhać kroki.

– To on – szepcze Hannah z twarzą szarą ze strachu.

– A więc wciąż żyjesz – mówi z szyderczym uśmiechem. – Chryste. Musisz być silniejsza, niż na to wyglądasz.

Obserwuję z mojej kryjówki spod materaca, jak Paul stąpa po schodach i podchodzi do Sally. Trzyma w ręce plastikową płachtę i ma gumowe rękawiczki.

Hannah siedzi na drugim materacu z chłopcem. Przyciska go do piersi, ale nie spuszcza wzroku z tego człowieka, który zbliża się niebezpiecznie do jej matki.

Dostrzegam drewniane krzesło leżące na podłodze jakiś metr z kawałkiem dalej.

– Cóż, Sally – mówi, przykucając. – Znalazłem dla ciebie ładne miejsce. Myślę, że ci się spodoba. To tylko chwila drogi stąd.

Sally jęczy i muszę się powstrzymać ze wszystkich sił, żeby do niej nie podejść... Muszę to wszystko zrobić tak, jak należy, inaczej wszyscy zginiemy.

– To miejsce, które dobrze znasz – oznajmia, klękając obok niej, głaszcząc ją po włosach. – Doskonałe miejsce spoczynku. Miejsce, w którym nikt nie będzie ci przeszkadzał. Upewniłem się co do tego. Będzie tam ładnie i spokojnie, Sally. Po całym tym chaosie w końcu będziesz miała to, co chciałaś. Trochę spokoju.

Oddech Sally staje się coraz płytszy, kiedy Paul zaczyna wciągać ją na plastikową płachtę. Teraz muszę działać szybko. Wyślizguję się spod materaca i czołgam na brzuchu po podłodze za jego plecami. Jestem prawie przy krześle, kiedy coś brzęczy. Moje pióro. Wypadło mi z kieszeni kurtki. Szlag.

– Co to było? – pyta.

Zrywa się na nogi i odwraca. A ja nie mam gdzie się schować. Robi wielkie oczy.

– Co to, kurwa, jest?! – krzyczy.

Trzyma się ręką za serce, a ja wykorzystuję jego szok i chwytam krzesło, jednak zanim je podnoszę, stopa Paula stoi na mojej dłoni i ją przyciska.

– Nie, nie zrobisz tego – mówi, gapiąc się na mnie.

– Kate, proszę – szepcze Sally. – Po prostu zostaw to. Nie walcz z nim.

Ale ja muszę. Będę walczyć z tym mężczyzną wszystkimi siłami, które mi jeszcze pozostały. Wrywam dłoń i zrywam się na nogi, kopnięciem odrzucając krzesło na bok. Nie potrzebuję go. Najwyraźniej on nie ma żadnej broni. Pewnie nie sądził, że będzie jej jeszcze potrzebował.

– Nie przestraszysz mnie – mówię, patrząc mu prosto w oczy. – Ponieważ ja nie jestem małą dziewczynką. A to twoja specjalność, prawda? Małe dziewczynki?

Sally wydaje z siebie szloch i tak bardzo chcę do niej podejść, zapewnić ją, że się stąd wydostaniemy, że wszystko będzie dobrze...

– Zejdź mi z drogi, ty stuknięta dziwko – warczy, chwytając mnie za włosy i rzucając mnie na podłogę. – Miałaś być martwa.

Zrywam się na nogi i kiedy znowu do mnie podchodzi, próbuję kopnąć go w krocze. Ale nie trafiam, chwytam mnie i rzuca mną mocno o ziemię.

– Powiem ci coś, Kate – mówi, klękając na mojej klatce piersiowej i chwytając mnie rękami wokół szyi. – Ciężko się ciebie pozbyć. Te cholerne pigułki nie były wystarczająco silne.

– Pigułki? – szepczę, kiedy jego ręce zaciskają się na moim gardle.

– Tak, przecież lubisz pigułki, prawda? – pyta. – Wszystkie, jakie znalazłem w twojej torebce. Prawdziwa mała ćpunka, co? Twój organizm musi być do nich przyzwyczajony, tyle mogę powiedzieć.

– O co ci chodzi? – pytam chrapliwym głosem, chwytając palcami za jego dłoń.

– Pamiętasz, wtedy w pubie – wyjaśnia, przyciskając swoją twarz do mojej – kiedy szalałaś na tej ulicy? A potem ta miła noc w domu z butelką czerwonego wina, ten słodki termos z herbatką na plaży? Muszę powiedzieć, że jak na takiego asa dziennikarstwa jesteś dość głupia: nie pilnujesz tego, co pijesz.

– Dosypałeś mi środków usypiających? – wyduszam z siebie, rozpaczliwie usiłując oderwać jego ręce od swojej szyi.

– Nie dałaś mi wyboru – wyjaśnia – wtykając nos tam, gdzie nie trzeba. Próbowałem cię powstrzymać, ale musisz mieć chyba zdrowie jak byk. Jednak nieustępliwa z ciebie suka, że dałaś radę.

– O czym ty mówisz?

Kiwa głową i uśmiecha się.

– Sally mi powiedziała – tłumaczy, przyciskając usta do mojego policzka. Ucisk na moje gardło nieco się zmniejsza – o tym, co się wydarzyło, jak byłaś dzieckiem. Ten wielki sekret rodzinny...

– Paul, nie – jęczy Sally z kąta pokoju. – Proszę, nie.

– Zamknij się, dziwko – syczy. – To ty mi powiedziałaś. To ty nienawidziłaś jej za to, co zrobiła.

– A co takiego zrobiła? – pytam, wytrzymując jego spojrzenie. Chcę, żeby wiedział, że się go nie boję. – No powiedz mi, co? Co takiego zrobiła?

Znowu zaciska dłoń wokół mojego gardła, po czym wciska swoją twarz w moją.

– Zabiłaś swojego małego braciszka – syczy. – Twój tata powiedział wszystko Sally, kiedy była jeszcze dzieckiem. To nie był wypadek. To byłaś ty. Trzymałaś go pod wodą, aż się utopił. Nikczemna dziwka.

Nie! To nie może być prawda! On zmyśla! Wyrrywam jedną dłoń.

– Kłamiesz, ty chory pojebie! – krzyczę, podnosząc wolną rękę do jego twarzy.

Ale on jest szybszy, chwyta moją głowę i wali nią w podłogę. Całe moje ciało opada bezwładnie.

– Ty suko, ty pierdolona, mordercza suko! – wydziera się.

Czuję smak krwi w ustach, kiedy moja głowa znowu uderza o beton, i zamykam oczy, czekając na kolejne ciosy. Ale nie nadchodzą. Zamiast tego spada na mnie ogromny ciężar, a uścisk się rozluźnia.

Otwieram oczy, kiedy Paul spada na podłogę, i widzę ją, jak tam stoi z krzesłem uniesionym nad głową.

– Hannah! – krzyczę.

– Przepraszam – mówi drżącymi ustami. – Tak bardzo przepraszam.

Paul się nie rusza.

– Już dobrze – mówię, stając na nogach. – Nie masz za co przepraszać, kochanie. To już koniec. Już po wszystkim.

Czuję się ogłuszona, kiedy patrzę na jego bezwładne ciało. Nie rusza się, ale kiedy się nad nim nachylam, słyszę słaby oddech. Dobrze. Chcę, żeby zapłacił za to, co zrobił. Biorę sznur, którym była skrępowana Hannah, i związuję mu ręce.

– Kate.

Sally! Podchodzę do niej, zataczając się, biorę ją za rękę, słyszę kroki nad głową i czuję, jak moje ciało ogarnia poczucie ulgi.

– Już dobrze – mówię. – Karetka już przyjechała. Zajmą się tobą i wydobrejesz.

– Nie – dyszy, biorąc mnie za rękę i ściskając ją. – Nie mogę oddychać.

Oczy jej się zapadają, a skóra jest taka chłodna.

– Możesz – odpowiadam, głaszcząc jej dłonie, żeby je ogrzać. – Jego już nie ma, Sally. Jesteś teraz bezpieczna. Obiecuję.

Wpatruje się we mnie. Oczy zachodzą jej mgłą. Znam to spojrzenie. Widziałam je na twarzy Nidala, kiedy podniosłam go z chodnika.

– Nie, Sally! – krzyczę, pocierając rozpaczliwie jej dłonie. – Nie rób tego! Karetka już tutaj jest! Hannah tutaj jest i masz najpiękniejszego wnuka! Masz tyle powodów, żeby żyć!

– Przepraszam... – mówi, uśmiechając się do mnie. – Bardzo... przepraszam.

– Za co przepraszasz? – pytam łagodnie. – Nie masz za co przepraszać.

– Powinnam była cię wpuścić – wyjaśnia głosem, który grzechocze jej w piersiach.

– Wtedy w ogrodzie... Powinnam była cię wpuścić... On powiedział... Przepraszam.

– Nic się nie stało – mówię do niej. – To już bez znaczenia.

I naprawdę tak myślę. Nagle cały ten ból i uraza, które czułam do Sally przez wszystkie te lata, nie mają żadnego znaczenia. Obie na swój sposób byłyśmy ofiarami mojego ojca. Jak mogłam sobie z tego wcześniej nie zdawać sprawy?

– Czy ktoś tam jest na dole?

Głos. Kobięcy. Dobiegający z góry.

– Tak – wołam. – Na dół po schodach. Szybko.

– Karetka przyjechała, Sally – mówię, odwracając się do niej. – Sally?

Jest nieruchoma. Tak bardzo nieruchoma...

Biorę jej ciało i potrząsam nim.

– Sally, obudź się! – krzyczę. – Proszę, obudź się! Karetka przyjechała! – Słyszę kroki, które schodzą na dół po drewnianych schodach. – Nie! Nie możesz tego zrobić! Musisz się obudzić!

– Proszę pani, musi pani się odsunąć – mówi kobiecy głos za moimi plecami.

– Musi pani ją puścić.

Robię to, co mi każe, i przyglądam się, jak ratownicy otaczają jej ciało. Ale zestaw do reanimacji, który przynieśli ze sobą, leży na podłodze. Zbędny. Wymieniają spojrzenia, a potem patrzą na mnie. I to ich spojrzenie tylko potwierdza to, co i tak już wiem. Zaczynam krzyczeć, a echo mojej rozpaczki wypełnia pokój, ogród, całe to przeklęte miasteczko.

Siedzę w szpitalnym korytarzu, czekając, aż lekarze skończą badać Hannah i Davida. Kiedy przyjechała policja, David zaczął się trząść i do tej pory nie przestał. Trząsł się przez całą drogę do szpitala. Zabrano jego i Hannah do osobnej sali, do której przez całą noc wpływał i wypływał strumień lekarzy i pracowników pomocy społecznej. Pielęgniarki przyniosły mi herbatę i zapytały, czy chciałabym, żeby ktoś obejrzał moje czoło, ale odmówiłam. Ten ból to moja kara. Powinnam była ją chronić, lecz zawiodłam, i poczucie winy będzie mi już zawsze towarzyszyć.

Gdzieś w tym szpitalu moja siostra leży w sterylnym pojemniku. Płomień jej życia niepotrzebnie został zgaszony przez psychopatę, który nabrał nas wszystkie. Słyszę stukanie obcasów wzdłuż korytarza i odwracam się, spodziewając się, że ją zobaczę, z wyciągniętymi rękami, plotącą trzy po trzy, pytającą, co, u diabła, się stało. Ale to nie ona, tylko jakaś pielęgniarka, a kiedy przechodzi obok, dociera do mnie, że odeszło coś ciepłego i jasnego, a w jego miejsce pojawiła się czarna dziura. Ciemna otchłań o zarysach mojej siostry.

Ona odeszła.

– Panno Rafter.

Podnoszę wzrok i widzę dwie postacie, które zbliżają się w moim kierunku – kobietę w długim tweedowym płaszczu i policjanta w mundurze.

– Komisarz Lipton – przedstawia się kobieta, wyciągając rękę. – A to posterunkowy Walker.

– Tak, wiem, kto to jest – odpowiadam z goryczą, rozpoznając młodego mężczyznę. – Próbowałam panu powiedzieć, co się dzieje w tym domu, ale nic pan w tej sprawie nie zrobił. A właściwie coś pan zrobił. Aresztował pan mnie.

Posterunkowy krzywi się, a komisarz Lipton patrzy na niego i marszczy brwi.

– Gdyby tamtej nocy potraktował mnie pan poważnie, panie posterunkowy Walker, moja siostra nadal by żyła. A tak leży w jakiejś parszywej kostnicy.

To wszystko mnie przerasta, wszystko, i łzy, które wisały nade mną przez ostatnie kilka godzin, teraz tryskają z oczu.

– Bardzo mi przykro – mówi Lipton. Wsuwa krzesło i siada obok mnie. Walker nadal stoi. – To musiała być dla pani przerażająca próba.

Wycieram oczy i spoglądam na komisarz Lipton.

– Czy on żyje? – pytam. – Paul Cheverell, ten mężczyzna, który nam to zrobił. Macie go?

Kiwa głową.

– To dobrze – mówię, zaciskając pięści.

Cieszę się, że żyje, bo chcę, by cierpiał tak, jak cierpiała moja siostra w ostatnich chwilach swojego życia. Chcę, by nigdy nie zaznał spokoju, nigdy, aż do samego końca...

– Jest w policyjnym areszcie – wyjaśnia Lipton. – Uzyskaliśmy już informacje od Fidy Rahmani. Musimy też porozmawiać z panią i z Hannah, jak tylko będziecie gotowe.

– Fida Rahmani – pryham. – Była częścią tego wszystkiego. Trzeba ją zamknąć razem z nim.

– Z tego, co się dowiedzieliśmy, wydaje się, że panna Rahmani była w równym stopniu ofiarą Cheverella jak pani siostrzenica i siostra – tłumaczy Lipton. – Sądzymy, że panna Rahmani została nielegalnie przeschmuglowana do Wielkiej Brytanii i jakimś sposobem Cheverell wykorzystał jej sytuację.

– Co? Nie rozumiem.

– Wciąż próbujemy ustalić szczegóły – wyjaśnia Lipton. – Ale sąsiadka pani siostry powiedziała nam, że jakaś kobieta o rysopisie panny Rahmani przyszła spotkać się z pani siostrą wczoraj, być może, żeby powiedzieć jej, co się dzieje. Sądzymy, że Cheverell musiał się o tym jakimś sposobem dowiedzieć i zaatakował ją. Znaleźliśmy w ogrodzie kij do krykieta ze śladami krwi.

– W tej chwili nic mnie nie obchodzi Fida Rahmani – mówię gorzko. – Miała wystarczająco dużo okazji, żeby powiedzieć mi, co działo się w tym domu. Ale nie zrobiła tego i teraz moja siostra nie żyje.

– Powiedziała nam, że Cheverell groził, że zabije ją i chłopca, jeśli się wygada – mówi Lipton. – Trzymał ich wszystkich osobno. Hannah była przetrzymywana w szopie, a David miał przebywać z dala od niej, żeby za bardzo się nie przywiązał. Ona robiła tylko to, co Paul jej kazał. To często spotykane, że kobiety uzależniają się od swoich oprawców.

Nie jestem w stanie uwierzyć w zło tego człowieka.

– Dlaczego ja tego nie widziałam? – pytam komisarz Lipton, podczas gdy łzy płyną mi po twarzy. – Tyle razy opisywałam przypadki tego rodzaju przemocy.

– Przypuszczam, że nie spodziewała się pani, że znajdzie coś takiego pod swoim nosem – wyjaśnia Lipton. – I w tak spokojnej dzielnicy. Wiem. Wszystkich nas to zaskoczyło.

Podnosi wzrok na Walkera i uśmiecha się, być może mając nadzieję oczyścić go z zarzutu zaniedbania.

– Ale nie powinno było – mówię raptownie.

Nie wie, jak bardzo się myli. Wszyscy tak mamy, codziennie, jesteśmy o włos od zła. Właśnie tego nauczyłam się w pracy reporterki. Lecz nie mogę oczekiwać od nich, że to zrozumieją.

Wstaję.

– Proszę posłuchać, będziemy się z panią kontaktować, panno Rafter, lecz tymczasem umówiliśmy pracownika opieki społecznej, żeby przyszedł i z panią porozmawiał. Przedstawi pani różne opcje.

– Opcje?

– Opieki nad Hannah i Davidem – wyjaśnia. – Będzie umiał wytłumaczyć następne kroki. Tymczasowe mieszkanie, pomoc psychologiczną, dostępną opiekę zastępczą dla chłopca.

– To nie będzie potrzebne – odpowiadam z werwą. – Teraz ja będę się opiekować Hannah i Davidem. Tego chciałaby Sally.

Lipton kiwa głową.

– Cóż, pomoc jest dostępna, gdyby pani jej potrzebowała – mówi. – Hannah i David będą potrzebowali wiele wsparcia i pomocy psychologicznej, żeby mogli dojść

do siebie po tym wszystkim.

– Rozumiem – przyznaję, a w uszach wciąż dzwoni mi krzyk Davida.

– Ale gdyby czegokolwiek pani potrzebowała – zapewnia Lipton, wręczając mi wizytówkę – proszę śmiało się kontaktować. Znajdzie pani tutaj bezpośredni numer telefonu do mnie i dane kontaktowe do odpowiedniego urzędnika z opieki społecznej.

– Dziękuję – odpowiadam, biorąc wizytówkę.

– Aha, i jeszcze jedno – mówi Lipton. – Fida Rahmani prosiła o spotkanie z panią. Potrząsam głową z wściekłością.

– Nie – odmawiam. – Nie chcę jej widzieć.

– Powiedziała, że ma pani coś do powiedzenia – dodaje Lipton. – Jest na oddziale trzecim. To, oczywiście, zależy od pani. Cokolwiek pani czuje, ma pani do tego pełne prawo. Do widzenia, panno Rafter. Będziemy się z panią kontaktować.

Leży w łóżku, a policjantka siedzi na plastikowym krześle koło drzwi. Funkcjonariuszka kiwa głową, kiedy wchodzę, a Fida podnosi wzrok. Umyli jej twarz, ale nadal nie wygląda dobrze.

– Dzień dobry – witam się, podchodząc do łóżka.

Sennie kiwa głową.

– Dziękuję, że przyszedłaś – mówi. – Usiądź, proszę.

– Nie zostanę długo.

– Proszę. – Wskazuje na krzesło.

– Dobrze, tylko na kilka minut – odpowiadam, siadając.

– Przykro mi z powodu twojej siostry.

– Doprawdy?

– Oczywiście – mówi. – Nie powinnam była jej w to wciągać. Powinnam była zadzwonić na policję.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pytam. – Prosiłam i błagałam, żebyś mi powiedziała. Mogłam ci pomóc.

– Chciałam – mówi, wycierając oczy cienkim prześcieradłem. – I prawie to zrobiłam. Ale potem pewnego wieczoru Paul przyszedł do domu. Powiedział, że mówiłaś mu, że ze mną rozmawiałaś. Zbił mnie. Mały David próbował go powstrzymać i skończyło się tym, że dostał pięścią w twarz. To było przerażające. Myślałam, że nas zabije... – Przerzywa i ociera oczy chusteczką. – Później tego samego wieczoru – opowiada dalej – kiedy Paul wyszedł, kazałam Davidowi, żeby cię znalazł i poprosił o pomoc. Był przerażony, ale powiedziałam mu, że jest odważny, że ty przecież nie jesteś potworem. Paul powtarzał mu, że świat jest pełen złych ludzi, wszystko po to, by powstrzymać go przed ucieczką. Ale powiedziałam mu, że ty jesteś miła. I że masz na imię Kate i nam pomożesz.

– I nie mógł mnie znaleźć?

– Nie. Znalazł cię – wyjaśnia. – Ale powiedział, że spałaś na krześle, a kiedy próbował cię obudzić, wrzasnęłaś na niego. Był tak przerażony, że uciekł.

Dygoczę, kiedy przypominam sobie tę krew na moich dłoniach i twarzy. Krew małego Davida. Dlaczego wzięłam te głupie pigułki? Gdybym nie była tak od nich uzależniona, Sally nadal by żyła... Przypominam sobie Fidę, jak nazajutrz wieczorem

podeszła do drzwi z raną na twarzy. Tego wieczoru, kiedy mnie aresztowano. A David wpatrywał się we mnie z podbitym okiem z różanej rabatki. A wszystko dlatego, że zapytałam Paula o najemców jego domu.

Wstaję z krzesła. Muszę teraz stąd wyjść. Muszę opłakać moją siostrę tak, jak należy.

– Przykro mi, Fido – wyznaję. – Z powodu tego wszystkiego, przez co przeszłaś.

– Wyjmuję notes i pióro z torebki i zapisuję na kartce swój numer telefonu. – Proszę – mówię, podając jej kartkę. – Gdybyś czegokolwiek ode mnie potrzebowała, zadzwoń pod ten numer.

Oczy napełniają jej się łzami, kiedy przyciska kartkę do piersi.

– Och – dyszy. – Och, to byłoby...

Zaczyna szlochać.

– Szsz – szepczę. – Już po wszystkim. On już nie może cię skrzywdzić. Wyjdiesz z tego, tak?

Podnosi na mnie wzrok i kiwa głową.

– Przykro mi, Kate – mówi. – Tak bardzo mi przykro.

– Wiem, że ci przykro.

Kiwam głową do policjantki i wychodzę.

Kiedy docieram do drzwi, oglądam się do tyłu. Fida kładzie się na boku i zwija w kłębek. I nadal trzyma tę kartkę, przyciskając ją do piersi niczym śpiące dziecko.

Kiedy idę korytarzem, czuję się tak, jakby za chwilę miała mi pęknąć głowa. Sztuczne ciepło w szpitalu przykleja się do mojej skóry. Potrzebuję przez kilka chwil odetchnąć świeżym powietrzem, zanim wrócę i odnajdę Hannah i Davida.

Przechodzę przez izbę przyjęć i zmierzam w kierunku wyjścia. Wpada światło, przyćmione, nadmorskie światło poranka w Herne Bay i przeklinam słońce, które powoli wyłania się zza szerokich, szklanych automatycznych drzwi.

Przez chwilę stoję na zewnątrz, żałując, że nie jestem palaczką papierosów, bo wtedy zrobiłabym coś ze swoimi trzęsącymi się rękami. A potem go dostrzegam, ciemną postać, która macha rękami, lawirując pomiędzy zaparkowanymi samochodami.

– Nie – szepczę, kiedy jego rysy twarzy nabierają ostrości.

To nie może być on. To niemożliwe.

– Kate.

Mrugam oczami, żeby upewnić się, czy to nie kolejna spośród moich zjaw, ale on naprawdę istnieje.

I jest tutaj.

– Chris.

Podchodzi do mnie i chwyta mnie za dłoń.

– Och, Kate – mówi. – Tak bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Co ty tutaj robisz? – pytam, kiedy stoimy bez ruchu, dwie zranione dusze przed szpitalem, w którym są ich całe setki.

Czuję jego oddech na twarzy, wdycham zapach drewna cedrowego, i tylko tyle mogę zrobić, żeby nie rzucić mu się w ramiona i nie zatracić się w nich bez pamięci. Ale zamiast tego pozwalam mu pocałować się w policzek, zanim się od niego odrywam i staję tak jak przedtem. Dwoje ludzi, dwa odrębne życia.

– Zobaczyłem to w wiadomościach – tłumaczy, wkładając ręce do kieszeni swojego eleganckiego wełnianego płaszcza. – I nie mogłem uwierzyć. Musiałem to zobaczyć na własne oczy. Nie mogłem się pozbierać... A potem nagle tam się pojawiłaś. To było jak... Cud.

– Moja siostra nie żyje – informuję go. – Nie potrafiłam jej uratować.

– Wiem – mówi po cichu. – Mówią o tym wszystkim w wiadomościach. Tak mi przykro, Kate.

– Przykro? Z jakiego powodu? – pytam, patrząc mu głęboko w oczy. – Z powodu śmierci mojej siostry czy z powodu tego, że jesteś dupkiem?

Nie mogę się powstrzymać. Jego widok sprawia, że to wszystko powraca – restauracja, kłamstwa, dziecko. Nasze biedne, zmarłe dziecko.

– Zasluguję na to – przyznaje. – To, co zrobiłem i w jaki sposób to zrobiłem było tchórzliwe. Teraz to wiem.

– Muszę usiąść – wyjaśniam, idąc z powrotem w kierunku oświetlonego jarzeniówką wejścia. – W tym miejscu zapomnianym przez Boga jest gdzieś kafejka. Możemy wypić kawę.

Idziemy w milczeniu kolejnymi korytarzami. Czuję Chrisa za plecami, jego

wysoką, dodając otuchy sylwetkę.

– Jesteśmy – oznajmiam, kiedy podchodzimy do jaskrawopomarańczowych drzwi.

– Ty kupujesz kawę. Ja szukam dla nas stolika.

Idę przez opustoszałą kawiarnię i siadam przy oknie, wyglądając na zewnątrz, ponieważ na parking poniżej wjeżdża karetka. Dźwięk syreny przecina powietrze niczym nóż i krzywię się, kiedy przypominam sobie ratowników podnoszących martwe ciało Sally z podłogi.

Przepraszam, myślę, wpatrując się przez okno w otchłań betonu. Przepraszam, Sally.

– Proszę bardzo.

Podnoszę wzrok, kiedy stawia na stole przede mną plastikową filiżankę kawy. Jego twarz lśni w skradzionych promieniach porannego słońca, które sprawiają, że błękit jego oczu staje się jeszcze bardziej nasycony. Wszystko, co w nim kocham, zostaje zintensyfikowane i przez chwilę wyobrażam sobie inne życie. Moglibyśmy mieszkać razem w jakiejś sennej wiosce w Yorkshire, kupić psa i zabierać go na spacer codziennie rano. Mogłabym piec ciasta i co wieczór zasypiać w jego ramionach. Rankiem budziłabym się pierwsza i przyglądałabym się, jak on śpi. Światło słoneczne oblewałoby jego twarz złotem, tak jak teraz, i szeptałabym słowa dziękczynienia do tego Boga, w którego wtedy akurat wierzylibyśmy, za to, że zesłał mi takiego mężczyznę.

Ale kiedy Chris zdejmuje płaszcz i siada naprzeciwko mnie, marzenie rozwiewa się po kawiarni.

– Po co przyjechałeś, Chris?

– Musiałem cię zobaczyć – wyjaśnia, oplatając swoje długie palce wokół filiżanki z kawą. – I po tym wszystkim, co przeszłaś, pomyślałem, że przydałby ci się przyjaciel.

– O, tym właśnie teraz jesteś? – warczę. – Przepraszam, nie nadażam.

– Wiesz, że jesteśmy dla siebie czymś więcej, Kate – mówi, pochylając się do przodu i dotykając mojej ręki. – Czymś dużo więcej.

– Wobec tego musiał mi się przyśnić ten kawałek, kiedy zabrałeś mnie na lunch i powiedziałaś, że to koniec – mówię gorzko. – Widziałam twoją żonę, Chris. Wiem, jakie życie prowadzisz, kiedy nie ma mnie w pobliżu.

– Kate, tak mi przykro. – Patrzy na mnie z zakłopotaniem.

Wyglądam przez okno, kiedy siedzi naprzeciwko mnie. Widzę w szybie jego odbicie – splecione dłonie, ukrywanie złotej obrączki pod kciukiem. Muszę mu powiedzieć. To musi teraz nastąpić, bo inaczej stracę nad sobą panowanie. A kiedy mówię, nie spuszczam wzroku ze stłoczonego gąszczu samochodów na zewnątrz. Nie chcę widzieć jego twarzy, kiedy to usłyszy. Wtedy byłoby już po mnie.

– Byłam w ciąży, Chris – oznajmiam, ze wzrokiem utkwionym w samochodach.

– Chciałam ci o tym powiedzieć tamtego dnia w restauracji, ale ty pierwszy złożyłeś swoje oświadczenie.

Słyszę, jak bierze oddech, ale muszę powiedzieć resztę.

– Dziecko zmarło kilka godzin później – mówię chłodno. – Więc nie martw się, nie musisz sobie radzić z żadnym paszтетem.

Jego milczenie wypełnia ogromną przestrzeń i odwracam się, żeby sprawdzić, czy

jeszcze tam jest. Jest. Siedzi tam z głową schowaną w dłoniach, wpatrując się w filiżankę kawy.

– Chris?

Podnosi wzrok i oczy ma spuchnięte od łez.

– O Boże, Kate – szepcze. – Tak bardzo mi przykro. Zaslugiwałaś na wiele więcej niż ja. Masz rację, *jestem* dupkiem. To mnie powinno pokarać, nie ciebie.

Kiwam głową i patrzę mu w oczy. Tutaj, w jasnym świetle kawiarni, widzę go po raz pierwszy tak, jak trzeba. Cały nasz związek niemal całkowicie spowijały ciemności. Wślizgiwanie się do łóżka we wczesnych godzinach rannych, potajemne spotkania na hotelowych balkonach po zachodzie słońca. Byliśmy parą wampirów, które nawzajem wysysały z siebie życie. Teraz, patrząc na niego w tym białym świetle jarzeniówek, uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, kim on jest. Ten mężczyzna, z którym się kochałam, który sprawiał, że drżałam z pragnienia i pożądania, który całował mnie w czoło, kiedy leżałam w jego ramionach, był cieniem, wytworem mojej wyobraźni. Ani na jotę nie przypominał mężczyzny, który teraz siedzi przede mną w swoim drogim garniturze.

Drzwi do kawiarni otwierają się i do środka wchodzi rodzina z dwojgiem małych dzieci. Jedno z dzieci, dziewczynka, ma rękę na temblaku, a rodzice wyglądają na wykończonych, kiedy prowadzą swoje pociechy w kierunku wolnego stolika.

– To było bezduszne z mojej strony – mówi Chris, nachylając się, żeby pozwolić przejść tej rodzinie. – Tchórzliwe. I uwierz mi, Kate, od tamtej pory przerabiałem tę rozmowę w głowie niezliczenie wiele razy, zastanawiając się, czy mogłem ją inaczej przeprowadzić.

Spoglądam na małą dziewczynkę z zabandażowaną ręką, jak siada na krześle, i nagle ta cała rozmowa z Chrisem wydaje mi się całkowicie bezsensowna. Chcę, żeby już sobie poszedł i żebym mogła być z Hannah i Davidem. Tak, żebym uzyskała jakieś odkupienie za to wszystko – za mojego brata, za Nidala, za Sally.

– Chris – mówię, zakładając ręce na klatce piersiowej. – Jaki to wszystko ma sens? Z nami koniec. Cokolwiek było, już tego nie ma. Twoja żona i córki potrzebują twojej całkowitej uwagi. Rozumiem to.

– Jesteś nadzwyczaj spokojna, Kate – stwierdza, uśmiechając się nerwowo.

– Och, do kurwy nędzy! – krzyczę. – A co chcesz usłyszeć?! Że rozdarłeś moje serce na strzępy?!

W kafejce zapada uprzejma cisza, przerywana jedynie piskliwym trajkotem dzieci przy stoliku za nami.

Ale teraz jestem zła i chcę wywołać w nim niepokój, chcę, żeby poczuł ten ból, który wdziera się w każdą cząstkę mojego ciała.

– Twoja żona – mówię, podnosząc nieco głos – wcale nie jest taka, jak sobie ją wyobrażałam. No ale przecież zawsze byłeś pełen niespodzianek.

Chowa głowę w dłoniach, a ja się odwracam. To żałosne. Ja jestem żałosna. Lecz nie mogę się powstrzymać.

– Potrzebowałam ciebie – tłumaczy. – Ani przez chwilę nie kłamałam. Wiedziałaś od początku, że jestem żonaty.

– Tak, wiedziałam.

– I powiedziałaś, że nie chcesz zobowiązań – mówi dalej. – A co z twoim ojcem i tym wszystkim? Przecież koncepcja małżeństwa budziła w tobie odrazę... Powiedziałaś mi o tym, kiedy się poznaliśmy, jeszcze zanim cokolwiek się między nami wydarzyło.

– A ty powiedziałeś, że twoja żona budzi w tobie odrazę, jeśli dobrze pamiętam – mówię zaczepnym tonem.

Ramiona mu opadają.

– Kocham cię, Kate – mówi.

Moje oczy napełniają się dużymi, sążnistymi łzami. Dlaczego on nie przestanie?

– Kocham cię tak bardzo, że aż mnie to przeraża. Ale nigdy by nam nie wyszło. Widzieliśmy te same przerażające rzeczy. Mamy te same koszmary nocne. Przeczytałem w gazecie to, co twój kamerzysta, Graham, powiedział o tym dziecku w Aleppo, i wiedziałem, przez co przeszłaś, ponieważ wyciągałem takie ciała z płytkich grobów, czasami nawet dziesięć ciał dziennie. Tuliłem je w ramionach, a one wyglądały zupełnie jak moje dzieci we śnie.

Twarz ma spuchniętą od łez i nie mogę się powstrzymać, żeby nie nachylić się i nie wytrzeć delikatnie jego policzka. Chwyta mnie za dłoń i całuje ją.

– Kiedy w nocy zamykam oczy, widzę te martwe dzieci – mówi. – Tutaj tkwi mrok i nie zniknie. – Stuka w swoje czoło moją dłonią. – Dlatego właśnie potrzebuję Helen. Potrzebuję jej, ponieważ ona nie ma pojęcia, co widziałem. Mogę wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć. Mogę zmyć z siebie te zapachy i zamienić obrazy. Dom, dziewczynki, Helen. One są tym nieskażone.

– A ja jestem zepsutym towarem – stwierdzam sarkastycznie, uwalniając dłoń z jego uścisku.

– Nie, Kate – zapewnia. – Jesteś piękna, inteligentna i odważna. Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. I jeśli ten świat byłby dobry i sprawiedliwy, wtedy, kto wie, co by się wydarzyło...

– Żyli długo i szczęśliwie... – mówię z żalem. – Wiesz, że to nie istnieje, Chris, i że nie tego szukałam.

– Czego więc szukałaś? – Pochyla się w moją stronę i wpatruje się we mnie. – Co sprawiło, że byłaś ze mną przez tyle lat?

– Kiedy byłam z tobą, koszmary znikają – odpowiadam. Na chwilę nasze spojrzenia się spotykają, po czym odwracam się i patrzę w okno.

Na parking wjechała kolejna karetka i kiedy kierowca czeka, aż wyniosą pacjenta, czuję pod stopami drganie silnika. Wyczuwam, że Chris chce kontynuować rozmowę, ale ja jestem już tym wszystkim zmęczona. Zmęczona próbami wskrzeszenia czegoś, co w ogóle nie miało prawa zaistnieć.

Jeszcze bardziej przyciskam twarz do szyby i kiedy krajobraz za oknem rozpada się na wiele punkcików, przed oczami przewija mi się moja przeszłość. Widzę mojego ojca, który stoi w progu z rękami założonymi na piersiach. Rozbity człowiek w rozbitym domu. Widzę moją matkę, która biegnie w stronę fal. Twarz Davida, kiedy zbieramy różowe muszelki. Hannah, która wierci się w plastikowym łóżeczku. Widzę piłkę Nidala leżącą na ulicy i uśmiech Sally, kiedy zamyka oczy. Kawiarnia jest pełna duchów i kiedy

Chris trzyma mnie za rękę, zamykam oczy i próbuję je wszystkie odsunąć, tyle że one tkwią w mojej głowie niczym guzy, które karmią się nawzajem.

Spoglądam na Chrisa i dostrzegam na jego twarzy, że powiedzieliśmy sobie już wszystko, co było do powiedzenia. To tyle. Doszliśmy do ściany.

W ciszy wstajemy i wychodzimy z kafejki, przez labirynty korytarzy i na zewnątrz na rozległy betonowy parking.

Kiedy powietrze smaga mnie po twarzy, mięśnie napinają mi się z wyczerpania. Jakaś taksówka trąbi i grupka ludzi przebiega obok nas w pośpiechu, kiedy stoimy tak nieruchomo na krawężniku i żadne z nas nie chce pożegnać się jako pierwsze.

– Masz rację – mówi w końcu. – Żyli długo i szczęśliwie nie istnieje. Ale mamy prawo próbować, Kate, mamy prawo mieć nadzieję. Bo czy w tym wszystkim tak naprawdę nie chodzi o to, żeby marzenia o szczęśliwym życiu nie pozostały jedynie pobożnymi życzeniami?

– Oczywiście, że tak – mówię, myśląc o Hannah i o Davidzie, i o tym, jak długa jeszcze podróż przed nami. – Nie mogłabym wykonywać swojej pracy, gdybym w to nie wierzyła. Dopóki wierzę, że ludzie potrafią zarówno kochać, jak i nienawidzić, jestem w stanie dalej żyć.

– A koszmary nocne? – Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, jakby wisiał nad przepaścią, a ja była jego jedyną nadzieją na ocalenie. – Czy z nimi też mamy żyć?

– Mam zamiar nad tym popracować – wyjaśniam. – Nie wiem, może umówię się na wizytę do psychoterapeuty.

– Cóż, jeśli to pomoże, to daj mu mój numer telefonu, co?

Uśmiecham się. Oto my, dwoje rozbitych ludzi, którzy stoją na progu nowego życia, obawiając się postawić swój pierwszy krok.

– To... – zaczynam – dokąd teraz zmierzasz?

– Ja... nie jestem pewien – odpowiada. – A ty masz coś na oku?

– Ja? Wracam do środka i idę poszukać mojej rodziny – wyjaśniam mu. – I sędzę, że ty powinienesz zrobić to samo... Wracaj do domu, Chris.

Kiwa głową i marszczy brwi.

– A co potem?

– Kto to wie...

– Tak – przytakuje. – Posłuchaj, wezmę taksówkę i...

Zostawia niedokończone zdanie, ponieważ przyciągam go do siebie i całuję w policzek. Czuję, jak jego ciało zatapia się w moim ciele, tak jak to zawsze bywało, i przez chwilę prawie ulegam temu uczuciu. Prawie wpuszczam go znowu do środka.

– Żegnaj, Chris – mówię, kiedy się rozdzielamy.

Oczy błyszczą mu w odbitym świetle wejścia do szpitala, kiedy przyciska palec do swoich ust, po czym umieszcza go na moich ustach.

Potem odwraca się i idzie w kierunku rzędu taksówek, a ja przyglądam się, jak otwiera drzwi i wsiada do środka. Obserwuję, jak taksówka odjeżdża i tył jego głowy coraz bardziej się zmniejsza, aż staje się tylko punkcikiem migoczącym na krawędzi wodnego horyzontu.

Kiedy dojeżdżam na nabrzeże, dochodzi czternasta. Łodzie rybackie są przycumowane do brzegu, a grupa mężczyzn stoi na plaży, rozplątując sieci. Przechodzę przez ulicę i idę w kierunku łodzi, odczytując pod drodze ich nazwy: „Rozbitek”, „Gwiazda Morza”, „Merlin”, „Pomocnik Kapitana”. I wtedy dostrzegam go – Acherona, z jego złowieszczymi czarno-białymi pasami. Ale kiedy tak idę wzdłuż kamienistego brzegu, zgniatając moimi botkami muszle małży, nie widzę kapitana.

To mój ostatni dzień w Herne Bay i chociaż jestem przerażona, wiem, że zanim wyjadę, muszę go o to zapytać.

Kiedy podchodzę, mężczyźni podnoszą na mnie wzrok znad swoich sieci. Śmierdzą potem i solą.

– Przepraszam! – krzyczę ponad łoskotem fal. – Znajdę gdzieś Raya?

– Ma przerwę – mówi jeden z nich, młody, prawie dwudziestoletni chłopak. Stoi, patrząc na mnie zwięzonymi oczami.

– Aha – odpowiadam, kiedy wiatr smaga mnie po twarzy. – A wie pan, kiedy wróci?

– Znajdziesz Raya w tej kafejce na rogu, skarbie – mówi starszy mężczyzna, wysuwając się do przodu. Spycha młodego chłopaka na bok. – Przepraszam za niego. Nie ma żadnych manier.

Dziękuję mężczyznom i kiedy przechodzę na drugą stronę drogi, czuję na sobie ich wzrok. Zupełnie jakby wiedzieli...

W kafejce śmierdzi jajkami i frytkami. Wchodzę do środka i rozglądam się. Wtedy go dostrzegam. Siedzi przy stoliku koło okna z widokiem na morze, trzymając w dłoni duży kubek.

Kiedy podchodzę do stolika, podnosi wzrok.

– Kate – mówi, wstając. – Widziałem wszystko w wiadomościach. Biedna maleńka Sally. Tak mi przykro.

– Muszę wiedzieć, Ray – zaczynam, siadając przy stole. – Jak to było ze śmiercią Davida. I tym razem musisz mi powiedzieć prawdę.

Rzuca mi spojrzenie pełne bólu, po czym gestem ręki przywołuje kelnerkę.

– Najpierw zamówię ci coś ciepłego do picia – wyjaśnia.

Siedzimy w milczeniu, kiedy kelnerka stawia przede mną kubek parującej, gorącej herbaty. Kiedy odchodzi, pochylam się do przodu i kładę dłoń na dłoni Raya.

– Ray, proszę. Czy to prawda? – pytam. – Czy to ja zabiłam swojego brata? Muszę wiedzieć.

Robi wielkie oczy.

– To nie było tak – mówi, potrząsając głową.

– Paul twierdzi, że było – tłumaczę, a jego słowa nadal brzęczą mi w uszach.

– Powiedział, że Sally mówiła mu, że ja... że ja utopiłam Davida...

– O Jezu – jęczy Ray, chowając głowę w dłoniach.

– Ray, proszę – drążę dalej, ściskając go za ramię. – Musisz mi powiedzieć, co się wtedy stało.

Podnosi głowę i wygląda przez okno. Kiedy zaczyna mówić, drży mu głos:

– Byłem w swojej łodzi... Przycumowałem ją tuż obok skał. Miałem przed sobą dzień połowu i właśnie zwijałem żyłkę, kiedy usłyszałem dziecięce głosy. Szczęśliwe głosy. Spojrzałem w kierunku plaży i zobaczyłem małą dziewczynkę z czarnymi włosami. Ciebie.

Serce mi wali i czuję w ustach słony smak morskiej wody, podczas gdy Ray opowiada dalej:

– Był tam z tobą twój brat. Malutki, z czupryną ciemnych włosków. Uśmiechnąłem się, zarzucając żyłkę i obserwując, jak się razem bawicie. Trzymaliście się za ręce i skakaliście przez fale. I przez cały czas słyszałem wasz śmiech. To był taki przyjemny dźwięk. – Głos mu się łamie, wypija łyk herbaty, po czym kontynuuje: – Miałem branie. Czulem, że ryba szarpała się na końcu żyłki, i zacząłem ją wyciągać. Ale kiedy już prawie wyciągnąłem ją na pokład, coś sprawiło, że podniosłem wzrok. Rozumiesz, te głosy ucichły.

– Głosy?

– Twój i twojego brata – wyjaśnia, ściskając swój kubek. – Zapadła cisza. Dziwna cisza. Widziałem cię na brzegu. Schylałaś się, żeby coś podnieść, ale nie widziałem, co to było.

Kiedy Ray mówi, po moim ciele przebiega dreszcz i przenoszę się tam z powrotem. Widzę wszystko tak jasno, jakby to było wczoraj. Schylam się nad grubym żwirem, żeby podnieść różowe muszelki w kształcie serca, których całe skupiska leżą na plaży. Wiele lat później zobaczę te muszelki i będę mieć jakieś dziwne wrażenie, uczucie lęku, choć nie będę rozumieć, skąd ono się wzięło. Teraz już wiem.

– Muszelki – mrużę. – Zbierałam muszelki.

Podnoszę wzrok na Raya. Ma otwarte usta. Przez chwilę nic nie mówimy, by pojąć fakt, że coś jednak pamiętam.

– Tak – mówi w końcu. – Myślę, że zbierałaś.

Kiwam głową. Kiedy Ray opowiada dalej, nadal czuję w dłoniach chropowatość muszelki.

– Ale kiedy cię obserwowałem, serce mi zamarło – mówi, robiąc wielkie oczy. – Byłaś sama. Po nim nie było śladu. Upuściłem żyłkę i stanąłem w łodzi, żeby lepiej się przyjrzeć. I wtedy go zobaczyłem. – Przerywa i bierze oddech. – Przykro mi. Po prostu... wciąż mam to świeżo w pamięci.

– Powiedziałaś, że go zobaczyłaś – mówię łagodnie. – Gdzie on był?

– Był... Pływał twarzą w dół w wodzie jakieś trzy metry od miejsca, w którym stałaś – wyjaśnia Ray. – Kiedy go zobaczyłem, zasuwałem łodzią jak szalony. Spojrzałem na plażę i zobaczyłem, jak twoja mama biegnie do ciebie. Wystawiłaś do niej rękę. Myślę, że pokazywałaś jej swoją muszelkę.

Mamusiu, popatrz... Ma kształt serduszka.

To wspomnienie pali mnie w piersiach, kiedy siedzę przy tym lepkiem stoliku, czekając, aż usłyszę, co się stało dalej.

– Twoja mama zawołała Davida po imieniu i podniosłem wzrok – opowiada Ray. – Spodziewałem się, że pobiegnie, ale ona nadal stała tam bez ruchu, patrząc na wodę.

Mamusiu, popatrz... Popatrz na muszelkę.

Widzę moją matkę, jak stoi, wpatrując się w morze. Coś jest nie tak. Dlaczego ona się nie rusza? Stoi jak posąg. Podążam za jej wzrokiem i widzę mojego brata, który unosi się na powierzchni wody. I teraz przypominam sobie presję czasu, która towarzyszy mi przez całe życie, uczucie, że ktoś znajduje się w niebezpieczeństwie, a ja muszę iść i go uratować.

– To ty pobiegłaś – mówi Ray, przerywając moje myśli. – Nie twoja mama. Kiedy tam płynąłem, widziałem, jak biegłaś przez fale, próbując dostać się do swojego brata. Twoja matka została tam, gdzie stała. Jakby była w transie.

Mamusiu, popatrz...

– Kiedy dopłynąłem w pobliże tego miejsca, mały zniknął mi z pola widzenia. Tylko ty siedziałaś na żwirze. Wyskoczyłem z łodzi i podbiegłem do ciebie i wtedy... wtedy to zobaczyłem...

– Co?! – krzyczę, a ręce mi drżą. – Co zobaczyłeś, Ray?!

Łzy płyną mu po policzkach i przeciera twarz swoją czerwoną dłonią z powykreczanymi palcami.

– Trzymałaś go w ramionach – szepcze. – A kiedy mnie zobaczyłaś, powiedziałaś... – Przerywa, żeby znowu otrzeć sobie oczy. – Powiedziałaś: „Próbuję go ogrzać”.

Bierze moją dłoń i mocno ją ściska.

– Myślałaś, że go uratowałaś.

Moje ciało przeszywa chłód.

– Czyli to nieprawda? – jękam się. – Ja... nie utopiłam swojego brata?

– Nie, Kate – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – Nigdy go nie utopiłaś. Miałem wszystko na widoku i widziałem go w tej wodzie twarzą w dół, zanim do niego dobiegłaś. Nie utopiłaś go, kochanie, przyniosłaś go na brzeg.

Kiwam głową i zaczyna do mnie docierać waga jego słów.

– Więc dlaczego? – pytam. – Dlaczego mój ojciec powiedział Sally, że to zrobiłam?

Ray potrząsa głową.

– Nie wiem – przyznaje. – Dokładnie opisałem twojemu starszemu, co się stało. Powiedziałem mu o twojej mamie, która stała jak zamurowana na plaży... Już później dowiedzieliśmy się, że była w głębokim szoku, który, jak wiesz, może człowieka unieruchomić... I powiedziałem mu, jak pobiegłaś przez fale i pierwsza dotarłaś do Davida. Powiedziałem mu, jak trzymałaś go w ramionach i jak mówiłaś, że go ogrzewasz. Ale twój tata był zagubionym człowiekiem, Kate. Śmierć twojego brata była bezsensowna i potrzebował o nią kogoś obwinić. Przyswoił wszystko to, co mu opowiedziałem, i pewnie wszystko to pomieszało się i wypaczyło w jego głowie.

– A więc tata postanowił uwierzyć, że to ja utopiłam Davida, podczas gdy mama po prostu tam stała i patrzyła – mówię, dygocząc, ponieważ przypominam sobie ten jad na twarzy ojca za każdym razem, kiedy patrzył na mamę albo na mnie.

– Jak już powiedziałem – powtarza Ray łagodnie – był zagubionym człowiekiem...

Przez chwilę siedzimy, nie odzywając się ani słowem, ledwo oddychając, kiedy

przeszłość łagodnie unosi się na wietrze, po czym osiada wokół nas.

– Dziękuję, Ray – mówię, przerywając tę ciszę. – Dziękuję, że tam byłeś.

– Nie musisz mi dziękować – odpowiada. – Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, żebyś zostawiła za sobą całe to cierpienie i zaczęła żyć własnym życiem. W twojej rodzinie było zbyt dużo bólu. Zakończ to, dobrze?

Kiwam głową i siedzimy w milczeniu. Wydaje się, jakby to trwało całą wieczność.

– Lepiej już pójdę – mówię w końcu, wstając od stolika. – Wyjeżdżam razem z córką Sally i jej wnukiem.

– To dobrze – stwierdza, uśmiechając się ciepło. – Wszyscy potrzebujecie zacząć życie od nowa. Ale zanim odejdziesz, chcę ci coś powiedzieć.

– Dobrze – zgadzam się, znowu siadając.

– To, co wydarzyło się tamtego dnia na plaży, było najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przeżyłem. Położenie twojego brata na pokładzie i rozpaczliwe próby przywrócenia go do życia... Potem przez długie miesiące miałem koszmary nocne. Okropne koszmary nocne, które nie dawały mi spokoju.

On też miewa koszmary. I ja to rozumiem.

– Ale wiesz, co je ukoilo? – pyta, przyciskając moją dłoń swoją dłonią. – Wiesz, co pomogło mi przetrwać?

Potrząsam głową.

– Wspomnienie tych kilku minut – wyjaśnia. – Kiedy świeciło słońce, a ja właśnie przygotowywałem żyłkę i usłyszałem wasz śmiech. I to upewniło mnie, że w swoich ostatnich chwilach David był szczęśliwy. Bawił się w falach ze swoją starszą siostrą.

Łzy płyną mi po twarzy i wstaję od stołu.

Ray podnosi się i przytula mnie. Przytula mnie tak, jak przed laty powinien był mnie przytulać ojciec.

– One znikną – szepcze. – Koszmary nocne. Obiecuję ci, że znikną.

Zostawiam Raya w kafejce i wychodzę. Ale zanim wracam do szpitala, przez chwilę stoję na żwirku i spoglądam na morze. I kiedy wdycham do płuc to powietrze ostatniego dnia i słucham słabego jęku morskich ptaków, czuję, że coś mnie opuszcza. Coś subtelnego, ledwo zauważalnego, niczym dotknięcie piórka na twarzy śpiącego, i gdy odwracam się, żeby odejść, już wiem, co to było. To mój brat, chłopiec, którego próbowałam uratować, pożegnał się ze mną...

Epilog

Mały chłopiec piszczy, kiedy samolot zaczyna wznosić się do góry. Nachylam się przez siedzenie i biorę go za rączkę.

– To ekscytujące, prawda, David?

Kiwa główką i uśmiecha się pięknym, promiennym uśmiechem. Kiedy Sally była dzieckiem, mawialiśmy, że jej uśmiech przypomina wschód słońca, i kiedy tak siedzę, trzymając jej wnuka za rączkę, mam uczucie, że jakaś część jej duszy jest przy nas. Będzie żyła dalej w tym małym chłopcu.

Hannah odsuwa roletę i wygląda na zewnątrz.

– Jeszcze kilka chwil i zobaczymy to – mówi.

David puszcza moją dłoń i przyciska buzię do okna, czekając, aż chmury się rozwieją i będzie mógł po raz pierwszy choć przez chwilę zobaczyć nasze nowe życie.

Kobieta, która siedzi po drugiej stronie przejścia, spogląda na nas i uśmiecha się, a ja czuję w kościach głębokie poczucie zadowolenia. Oto jesteśmy, mała rodzina, poszarpana na krawędziach, ale powoli dochodząca do siebie.

Spędziliśmy ostatnie kilka tygodni w wynajętym domu w Londynie, a ja w tym czasie finalizowałam sprzedaż mojego mieszkania w Soho. Można by nazwać go bezpiecznym domem, chociaż Hannah zbladła jak płótno, kiedy pracownik pomocy społecznej użył tego określenia, aby go opisać... Właśnie tak Paul nazywał tamtą szopę – ich „bezpiecznym domem”. Zaproponowałam więc, że będziemy nazywać go naszym domem wakacyjnym. Miejscem, w którym będziemy przez jakiś czas przebywać, dopóki nie będziemy gotowi, żeby stawić czoła światu.

Nie było to łatwe. Hannah i David musieli dwa razy w tygodniu uczestniczyć w sesjach terapeutycznych, gdzie potworne przeżycia, których doświadczyli, wydobywano na światło dzienne, przesiewano i analizowano. Były takie dni, kiedy myślałam sobie, że nie damy rady, i martwiłam się tym, że popełniłam błąd, zgadzając się zaopiekować obojgiem. Lecz potem światło przełamywało ciemności, powoli, ostrożnie, niczym przebiśniegi, które wychodzą z zamrożonej ziemi. David nadal czasem w nocy budzi się z krzykiem, ale uczę się, jak mu pomagać. Uczę się, jak być matką. Jak przytulać i dawać buziaki bez ograniczeń i sprawdzać, czy pod łóżkiem nie ukrywają się potwory.

Moje koszmary nocne nadal się pojawiają. Chyba nigdy nie znikną. Halucynacje zmniejszyły się, chociaż nadal czasem muszę zadawać sobie pytanie, czy to, co widzę, dzieje się naprawdę, czy też jest tylko jakimś dziwnym przywidzeniem. Ale spotykam się z kimś – z terapeutą, który specjalizuje się w PTSD – i powoli zaczynam wychodzić na prostą. Zamiast uciekać od wspomnień i próbować wymazywać je za pomocą pigułek nasennych i alkoholu, teraz stawiam im czoła. I podobnie jak w przypadku większości potworów, kiedy im się przeciwstawiamy, odkrywamy, że nie mają aż tak wielkiej mocy, jaką im przypisywaliśmy.

Prawdziwy potwór, Cheverell, siedzi w więzieniu. Nie wiem w którym i nie chcę tego wiedzieć. Po procesie dowiedzieliśmy się, że już wcześniej odbywał wyrok za gwałcenie i bicie swojej pierwszej żony. Tuż po wyjściu z więzienia wrócił do Herne Bay, żeby odzyskać dom po swoich rodzicach. Według raportów psychiatrów uważał się za

Mesjasza i wykorzystywał każdą bezbronną kobietę, którą spotykał na swojej drodze. Przychodzi mi na myśl Sally, która machała do niego przez płot tamtego dnia, i to, jak jej słabość musiała go wciągnąć. Zawsze widziała w ludziach dobro i to doprowadziło do jej upadku.

Ale kiedy zobaczyłam, jak skazano go na dożywocie, przyrzekłam sobie, że odbuduję to, co próbował zniszczyć. Krok po kroku Hannah i David dochodzą do siebie, a ja postanowiłam, że będziemy żyć bez lęku.

– Czy szybko ją zobaczymy? – krzyczy David, z buzią nadal przyciśniętą do szyby.

– Bardzo szybko – tłumaczę mu, kiedy na krawędzi horyzontu wyłania się panorama miasta.

Harry uważa, że dobrze by mi zrobiła zmiana otoczenia, i chyba ma rację. Kiedyś sama myśl o pracy przy biurku oznaczałaby dla mnie koniec świata, lecz teraz muszę myśleć o swojej rodzinie, a poza tym „nowojorska korespondentka” brzmi nieźle.

– Teraz, David – mówię. – Przygotuj się, żeby przywitać swój nowy dom.

Tłoczmy się przy oknie, po czym Hannah odskakuje do tyłu.

– Mama też potrzebuje być częścią tego wszystkiego – wyjaśnia.

Przyglądam się, jak wyjmuję porcelanowy pojemnik ze swojego bagażu podręcznego. Zaplanowałyśmy, że rozrzucimy prochy Sally, kiedy dotrzemy na miejsce, i wiem, że nadchodzi czas pożegnania.

– Widzę ją, widzę! – krzyczy David.

I faktycznie, nagle się pojawia, światło nadziei i wolności.

– Ale ogromna! – krzyczy. – Jak anioł!

Odchylam się do tyłu w swoim fotelu, pozwalając, aby Hannah i David chłonęli Statuę Wolności. Zamykam oczy. Stoi tam, jak zawsze, trzymając w rękach swoją księgę uśmiechów.

– *Tusbih 'alá khayr*, Kate.

Przed wyjazdem napisałam ostatni artykuł. Napisałam o małym syryjskim chłopcu, który uwielbiał piłkę nożną i marzył o lepszym życiu. Napisałam o mojej siostrze, Sally, która po prostu chciała czuć się bezpiecznie. Napisałam o Layli, Hassanie i Khaledzie, o wszystkich tych ludziach, którzy podarowali mi część swojego życia i którzy pozostaną ze mną na zawsze.

Przychodzą mi na myśl ostatnie słowa mojego artykułu, które pośpiesznie wystukiwałam na klawiaturze, kiedy po raz ostatni przygotowywałam się do wyjścia z pokoju redakcji informacyjnej.

„To szczególnie sposób zarabiania na życie”, napisałam. „Rzucanie się raz po raz w sam środek nawałnicy. Ludzie sądzą, że jesteśmy pozbawieni strachu, ponieważ raczej szukamy wojny, niż przed nią uciekamy, ale nigdy nie nazwałabym się odważną. Według mnie praca reporterki polega na tym, żeby udzielać głosu tym, którzy są uciszani, żeby opowiadać ich historie i pokazać światu, jaką cenę tak naprawdę ludzie płacą za wojnę”.

I kiedy twarz Nidala zaczyna blaknąć, przychodzi mi na myśl napis na Statui: „Dajcie mi tylko swoich biednych tłumy całe, obejmę ich gościnnie moimi ramionami. Przyślijcie mi bezdomnych gromady niemałe, dla nich podnoszę lampę nad portu wodami”³. I płaczę nad tym mężczyzną, którym mógłby się stać, nad życiem, które

mógłby wieść.

– *Tusbih ‘alá khayr*, Nidal – szepczę, kiedy samolot dotyka ziemi.

Podziękowania

Chciałabym podziękować wielu osobom za ich pomoc i dodawanie mi otuchy w trakcie pisania *Kości mojej siostry*.

Kate Loftus z wydawnictwa Viking – za to, że jesteś taką cudowną i inspirującą wydawczynią. Twoja inteligencja i opinie naprawdę pomogły mi powołać do życia *Kości mojej siostry*.

Całemu zespołowi z wydawnictwa Viking Penguin.

Mojej agentce, Madeleine Milburn – za to, że uwierzyłaś w tę powieść od samego początku.

Carze Lee Simpson i całej ekipie z Madeleine Milburn Literary, TV & Film Agency – jesteście wspaniali i naprawdę doceniam Wasze wsparcie.

Zespołowi Arts Council England – za to, że daliście mi czas i przestrzeń, bym mogła zatopić się w zbieraniu materiałów do tej powieści.

Doktorowi Anthony’emu Feinsteinowi, profesorowi psychiatrii na Uniwersytecie w Toronto i autorowi książki *Journalists under Fire: The Psychological Hazards of Covering War* [„Dziennikarze pod ostrzałem. Psychologiczne niebezpieczeństwa reportażu wojennego”] – dziękuję za to, że znalazłeś czas, by odpowiedzieć na moje pytania, za to, że wyjaśniłeś mi wpływ traumatycznych przeżyć na dziennikarzy na całym świecie i że zwróciłeś uwagę na brutalną rzeczywistość PTSD.

Hayley Vale – za to, że dałaś mi nieoceniony wgląd w codzienne życie psychologa sądowego.

Markowi Starbuckowi – za wspaniałą pracę nad grafiką broszury reklamowej, kiedy dokumentowałam etap zbierania materiałów do tej powieści.

Rowan Coleman i Carolyn Jess-Cooke – za Wasze słowa zachęty, kiedy najbardziej ich potrzebowałam. Jesteście wspaniałymi pisarkami i tak bardzo Was obie podziwiam.

Mojej rodzinie i przyjaciółom – dziękuję Fiono, Adamie, Danielu, dziękuję wszystkim moim siostrzenicom i bratankom.

Mojej siostrze, Siobhan Kerr – dziękuję za to, że podzieliłaś się ze mną swoimi doświadczeniami dziennikarskimi, wzlotami i upadkami, procedurami i tym uczuciem mrowienia w kręgosłupie, kiedy historia zostaje ujawniona. Nigdy nie zapomnę wieczoru wyborczego z 1997 roku, kiedy przyszedłam do Ciebie, do pokoju redakcji informacyjnej, i widziałam, jak na moich oczach powstaje historia, kiedy nowy rząd odniósł zwycięstwo. Wtedy zrozumiałam, dlaczego tak kochasz swoją pracę. I pod wieloma względami stałaś się pierwowzorem Kate Rafter.

Mamo – jesteś moją najlepszą przyjaciółką i nie mogłabym dokonać tego wszystkiego bez Ciebie. Dziękuję, że słuchałaś przez telefon tych przydługawych, niezredagowanych jeszcze rozdziałów i opłakiwałaś smutne fragmenty!

Tato – wspaniały dziennikarzu z takim zasobem słów, o jakim mogę jedynie pomarzyć. Mówiąc krótko, jesteś moim bohaterem i ta książka nie powstałaby bez Ciebie. „Słowa mają wartość”, powiedziałaś mi kiedyś. „Używaj ich należycie”. Mam nadzieję, że mi się to udało.

Luke – mój piękny chłopaku o wielkim sercu, inspirujesz mnie i sprawiasz, że się

raduję. Dziękuję, że dałeś mi siłę do napisania tej powieści. Wszystko, co robię, robię dla Ciebie.

Nick – dziękuję Ci za to, że ożywiłeś historię opowiedzianą w *Kościach mojej siostry* swoimi wspaniałymi szkicami reportaży, które stały się częścią procesu zbierania informacji, i za to, że kibicowałeś mi do samego końca. Opowieści na temat obozu uchodźców w Calais, którymi się ze mną podzieliłeś, pozostaną we mnie na zawsze. Jestem bardzo dumna z tego, co robisz.

Pamięci Marie Colvin, odważnej i utalentowanej dziennikarki, która w chaosie wojny zawsze szukała ludzkich historii i której odwaga stała się inspiracją do napisania tej książki.

I w końcu, choć Nidal jest postacią fikcyjną, każdego dnia bardzo wiele dzieci takich jak on jest teraz więzionych i doświadcza cierpienia w strefach konfliktów zbrojnych na całym świecie. Jeśli ta powieść może coś zdziałać, to mam nadzieję, że choćby w niewielkim stopniu uświadomi nam palącą potrzebę, by nieść pomoc tym dzieciom. Parafrazując legendarną reporterkę wojenną, Marthę Gellhorn – „by głośno wyrażać swój gniew przeciwko niesprawiedliwości”.

Przypisy końcowe

Biblia Tysiąclecia, 1 Kor, 13,7. [\[wróć\]](#)

„(Stay) over in Dover” – (zostać) na noc w Dover (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

E. Lazarus, *Nowy kolos*, tłum. W.J. Darasz, 2015. Fragment sonetu napisanego w 1883 roku, poświęconego Statui Wolności (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)